

SALLY ANDREW

*Powieść dla fanek Jedz, módl się, kochaj
oraz Smażonych zielonych pomidorów*



*Przepisy
na
miłość
i zbrodnie*



SALLY
ANDREW

Przepisy
na
miłość
i zbrodnię

tłumaczenie Adriana Sokołowska-Ostapko



OTWARTE

Kraków 2016

*Dedykuję tę książkę moim wyjątkowym rodzicom,
Bosky i Paulowi Andrew*

ROZDZIAŁ 1

Prawda, że życie bywa zabawne? Wiecie, mam na myśli to, jak czasami zdarzenia wypływają jedno z drugiego i wychodzi coś, czego zupełnie się nie spodziewaliśmy.

Tamtego niedzielnego poranka stałam w kuchni i mieszałam w żeliwnym garnku dżem morelowy. Był to kolejny letni bezdeszczowy dzień w kotlinie [Karru](#) Małego i cieszyły mnie delikatne podmuchy wiatru wpadające przez okno.

– Pachniesz cudownie – skomplementowałam swój [appelkoos konfyt](#).

Kiedy mówię „dżem morelowy”, brzmi to tak, jakbym opowiadała o słoiku kupionym w sklepie, ale kiedy powiem „konfyt”, od razu wiadomo, że mówię o domowych przetworach. Moja matka była Afrykanerką, ojciec Anglikiem, a języki, którymi mówili, zmieszały się we mnie. Smaki nazywam w [afrikaans](#), kłócę się po angielsku, ale kiedy przeklinam, przerzucam się z powrotem na afrykanerski.

Dżem właśnie dochodził, gęstniał i stawał się klarowny, gdy usłyszałam samochód. Wrzuciłam do garnka kilka ziaren z pestek moreli i laseczkę cynamonu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że samochód przywozi pierwszy ze składników przepisu na miłość i zbrodnię.

Ale być może życie przypomina rzekę, której nurtu nie można zatrzymać i która wije się, prowadząc od śmierci do miłości. Raz jedno, raz drugie, i tak na przemian. Jednak mimo że życie jest jak rzeka, wielu ludzi potrafi żyć, nigdy nie zanurzając się w wodzie. Myślałam, że taką właśnie osobą jestem ja.

Karru jest jednym z najspokojniejszych i najcichszych miejsc w Afryce Południowej i warkot silnika słychać tu z daleka. Wyłączyłam gaz i przykryłam garnek pokrywką. Zdążyłam jeszcze umyć ręce, zdjąć niebieski fartuch, poprawić włosy przed lusterkiem i nastawić czajnik.

Dopiero wtedy dobiegł mnie pisk hamulców i odgłos zderzenia. Domyśliłam się, że to Hattie. Jest beznadziejnym kierowcą. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam białą toyotę etios przytuloną do drzewa eukaliptusowego rosnącego przy podjeździe. Ucieszyłam się, że nie trafiła w mojego ukochanego nissana. Uwielbiam ten mały błękitny [bakkie](#) z paką nakrytą białą brezentową płachtą.

Wyjęłam z lodówki [melkert](#). Harriet Christie jest moją przyjaciółką i redaktorką „Gazety Karru Małego”, w której prowadzę rubrykę kulinarną. Nie jestem dziennikarką – jestem zwykłą [tannie](#), która lubi gotować, a czasem również coś napisać. Mój ojciec był dziennikarzem, [mama](#) zaś wyśmienitą kucharką. Nie mieli z sobą wiele wspólnego i czasem myślę, że w pewien sposób połączyłam ich swoją rubryką kulinarną.

Hattie miała na sobie niedzielne ubranie – różową spódnicę i żakiet oraz kremowe szpilki,

w których dość chwiejnym krokiem przemierzała podjazd wysypany drobnymi kamyczkami, ale kiedy dotarła do brukowanego chodnika, od razu pewniej stanęła na nogach. Nadal jest mi trochę wstyd, kiedy widzę ludzi wracających z kościoła, ponieważ nie byłam na nabożeństwie od czasu, gdy umarł mój mąż Fanie. Przez wiele lat grzecznie siadałam na drewnianej ławce obok niego, słuchałam gadającego w kółko o tym samym pastora, a potem wracałam do domu i Fanie znów mnie bił, zniechęcając w ten sposób do Kościoła. Częste lanie sprawiło, że właściwie przestałam wierzyć w cokolwiek. Bóg, religia, miłość – wszystko ze mnie uleciało po latach spędzonych z Faniem.

Od tamtej pory zostawiam okna otwarte, na wypadek gdyby któraś z tych rzeczy chciała znów do mnie przylecieć, ale nic takiego jeszcze się nie zdarzyło.

Przed drzwiami stała więc Hattie. Nie musiała pukać, ponieważ zawsze są otwarte. Uwielbiam świeże powietrze, zapach suchej ziemi porośniętej dzikimi krzewami i gdakanie kur grzebiących w przyzbie kompostowej.

– Wejdz, wejdz, [skat!](#) – zachęcałam przyjaciółkę.

Wiele Afrykanerek przestało się ze mną przyjaźnić, gdy odeszłam od Holenderskiego Kościoła Reformowanego, ale Hattie jest Angielką i chodzi do Świętego Łukasza. W Ladismith mamy ponad czterdzieści wspólnot religijnych. U Świętego Łukasza [koloredzi](#) i biali modlą się radośnie obok siebie. Obydwie jesteśmy po pięćdziesiątce, lecz poza tym różni nas prawie wszystko. Hattie jest wysoką i chudą blondynką, starannie uczesaną i używającą wytwornej odmiany angielskiego. Ja jestem niska i puszysta (odrobinę zbyt puszysta w pewnych miejscach), mam brązowe loki i między angielskie słowa niedbale wplątam afrykanerskie wyrażenia. Oczy Hattie są błękitne jak woda w basenie, moje zaś zielone niczym sadzawki, i podczas gdy ona najchętniej wkłada błyszczące szpilki, ja najlepiej czuję się w roboczych trzewikach z miękkiej skóry, na które tutaj mówimy [veldskoene](#). Hattie nie przywiązuje zbyt dużej wagi do jedzenia (choć przepada za moją tartą mleczną), tymczasem dla mnie gotowanie i jedzenie to dwa główne powody, dla których warto żyć. Mama przekazała mi miłość do gotowania, ale dopiero gdy się zorientowałam, jak bardzo nieodpowiednim towarzystwem jest dla mnie mój mąż, odkryłam, że wyjątkowo dobrze mi w towarzystwie jedzenia. Niektórzy pewnie pomyślą, że jedzenie jest dla mnie zbyt ważne, ale niech sobie myślą, co chcą. Bez jedzenia byłabym bardzo samotna. Prawdę mówiąc, bez jedzenia bym umarła. Towarzystwo Hattie również dobrze mi robi i zawsze się cieszymy, gdy się spotykamy. Wiecie, jak to jest – przy niektórych ludziach po prostu można być sobą.

– Dzień dobry, *tannie* Mario – przywitała mnie.

Podoba mi się, że mówi do mnie „*tannie*”, ciociu (mimo że robi to na swój angielski sposób i skraca końcówkę do wytwornego „i”, chociaż tak naprawdę powinno to być rozwlekłe „ej”).

Pochyliła się, żeby pocałować mnie w policzek, ale nie trafiła i cmoknęła suche letnie powietrze.

– Kawy? – zaproponowałam, po czym zerknęłam na zegar. Anglicy nie lubią pić kawy po jedenastej rano. – Herbaty?

– Och, wspaniale! – odparła Hattie i z gracją klasnęła w dłonie niczym brytyjska królowa.

Jednak ona sama wcale nie wyglądała wspaniale. Czoło miała pochmurne, a twarz zmiętą jak liście drzewa *gwarrie*.

– Wszystko w porządku, *skat*? – spytałam, przygotowując tacę do podawania herbaty. Wcześniej, gdy Hattie klasnęła, zauważyłam, że trzyma w ręku białą kopertę, którą teraz wsunęła do kieszeni różowego żakietu. – Wyglądasz, jakby cię coś trapiło.

– Jak ja kocham twój dom – oznajmiła, gładząc drewniany blat kuchennego stołu. – Te proste meble i grube ceglane ściany. Są takie... autentyczne. Zupełnie jak ty.

– To stary, porządny wiejski dom – odpowiedziałam. – O co chodzi, Hats?

Wciągnęła policzki, jakby chciała zatrzymać słowa, które cisnęły się jej na usta.

– Usiądźmy na werandzie – zaproponowałam, wynosząc tacę na zewnątrz.

Z werandy roztacza się widok na cały ogród. Widać z niej trawnik, grządki oraz drzewka, ozdobne i owocowe. Za niskim drewnianym ogrodzeniem rozciąga się sawanna, porośnięta krzakami, akacjami i starymi powykręcanyymi *gwarrie*. Najbliższy dom jest kilka kilometrów dalej, ukryty za wzgórzem, ale drzewa są dobrymi sąsiadami.

Hattie usiadła i wygładziła spódnicę. Próbowałam zajrzeć jej w oczy, lecz ona wodziła rozbieganym spojrzeniem po ogrodzie, jakby podążała wzrokiem za ruchliwym ptaszkiem. Jedna z moich brązowych kur wyszła spod krzewu geranium, pod którym zaszyła się wcześniej, aby odpocząć, i ruszyła w stronę kurzego bufetu na przymie kompostowej. Jednak to nie ją obserwowała Hattie. Spoglądała to na drzewo cytrynowe, to na grządki, to znów na kępę pstrolistki, na drzewko tangerynki, po czym znowu zerkała na cytryny. Wokoło rozlegał się świergot różnych ptaków, ale tam, gdzie patrzyła Hattie, nie dojrzałam żadnego.

– Zobaczyłaś coś w zaroślach na sawannie? – spytałam.

– Wielkie nieba, ale dziś upał – westchnęła.

Wyjęła z kieszeni kopertę i zaczęła się nią wachlować.

– Proszę, spróbuj mojej tarty mlecznej.

Ukroiłam dla każdej z nas po kawałku i położyłam na talerzykach.

– Musi w końcu lunąć – ciągnęła Hattie.

Dalej śledziła wzrokiem niewidzialnego ptaka, który teraz zdawał się skakać po stole.

Podsunęłam jej talerzyk.

– Twoja ulubiona – zachęciłam.

Wiedziałam, że Hattie przyszła porozmawiać ze mną o czymś więcej niż o pogodzie. Policzki miała zarumienione, jakby trzymała w ustach coś gorącego, ale mocno zaciśnięte kąciki warg

świadczyły o tym, że nie jest jeszcze gotowa tego z siebie wyrzucić.

Hattie nie była z tych, których trzeba ciągnąć za język, więc nie ponaglałam jej i cierpliwie czekałam. Nalałam herbaty, po czym przeniosłam spojrzenie na wysuszoną sawannę. Nie padało od bardzo dawna. Niskie pagórki urozmaicające krajobraz Karru Małego wznosiły się i opadały na kształt morskich fal. Ciągnęły się po sam horyzont niczym nieruchome kamienne morze. Podniosłam talerzyk z ciastem i skosztowałam. Tarta była pyszna. Wanilia, mleko i cynamon to idealne połączenie – ten smak zawsze poprawia samopoczucie. Konsystencja również była doskonała: nadzienie jednolite i lekkie, spód cienki i kruchy.

Hattie zerknęła do filiżanki, jak gdyby jej zmyślony ptak właśnie tam wskoczył. Prawdziwego ptaka dostrzegłam w cieniu drzewa *gwarrie*, ale był za daleko, żebym mogła rozpoznać gatunek. Uwielbiam te stare drzewa. Niektóre z nich mają tysiące lat. Wszystkie są guzowate, jak gdyby miały łokcie i kolana, a ich liście są ciemnozielone i poskręcane.

Hattie wyprostowała się i upiła łyk herbaty. Westchnęła.

Właśnie od tego jest weranda. Żeby pić na niej herbatę, wzdychać i patrzeć na sawannę. Jednak Hattie nadal wpatrywała się w zawartość swojej filiżanki.

– Pyszna – powiedziałam, dojadając ostatnie okruszki tarty.

Prawdziwy ptak, którego wypatrzyłam, podfrunął bliżej i przysiadł w gałęziach akacji. To była dzierzba. Na polowaniu.

Hattie nawet nie tknęła swojego kawałka, ale nie mogłam już dłużej usiedzieć.

– O co chodzi, Hattie, *skat*?

Przyjaciółka przełknęła ślinę, po czym położyła kopertę na stole.

– O rety, Mario – powiedziała. – To nie są dobre wiadomości.

Poczułam, jak herbata i melktert przewracają mi się w żołądku.

ROZDZIAŁ 2

Cóż, nie należę do tych, którym spieszno usłyszeć złe wiadomości, dołam więc sobie herbaty i ukroiłam kolejny kawałek tarty. Hattie nadal sączyła pierwszą filizankę i wyglądała na zgnębioną. Koperta pełna złych wiadomości leżała spokojnie przed nami.

– To z centrali – oznajmiła przyjaciółka, masując palcami gardło.

Może ślina, którą wcześniej przełknęła, utknęła w połowie drogi.

Hattie nieczęsto dostawała listy z centrali, kiedy jednak już coś przychodziło, zawsze były to polecenia służbowe. Gazety regionalne należały do jednego konsorcjum czy jak mu tam. Gazety były niezależne i większość zysków czerpały z reklam, lecz mimo to musiały się stosować do zaleceń centrali.

Dzierzba poderwała się z gałęzi akacji i zanurkowała między trawy.

– Mario, oni twierdzą, że koniecznie musimy mieć dział z poradami – powiedziała Hattie.

Zmarszczyłam brwi. I o to tyle hałasu?

– Coś w rodzaju „napisz do przyjaciółki” – ciągnęła. – Rady na temat miłości i tym podobne.

Według nich dzięki temu wzrasta sprzedaż.

– Tak. Całkiem możliwe – przytaknęłam.

Wciąż czekałam, kiedy w końcu mi oznajmi zapowiadzaną złą wiadomość.

– A my po prostu nie mamy na to miejsca. Ani pieniędzy, żeby dodać stronę tylko dla tej jednej rubryki. – Uniosła dłonie i złożyła je płasko jak kartki książki.

Wiedziałam, o co chodzi. Cztery strony drukowano na jednym dużym arkuszu papieru, który następnie składano na pół.

– Próbowałam zmienić układ graficzny. Zastanawiałam się, co można by pominąć, ale nie ma nic takiego. Absolutnie nic.

Poruszyłam się na krześle. Dzierzba wróciła na gałąź ze zdobyczą.

– Zadzwoiłam do nich w piątek – relacjonowała Hattie. – I powiedziałam im: „Przykro mi, ale nie możemy tego zrobić, nie w tym momencie”. – Słowa nie chciały jej przejść przez gardło, jakby ktoś zacisnął je jak plastikową rurkę. – Odpowiedzieli, że możemy zrezygnować z rubryki kulinarnej.

Jej głos wydawał się dobiegać z oddali. Przyglądałam się dzierzbie – w dziobie trzymała jaszczurkę, którą szybkim ruchem nadziała na duży biały kolec.

– *Tannie Mario.*

Ciekawe, czy jaszczurka nadal żyje, zastanawiałam się.

– Przekonywałam, mówiłam, jak bardzo czytelnicy kochają twoją rubrykę. Ale oni w kółko powtarzali, że jest to nieodwołalna decyzja.

Czy ptaszek oprawca zostawi mięso, aby się ususzyło, i zrobi z niego [biltong](#)?

– *Tannie* Mario.

Spojrzałam na nią. Minę miała tak zbolaną, jak gdyby to jej życie legło w gruzach, a nie moje. Bo przecież rubryka z przepisami naprawdę była moim życiem. Nie chodziło tylko o pieniądze. Owszem, potrzebowałam dodatkowych środków na utrzymanie – renta po mężu nie była wysoka. Jednak dzięki pisaniu do gazety mogłam dzielić się ze światem tym, co dla mnie najważniejsze: gotowaniem.

Zaschło mi w gardle. Łyknęłam herbaty.

– Pomyślałam jednak – ciągnęła Hattie – że to ty mogłabyś poprowadzić dział z poradami. Udzielać rad na temat miłości i tak dalej.

Prychnęłam. Nie wyszło to zbyt elegancko.

– Nie znam się na miłości – powiedziałam.

Właśnie wtedy jedna z moich kokoszek, ta z kołnierzem z czarnych piór wokół brązowej szyi, przeszła przez trawnik, dziobiąc po drodze ziemię, i poczułam, że na swój sposób ją kocham. Kochałam smak swego melkertu, zapach piekących się herbatników i szum długo wyczekiwanego deszczu. Poza tym miłością doprawiałam każdą potrawę. Jednak rubryka z poradami miała niewiele wspólnego z mleczną tartą czy uczuciem, jakim darzyłam swoje kury.

– Przynajmniej nie na tego rodzaju miłości, o jaką by chodziło – dodałam. – Nie lubię też udzielać rad. Powinnaś raczej zwrócić się do *tannie* Gouws ze sklepu żelaznego. Ona zawsze ma radę dla każdego.

– To właśnie jedna z twoich najwspanialszych cech, Mario: nigdy nie udzielasz rad nieproszona. Potrafisz za to słuchać. To do ciebie przychodzimy, kiedy trzeba omówić jakąś ważną sprawę. Pamiętasz, jak pomogłaś Jessie, gdy nie umiała zdecydować, czy wyjechać do pracy do Kapsztadu?

– Pamiętam, że dałam jej [koeksisters](#)...

– Wysłuchałaś jej i doskonale jej poradziłaś. Dzięki tobie wciąż jest z nami.

Pokręciłam głową.

– Jeżeli już, to zasługa koeksisters, nie moja.

– Mam jeszcze jeden pomysł – oznajmiła przyjaciółka. – Może napisałabyś książkę? „Przepisy *tannie* Marii”. Pomogłabym ci znaleźć wydawcę.

Usłyszałam furkot, podniosłam głowę i zobaczyłam, jak dzierzba odlatuje, zostawiając jaszczurkę nabitą na cierń.

Książka to rzeczywiście niezły pomysł, ale gdy otwierałam usta, wyrwało się z nich:

– Pisanie książki to samotne zajęcie.

Hattie wyciągnęła rękę, żeby chwycić moją dłoń.

Moje palce nawet nie drgnęły.

– Och, *tannie* Mario – westchnęła. – Tak bardzo mi przykro.

Hattie była dobrą przyjaciółką. Nie chciałam, żeby cierpiała. Uścisnęłam jej dłoń.

– Poczęstuj się tartą, Hattie. Jest naprawdę niezła.

Chwyliła za widelczyk, a ja nałożyłam sobie kolejny kawałek. Również nie chciałam cierpieć. Nie miałam powodu, żeby czuć się samotna. Siedziałam na werandzie, przede mną rozciągał się cudowny widok na sawannę, a towarzystwa dotrzymywały mi dobra przyjaciółka i pierwszorzędna tarta mleczna.

– A co byś powiedziała na to – odezwałam się w końcu – żebyś czytała listy od czytelników i dawała im przepisy, które by im pomogły?

Hattie przełknęła, zanim odpowiedziała.

– Musiałabyś dawać im jakieś rady.

– Porady kulinarne – oświadczyłam.

– Będą pisali o swoich problemach.

– Różne przepisy na różne problemy.

Hattie zaczęła dźgać widelczykiem powietrze, akcentując każde słowo:

– Jedzenie jako lekarstwo dla ciała i duszy.

– Tak, właśnie tak.

– Będziesz musiała coś doradzić, ale przepis może być częścią porady.

– „Rubryka *tannie* Marii: porady miłosne i kulinarne”.

Hattie się rozpromieniła, a na jej twarz wrócił uśmiech.

– Mój Boże, *tannie* Mario. Właściwie dlaczego nie?

Po czym kilkoma ruchami widelczyka dokończyła swój kawałek tarty.

ROZDZIAŁ 3

Tym sposobem, siedząc razem na werandzie, postanowiłyśmy stworzyć rubrykę *tannie* Marii z poradami miłosnymi i kulinarnymi. Dział cieszył się dużą popularnością, pisało do mnie wiele osób z całego Karru Małego. Odpowiedzi na listy czytelników ułożyły się w niezwykle przepisy: przepisy na miłość i zbrodnię. Ostatecznie stworzyłam więc książkę kucharską. Nie do końca taką, o jakiej początkowo myślałam, ale mniejsza o to.

Zdarzenia zaczęły wypływać jedno z drugiego i wyszło z nich coś, czego zupełnie się nie spodziewałam. Pozwólcie jednak, że nie będę zaczynać od końca – chciałam jedynie dać przedsmak tego, co ma nastąpić...

Podstawowym przepisem w tej książce jest przepis na morderstwo. Przepis na miłość jest bardziej skomplikowany, ale w przedziwny sposób wynika z poniższego przepisu na zbrodnię.

Przepis na zbrodnię

dość duży mężczyzna, który znęca się nad żoną
mała krucha żona
średniej wielkości żylasta kobieta zakochana w żonie
dubeltówka
południowoafrykańskie miasteczko kiszące się w sekretach
butelka soku z granatów
łagodny ogrodnik
pogrzebacz
pikantna mieszkanka Nowego Jorku
7 adwentystów dnia siódmego (odpowiednio przygotowanych na koniec świata)
ostra dziennikarka śledcza
łagodna detektyw amator
2 wytrawnych policjantów
jagnię
garść fałszywych tropów
kilku podejrzanych
szczypta chciwości

Wszystko włożyć do dużego garnka i przez kilka lat dusić na małym ogniu, mieszając co jakiś czas drewnianą łyżką. Pod koniec duszenia dodać:

3 butelki brandy marki Klipdrift

3 małe kaczki

garść papryczek chili

i zwiększyć płomień.

ROZDZIAŁ 4

Zaledwie tydzień po naszej rozmowie na werandzie zaczęły przychodzić listy. Pamiętam, jak Hattie, stojąc w drzwiach redakcji „Gazety Karru Małego”, trzymała koperty niby wachlarz kart. Pewnie usłyszała, jak podjeżdżam moim *bakkie*, i nie czekając, aż dotrę ścieżką do biura, wyszła na próg.

– Hura, *tannie* Mario! Twoje pierwsze listy! – zawołała.

Miała na sobie jasnożółtą sukienkę, a jej włosy w blasku słońca wydawały się złote. Było gorąco, szłam więc powoli po płaskich kamieniach, którymi była wyłożona dróżka między donicami z aloesem i sukulentami. Niewielka siedziba gazety leży na uboczu, przyklejona do połączonej ze żłobkiem Miejskiej Galerii Sztuki na ulicy Eland.

– *Vetplantjies* zakwitły – oznajmiłam.

Małe, pękate rośliny różowiły się od kwiatków, które odbijając promienie słoneczne, mieniły się srebrzyście.

– Przyszły wczoraj. Trzy – powiedziała Hattie, wręczając mi listy.

Pomieszczenie redakcyjne o białych, świeżo pomalowanych ścianach, wysokim suficie i wyłożonej deskami podłodze znajduje się w starym, typowym dla architektury naszego miasteczka budynku i kiedyś było sypialnią. Wysoko na frontowej ścianie jest duży, okrągły otwór wentylacyjny przesłonięty kratką o pięknym wzorze zwanym oczami Ladismith. W redakcji miejsca starcza zaledwie na trzy drewniane biurka, zlew i niewielką lodówkę, ale Jessie, Hattie i ja nie potrzebujemy więcej. Do gazety pisują również inni dziennikarze, z miasteczek rozsianych po całym Karru Małym, lecz oni przysyłają swoje materiały pocztą elektroniczną.

Tamtego upalnego dnia wiatrak pod sufitem bez przerwy mełł powietrze, nie wiem jednak, czy dzięki temu było choć odrobinę chłodniej.

– O rety! – mruknęłam. – Gorąco dzisiaj. W taki dzień herbatniki pieką się same, nie trzeba ich wkładać do piekarnika.

Postawiłam na swoim biurku świeżo upieczone [beskuit](#). Jessie podniosła wzrok znad komputera, po czym uśmiechnęła się do mnie i do puszki z herbatnikami.

– *Tannie* M. – westchnęła.

Jessie Mostert jest młodą dziennikarką, koloredką, która zdobyła stypendium, dzięki czemu studiowała w Grahamstown, po czym wróciła do rodzinnego miasteczka i zaczęła pracować w gazecie. Jej matka jest siostrą oddziałową w szpitalu w Ladismith.

Jessie miała na sobie bladoniebieskie dzinsy, pasek obwieszony mnóstwem kieszeni i czarny podkoszulek. Gęste, ciemne włosy nosiła związane w kucyk, a jej brązowe ramiona zdobiły tatuaże w kształcie gekonów. Na biurku Jessie, obok komputera, leżał kask do jazdy na skuterze i dzinsowa kurtka. Dziewczyna uwielbiała swój czerwony skuter.

Hattie położyła listy na moim biurku obok herbatników i czajnika. Pracowałam w gazecie tylko na część etatu i dostąpiłam przywileju korzystania z biurka służącego jednocześnie za kącik kuchenny. Nastawiłam wodę, po czym wyjęłam filiżanki z małego zlewu.

Tymczasem Hattie usiadła przy swoim biurku i przeglądała notatki.

– Jess – oznajmiła. – Chciałabym, żebyś napisała relację z kiermaszu parafialnego Holenderskiego Kościoła Reformowanego. Jest w tę sobotę.

– Och nie, Hattie. Znowu kiermasz. Pamiętasz, że jestem dziennikarką śledczą?

– Och tak, dziewczyno z tatuażami.

– Bardzo zabawne – prychnęła Jessie z uśmiechem.

Spojrzałam na trzy listy leżące na moim biurku niczym nierozpakowane prezenty. Nie dotknęłam ich. Zajęłam się parzeniem kawy dla zespołu redakcyjnego.

– Chcę, żebyś sfotografowała nowe dzieła członkiń kółka krawieckiego. – Hattie znów zwróciła się do Jess. – Będą miały własne stoisko na kiermaszu.

– Och, tylko nie kółko krawieckie. W zeszłym miesiącu napisałam cały artykuł o nich i o [Afrikaanse Taal- en Kultuurvereniging](#).

– Nie martw się, kochana, jestem pewna, że trafi się tam coś ciekawego – powiedziała Hattie, bazgrząc ołówkiem w notatniku.

Nie wiem, czy dostrzegła, że Jessie przewraca oczami, dodała jednak:

– Zawsze możesz też znaleźć pracę w bardziej interesującej gazecie. Na przykład w Kapsztadzie.

– Och nie, Hattie, wiesz, że uwielbiam tu pracować. Chciałabym tylko...

– Jessie, bardzo się cieszę, że postanowiłaś u nas zostać. Ale jesteś bystrą dziewczyną i czasami mam wrażenie, że to miasteczko i ta gazeta są dla ciebie za małe.

– Kocham to miasto – odparła Jessie. – Mam tu rodzinę i przyjaciół. Myślę tylko, że nawet w małym mieście można pisać o ważnych sprawach.

Postawiłam filiżanki z kawą na ich biurkach. Podsunęłam Hattie puszkę z herbatnikami, chociaż wiedziałam, że ich nie tknie, dopóki nie nadejdzie pora lunchu. Natomiast oczy Jessie zalśniły na widok ciastek i z miejsca zapomniała o sprzeczce.

– Weź dwa – podpowiedziałam.

Gdy Jessie sięgnęła do puszek, wydało mi się, że tatuowane gekony zaczęły się wspinać po jej brązowych rękach. Uśmiechnęłam się. Lubię dziewczyny z apetytem.

– Pyszne. – Młoda dziennikarka oblizwała się i w tym momencie na wysokości jej bioder zagrała

muzyka.

Dobiegły mnie słowa piosenki *Girl on Fire*.

– Przepraszam – mruknęła Jessie, otwierając jedną z kieszeni przy pasku. – To mój telefon.

Ruszyła w stronę drzwi. Muzyka grała coraz głośniej, aż w końcu nagle ucichła, gdy Jessie odebrała telefon.

– Halo... Reghardt?

Wyszła na dwór, jej głos stopniowo cichł i po chwili nie słyszałam już ani jej, ani ognistej piosenki. Usiadłam przy biurku, zamoczyłam ciastko w kawie i ugryzłam pierwszy kęs. Ziarna słonecznika, które dodałam do herbatników, sprawiły, że miały one charakterystyczny posmak orzechów i prażenia. Znów spojrzałam na leżące na biurku listy.

Pierwsza koperta była różowa i zaadresowana do „*Tannie Marii*”. Kropki nad literami „i” tworzyły drobne, kształtne kółeczka. Upiłam łyk kawy, po czym otwarłam list. Zanim doszłam do końca, byłam tak wstrząśnięta, że przestałam pogryzać herbatnik.

Oto, co przeczytałam.

Droga Tannie Mario,

wydaje mi się, że moje życie się skończyło, chociaż nie mam jeszcze trzynastu lat. Jeżeli nie zabiję się sama, na pewno zrobi to moja mama. Trzy razy uprawiałam seks, ale tylko raz połknęłam. Czy jestem w ciąży? Ostatni okres miałam strasznie dawno temu.

On ma piętnaście lat, czarną, gładką skórę i biały uśmiech. Powiedział, że mnie kocha. Spotykaliśmy się pod drzewem [kareeboom](#), a potem szliśmy do szopy i bawiliśmy się w cukiernię. On mówił, że smakuje jak słodkie mango, które rosną na jego ulicy. On smakuje czekoladę, orzechami i lodami. To kiedyś najbardziej lubiłam jeść. Chciałam przestać spotykać się z nim w szopie, ale zawsze kiedy go widziałam, jak stoi pod drzewem i czeka, czułam, że znowu muszę go spróbować.

Powachlowałam się różową kopertą i wróciłam do lektury.

Kiedy mu powiedziałam, że mogę być w ciąży, odpowiedział, że nie możemy się więcej spotykać. Przechodzę obok naszego drzewa codziennie po szkole, ale on już pod nim nie stoi.

Ze zmartwienia nie mogę jeść. Mama mówi, że niknę w oczach. Najchętniej bym się zabiła, ale nie robię tego, bo wiem, że pójdę do piekła.

Czy możesz mi pomóc?

Zrozpaczona

Odłożyłam list i pokręciłam głową. Rety! Ależ tragedia...

Młoda dziewczyna, która się głodzi.

Trzeba było znów zachęcić ją do jedzenia. Potrzebny był tu przepis z czekoladą i orzechami. Do tego lody. I jeszcze coś zdrowego.

Oczywiście, zamierzałam jej odpisać, że nie można zająć w ciążę, uprawiając seks oralny. I na wszelki wypadek, jeśliby się okazało, że nie potrafi porozmawiać na ten temat z mamą, postanowiłam podać jej numer telefonu do poradni planowania rodziny w Ladismith. Gdyby jednak udało mi się wymyślić taki przepis, któremu dziewczyna nie potrafiłaby się oprzeć, mogłoby to wszystkim oszczędzić wielu kłopotów.

Banany, pomyślałam. Są zdrowe i pomogą jej nabrać sił. Może więc mrożone banany oblane czekoladą i posypane orzechami? Szybko zanotowałam przepis, który przyszedł mi do głowy – z gorzką czekoladą i prażonymi orzechami laskowymi. To powinno pomóc zapomnieć zrozpaczonej trzynastolatce o czekoladowym chłopaku. Pomyślałam, że być może on też czytuje naszą gazetę, więc nie zaszkodzi dołączyć przepis na sorbet z mango. Akurat był sezon na te owoce, a najlepsze odmiany naprawdę miały smak miodu i słońca.

ROZDZIAŁ 5

Uff, było upalnie i pomysł z deserami na zimno wydawał się idealny. Na biurku leżały jeszcze dwie nieotwarte koperty, jednak nie ciągnęło mnie do nich, tak jak do mrożonych bananów.

– Jadę pracować do domu – oznajmiłam Hattie. – Muszę wypróbować parę przepisów.

– Mhm – odpowiedziała.

Przygryzała ołówek i marszczyła brwi w skupieniu.

– Hattie, o której zaczyna się sobotni kiermasz? – spytała Jessie.

Młoda dziennikarka, która znów siedziała przy biurku, sięgnęła do jednej z kieszonek po notesik.

– Bzdury – mruknęła Hattie, stukając w klawiaturę komputera. – Co? O drugiej.

Wstałam. W ręku trzymałam listy.

– Te przepisy muszą być dobre – powiedziałam. – Na tyle dobre, żeby nie można było im się oprzeć.

Hattie podniosła wzrok znad monitora.

– Mario, kochana. Idź już.

Zaparkowałam *bakkie* pod jednym z drzew nieopodal redakcji, tuż obok czerwonego skutera Jessie. Obie zawsze starałyśmy się zachować odpowiednią odległość od toyoty Hattie – zawdzięczałam jej już jedno wgniecenie na drzwiach samochodu. Mój nissan 1400 był bładoniebieski, tak jak niebo nad Karru wczesnym rankiem. Plandeka na pace bywała jasna niczym puszyste chmurki sunące po porannym błękicie, ale zwykle pokrywała ją warstwa szarego pyłu niesionego wiatrem z sawanny. Samochód stał w cieniu jakarandy i chociaż wszystkie szyby zostawiłam opuszczone, wewnątrz i tak panowała piekielna duchota. W taki dzień koniecznie powinno się jeść lody.

Wpadłam do Spara po składniki. Dobrze trafiłam, bo o tej porze nie było tłoku i spotkałam zaledwie trzy osoby, z którymi wypadało chwilkę pogawędzić. Nie chodzi o to, że nie lubię pogawędek. Po prostu myśl o zimnych deserach nie dawała mi spokoju i nie potrafiłam się skoncentrować na rozmowach.

Jadąc przez pola rozległą sawanną i między niskimi brązowymi pagórkami, czułam zapach dojrzałych owoców mango. Skręciłam na drogę gruntową wiodącą do mojego domu, minęłam eukaliptus i zaparkowałam na podjeździe obok krzewu lawendy. W ogrodzie przed domem dwie brązowe kury odpoczywały w cieniu pelargonii. Nie wstały, żeby się przywitać.

Gdy weszłam do kuchni, postawiłam torbę na dużym drewnianym stole i od razu zabrałam się do przygotowywania owoców. Obrałam sześć bananów, włożyłam je do pojemnika i wstawiłam do zamrażarki. Potem pokroiłam na kawałki cztery mango i także schowałam w zamrażarce. Nachylając się nad zlewem, zjadłam miąższ, który pozostał na obierkach z mango, i wyssałam sok oblepiający pestki. Nie wyglądało to zbyt elegancko.

Drewnianym tłuczkiem rozgniotłam orzechy laskowe w moździerzu i uprażyłam je na patelni. Spróbowałam kilka kawałków, gdy były jeszcze ciepłe. Połamałam gorzką czekoladę i włożyłam ją do garnka, który zamierzałam postawić w drugim garnku, żeby czekolada topiła się powoli i delikatnie, najpierw jednak musiałam poczekać, aż banany się zamrożą. Spróbowałam czekolady i zagryzłam orzechami, żeby sprawdzić, czy oba smaki będą do siebie pasowały. Potem dorzuciłam parę orzechów i kostek czekolady, aby po całym tym próbowaniu proporcje się zgadzały. Banany i mango muszą się mrozić parę godzin. Trzeba poczekać, lecz czym zająć się w tym czasie? Listy. Przyniosłam z biura jeszcze dwa listy.

Postanowiłam wyjść z nimi na dwór, żeby z dala od rozpraszających kuchennych zapachów skupić się na lekturze. Usiadłam na zacienionej werandzie i otworłam jedną z kopert. W środku znalazłam list od dziewczynki, której podobał się pewien chłopak, ale nie wiedziała, w jaki sposób może się z nim zaprzyjaźnić. Przyszedł mi do głowy prosty przepis na krówki domowej roboty. Żaden chłopiec nie pogardzi takimi pysznościami.

W następnym liście, który otworłam, przeczytałam:

Do licha, jestem skończoną idiotką. Proszę, podrzyj mój poprzedni list. Jeśli mój mąż kiedykolwiek go przeczyta albo dowie się o nim... Jestem taka głupia. Nie zamieszczaj go, proszę. Zniszcz go. Błagam.

Jaki poprzedni list? Czego ta kobieta się bała? Spojrzałam na stempel pocztowy na kopercie. Ladismith. Nadany dwa dni temu.

Zadzwoiłam do redakcji. Odebrała Jessie.

– Hej, *tannie* M. – powiedziała.

– Nie zostawiłam przypadkiem jakiegoś listu na biurku? – spytałam.

– Chwileczkę, zaraz sprawdzę.

Czekając, spojrzałam na zegar kuchenny. Nie minęła jeszcze godzina, odkąd włożyłam banany do zamrażarki.

– Nie, nic nie ma. Ale po twoim wyjściu był listonosz i przyniósł list do ciebie.

– W białej kopercie – zgadywałam. – Nadany z Ladismith dwa lub trzy dni temu?

– Mmm... – mruknęła Jessie. – Tak.

– Właśnie robię mrożone banany w czekoladzie – oznajmiłam. – Gdybyś miała ochotę wpaść po...

– A może zajrzę do ciebie podczas przerwy na lunch? Przywiozłabym ci ten list.

– Świetny pomysł.

Nie miałam dobrych przeczuć co do męża kobiety, która do mnie napisała. W żołądku zaczął mnie gniesć niepokój. Postanowiłam złagodzić to wrażenie czymś słodkim. Banan, który wyjęłam, nie zdążył się jeszcze zamrozić, ale i tak bardzo mi smakował z czekoladą i orzechami. Tylko dlatego że koniecznie musiałam spróbować gotowego deseru – mrożonych bananów ze stopioną czekoladą – powstrzymałam się przed sięgnięciem po kolejny schłodzony owoc.

Żeby wyrwać się z kuchni, włożyłam robocze ubranie, *veldskoene* i słomkowy kapelusz, po czym wyszłam do ogrodu. Miałam dwie pary *veldskoene*: jedne lżejsze i bardziej eleganckie, w kolorze khaki, drugie zaś ciemnobrązowe, lepsze do pracy na grządkach. Na dworze było gorąco jak w piekarniku, lecz część ogródka kryła się w cieniu drzewa cytrynowego. Ja również schroniłam się w zacienionym miejscu, przyklękałam i zaczęłam wrywać chwasty.

Ślimaki, które od czasu do czasu znajdowałam w liściach sałaty, rzucałam na pryzmę kompostową, wiedząc, że zajmą się tam nimi kury.

Na szczęście miałam porządną studnię. Susza panowała już stanowczo zbyt długo. W Karru słońce usiłuje wyssać z roślin i ludzi całą wilgoć, my jednak się nie dajemy. Najlepiej radzą sobie małe [vygie](#) i inne sukulenty. Ja co wieczór natłuszczam skórę oliwą z oliwek, żeby się nie zasużyć niczym biltong. Nie smaruję się jednak przed wyjściem na dwór, bo usmażyłabym się jak [vetkoek](#).

Po pewnym czasie upał stał się nie do zniesienia. Podniosłam się, otrzepałam ziemię z kolan i umyłam ręce pod kranem ogrodowym. Zdjęłam kapelusz, aby ochłapać twarz zimną wodą, po czym wytarłam się chusteczką. Gdy weszłam do domu, włożyłam czekoladę do garnka i zaczęłam ją roztopiać, wyjęłam również mango z zamrażarki. Owoce były zmrożone, ale nie na kamień, zrobiły się zatem idealne. Zmiksowałam je, po czym przelałam gładki sorbet do pojemnika, który wstawiłam do zamrażarki.

Wtedy usłyszałam skuter Jessie. Wyciągnęłam z zamrażarki banany, zdjęłam z ognia stopioną czekoladę. Szczypcami do obracania kiełbasek na grillu chwyciłam po kolei zmrożone banany i zanurzałam je w misce z gorzką czekoladą, a następnie obtaczałam w prażonych orzechach.

Jessie uśmiechnęła się szeroko, gdy weszła do kuchni.

– Rany, *tannie* M., coś tu pysznie pachnie. Oj, a co to takiego?

Nie odrywając wzroku od bananów w czekoladowo-orzechowej polewie, które układałam na woskowanym papierze, rzuciła kask i dżinsową kurtkę na krzesło. Kiedy skończyłam, wszystkie pięć owoców włożyłam z powrotem do zamrażarki.

– Najpierw przystawka – oznajmiłam i nałożyłam do dwóch miseczek sorbetu z mango.

– Och, fantastyczny deser, *tannie*. Co to jest?

– Mango.

– Tak, ale co jeszcze?

– Tylko mango.

– Żartujesz. Naprawdę?

– Tak. Odmiana zill jest najlepsza, ale jeszcze nie ma na nie sezonu. Te tutaj, tommy atkins, też są bardzo smaczne. Och, i do tego odrobina soku z limonek na wierzch, żeby nadać ten cierpki posmak.

– Rany. Nie do wiary.

Włożyłam puste miseczki do zlewu i wyjęłam dwa talerze na danie główne. Jessie poluzowała pasek.

– Co ty nosisz w tym pasku, Jessie? – spytałam, nakładając banany.

– Mmm – mruknęła dziewczyna i zaczęła poklepywać kolejne kieszenie zawieszane wokół bioder.

– Aparat fotograficzny, telefon, notesy, nóż, latarkę, gaz łzawiący. I różne takie. – Wpatrywała się w oblane czekoladą banany. – Wyglądają, hmm, smakowicie.

– Wyglądają trochę dziwnie – przyznałam. – Nie do końca tak jak powinny.

– Będziemy jeść palcami?

– Sama nie wiem. Nigdy wcześniej ich nie robiłam. Proszę, nóż i widelec... Poczekaj. Bitą śmietaną. Tego brakuje. – Nałożyłam na talerze spore porcje puszystej białej masy. – No, od razu lepiej.

Zaczęłyśmy jeść sztućcami, ale szybko je odłożyłyśmy i uporałyśmy się z deserem palcami, ponieważ banany okazały się tak pyszne, że szkoda było czasu na kombinacje.

Jedną z rzeczy, za które najbardziej lubię Jessie, jest to, że potrafi docenić jedzenie. Jej sylwetka ma rozsądne rozmiary i kształty odpowiednio zaokrąglone tam, gdzie trzeba.

Podczas jedzenia nie rozmawiałyśmy, czasami tylko młoda dziennikarka przymykała oczy i wydawała ciche pomruki.

– O rety! – westchnęła, gdy przełknęła ostatni kęs. – To najlepszy banan, jakiego w życiu jadłam.

Uśmiechnęłam się i nałożyłam na jej talerz drugi mrożony banan w polewie czekoladowo-orzechowej z bitą śmietaną. Sama również poczęstowałam się kolejną porcją deseru, żeby dotrzymać gościowi towarzystwa. Żałowałam, że nie mogę razem z przepisem podesłać trzynastolatce odrobiny rozsądku i zdrowego apetytu Jessie.

Młoda dziennikarka oczyściła talerz z ostatnich plamek czekolady, a potem westchnęła i pogłaskała po głowie gekona wytatuowanego na ramieniu. Robi tak zwykle, gdy jest szczęśliwa.

– Muszę się już zbierać – powiedziała, wstając i otwierając jedną z kieszeni. – Proszę, list do ciebie.

Miałam wrażenie, że koperta parzy mnie w palce.

ROZDZIAŁ 6

Gdy Jessie odjechała, nawet nie pomyślałam o sprzątaniu. Wyszłam na dwór, usiadłam na metalowym krześle w cieniu drzewa cytrynowego i otwierałam kopertę. Charakter pisma był ten sam co w liście, który dotarł do mnie wcześniej.

Droga Tannie Mario,

zawsze podobały mi się Twoje przepisy. Czytałam je co tydzień.

Wstydzę się, że piszę do Ciebie z prośbą o radę. Rozścieliłam łóżko i powinnam już się położyć, ale po tym, co się przed chwilą stało...

Ślubowałam miłość i posłuszeństwo temu mężczyźnie. Mojemu mężowi. Miłość się wyczerpała, ale staram się, jak mogę, być dobrą żoną. On również robi, co do niego należy, płaci na naszego syna, który ma porażenie mózgowe i jest w ośrodku dla dzieci specjalnej troski.

Mąż bije mnie tylko wtedy, gdy jest pijany albo zazdrosny. Jeśli się nie stawiam, nie jest tak źle. Po wszystkim mnie przeprosza, mówi, że mu przykro, w co nawet potrafię uwierzyć, i przyrzeka, że nigdy więcej tego nie zrobi, ale w to już nie wierzę. Czasami coś w nim pęka. Myślę, że może to mieć jakiś związek z jego ojcem i ze służbą wojskową, którą odbył. Nie zamierzam go usprawiedliwiać – chcę tylko powiedzieć, że nie jest potworem.

Poczułam suchość w gardle, wstałam więc i położyłam na krześle przeczytany do połowy list. Weszłam do domu, żeby nalać sobie szklankę wody wyjętej prosto z lodówki. Trochę trzęsły mi się ręce. Gdy przełykałam, bolało mnie w piersiach. Czasami tak się zdarza, jeśli zbyt szybko wypiję zimną wodę. Wróciłam do listu, który został w ogrodzie, i czytałam dalej.

Bije mnie raz w miesiącu. Seks uprawiamy raz w tygodniu. Pozostaje mi więc dwadzieścia pięć dni w miesiącu, kiedy za bardzo mnie nie męczy. Wiele radości przynoszą mi wizyty przyjaciółki, która odwiedza mnie, gdy nie ma męża. Pracuję tylko dwa razy w tygodniu do południa, więc dużo czasu spędzam w domu. Mnie i moją przyjaciółkę łączy coś na kształt miłości, chociaż ja wolę, żeby to uczucie pozostało platoniczne.

Dostałam od niej w prezencie kaczki. Trzy białe ozdobne kaczki. Przyszykowałyśmy sadzawkę, żeby miały gdzie pływać.

Te kaczki były pierwszymi stworzeniami, które pokochałam czystą, niczym niezmqconą miłością. Bez poczucia winy, bez bólu. Czysta radość. Potrafiłam obserwować je godzinami. Jak pływają,

drepczą, grzebią w trawie. Jak odpoczywają z dziobami wsuniętymi między pióra.

On je zastrzelił.

Wszystkie trzy.

Ze swojej pieprzonej strzelby.

Kiedy spały.

Chciałam go zamordować. Chwyciłam nóż kuchenny i rzuciłam się na niego. Złapał mnie za rękę i mocno trzymał, a ja płakałam i krzyczałam, dopóki nie opadłam z sił.

Wcześniej mąż wypił butelkę brandy Klipdrift. Był zazdrosny o moją przyjaciółkę i kaczkę. Jednak kroplą, która przepełniła czarę, było przyrządzone przeze mnie curry. Mąż powiedział, że jagnięcina jest twarda, a cała potrawa za ostra. Zarzucił mi, że przestałam o niego dbać. W obydwu przypadkach miał rację.

Czy mogłabyś mi podać przepis na smaczne curry z jagnięciny?

I dodać do tego jakąś poradę?

Pozdrawiam serdecznie

Samotna Kobieta

Długo siedziałam z listem na kolanach i wpatrując się w swoje *veldskoene*, wspominałam sprawy, o których nie chciałam pamiętać. Cień powoli się przesunął, po pewnym czasie poczułam ciepło promieni rozlewające się po moich nogach i ramionach, ale mimo to drżałam z zimna. Jednak chwilę później nagle zrobiło mi się gorąco, słońce zaczęło parzyć mi skórę. Gdy wiatr zaszeleścił liśćmi na drzewie, wstałam i weszłam do domu.

Niepokój ścisnął mnie w żołądku. Zjadłam ostatniego mrożonego banana, co na krótko pomogło mi pozbyć się gniotącego lęku, ponieważ w brzuchu wypełnionym słodkimi owocami i czekoladą nie pozostało zbyt wiele miejsca na jakiegokolwiek uczucia. Jednak myśli nadal uciekały mi tam, dokąd nie chciałam się zapuszczać. Dłonie znów zaczęły mi drżeć.

Zaparzyłam sobie duży kubek kawy, wsypałam do niej kilka łyżeczek cukru i zaniiosłam na werandę razem z listem od kobiety, długopisem i kartką papieru. Myślałam, że słodka kawa pomoże mi się pozbierać, ale chociaż wypiałam cały kubek, przygnębienie nie minęło. Przepełniał mnie smutek, z którego nie potrafiłam się otrząsnąć. Tyle lat spędziłam u boku człowieka, który był prawie taki sam jak jej mąż. Prawie, ale nie całkiem. Nie zastrzelił mi kaczek. Nie miałam kaczek. Ani przyjaciółki, która mogłaby mi je podarować. Co do bicia, to u mnie wypadało raz w tygodniu, a wymuszony seks raz w miesiącu. Jeśli miałam szczęście. Jednak poza tym nasze historie wydawały się takie same. Zgadzała się nawet marka brandy, Klipdrift. Nigdy nie rzuciłam się na męża z nożem. I nie odeszłam od niego. Bałam się umrzeć. Ale bałam się również żyć.

Gdy Fanie dostał zawału serca i umarł, poczułam się w jakiś sposób wyzwolona. Jednak kiedy żył,

po prostu nie potrafiłam uciec. Nawet pastor z naszego kościoła mówił, że mam obowiązek trwać przy mężu, a zatem trwałam.

Miałam nadzieję, że ta kobieta nie zrobi tego samego. Wzięłam długopis. Oczywiście gazeta nie mogła opublikować jej listu, mogła jednak zamieścić przepis i wiadomość ode mnie. Długo siedziałam i zastanawiałam się, jak ubrać myśli w słowa. Pisałam i skreślałam. Poświęciłam na to dwie godziny i kolejną porcję sorbetu z mango. W końcu odpowiedź była gotowa.

Wiele lat żyłam z człowiekiem, który mnie bił. Siniaki i złamania się zagoją. Jednak serce, rany na sercu mogą się nie zabliznić. Miłość to bezcenny skarb. Jeśli człowiek, z którym żyjesz, znęca się nad Tobą, powinnaś od niego odejść. Wiem, że jest to trudne z wielu powodów. Na wszystko jednak można znaleźć sposób.

Możesz poradzić sobie lepiej niż ja. Możesz ocalić swoje serce.

Następnie podałam najlepszy, jaki znam, przepis na curry z duszonej jagnięciny. (Oprócz tego nasuwał mi się przepis na kaczkę w winie, ale oczywiście go nie zamieściłam). Przepis na curry z jagnięciny znajdziecie na końcu książki, gdzie podałam również inne przepisy. Jest to wyjątkowa, delikatna i pyszna potrawa, szczególnie z sosami sambal.

ROZDZIAŁ 7

Jakiś czas później w upalny poranek zmierzałam do redakcji ścieżką prowadzącą między donicami. Gdy zbliżyłam się do drzwi, dobiegły mnie głosy.

– Super! Ekstra! – emocjonowała się Hattie. – Wiedziałam, że napiszesz świetny artykuł o kiermaszu.

– Och, Hattie, daj spokój. Posłuchaj, jest temat, o którym chcę z tobą porozmawiać. Sprawa praktyk stosowanych przez miejscowych rolników i tego, że nadmierny wypas i pestycydy totalnie zaburzają równowagę ekosystemu...

– Maria! – Hattie klasnęła w dłonie na mój widok. – Patrz na te wszystkie listy na twoim biurku. Coś wspaniałego, prawda?

Stałam pod wiatrakiem sufitowym i poczułam, jak strumień powietrza osusza pot zraszający moją twarz i szyję. Brązowa bawełniana sukienka była pomięta i lepka, chociaż gdy wkładałam ją rano, wyglądała idealnie. Siedząca za biurkiem Hattie strzepnęła drobinę kurzu z gładkich bawełnianych spodni w kolorze moreli. Nie mam pojęcia, jak jej się udawało zawsze wyglądać tak elegancko. Jessie wręczyła mi szklankę zimnej wody, a szeroki uśmiech, którym mnie przywitała, sprawił, że jej okrągła brązowa twarz wydała się jeszcze bardziej promienna.

– Dziękuję, *skat* – powiedziałam i podałam jej pojemnik. – Bobotie dla ciebie.

– Och, coś pysznego, mniam – cmoknęła Jessie, po czym schowała pudełko do naszej małej lodówki.

Przez chwilę nie zamykała jej drzwi, tylko stała, unosząc związane w koński ogon włosy i chłodząc twarz oraz kark.

„*Girl on Fire*”, zaśpiewał telefon Jessie. Wyjęła go z kieszeni i nacisnęła guzik, który wyłączył piosenkę.

– To tylko przypomnienie – powiedziała.

– Mój Boże, Jess. Nie trzeba nam przypominać, jaki masz temperament – oznajmiła Hattie.

– Nie o to chodzi. – Jessie się uśmiechnęła. – Nastawiłam przypomnienie, żeby sprawdzić, czy jest już gotowa pewna strona internetowa...

Podeszła do komputera i nacisnęła parę klawiszy. Usiadłam przy biurku ze szklanką zimnej wody. Prowadziłam rubrykę od dwóch tygodni i napływało coraz więcej listów. Wiele osób pragnęło poznać moje przepisy i usłyszeć porady. Było to dość odpowiedzialne zadanie, ale podobało mi się. Gdy podawałam komuś przepis, zwykle najpierw sama go wypróbowałam, tak więc ostatnimi czasy na

zmianę pisałam i gotowałam. Wychodziło tego więcej, niż mogłam zjeść. Czasami zamrażałam to, co mi zostawało, i często przynosiłam coś Jessie.

Odstawiłam szklankę i podniosłam z biurka gruby plik listów.

– Hm – mruknęłam. – Jak mam z tego wybrać?

Rozłożyłam koperty przed sobą jak karty do pasjansa. Nie mieliśmy miejsca na publikację więcej niż jednego lub dwóch listów tygodniowo i czułam się nie w porządku wobec ludzi, którym nie mogłam odpowiedzieć. Niektórzy podawali adresy zwrotne i tym odpisywałam. Jednak większość nadawców pisała anonimowo.

– Mario, kochanie, zastanawialiśmy się, jak rozwiązać twój problem – powiedziała Hattie i zerknęła na siedzącą przed komputerem Jessie, która skinęła głową i podniosła kciuk na znak, że coś się udało. – I z radością oznajmiamy, że od dzisiaj mamy stronę internetową. Zasponsorowaną przez Biuro Nieruchomości Karru Małego. Możemy na niej zamieszczać mnóstwo twoich listów. Czytelnicy będą mogli przesyłać do ciebie e-maile.

– Chodź, zobacz – zachęciła mnie Jessie.

– Och – powiedziałam. – Dziękuję, *skat*. – Nie chciałam wyjść na niewdzięcznicę. – Tyle że większość osób, które do mnie piszą, pewnie nie ma tych całych e-maili. To są... zwykli ludzie.

– Żebyś się nie zdziwiła – odparła Jessie. – Wielu zwykłych ludzi ma w domu internet. A poza tym w większości miasteczek pootwierano kafejki internetowe.

Podeszłam do ekranu, żeby zobaczyć stronę internetową, która nazywała się identycznie jak nasze pismo – „Gazeta Karru Małego”. Jessie kliknęła na zakładkę z napisem: „Rubryka *tannie* Marii: porady miłosne i kulinarne”. Na monitorze wyświetlił się rysunek sympatycznej, zupełnie do mnie niepodobnej *tannie* trzymającej wspaniałe ciasto w kształcie serca.

– Wygląda ładnie – przyznałam. – Wiem, że jestem zacofana, jeśli chodzi o... wszystkie te internetowe sprawy.

– Och, Jessie, powiedz jej w końcu, co załatwiłaś.

– Rozmawiałam z kierownikiem Parmalatu, tego sklepu z nabiałem. Wykupili dodatkową przestrzeń reklamową obok twojej rubryki i... Pamiętasz, że u nich w sklepie wisi tablica ogłoszeń? No więc zgodzili się powiesić drugą tablicę, przeznaczoną specjalnie na porady i przepisy *tannie* Marii.

– O jejku! – Uśmiechnęłam się do obydwu kobiet. – To bardzo miłe.

– I teraz – ciągnęła Hattie – możemy ci zapłacić trochę więcej za twoją pracę. Dzięki temu, że będziesz odpowiadać na więcej listów.

– Większość ludzi wysyła listy anonimowo – odparłam. – A więc nie wiem, dokąd wysyłać im odpowiedzi.

– O to chodzi, kochana. Od dzisiaj będziesz mogła zamieszczać odpowiedzi na stronie

internetowej i na tablicy ogłoszeń.

– Jeszcze jedno – dodała Jessie. – Kierownik Parmalatu prosi, żebyś w swoich przepisach uwzględniała nabiał. Śmietanę, ser i tak dalej.

– We wszystkich? – spytałam.

– Hm, nie, ale w większości tych, które zawisną na tablicy.

– W porządku. Lubię sery.

Zamierzałam zaparzyć sobie kawę, zanim zabiorę się do pracy, ale moją uwagę przykuł charakter pisma na jednej z kopert. Odsunęłam pozostałe listy na bok, usiadłam i otwarłam ten, który mnie zainteresował.

Nadeszła go kobieta od zastrzelonych kaczek.

Wiadomość dla Tannie Marii (nie do druku):

Curry z jagnięciny było wyśmienite. Zdaje się, że trochę udobruchało mojego męża. Część odłożyłam dla przyjaciółki, której bardzo smakowało.

Układam plan, dzięki któremu będę mogła odejść. Muszę tylko spokojnie poczekać, aż wszystko dopnę.

Dziękuję.

Czasami bardzo żałowałam, że listy są anonimowe. Że nie mogę odpisać. Prawdopodobnie jednak ta kobieta byłaby w niebezpieczeństwie, gdyby moja odpowiedź wpadła w ręce jej męża. Odpisałam więc w myślach: „Uda ci się! Prześlę wszystkie przepisy, jakie znam, żeby ci w tym pomóc”.

W biurze mam szufladę, w której przechowuję listy z podziękowaniami, jednak nie włożyłam do niej tej wiadomości. Niepokoiłam się losem nadawczyni, bo kobieta jeszcze nie uciekła. Postanowiłam zabrać list do domu i położyć go w jakimś specjalnym miejscu.

Zaparzyłam kawę dla naszej trójki, po czym przejrzałam resztę korespondencji. Hattie i Jessie sprzeczały się o jakiś artykuł, puszczałam jednak ich rozmowę mimo uszu i skupiłam się na wystukiwaniu tekstów na laptopie. Lubię pisać ręcznie, ale w komputerze łatwiej poprawiać błędy.

Gdy nadeszła pora lunchu, bolała mnie głowa, w sercu jednak czułam radość. Zostały zaledwie dwa listy, na które nie zdążyłam odpisać. Wszystkim pozostałym: nastolatkom i starszym paniom, mężczyznom i kobietom zwierającym mi się ze swoich problemów i marzeń udzieliłam drobnych porad i podałam sprawdzone przepisy. Najlepszy był ten, który przypomniał mi, że najwyższy czas zjeść coś na lunch – przepis na sałatkę ziemniaczaną z miętą i śmietaną. Poczułam, że natychmiast muszę pojechać do domu i wypróbować właśnie ten przepis. Poza tym chciałam zawieźć w bezpieczne miejsce list kobiety od kaczek. Nie mogłam się z nią skontaktować, ale mogłam otoczyć wiadomość

od niej taką samą troską, jaką chciałam otoczyć ją samą.

– Jadę do domu – powiedziałam Hattie.

W domu upał nie doskwierał tak mocno jak w redakcji. Oprócz tego czekała na mnie dobrze schłodzona lemoniada własnej roboty.

– Boże drogi – mruknęła Hattie, zerkając na zegarek. – Już prawie pierwsza.

– Napisałam odpowiedzi na większość listów, jutro je przyniosę. Muszę jeszcze tylko pomyśleć, które zamieścimy w gazecie, a które w sklepie z internetem.

Hattie wybuchła perlistym śmiechem, orzeźwiającym jak woda.

– Wiecie, o co mi chodzi – westchnęłam. – Jest mi za gorąco i jestem zbyt głodna, żeby mówić do rzeczy.

Zanim wsiadłam do mojego niebieskiego *bakkie*, otwierałam drzwi po obu stronach, żeby ochłodzić rozpalone wnętrze. Mimo to siedzenie parzyło mnie w miejscach, gdzie sukienka nie zakrywała skóry. Zostawiłam opuszczone szyby i jadąc, czułam, jak gorące powietrze wysusza mi gardło.

Pagórki kuliły się i garbiły, jakby pragnęły się schować przed niemiłosierną spiekotą. Tylko górujący nad pasmem Gór Czarnych szczyt [Towerkop](#) nie obawiał się słońca i śmiało wystawiał swoją łysą, pękniętą czaszkę na palące promienie. W rozedrganym od upału krajobrazie górskie zbocza wydawały się niewyraźne i rozmyte.

Po przyjeździe do domu, jeszcze zanim nalałam sobie lemoniady, podeszłam z listem do kuchennej półki. Stała na niej opasła książka kucharska, którą dostałam od mamy. Otwarłam [Kook en Geniet](#) na chybił trafił, wsunęłam list między strony, po czym delikatnie zamknęłam książkę. Jakbym otulała kobietę od kaczek, śląc jej wszystko, czego potrzebuje.

Wieczór spędziłam z sałatką ziemniaczaną. Najpierw ją przyrządzałam, potem wyszłam na werandę, żeby ją zjeść, a na koniec siedziałam przy jej resztkach z długopisem, kartką papieru i dwoma ostatnimi listami.

Jeden list napisała młoda dziewczyna, która nie miała przyjaciół i musiała przygotować do szkoły projekt kulinarny. Drugi nadesłał starszy mężczyzna mieszkający samotnie na farmie i mający zamrażarkę przeładowaną mielonym mięsem. W obydwu listach wyczułam przygnębienie i przez chwilę siedziałam, zastanawiając się, co mogę dać ich nadawcom. Prosilili o porady kulinarne, ale to oczywiste, że byli samotni i spragnieni miłości, a ja nie znałam przepisu na miłość.

Jeśli jednak podałamby im przepisy na pyszne potrawy, na tyle łatwe, aby mogli ugotować je sami, być może udałoby im się zaprosić kogoś na wspólny posiłek. Przyszedł mi do głowy prosty przepis na zapiekanekę z makaronem i serem, który mogłam przesłać dziewczynie. Starszemu mężczyźnie

mogłam podsunąć pomysł na spaghetti bolognese. A nawet jeżeli koniec końców mieliby zjeść przyrządzone przez siebie potrawy sami...

– Jeśli mamy być z sobą szczerze – zwróciłam się do resztek sałatki ziemniaczanej – czy miłość jest naprawdę czymś lepszym od zadowolenia, jakie czujemy po zjedzeniu pysznego posiłku?

Jedzenie to dobry towarzysz, ale raczej nie odpowiada na zadawane mu pytania, a przynajmniej nie robi tego słowami. Być może między innymi dlatego jest tak dobrym towarzystwem. Jednak tym razem przemówiło do mnie na swój sposób i ani się obejrzałam, jak pałaszowałam ostatnie kawałki ziemniaków z miętą i śmietaną.

Po chwili, rozkoszując się wybornym smakiem, który pozostał mi w ustach, i uczuciem sytości wypełniającym brzuch, sama sobie odpowiedziałam:

– Nie sądzę.

ROZDZIAŁ 8

Następnego ranka zaterkotał telefon. Dzwoniła Hattie.

– Słyszałaś? – spytała. – Wczoraj wieczorem zmarł Nelson Mandela.

Gdy odłożyłam słuchawkę, zaparzyłam sobie kawę, położyłam na talerzyku dwa herbatniki i usiadłam na werandzie. Zanim jednak zdążyłam unieść filiżankę do ust, łzy zaczęły spływać mi po policzkach.

Mandela miał dziewięćdziesiąt pięć lat i od dłuższego czasu chorował, ale mimo to wiadomość o jego śmierci była wstrząsem. Patrzyłam na brązową sawannę, pomarszczone drzewa *gwarrie* i odległe góry. Chociaż bezkresne niebo pozostawało czyste, przez mokrą od łez twarz miałam wrażenie, że w końcu się rozpadało. Wiedziałam, że ludzie w całym kraju razem ze mną opłakują *tata* Mandelę.

Nagle poczułam, że trzęsie mi się brzuch, z piersi wyrwa się szloch, i wtedy zrozumiałam, że płacę również za ojcem. Za tatą, który odszedł zbyt wcześnie.

Spojrzałam na sawannę, a w moim sercu wezbrały uczucia smutku i dumy na myśl o ojcu oraz o Mandeli.

Czasami przychodziło mi do głowy, że być może tata odszedł od mamy z powodu Mandeli. Ale przecież nie mogłam obwiniać o to zdarzenie obcego człowieka, który przesiedział prawie dwadzieścia lat w więzieniu na wyspie Robben, daleko od Karru Małego. Wiedziałam, że ojciec kochał matkę – jej brązowe oczy, miękkie dłonie i pyszne jedzenie – ale wiedziałam również, że nasza kotlina, mimo bezkresnej sawanny i rozległego horyzontu, była dla niego za mała. A umysł mojej matki za ciasny.

W oczach taty Mandela był bojownikiem o wolność i wielkim przywódcą. Mama uważała go za terrorystę i zwykłego czarnucha (choć tego drugiego słowa nie używała w obecności ojca). Rodzice nie kłócili się przy mnie zbyt często, ale sprzeczki na ten temat słyszałam nie raz.

Tata był afrykańskim korespondentem angielskiej gazety „The Guardian” i dużo podróżował. Z biegiem lat wracał do domu coraz rzadziej, aż w końcu w ogóle przestał przyjeżdżać. Przesyłał pieniądze i pocztówki. Widokówki wyprowadzały mamę z równowagi. Po pewnym czasie one również przestały przychodzić, ale pieniądze przychodziły co miesiąc. Gdy tęskniłam za tatą, czytałam po raz kolejny stare pocztówki ocalone przeze mnie z kosza na śmieci (czasami musiałam je złożyć i posklejać z kawałków, na które podarła je mama). Przechowywałam je w książce, którą tata czytał mi, gdy byłam jeszcze mała – *Takie sobie bajeczki* Rudyarda Kiplinga. I czekałam, aż dorosnę,

ponieważ planowałam go odnaleźć, gdy skończę osiemnaście lat, i zwiedzić te cudowne miejsca, które widziałam na widokówkach i o których czytałam w *Takich sobie bajeczkach*. Jednak wyszło inaczej.

Kiedy miałam osiemnaście lat, moja mama odebrała telefon. Rozmowa była zamiejscowa i dzwoniący powiedział, że mój ojciec zginął w wypadku. Mama wydawała się równie zdenerwowana śmiercią ojca, jak tym, że tę wiadomość przekazał jej czarny mężczyzna.

Pieniądze od taty przestały przychodzić, lecz „The Guardian” przysyłał mamie skromną rentę. Ja zaczęłam pracować w Agri, spółdzielni rolniczej, aby starczyło nam na życie. Przez kolejne kilkanaście lat mieszkałam z mamą.

W 1990 roku rząd apartheidu w końcu zniósł stan wyjątkowy, partie polityczne – również Afrykański Kongres Narodowy – zostały zalegalizowane, a więźniowie polityczni uwolnieni. Mandela wreszcie odzyskał wolność, ale cały kraj był pogrążony w krwawych zamieszkach.

Mandela zaczął negocjacje pokojowe, jakimś cudem udało mu się uspokoić sytuację w kraju i w 1994 roku wszyscy obywatele Republiki Południowej Afryki, bez względu na rasę, mogli głosować w pierwszych w pełni demokratycznych wyborach. Afrykański Kongres Narodowy doszedł do władzy, a Mandela został naszym prezydentem.

Mamę, podobnie jak wielu innych białych, ogarnęło przerażenie. Nakupowała konserw, w drzwiach i oknach zamontowała zasuwę. Nie znałam się na polityce, ale czułam się w domu coraz bardziej jak w pułapce. Właśnie wtedy Fanie zaczął się do mnie zalecać. Miałam trzydzieści trzy lata. Kiedy poprosił mnie o rękę, cieszyłam się, że wyrwę się z domu matki.

Za czasów apartheidu Fanie odsłużył dwa lata w wojsku i był wściekły na afrykanerską Partię Narodową, że pod koniec swoich rządów „skumała się z AKN”. Parę lat wcześniej członkowie tej samej Partii Narodowej szkolili go w zabijaniu „terrorystów z AKN”, a teraz „pozwolili wrogom przejąć władzę”. Po pewnym czasie moja mama uległa czarowi Mandeli, Fanie natomiast nigdy się nie przekonał ani do czarnego prezydenta, ani do czarnego rządu.

„Podoba mi się, jak tańczy”, mówiła mama o Mandeli. O Faniem zaś: „Ma dobrą pracę w banku i w ogóle van Hartenowie to szanowana rodzina. Pamiętaj, że jego ojciec był pastorem w Holenderskim Kościele Reformowanym”.

Dopiero gdy przestała ryglować drzwi i okna i zaczęła robić normalne zakupy (choć przez cały czas w spiżarni trzymała dwa duże worki mąki), powiedziała mi prawdę na temat ojca: był zakonspirowanym członkiem Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Mimo że AKN już dawno został zalegalizowany, a tata od dłuższego czasu nie żył, mama szeptem przekazała mi informację o jego działalności w partii i na dodatek kazała wszystko zachować w tajemnicy.

Nie wyjawiała, czym dokładnie się zajmował, w jakim wypadku zginął ani dlaczego nie urządziliśmy mu pogrzebu.

Miałam nadzieję, że Mandela zdoła choć trochę wyleczyć ją z gniewu, który czuła do ojca, a także

do czarnych za to, że ukradli jej męża, jednak mama do końca życia w głębi duszy pielęgnowała gorycz.

Ponieważ Mandela był dobrym człowiekiem i należał do AKN, tak samo jak mój ojciec, zaczęłam go słuchać, jak gdyby mógł udzielić mi rad, które dałby mi tata, gdyby żył. Wcześniej nie przywiązywałam większej wagi do polityki – to wszystko działo się gdzieś poza mną. W telewizji pokazywano przecież, że większość problemów wywoływali czarni obywatele, a Karru Małe zamieszkiwali głównie koloredzi. Chociaż słuchałam Mandeli, nie głosowałam na AKN (prawdę mówiąc, w ogóle nie głosowałam), przyłączyłam się za to do działającego przy kościele kobiecego stowarzyszenia, które zbierało pieniądze na szkoły dla koloredów i dzieci osieroconych z powodu AIDS. Piekłam mnóstwo ciast na dobroczynne kiermasze parafialne.

A kiedy po ślubie Fanie zaczął mnie bić, Mandela dodawał mi odwagi. Stawał w obronie praw kobiet i potępiał przemoc wobec nas. Czasami słuchając go, czułam, że powinnam odejść od Faniego. Jednak strach był silniejszy, tak samo jak silniejszy był głos mojego męża, matki i Kościoła nakazujących: „*Staan by jou man*”. Trwaj u boku swojego mężczyzny.

Mimo że zostałam z Faniem, mądre słowa Mandeli dodawały mi otuchy w chwilach osamotnienia i cierpienia. Dzięki nim pozostał we mnie cień nadziei, że być może jednak to wszystko nie jest moją winą.

Gdy skończyłam kawę i strzepałam okruszki herbatników z kolan, znów się rozpłakałam. Po policzkach spływały mi łzy tęsknoty za moim ojcem i za Mandelą, ojcem naszego narodu.

ROZDZIAŁ 9

Cały następny tydzień Republika Południowej Afryki opłakiwała śmierć Mandeli i z szacunkiem wspominała jego dokonania. Mnóstwo ludzi z całego świata zjechało, żeby pożegnać zmarłego. Podczas nabożeństwa żałobnego w Johannesburgu lunęło jak z cebra. Fragmentów radiowej relacji z uroczystości wysłuchałyśmy w redakcji. W Ladismith wciąż było gorąco i bezdeszczowo, wiatrak w siedzibie gazety obracał się powoli, my zaś siedziałyśmy bez ruchu i wyteęzałyśmy słuch. Prezydent Tanzanii przypomniał, że w Afryce deszcz jest największym błogosławieństwem. Zaczyna padać, gdy przybywa wódz. Niebiosa świętowały więc przybycie wodza Mandeli.

– Jego babka była Buszmenką – mruknęła Jessie. – Oni potrafią wywołać deszcz.

Podczas przemowy Baracka Obamy Jessie się rozplakała i nawet Hattie ocierała chusteczką kąciuki oczu. Ja wypłakałam się już wcześniej. Zdziwiłam się, widząc wzruszenie Jessie, ponieważ była za młoda, żeby znać Mandelę. Jednak historia i marzenia ludzi takich jak on potrafią przemówić do następnych pokoleń. Oprócz tego, podobnie jak Mandela i Obama, Jessie miała bardzo silne poczucie i potrzebę sprawiedliwości.

Wszystkim nam podobał się przytoczony przez Obamę cytat – słowa, które podtrzymywały Mandelę na duchu przez wszystkie lata spędzone w więzieniu, a mówiły o tym, że każdy jest kapitanem własnej duszy.

Dzień pogrzebu Mandeli był dniem nieoficjalnie wolnym od pracy. Zdumiało mnie, że nawet takie konserwatywne miasteczko jak Ladismith postanowiło uczcić Nelsona Rolihlahlę Mandelę i większość mieszkańców nie poszła do pracy. Dwadzieścia lat temu biali, a nawet część koloredów, podobnie jak moja mama, uważali przywódcę AKN za terrorystę. W Ladismith nadal mieszkało wielu rasistów. Jednak Mandela zdołał poruszyć ich serca tym, czego dokonał. Udało mu się przypomnieć wszystkim o dobroci, która tkwi w nas samych i w innych ludziach.

Spotkałyśmy się z Jessie i Hattie w hotelu Ladismith i okazało się, że sala barowa jest pełna. Wszyscy oglądali nabożeństwo żałobne na dużym ekranie telewizyjnym. Obsługa hotelowa serwowała darmową kawę i herbatniki, dostawiono również mnóstwo plastikowych krzeseł, ponieważ drewnianych, tych, które zwykle stały na sali, nie starczyło dla wszystkich. Kotary zasunięto, żebyśmy dobrze widzieli obraz na ekranie.

Ubrany w garnitur kierownik oddziału bankowego siedział obok starszego mężczyzny, koloreda, który często żebrze przed Sparem. Młodzi czarni policjanci pili kawę ze starszą białą kobietą pracującą w sklepie meblowym. Wszyscy siedzieli razem jak starzy, dobrzy znajomi, co w Ladismith

stanowiło niecodzienny widok.

Gdy wyniesiono trumnę z ciałem Mandeli, musiałam powstrzymać się od płaczu. Jessie, Hattie i ja siedziałyśmy wyprostowane, z wysoko uniesionymi głowami. Miałam nadzieję, że przepełniający Mandelę duch sprawiedliwości i dobroci przetrwa i będzie żył w nas.

ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia znów przyszyliśmy do pracy i wszystko wróciło do normy. Co prawda, miałam przeczucie, że od tej pory wszyscy mieszkańcy Afryki Południowej będą traktowali się nawzajem z szacunkiem i życzliwością, jednak szybko się przekonałam, że przeczucie mnie myliło...

Przeglądałam właśnie nowy plik listów, które leżały na moim biurku. Wiatrak na suficie bez przerwy mełł suche, gorące powietrze i siedząc w redakcji, czułam się jak w piekarniku z termoobiegiem. Jessie, Hattie i ja, każda przy swoim biurku, piekłyśmy się równomiernie.

Jessie jak zwykle miała na sobie czarny podkoszulek, a jej palce biegały po klawiaturze tak szybko, że nie mam pojęcia, jakim cudem myśli zdołały za nimi nadążyć. Gekony na ramionach kołysały się lekko w rytm płynnych ruchów. Hattie siedziała przy swoim komputerze ubrana w brzoskwiniową lnianą bluzkę z krótkimi rękawami i spódnicę do kompletu. Lnianą, a mimo to niepogniecioną.

– Mario, przyszło do ciebie pięć e-maili – powiedziała Hattie. – Cudownie, prawda?

W tym momencie telefon Jessie zaintonował piosenkę *My Black President*, którą na cześć Mandeli skomponowała Brenda Fassie, słynna południowoafrykańska piosenkarka pop. Ja jednak nawet nie podniosłam wzroku – moją uwagę przykuł leżący na biurku list. Przejechałam palcami po kopercie. Dużo można się dowiedzieć o nadawcy jeszcze przed jej otwarciem. Autor tego listu napisał adres redakcji drukowanymi literami i bardzo mocno przyciskał długopis do papieru, jak gdyby wiadomość, którą chciał przekazać, była niezmiernie ważna. Adres podał tak, jak robią to Afrykanerzy – numer domu następował po nazwie ulicy: Elandstraat 7. W kopercie znajdowała się kartka papieru w linie zapisana czarnym długopisem.

TANNIE MARIO,

BOJĘ SIĘ, ŻE MOJĄ PRZYJACIÓŁKĘ ZABIJE MAŻ. ZŁAMAŁ JEJ RĘKĘ. MYŚLI, ŻE ONA CHCE OD NIEGO ODEJŚĆ, I GROZI, ŻE JĄ ZABIJE. ONA NIE CHCE ZADZWONIĆ NA POLICJĘ. MÓWI, ŻE MAM NIE PRZYCHODZIĆ DO NIEJ DO DOMU. JEŚLI ZABIJĘ GO W SAMOOBRONIE, BRONIĄC JEJ, NA JAK DŁUGO PÓJDĘ DO WIĘZIENIA?

Oparłam głowę na rękach.

– Hej, *tannie*, co tam? – spytała Jessie.

Podaliśmy jej list. Przeczytała go w trzy sekundy.

– O rety, Mario, źle wyglądasz – zauważyła Hattie. – Zrobić ci herbatę?

Kiwnęłam głową.

– O czym jest ten list?

– O kolejnym gnojku, który wyżywa się na żonie – warknęła Jessie, podając Hattie zapisaną kartkę. – Groził, że ją zabije. Cholera. Marzy mi się, żeby ktoś wymyślił środek likwidujący takich facetów. Coś jak pestycydy, które można rozpylić z samolotu.

– Pisała do ciebie jeszcze jedna kobieta, której mąż też jest łajdakiem – powiedziała Hattie, spoglądając na list.

– Tak – przyznałam. – Kobieta od kaczek. A raczej bez kaczek.

– Tamten gnojek je zastrzelił, prawda? – przypomniała sobie Jessie.

– Niedawno dostałam od niej kolejny list – powiedziałam. – Pisała, że zamierza odejść. Myślę, że osoba, która wysłała tę oto wiadomość, to przyjaciółka kobiety od kaczek. Ta, która sprezentowała jej kaczkę.

– Nie ma adresu zwrotnego? – spytała Hattie.

Pokręciłam głową.

– Prawie wszystkie listy do mnie są anonimowe. Ale stempel jest z Ladismith.

– To może być ktoś inny – powątpiewała Jessie. – Co czwarta kobieta w naszym kraju jest bita przez swojego męża albo chłopaka.

– Nie sądzę, żeby to był ktoś inny. Mam przeczucie, że chodzi o moją kobietę od kaczek. Wspominała o przyjaciółce, która ją kocha. Poradziłam jej, żeby odeszła od męża. A teraz być może on ją zabije.

– Bzdury – oznajmiła Hattie, stawiając filiżankę z herbatą na moim biurku. – Po co pleść takie głupstwa? Najlepiej od razu odpiszmy tej kobiecie. Jestem pewna, że zdołasz jej pomóc. Możemy już w tej chwili zamieścić twoją odpowiedź w internecie, zaraz też powiesimy ją na tablicy ogłoszeń w sklepie i opublikujemy w jutrzejszym wydaniu gazety.

– Rety. Musimy szybko działać – ponaglała Jessie. – Mam numery do stowarzyszenia Społeczeństwo przeciwko Przemocy wobec Kobiet. – Nie odrywała wzroku od swojego telefonu. – To poważna sprawa. W RPA każdego dnia co najmniej trzy kobiety giną z rąk partnerów. Dobra, dajmy jej numery do schroniska dla maltretowanych kobiet, pogotowia dla ofiar przemocy Linia Życia i organizacji Pomoc Prawna.

Podczas gdy Jessie zapisywała na kartce numery telefonów, ja wypiałam łyk herbaty i próbowałam myśleć nie o wszystkich bitych, gwałconych i zabijanych kobietach w Afryce Południowej ani o życiu, które miałam z Faniem, ale skupić się na tej jednej nieszczęsnej kobiecie i jej przyjaciółce, która prosiła mnie o pomoc. Czego w tej chwili potrzebowały?

– Jedno wiem na pewno – oświadczyła Jessie, wręczając mi numery telefonów. – Samoobrona nie wchodzi w rachubę, jeśli kobieta zabije w obronie przyjaciółki. Maltretowana kobieta może uzyskać

nakaz ochrony połączony z nakazem aresztowania męża. To znaczy, że jeśli mąż złamie nakaz ochrony, policja go aresztuje. Tym jednak musi się zająć żona. Przyjaciółka może jej pomóc, ale nie może zrobić tego za nią.

Przez następną godzinę wydzwaniałam w różne miejsca, a potem przez kolejne pół godziny pisałam list, w którym zawarłam wszystko, czego się dowiedziałam. Jessie miała rację. Przyjaciółka niewiele mogła zrobić. Bita kobieta sama musiała zacząć działać. Musiała pójść do sądu pokoju w Ladismith, porozmawiać z sekretarzem do spraw przemocy domowej i uzyskać nakaz ochrony. Przyjaciółka mogła jej podać wszystkie potrzebne informacje i numery telefonów. W George znajdowało się bezpieczne schronisko, w którym kobieta mogłaby zamieszkać i otrzymać pomoc psychologiczną oraz prawną.

Jeśli kobieta od kaczek czyta gazetę albo nowe wiadomości na stronie internetowej lub na tablicy w sklepie z nabiałem, to cały wywód trafi prosto do niej. Nie mam pojęcia, dlaczego nie napisałam tego wszystkiego w pierwszej odpowiedzi na jej list. Głupio zrobiłam. Powinnam była już wtedy zapytać Jessie, co można poradzić w tej sprawie. I bardzo żałuję, że nie znałam tych numerów telefonów, kiedy jeszcze żył Fanie.

Przyjaciółce kobiety od kaczek najchętniej podsunęłabym przepisy na coś, co podnosi na duchu, na przykład na pasztecik z kurczakiem albo ciasto czekoladowe. To potrawy, na których zawsze można polegać, gdy wszystko inne zawodzi. Wiedziałam jednak, że nadawczyni listu nie jest w nastroju do gotowania, nawet jeśli ma piekarnik z termoobiegiem. A nie miałam możliwości zanieść jej jedzenia osobiście.

Właśnie wtedy przypomniałam sobie, że *tannie* Kuruman przyrządza najlepsze paszteciki z kurczakiem. Miękkie, z soczystym nadzieniem i na puszystym spodzie. Zadzwoeniłam do niej, zanotowałam przepis i umieściłam go na końcu listu, dodając, że właśnie takie paszteciki można kupić w Route 62 Café.

Jessie opublikowała list w internecie, ja zaś poszłam do sklepu z nabiałem, żeby zawiesić papierową wersję odpowiedzi na tablicy ogłoszeń. W drodze powrotnej zatrzymałam się w barze *tannie* Kuruman i kupiłam dwa ciepłe paszteciki z kurczakiem.

Usiadłam w cieniu rozłożystego parasola ogrodowego, spojrzałam na otaczający miasto łańcuch Gór Czarnych i ich najwyższy szczyt Towerkop. Upał powodował, że góry wydawały się bardziej odległe, niż były w rzeczywistości, a na ich zboczach kładły się dziwne cienie, fioletowo-zielone jak siniaki.

Paszteciki były pyszne. Pierwszy zjadłam za kobietę od kaczek. Drugi za jej przyjaciółkę. Na wypadek, gdyby one same nie miały okazji ich spróbować.

ROZDZIAŁ 11

Przez dwa kolejne dni jeździłam do gazety, aby odpowiadać na przychodzące listy i e-maile. W obydwu dni lunch jadłam w Route 62 Café i za każdym razem zamawiałam dwa paszteciki z kurczakiem. Siadałam na ławce w cieniu parasola i patrzyłam na góry. Właścicielka baru wychodziła na zewnątrz i siadała obok mnie.

Tannie Kuruman pachnie kuchnią. To bardzo przyjemny zapach. *Tannie* jest koloredką po sześćdziesiątce, jeszcze niższą i bardziej puszystą ode mnie. Na głowie zwykle nosi chustkę, którą odgarnia i przytrzymuje włosy. Cerę ma śniadą, włosy mocno kręcone, ale tutaj, na wsi, koloredzi i biali nie różnią się zbytnio wyglądem.

– Strasznie tam ciemno, w tych górskich wąwozach – powiedziałam, gdy skończyłam przeżuwać.

– Tak – potwierdziła *tannie* Kuruman. – Rosną tam wysokie drzewa. Gdy pada deszcz, ze skał spływają piękne wodospady.

Tamtego wieczoru nie mogłam zasnąć. Martwiłam się o te dwie kobiety. Doskonale wiedziałam, co może im się stać, i próbowałam nie wracać pamięcią do tego, co przydarzyło się mnie. Jednak czasami różne obrazy stają mi przed oczami, jak gdyby to wszystko wydarzyło się wczoraj, a nie lata temu. Uspokajałam się, recytując przepis mojej mamy na herbatniki na maślance z musli. Masło, mąka, ziarna słonecznika, suszone jabłka...

W domu i w biurze skończyły się herbatniki. Gdyby teraz zrobić kolejną porcję, przez noc powinny wyschnąć. Wstałam więc, przygotowałam dużo ciasta i wypełniłam nim dwie blachy do pieczenia. Słodki zapach ciepłych wypieków powoli wypełniał mi nozdrza i klatkę piersiową, pozwalając odsunąć niechciane wspomnienia i pełne niepokoju myśli. Może mąż kobiety od kaczek nie jest taki straszny jak mój. A przecież nawet mój mnie nie zabił...

Gdy ciasto się upiekło i trochę wystygło, połamalam je na kawałki, następnie włożyłam do szuflady do podgrzewania. Dwa największe ciastka zjadłam do herbaty, gdy były jeszcze miękkie. Przypominały ciasto maślane. Wróciłam do łóżka i nie przestawałam myśleć o herbatnikach, które spokojnie twardniały, leżąc w bezpiecznym, ciepłym i suchym miejscu, aż w końcu udało mi się usnąć.

Obudziłam się wcześnie, tuż przed ptakami. W koszuli nocnej usiadłam na werandzie i spoglądając na sawannę i na ciemne zarysy wzgórz, wypiałam kawę, przegryzając złocistobrązowymi herbatnikami. Następnie włożyłam trzewiki, żeby obejść dom i otworzyć kurnik. Sprawdziłam, czy

wszystkie pięć ptaków jest w środku, i przez chwilę słuchałam ich sennego pogdakiwania. Zawsze zamykam na noc drzwi do kurnika, ponieważ nigdy nie wiadomo, czy w okolicy nie grasuje szakał albo karakał. Sypnęłam na trawnik garść kukurydzy i zawołałam „cip, cip, cip!”, na co kury szybko się obudziły.

Świt rozproszył mroczne wspomnienia, ale nie zdołał przyćmić niepokoju. Nie potrafiłam odzyskać równowagi. Postanowiłam więc upiec chleb na zakwasie z płatkami owsianymi, słonecznikiem i melasą.

Przygotowałam ciasto, włożyłam je do żeliwnego garnka i wystawiłam na werandę o tej porze zalaną już promieniami słońca.

Zadzwoiłam do redakcji, nikt jednak nie odebrał. Gdy ciasto urosło, podzieliłam je na dwie porcje, które przełożyłam do foremek, a gdy znów trochę urosło, wstawiłam do piekarnika. Chleb się piekł, ja tymczasem się ubrałam, lecz nie wkładałam jeszcze butów. Boso poszłam do kuchni, żeby wyjąć bochenki, posmarować je masłem i owinąć w osobne szmatki.

Na koniec zjadłam dwie kromki miękkiego, ciepłego chleba: jedną z masłem i dżemem morelowym, drugą z serem. Trudno powiedzieć, na ile jedzenie zdołało uspokoić myśli, ale na pewno uspokoiło mój żołądek.

Sprzątając, przysłuchiwałam się brzęczącej pieśni cykady. Zastanawiałam się, czy owad przyzywa deszcz – z dnia na dzień robiło się coraz upalniej. Ale pewnie po prostu przyzywał partnerkę. Cykady nie obawiają się nawoływać co siłą. Po latach spędzonych pod ziemią samiec wychodzi na powierzchnię tylko na chwilę i wtedy wygrywa na swoim brzuchu jak na werblu jedną, powtarzaną bez końca nutę. Pewnie żyje zbyt krótko, żeby się silić na wymyślność. Może to, co ja odbieram jako desperacki jazgot, pani cykadzie wydaje się piękną pieśnią.

Napełniłam puszkę herbatnikami z musli, żeby zabrać je do redakcji. Nie chciało mi się iść do biura, choć nie wiedziałam dlaczego. Mimo wszystko uczesałam się, pomalowałam usta pomadką, włożyłam *veldskoene* w kolorze khaki i ruszyłam w stronę samochodu.

Obok przedniego koła dostrzegłam małą pierzastą kulkę. Martwy ptak. Gołąb. Pomyślałam, że może go potrafiłam, ale nie wyglądało na to. Ptak był cały, tyle że zwiotczały i martwy. Położyłam herbatniki na siedzeniu dla pasażera i podniosłam gołębia. Był niezwykle lekki, ale na sercu zrobiło mi się ciężko. Położyłam go na skraju podjazdu pod krzewem obsypanym drobnymi czerwonymi kwiatami.

W moim błękitnym *bakkie* nie było za gorąco, bo stał w porannym cieniu eukaliptusa. Podczas jazdy opuściłam szyby, przez co ciepły wiatr potargał mi włosy i wysuszył szminkę na ustach.

Pod redakcją zatrzymałam się w pewnej odległości od należącej do Hattie krzywo zaparkowanej toyoty. Idąc ścieżką w stronę biura, usłyszałam podniesiony głos redaktor naczelnej.

– Doprawdy, Jess – mówiła. – Nigdy nie sądziłam, że zachowasz się jak paparazzo.

– Och, Hattie... – rozległ się głos Jessie.

– A prywatność tego nieszczęśnika? Przeżywa przecież żałobę.

– Użyłam teleobiektywu, nawet mnie nie zauważył...

– Czy ktoś cię tam zapraszał? Czy po prostu ruszyłaś za karetką?

– Daj spokój... Kierowca włączył sygnał, jechał tuż przede mną. Jestem dziennikarką śledczą.

– Też mi wytłumaczenie.

Drzwi były otwarte. Obie kobiety stały przy biurku Jessie. Hattie marszczyła brwi, ale gdy mnie zobaczyła, natychmiast złagodziła wyraz twarzy.

– Maria... – mruknęła.

– Cześć, *tannie*. – Jessie się uśmiechnęła.

Hattie była zbyt dobrze wychowana, żeby dawać podwładnej burę w mojej obecności, jednak Jessie nie zamierzała tak zostawić tej sprawy.

– Popatrzcie tylko na zdjęcia – zwróciła się do nas obu.

Zerknęłam na ekran jej komputera.

Pierwsze zdjęcie było zrobione z większej odległości: farma, karetka pogotowia, ratownicy medyczni.

Jessie powoli klikała na kolejne fotografie.

Ubrani na biało mężczyźni. Nosze, ciało kobiety, z jedną ręką w gipsie. Zgrabny nos, ładne usta, brązowe rozpuszczone włosy opadające na ramię. Błada skóra, oczy zamknięte. Kobieta wygląda na czterdziestoparolatkę. Odjeżdżająca karetka. Około pięćdziesięcioletni mężczyzna stojący z bezwładnie zwieszonymi rękami. Szczeciniaste włosy, postrzępione bokobrody, usta lekko otwarte. Pełna twarz pozbawiona wyrazu.

Następne zdjęcie: ten sam mężczyzna kuca przed obrośniętą trzcina sadzawką, twarz ukryta w dłoniach.

– Czy ona nie żyje? – spytałam, chociaż gdzieś głęboko przeczuwałam, jaka będzie odpowiedź.

Jessie kiwnęła głową.

– Rozmawiałam z mamą, akurat ma dyżur w szpitalu – odpowiedziała. – Kobieta nazywa się Martine van Schalkwyk. Jej mąż ma na imię Dirk.

– Mogłabyś powiększyć to zdjęcie? – poprosiłam. – Nie, nie chcę zbliżenia twarzy, powiększ sadzawkę.

Na skraju wody, nisko między łodygami trzciny, zaplątało się kilka piór. Małych, białych piórek. Zrobiło mi się słabo i poczułam, że muszę usiąść. Zdołałam dojść do krzesła przy moim biurku.

– Mario, jesteś blada jak ściana – zaniepokoiła się Hattie.

Jessie nastawiła czajnik, podczas gdy Hattie wachlowała mnie kartką papieru.

Przyciągnęły krzesła i usiadły po moich bokach. Jessie wręczyła mi filiżankę, z której upiłam spory łyk kawy. Była słodka i mocna.

– Kaczki – wymamrotałam. – To była kobieta od kaczek.

– Dobry Boże, oczywiście, ta, która do ciebie pisała! – zawołała Hattie.

– Sukinsyn – warknęła Jessie. – Zabił ją.

– Och, gdyby tylko... – zaczęłam, ale nie dokończyłam. Trwałoby to zbyt długo.

– Poczęstuj się herbatnikiem. – Hattie otworzyła i podsunęła mi puszkę, którą przyniosłam.

– Pozwól mi przeprowadzić śledztwo! – Jessie zerwała się z miejsca. – Proszę, Hattie.

Hattie westchnęła.

– Porozmawiaj z policją i ze szpitalem – poleciła. – Ale męża zostaw w spokoju.

Jessie otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, lecz po chwili je zamknęła. Chwyciła notes, kask i kurtkę, po czym wypadła z redakcji.

Hattie pokręciła głową.

– Ach, ta dziewczyna – westchnęła.

– Myślę, że daleko zajdzie.

– Być może za daleko.

ROZDZIAŁ 12

Brzęczenie skutera Jessie stopniowo cichło, ale już po chwili usłyszałyśmy warkot silnika i klekot dużego samochodu, który podjechał pod redakcję i zatrzymał się z piskiem hamulców. Zaraz potem trzasnęły drzwi i na ścieżce rozległ się tupot ciężkich butów.

Hattie wyjrzała na zewnątrz, uniosła brwi i szybko się cofnęła. Dłoń cały czas trzymała na klamce, jak gdyby miała ochotę zatrzaskać drzwi.

– Halo! – rozległ się kobiecy głos. – Chciałabym się zobaczyć z *tannie* Marią!

Kobieta szukała mnie. Głos miała słodki, ale ton ostry, przez co skojarzył mi się z keksem, w którym czasem trafiają się pestki i cierpkie bakalie.

– Niestety, w tej chwili to niemożliwe – odparła Hattie.

– Gdzie ona jest? Kim pani jest?

– Czy chce pani zostawić wiadomość?

Hattie stała w drzwiach, blokując wejście, lecz kobieta precyzyjnie przesuwała się obok niej.

– Niech to szlag! – warknęła. – Muszę z nią porozmawiać.

Miała na sobie męskie ogrodniczki, była nieumalowana. Włosy miała krótkie, ale potargane, jak gdyby wielokrotnie przeczesała je palcami. Mimo to była atrakcyjną trzydziestokilkuletnią kobietą o brązowych oczach w oprawie ciemnych rzęs.

– A pani? – rzuciła na mój widok.

Wyglądała na boksera gotowego do walki. Którą z nas pierwszą odważy się uderzyć? Wzrostem nie dorównywała Hattie, ale wyglądała na wystarczająco silną, żeby znokautować nas obie.

Chciałam powiedzieć tej nieokrzesanej kobiecie, że jestem sprzątaczką i że zanosła podłogę swoimi brudnymi butami.

Wtedy jednak na skorupie błota oblepiającej jej skórzane buciorzy zauważyłam małe białe piórko.

– Jestem *tannie* Maria – przedstawiłam się. – Proszę usiąść. Zaparzę nam kawę.

Kobieta, nie spuszczać ze mnie wzroku, przysiadła na skraju krzesła Jessie i zmarszczyła brwi, jak gdyby nie podobało jej się to, w jaki sposób sypię cukier do kawy. Ja jednak dalej robiłam swoje i dolałam mleka do filiżanki.

Wtedy rozległ się dziwny dźwięk. Coś jakby pisk nadeptanego szczenięcia. Drgnęłam ze strachu, odwróciłam się i zobaczyłam wykrzywioną płaczem twarz kobiety. Chwilę później piskliwy szloch przemienił się w skomlenie brzmiące jak skowyt opuszczonego psa. Postawiłam kawę i puszkę

z herbatnikami na stoliku obok kobiety, po czym przysunęłam do niej swoje krzesło.

– Wielkie nieba! – sapnęła Hattie i zamknęła drzwi.

Niepotrzebnie się jednak martwiła, ponieważ kobieta szybko ucichła, chociaż łzy nadal toczyły się po jej policzkach, zostawiając mokre smugi na twarzy pokrytej cienką warstwą kurzu. Kolejne słone krople spływały jej prosto do ust. Kobieta, szlochając, mamrotała pod nosem słowa, z których parę zdołałam zrozumieć.

– Tienie. Moja Tienie – powtarzała. – Kocham ją.

Łzy nadal płynęły. Och, było mi jej strasznie żal.

Nagle rozległo się głośne pukanie i Hattie ruszyła otworzyć drzwi.

– Policja! – warknął męski głos. – Komisarz Kannemeyer z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Szukamy Anny Pretorius. Jej *bakkie* stoi na zewnątrz.

Hattie nic nie odpowiedziała i po raz drugi tego poranka ktoś bezceremonialnie przepchnął się obok niej. Komisarz był potężny i wysoki, miał krótkie włosy i gęste, podkrecone do góry wąsy, ładnie ukształtowane, jak gdyby starannie je pielęgnował. Kasztanowe wąsy były odrobinę jaśniejsze od ciemnobrązowych włosów przyprószonych siwizną na skroniach.

Kobieta zerwała się z krzesła, strącając ze stolika puszkę z herbatnikami, które rozsypały się po podłodze.

– Pani Pretorius! – zagrzemiał komisarz. – Proszę, aby udała się pani ze mną na pobranie odcisków palców.

Anna otarła twarz wierzchem dłoni, po czym tę samą pobrudzoną kurzem i łzami dłoń zwinęła w pięść i uderzyła komisarza prosto w szczękę. Mężczyzna odskoczył do tyłu, przyłożył palce do bolącego miejsca, a następnie wyciągnął rękę. Słyszałam powiedzenie o długiej ręce sprawiedliwości, ale nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego, a raczej kogoś, kto potrafiłby sięgnąć tak daleko. Kobieta schyliła się, śmignęła pod długim ramieniem komisarza i rzuciła się w stronę drzwi. Oficer śledczy wydawał się powolniejszy od niej, lecz mimo to udało mu się ją schwytać. Anna wrywała się, młóciła pięściami powietrze, jej twarz poczerwieniała jak pieczony burak, jednak komisarz niczym niedźwiedź owinął wokół niej swoje potężne ramiona, przycisnął ją do siebie i trzymał, dopóki się nie uspokoiła. Jego oczy miały kolor burzowej chmury.

– Posterunkowy Piet Witbooi – powiedział.

Obok oficera pojawił się chudy, drobny mężczyzna o wysokich kościach policzkowych charakterystycznych dla Buszmenów. Włosy miał tak poskręcane, że przypominały ziarnka pieprzu, a skórę pomarszczoną i żółtobrązową niczym rodzyńka. Zwinnymi ruchami nałożył kajdanki na nadgarstki Anny. Myślałam, że kobieta zacznie kopać i gryźć, ale gdy spojrzałam na jej twarz, zrozumiałam, że uszła z niej cała energia. Po jej policzkach znów spływały łzy.

– Dlaczego chcecie pobrać odciski palców? – spytałam policjantów.

Żaden z nich się nie odezwał, ale ja i tak znałam odpowiedź. Anna Pretorius była podejrzaną w sprawie zabójstwa jej przyjaciółki.

– Musisz mi pomóc – powiedziała, wpatrując się we mnie wilgotnymi, brązowymi oczami.

Wiedziałam, że spróbuję. Jednak wiedziałam również, że nie będę mogła nic poradzić na to, co dokuczało jej najbardziej. Z ogromnym bólem po stracie ukochanej osoby będzie musiała uporać się sama.

Wtedy stało się coś dziwnego – choć wiedziałam, że to samolubne, to mimo wszystko ogarnęła mnie zazdrość. Zazdrościłam tej nieszczęsnej kobiecie, zrozpaczonej i unieruchomionej w uścisku potężnego policjanta. Zazdrościłam jej miłości. Tej wielkiej miłości, której nigdy nie zaznałam.

Posterunkowy Witbooi, komisarz Kannemeyer i Anna Pretorius wyszli, zostawiając Hattie i mnie w redakcji zaśmieconej okruchami herbatników rozdeptanych i rozniesionych po całej podłodze.

Pokręciłam głową. Cóż za smutna historia.

ROZDZIAŁ 13

– Ty przeklęta lesbo – wycedził czerwony na twarzy mężczyzna ubrany w krótkie spodnie khaki.

Nie takiego powitania spodziewałam się w komisariacie policji w Ladismith. Przyszedłam powiedzieć komisarzowi o listach do gazety napisanych przez zmarłą kobietę i jej przyjaciółkę. Wcześniej nie miałam okazji porozmawiać z nim na ten temat.

Wulgarny mężczyzna obrzucał obelgami Annę Pretorius.

– Pieprzona suka!

Anna stała przed długim drewnianym kontuarem obok posterunkowego Pieta Witbooi, który odwrócił się i przywitał mnie skinieniem głowy. Kobięcie zdjęto kajdanki. Palce miała powalane tuszem. Pomieszczenie było przestronne – jasnożółte ściany, okna o stalowych futrynach i stary buczący klimatyzator. Po obu stronach korytarza prowadzącego w głąb komisariatu znajdowały się drzwi do kolejnych, mniejszych pokoi. Po drugiej stronie kontuaru, przy drewnianym biurku, siedziała młoda czarna policjantka zajęta papierkową robotą.

Anna wbiła pełne wściekłości spojrzenie w wulgarnego mężczyznę, jej oczy płonęły, a nozdrza drgały.

– Nienawidziła cię, ty obrzydliwa świnio! – syknęła. – Ty guźcu!

Rzeczywiście mężczyzna przypominał trochę guźca: był krępy, miał małe oczka i szczeciniaste włosy. Duży nos. I brązowo-siwe, postrzępione bokobrody porastające szczęki. Gdzie ja go wcześniej widziałam?

– Ty przeklęta tłusta szcurzyco! – zacharczał.

Kobieta pokazała zęby, ale nie w uśmiechu. Nie przypominała szczura – wyglądała raczej jak królik albo góralek przyłaskowy, o miękkiej sierści i ciemnych oczach. Zastanawiałam się, czy góralek zatopi zęby w szyi guźca.

– Była moja – rzucił mężczyzna.

Teraz go poznałam. Dirk van Schalkwyk. Widziałam go na zdjęciach Jessie.

Policjantka coś powiedziała, ale nie dosłyszałam jej słów, bo klimatyzator właśnie w tym momencie głośniejsz zaburczał.

– Nienawidziła cię – wycodziła Anna.

– Cholero jedna, zabiję cię, ty tłusty karaluchu! – wrzasnął Dirk.

To było wręcz niedorzeczne. Kobieta w niczym nie przypominała karalucha.

– Hej! – zawołał komisarz Kannemeyer, wychodząc z pokoju na tyłach komisariatu. Ogarnął spojrzeniem całą salę. Był naprawdę wysoki. – Dość tego.

– Na co czekasz, guźcu. – Anna się wyprostowała i wypięła pierś. – Zabij mnie, morderco.

– Nie ujdzie ci to na sucho – warknął Dirk, wyciągając spod koszuli pistolet.

Myślałam, że kobieta go kopnie albo padnie na podłogę, ale ona stała w miejscu i jedynie wyżej uniosła głowę. Może cieszyła się na myśl, że dołączy do swojej Tienie.

Piet działał tak błyskawicznie, że prawie niezauważalnie. Podbił rękę Dirka i w tej samej chwili rozległ się strzał. Bum! Z sufitu posypały się kawałki tynku, w powietrzu rozeszła się chmura pyłu.

Komisarz Kannemeyer zacisnął wielką dłoń na nadgarstku van Schalkwyka, po czym odebrał mu broń.

– Dość tego – powtórzył.

Wykręcił rękę Dirkowi i przycisnął mu ją do pleców. Dirk sapnął. Obydwaj mieli włosy obsypane białym pyłem.

– Ty tłusta szcurzyco – wymamrotał Dirk, przechodząc obok Anny, gdy wyprowadzano go z pomieszczenia.

Pokręciłam głową. Tyle nieuprzejmości. Tak bardzo niepotrzebnej.

W rzeczywistości Anna wcale nie była gruba. Miała krągłości jak każda kobieta, która zjada trzy posiłki dziennie, ale nazywać ją tłustą było po prostu nie w porządku.

W komisariacie nagle zrobiło się tłoczno od ludzi, którzy słysząc krzyki i wystrzał, przyszli sprawdzić, co się dzieje.

– Dzień dobry, *tannie* Elna – przywitałam się z kobietą, która pracuje w znajdującym się po sąsiedzku sklepie obuwniczym.

Niska, drobna *tannie* Elna podskakiwała niczym surykatka, żeby coś zobaczyć.

– Co się stało? – spytała.

– Czy twoim zdaniem ona jest gruba?

Wskazałam Annę, którą właśnie wyprowadzała policjantka.

Elna przekrzywiła głowę, przygryzła wargę, po czym pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Raczej nie...

– Czy ktoś został ranny? – dopytywał się kierownik Spara.

Miał śmieszne, cienkie wąsiki, z którymi wyglądał jak chłopiec po wypiciu czekoladowego mleka. Włosy zawsze czesał z przedziałkiem na boku i w taki sposób, żeby przykryć powiększającą się łysinę.

– Był tu Dirk van Schalkwyk – powiedziała Elna.

Nozdrza kierownika sklepu drgnęły.

Nie wiem, skąd Elna wiedziała o Dirku. Ja jej tego nie powiedziałam. Jednak w małym mieście wiadomości tak właśnie się rozchodzą. Czasami nawet wyprzedzają zdarzenia. Kiedyś dowiedziałam się o śmierci pewnej starszej kobiety, zanim staruszka rzeczywiście umarła. Jednak już następnego dnia faktycznie rozstała się z tym światem, można więc powiedzieć, że była na bieżąco z wiadomościami.

– Słyszałam, że Martine van Schalkwyk została zamordowana – wtrąciła *tannie* de Jager z biblioteki.

– Kto taki? – zainteresowała się dama w różowej kwiecistej sukience.

– Żona Dirka, tego, który pracuje w Agri – wyjaśniła Elna. – Prowadziła księgowość w Sparze.

Po chwili wszyscy już mówili jeden przez drugiego, pytali i odpowiadali, a ja przestałam za tym nadążać. Gdy zaczęłam się rozglądać za miejscem, w którym mogłabym spokojnie usiąść, do sali wrócił komisarz i oznajmił gromkim głosem:

– Koniec przedstawienia! Proszę się rozejść.

Zaległa cisza, ludzie patrzyli na komisarza i spoglądali po sobie.

– Precz! – zawołał oficer śledczy, machając rękami, jakby przeganiał kury, na co tłum ruszył do drzwi niczym spłoszone stadko.

Ja jednak nie poruszyłam się i nadal stałam przy ścianie.

Komisarz przeczesał palcami krótkie włosy.

– Czym mogę służyć? – spytał.

– Zdaje się, że dobrze zrobiłaby panu filiżanka mocnej kawy – powiedziałam, patrząc prosto na niego.

Uśmiechnął się. Miał przyjemny uśmiech. Niespieszny i ciepły, wyzierający również z oczu. Końcówki wąsów uniosły się, zęby, które się pokazały, były białe i mocne.

– Tak – potwierdził. I dodał: – Spotkaliśmy się w redakcji „Gazety Karru Małego”.

– Musimy porozmawiać – oznajmiłam. – O Martine van Schalkwyk.

Westchnął i wyciągnął z kieszeni długopis.

ROZDZIAŁ 14

Następnego ranka stałam na werandzie i patrzyłam, jak pierwsze promienie słońca wydłużają cienie wzgórz i akacji. Poranny blask ogrzewał mi twarz i ogarnęła mnie jakaś błogość, chociaż nie za bardzo wiedziałam, z jakiego powodu. Prawdopodobnie jednak z powodu jagnięciny. Zamierzałam przyrządzić pieczeń jagnięcą. Z ziemniakami, dynią i fasolką szparagową. A na deser ciasto czekoladowe na maślanie.

Komisarz Kannemeyer podczas rozmowy w komisariacie nie wysłuchał całej opowieści, ale zanotował moje dane i powiedział, że wpadnie do mnie następnego dnia, aby spisać zeznania. Wiedziałam, że jest bardzo zajęty, dlatego nie protestowałam. Powiedział, że najpierw zadzwoni.

W drodze do domu zatrzymałam się w sklepie mięsnym, ponieważ mieli w promocji udziec jagnięcy. Nie ma pysniejszego mięsa niż jagnięcina z Karru. Czuć w niej smak sawanny, słońca i słodkich, dziko rosnących ziół, którymi karmią się owce.

Naszła mnie ochota, żeby ubrać się w ładną kremową sukienkę w drobne niebieskie kwiatki. Zdjęłam *veldskoene* i znalazłam niebieskie pantofle na niskich obcasach. Na koniec włożyłam fartuch i zaczęłam przyrządzać pieczeń.

Gdy wsunęłam jagnięcinę do piekarnika, wyszłam na dwór narwać rozmarynu do ziemniaków. Czerwone pelargonie pięknie rozkwitły i postanowiłam naciąć ich trochę do wazonu na kuchennym stole.

Telefon zadzwonił, gdy byłam jeszcze w ogrodzie. Nie dość, że w pantoflach trochę niewygodnie mi się chodziło, to od krzewu pelargonii do telefonu mam kawałek, dlatego serce biło mi dość szybko, gdy podnosiłam słuchawkę.

– Halo.

– *Tannie* Maria?

– Cześć, Hats.

– Wszystko w porządku, skarbie? Wydajesz się trochę zadyszana.

Położyłam rozmaryn i pelargonie na stoliku obok telefonu, po czym usiadłam na krześle.

– Czego dowiedziała się Jessie? – spytałam.

– Możesz przyjechać do redakcji? Omówimy sprawę zabójstwa.

– Sprawę zabójstwa – powtórzyłam z przejęciem.

– Cóż, nie jest to żadna wielka zagadka kryminalna. Doskonale wiemy, kto to zrobił. Ale nie

chcemy, żeby temu łajdakowi uszło to na sucho, prawda?

- Nie mogę teraz przyjechać. Ma do mnie zajrzeć komisarz Kannemeyer.
- Kawał chłopca z niego – powiedziała Hattie.
- Chce spisać zeznania. I przeczytać listy.
- Jessie poszła z nim porozmawiać, ale nie puścił pary z ust. Może tobie pójdzie lepiej.
- Postaram się. Czego Jessie dowiedziała się w szpitalu?
- Siostra Mostert, mama Jessie, słyszała, że mogło dojść do przedawkowania. Środki nasenne.
- Samobójstwo? – Pochyliłam się na krzesło.
- Może. Najpierw muszą przeprowadzić sekcję zwłok.
- Posłuchaj, muszę się za chwilę rozłączyć. Może Kannemeyer próbuje się dodzwonić, rozumiesz.
- Mówisz, jak gdybyś czekała na randkę.
- Nie pleć głupstw, Hattie. Muszę kończyć.

Roztarłam listek pelargonii między palcem wskazującym a kciukiem i wciągnęłam zapach do nozdrzy.

Samobójstwo. Po afrykanersku *selfmoord* – morderstwo popełnione na sobie. Uff. W pewien sposób wydawało się jeszcze gorsze niż zwykłe morderstwo. Jeśli mężczyzna traktuje kobietę tak strasznie, że odbiera sobie ona życie, to tak, jakby zabił ją dwa razy: najpierw uśmiercił jej serce, a potem ciało.

Kiedy byłam z Faniem, nieraz myślałam o tym, żeby się zabić. Odważyłam się nawet kupić tabletki nasenne.

Nagle poczułam ogromny ciężar w piersiach, jak gdyby ktoś położył mi na klatce piersiowej worek ziemniaków. Przez chwilę siedziałam przy telefonie jak sparaliżowana, aż w pewnym momencie wybuchłam płaczem. Płakałam nad losem Martine, Anny i swoim. Przez wiele lat nie uroniłam ani jednej łzy, a tu nagle w ostatnich tygodniach zanosłam się szlochem po raz drugi. Może to jednak nic złego. Kiedy się uspokoiłam, poczułam, że zrobiło mi się lżej na sercu.

Mimo wszystko nie zabiłam się wtedy. Wciąż jeszcze byłam na tym świecie, wciąż żyłam. Miałam dobre jedzenie, warzywa i kwiaty w ogrodzie, kury, które znosiły wspaniałe jajka, i naprawdę dobrych przyjaciół.

Ponownie wciągnęłam zapach pelargonii i wstałam z krzesła.

Stałam przy kuchennym stole, obrałam ziemniaki, posypałam je rozmarynem, posoliłam i skropiłam oliwą z oliwek. Włożyłam je do piekarnika, po czym nastawiłam wyższą temperaturę. Następnie wyniosłam na werandę listy od Martine i Anny, herbatę oraz beskuit, usiadłam przy stole i przeczytałam to, co napisały do mnie kobiety, a także moje odpowiedzi.

– Nie – oznajmiłam ostatniemu herbatnikowi. – Ta kobieta się nie zabiła. Planowała ucieczkę.

Weszłam do domu, pokroiłam połówkę dyni na kawałki, które posypałam cukrem, cynamonem oraz okrasiałam masłem.

– Może nie odłożyłam dobrze słuchawki – powiedziałam do dyni, wsuwając ją do piekarnika.

Sprawdziłam telefon, ale wszystko było w porządku. Odkroiłam więc końcówki fasolki szparagowej, po czym przygotowałam masę na ciasto czekoladowe. Gdy smarowałam formę do pieczenia i palce miałam całe w maśle, zadzwonił telefon.

ROZDZIAŁ 15

– *Mevrou van Harten*? Mówi komisarz Henk Kannemeyer. Czy mógłbym zaraz do pani przyjechać?

Spojrzałam na zegar ścienny. Wskazywał dwunastą w południe.

– Czy mógłby pan przyjechać o pierwszej?

Odchrząknął. Wszyscy w Ladismith wiedzą, że nie załatwia się interesów między pierwszą a drugą. Sklepy są pozamykane, aby sprzedawcy i klienci mogli pojechać do domu na lunch. Wyjątek stanowi jedynie Spar. I komisariat policji.

– Może pan u mnie coś przekąsić – powiedziałam. – Chyba że... – Być może ktoś czekał na niego w domu.

– Dziękuję – odparł. – Mam kanapki.

– Nie, nie, przygotowałam pieczeń jagnięcą.

– Pieczeń jagnięcą?

– Z ziemniakami i dynią. [*Soetpampoer*](#).

– Och. No cóż, dobrze...

Zastanawiałam się, kto przyszykował mu kanapki.

Wstawiłam ciasto do piekarnika i zdjęłam folię z jagnięciny, a następnie przygotowałam polewę. Gdy dodałam do niej rum i maślankę, zamoczyłam w ciemnej masie koniuszek małego palca i oblizałam go.

– Mmm – mruknęłam. Dosypałam szczyptę soli, po czym znów skosztowałam. – Doskonała.

Uprzątnęłam kuchnię i nakryłam stół na zewnątrz. Duży dzbanek lemoniady z lodem i świeżymi listkami mięty postawiłam obok tacy z listami nadesłanymi przez Martine oraz jej przyjaciółkę Annę. Moje odpowiedzi również tam leżały.

Upał sprawił, że granat wypłowieł i niebo nad Karru zrobiło się jak zwykle bladobłękitne. Mimo to dzięki drzewom i blaszanemu zadaszeniu na werandzie panował przyjemny chłód.

Zdjęłam fartuch, przygładziłam włosy i na nowo pomalowałam usta pomadką. Gdy usłyszałam nadjeżdżający samochód, poprawiłam sukienkę i wyszłam na dwór. Dzierzbik ukryty w gałęziach akacji przywoływał śpiewem partnerkę. Patrzyłam, jak komisarz parkuje na podjeździe. Trele tych ptaków są tak piękne, że poczułam, jak coś mnie ściska w sercu. Wyszłam na ścieżkę i pomachałam

do komisarza. Po prostu chciałam mu dać znać, że dotarł we właściwie miejsce.

Patrzyłam, jak wysiada. Miał na sobie długie spodnie i bawełnianą koszulę khaki niedopiętą pod szyją i na klatce piersiowej. Gdy mnie zobaczył, podkręcił wąsa i skinął głową na powitanie.

– Ależ te dzierzbiki dzisiaj wyśpiewują – powiedziałam.

– Tak. Pięknie.

Razem weszliśmy na werandę. Komisarz usiadł i wsunął długie nogi pod stół.

– Ładnie pachnie – zauważył.

– Lemoniady? – Napełniłam stojącą przed nim wysoką szklankę orzeźwiającym napojem.

Kannemeyer również ładnie pachniał. Drzewem sandałowym i miodem. – To są te listy, o których panu opowiadałam. Zaraz wracam, zajrzę tylko na chwilę do kuchni.

Komisarz zaczął czytać, ja zaś zajęłam się jagnięciną i deserem. Ciasto musiało przestygnąć, zanim mogłam je oblać polewą.

Gdy wróciłam z pieczenią i warzywami, Kannemeyer, trzymając listy w dłoni, spoglądał ponad sawanną na Rooiberg, naszą Czerwoną Górę. Nadal słyszałam nawoływania dzierzbików, teraz jednak dobiegały gdzieś z daleka, może z dużego drzewa *gwarrie*.

Komisarz zerwał się i pomógł mi postawić półmisek z pieczenią na stole.

– Może ja pokroję? – zaproponował.

Podalam mu nóż.

– Trzeba sprawdzić charakter pisma – powiedział, krojąc mięso. – Myślę jednak, że ma pani rację. Te listy napisały *mevrouw* van Schalkwyk i *mevrouw* Pretorius. – Pokręcił głową. – Te białe kaczki...

– Przeczytał pan również moje listy? – spytałam, nakładając mu łyżką ziemniaki i dynię na talerz.

– Tak. Wszystko przeczytałem.

– Czyli pewnie pan rozumie, dlaczego czuję się zamieszana w całą tę sprawę. A nawet odpowiedzialna za nią – dodałam, nakładając fasolkę szparagową.

Zmarszczył brwi.

– Gdybym nie odpisała, żeby od niego odeszła, nie zabiłby jej – wyjaśniłam.

– Nie może się pani obwiniać.

– Gdybym napisała jej o ludziach, organizacjach, które mogą jej pomóc, zapewnić jej bezpieczeństwo – ciągnęłam, kładąc najlepsze kawałki jagnięciny na talerz komisarza – mogłaby żyć. Jak ja. Zasiadać do smakowitego lunchu.

Na myśl, że Martine nigdy więcej nie zje lunchu, znów ogarnął mnie ogromny smutek.

– *Tannie* Mario, nie wiemy nawet, czy zrobił to jej mąż. Być może doszło do samobójstwa. Może zrobiła to Anna. Na razie nic nie wiemy. Nie może się pani obwiniać.

– To nie było samobójstwo. I chyba nie sądzi pan, że Anna...

Urwałam, ponieważ nie chciałam posunąć się za daleko ani zepsuć dobrze zapowiadającego się posiłku sprzeczką.

– Jedzmy – powiedziałam. – Proszę częstować się sosem.

Lunch okazał się doskonały. Pieczeń jagnięca wyszła ciemna, chrupiąca na zewnątrz i krucha w środku, ziemniaki złocistobrązowe, a dynia lepka i słodka. Kannemeyer zmrużył oczy, gdy włożył pierwszy kęs do ust. Nie rozmawialiśmy podczas jedzenia. Znów słyszałam dzierzbiki, ich trele dolatywały z sawanny.

Gdy skończyliśmy jeść, komisarz westchnął.

– Takiej pysznej pieczeni nie jadłem, odkąd... od bardzo dawna.

Na koniuszku kasztanowych wąsów pozostała odrobina sosu. Komisarz się uśmiechnął. Tym samym ciepłym, jasnym uśmiechem. Jednak jego oczy pozostały smutne. Otarł usta serwetką. To znak, że nadeszła pora na załatwienie paru spraw. Trzeba było to zrobić, póki ciepłe jedzenie rozgrzewało żołądek.

– Panie komisarzu – zaczęłam. – Wie pan, że to mąż ją zabił.

– Może on. Może nie on. Trzeba mieć dowody, aby orzekać o czyjejś winie.

– Czytał pan listy – przekonywałam. – Byłam przy tym, gdy ten... człowiek próbował zastrzelić Annę w komisariacie.

– Tak, Anna Pretorius musi wnieść oskarżenie przeciwko niemu. Ale to jest osobna sprawa.

– Czy ma pan dowody na to, że ktoś inny zabił Martine?

– Czekamy na... wyniki.

– Jakie wyniki?

Pomyślałam o badaniach odcisków palców Anny i o sekcji zwłok.

– Proszę pani, zajmujemy się tą sprawą, proszę się nie martwić.

– Panie komisarzu, mamy prawo się martwić. Temu człowiekowi nie może to ujść na sucho. A my jesteśmy gotowe pomóc panu w śledztwie.

– My? – powtórzył, zerkając na zegarek na szerokim nadgarstku.

– Tak, my, redakcja „Gazety Karru Małego”. Mamy w zespole dziennikarkę śledczą, znamy mieszkańców miasta. Mogłybyśmy znaleźć dowody...

– Proszę pani. – Komisarz wstał. – Doceniam informacje, które od pani uzyskałem, ale od prowadzenia dochodzenia w sprawie o zabójstwo jest policja.

– Zostało jeszcze ciasto – powiedziałam. – Czekoladowe na maślanie. Z polewą rumową.

– Przykro mi. Muszę już iść.

Dzierzbiki zamilkły. Z drogi krajowej numer 62 dobiegał odległy warkot ciężarówki zmierzającej w kierunku Oudtshoorn.

ROZDZIAŁ 16

Oczywiście po tym wszystkim byłam zła na Kannemeyera. Okazał się uparty. A nawet niegrzeczny. Jak mógł wyjść, nie próbując nawet kawałka ciasta? Jednak jeszcze bardziej złościłam się na siebie. Powinnam była podać deser wcześniej.

Poszłam do kuchni i zaczęłam nakładać polewę. Gdyby choć spojrział na ciasto. Albo je powąchał.

– Zawaliłam – przyznałam się plackowi. – Gdyby cię spróbował, zgodziłby się na wszystko, o co bym poprosiła. – Zamoczyłam palec w czekoladowo-rumowej polewie i oblizałam go. – Na wszystko.

Zadzwoiłam do redakcji. Odebrała Jessie.

– Widziałam się z Kannemeyerem – oznajmiłam. – Czy mogłybyście przyjechać do mnie na zebranie? Mam ciasto czekoladowe, które nie może się zmarnować.

– Tak – odparła krótko Jessie. – Powiedz ciastu, że jedziemy.

W upalne popołudnie wszystkie trzy siedziałyśmy na werandzie. Jessie miała szeroko otwarte oczy i wzrok cały czas jeszcze trochę nieprzytomny, ponieważ przywiozła ją Hattie. W ogrodzie żółte ptaszki wydziobywały owady z trawy, kury zaś w poszukiwaniu cienia przycupnęły pod krzewem pelargonii.

– Ładnie wyglądasz, *tannie* M. – powiedziała Jessie, patrząc na moją kremową sukienkę w niebieskie kwiatki i błękitne pantofle na obcasach.

– Właśnie, mogłaś nas uprzedzić, żebyśmy się wystroiły do podwieczorku – dodała Hattie.

– Och, Hats, ty zawsze wyglądasz elegancko – odparłam.

Harriet miała na sobie dopasowaną bluzkę i długą, białą, bawełnianą spódnicę. Jessie jak zwykle była w swoim czarnym podkoszulku bez rękawów i w szortach. Nalałam kawy i herbaty. Oczy Jessie rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy ukroiłam i podałam jej kawałek ciasta, a kiedy wzięła do ust pierwszy kęs, przewróciła nimi wymownie. Przy drugim kęsie przymknęła powieki.

– Skarbie, dla mnie tylko kawałeczek, bardzo cię proszę – uprzedziła Hattie. Przyglądała swoje starannie uczesane jasne włosy. – No! Jak tam spotkanie z potężnym komisarzem?

– Przeczytał listy i zgadza się, że pasują do sprawy. Trzeba jednak sprawdzić charakter pisma, żeby się upewnić.

Podaliśmy Hattie cieniutki plasterek ciasta, sobie zaś ukroiłam porządny kawałek.

Telefon Jessie zaśpiewał *Light My Fire*.

– Przepraszam – bąknęła dziewczyna, po czym wyjęła komórkę z kieszeni, zerknęła na nią i uśmiechnęła się. – To tylko wiadomość. Mów dalej, *tannie* M.

– Ale zawałam sprawę – wyznałam. – Nie podałam deseru w odpowiednim czasie i nic nie chciałam powiedzieć. Do tego nie życzę sobie naszej pomocy. Mamy trzymać się od śledztwa z daleka.

Na to odezwała się Jessie, ale usta miała pełne ciasta, nie zrozumiałam więc ani słowa.

– Ona mówi – przetłumaczyła Hattie, która jeszcze nie tknęła swojego kawałka – że Kannemeyer milczy, ale za to Reghardt jest rozmowny.

– Kto to jest Reghardt? – spytałam.

– Reghardt Snyman, szkolny kolega Jessie. Tak się szczęśliwie składa, że jest policjantem i ma słabość do pewnej młodej dziennikarki.

Jessie spojrzała na Hattie i zmarszczyła nos.

– No co? – spytała Hattie. – Widziałam, jak na ciebie patrzy.

Dziewczyna pogłaskała gekona wytatuowanego na ramieniu. Deser ją uszczęśliwił. Być może wzmianka o chłopaku też.

– Kannemeyer powiedział, że może to nie Dirk zabił tę kobietę – rzekłam. – Jego zdaniem to mogło być samobójstwo i zdaje się, że podejrzewają również Annę.

– To ciasto jest absolutnie fantastyczne, *tannie* – wymamrotała Jessie, dojadając okruchy. – Do polewy dodałaś brandy?

– Rumu.

– Czy Hattie mówiła ci o proszkach nasennych?

– Tak – przytaknęłam. – Ale Martine pisała do mnie, że zamierza odejść. Nie wyglądało to na myśli samobójcze. – Sięgnęłam po list i przeczytałam na głos: – „Układam plan, dzięki któremu będę mogła odejść. Muszę tylko spokojnie poczekać, aż wszystko dopnę”.

– Może chciała odejść z ziemskiego padołu? – powiedziała Hattie, skubiąc swój plasterk ciasta.

– Moja mama była na dyżurze w szpitalu, kiedy przywieźli ciało, i widziała ranę na głowie Martine – oświadczyła Jessie. – Potem przyjechali ludzie z RCIK i zabrali zwłoki do Oudtshoorn, na sekcję.

– RCIK? – spytałam.

– Przepraszam, z Regionalnego Centrum Informacji Kryminalnych. Robią ekspertyzy sądowe dla całego regionu. Chociaż niektóre sprawy odsyłają do Laboratorium Medycyny Sądowej w Kapsztadzie. Reghardt powiedział mi jeszcze, oczywiście nieoficjalnie, że oprócz tego wysłali do RCIK pogrzebacza. Mają z niego zdjąć odciski palców.

– Pogrzebacz? – zdziwiłam się. – Mąż uderzył ją pogrzebaczem?

– Cóż, jeśli rana jest na głowie, to chyba można wykluczyć samobójstwo – rzekła Hattie.

– Martine mogła się otruć i, no nie wiem, upaść, i uderzyć się w głowę – głośno myślała Jessie. –

Albo mąż uderzył ją pogrzebaczem, a wtedy przelała się czarna goryczy i kobieta postanowiła się zabić.

– Nie wierzę w to – oświadczyłam, podając listy Jessie. – Przeczytaj je jeszcze raz.

– Nie dałaś ich komisarzowi? – spytała Hattie.

– Nie. Pozwoliłam mu je przeczytać, ale kiedy nie chciał zostać na ciasto, trochę się zdenerwowałam i powiedziałam, że listy są własnością gazety i że oryginały mogę ewentualnie podrzucić mu jutro, gdy zrobię ksero dla nas.

– Wiesz, że mógł je po prostu zarekwirować – powiedziała Jessie. – W końcu to sprawa o zabójstwo.

– Prawdziwy dżentelmen z tego komisarza – zauważyła Hattie.

– Elna le Grange powiedziała mi, że Martine prowadziła księgowość w Sparze – przypomniałam sobie.

– Tak, to prawda – potwierdziła Jessie. – Pracuje tam mój kuzyn Boetie. Mówił, że przychodziła dwa razy w tygodniu i że była z niej fajna babka. Spokojna.

Szybko przeczytała listy, które jej podałam.

– Dirk to świnią – oświadczyła. – Ale Anna mogła być cholernie zła, kiedy Martine powiedziała jej, żeby więcej do niej nie przychodziła.

Przeczytała na głos fragment listu: „Mówi, że mam nie przychodzić do niej do domu”.

– O rety! – zawołała Hattie. – Może dlatego chcieli jej odciski palców. Żeby sprawdzić, czy pasują do tych na pogrzebaczu. Ale to Dirk znęcał się nad Martine, nie Anna. Dowiedział się, że żona zamierza od niego odejść, i zabił ją.

Jessie skończyła jeść ciasto. Wyjęła długopis, kartkę i zaczęła notować.

– Wiem, że wydaje się oczywiste, że zabił ją mąż – tłumaczyła w trakcie pisania. – Ale należy to w jakiś sposób udowodnić. Obiektywnie rzecz biorąc, możliwe jest, że zabójstwa dokonał ktoś inny. – Upiła łyk kawy.

Robiąc notatki, Jessie mówiła inaczej niż zwykle. Brzmiała już nie jak koloredka z prowincjonalnego miasteczka, ale jak prezenterka z krajowej telewizji SABC.

– Należy ustalić przyczynę zgonu. Zawęzić grono podejrzanych i ustalić możliwe motywy zbrodni. Konieczne jest również znalezienie dowodów, na których podstawie będzie można orzec o winie osoby oskarżonej.

– Masz rację – powiedziałam do Jessie i ukroiłam dla niej kolejny kawałek ciasta. – Moim zdaniem listy Anny świadczą o tym, że byłaby w stanie zabić z miłości. A przecież Martine zakazała jej przychodzić do siebie, co mogło Annę wyprowadzić z równowagi. Może Martine planowała zostawić nie tylko męża, ale i przyjaciółkę.

– Ludzie potrafią robić różne dziwne rzeczy z miłości – zadumała się Hattie, patrząc na pierwszy

list. – Martine twierdziła, że chce platonicznego uczucia. Może Anna pragnęła czegoś więcej.

Dolałam Hattie herbaty.

– Poza tym – dodała Jessie – syn Martine mieszka w George. Może zamierzała wyjechać na dobre z Ladismith i przenieść się bliżej niego.

Przez chwilę wszystkie piłyśmy i jadłyśmy w milczeniu. Byłyśmy zadowolone, że sprawdzamy się w roli detektywów. Wędrujące w trawie termity systematycznie zbierały opadłe źdźbła i patyki w taki sam sposób, w jaki my gromadziłyśmy tropy.

Ja czułam się zadowolona z jeszcze jednego powodu. Ciasto czekoladowe wyszło doskonale. Było wilgotne, zwarte, intensywne w smaku i syte. Czasami nosi się w pamięci smak ciasta niczym wspomnienia z dzieciństwa, kiedy jednak skosztuje się prawdziwego wypieku, przychodzi rozczarowanie. Tym razem jednak tak się nie stało.

Usłyszałam dzierzbika nawołującego gdzieś na sawannie. Zrobiło mi się przykro. Anna prosiła mnie o pomoc, a tymczasem mówiłyśmy o niej jak o podejrzanej, choć może jedyną jej zbrodnią była miłość.

– Myślę, że powinnam zanieść trochę ciasta Annie – oświadczyłam. – I przekonać się, co ona ma do powiedzenia.

– Dobry pomysł – rzekła Hattie. – Ona ci ufa.

– Mogłabym zanieść też kawałek Kannemeyerowi – dodałam. – Razem z listami.

ROZDZIAŁ 17

– Ranny ptaszek z ciebie, *tannie* Mario – przywitała mnie Hattie, gdy weszłam do redakcji. – Co się stało? Nie możesz spać?

Upał nie dawał się jeszcze tak bardzo we znaki i wiatrak sufitowy nie był włączony.

– Nie mogę lekceważyć wszystkich innych czytelników mojej rubryki tylko dlatego, że niektórzy z nich wpadli w tarapaty albo nie żyją – odrzekłam.

Położyłam listy Martine i Anny oraz pojemnik z dwoma dużymi kawałkami ciasta czekoladowego na swoim biurku, po czym podniosłam stos kopert i parę stron wydruków z wiadomościami e-mailowymi. Gdy usłyszałam bzyczenie skutera Jessie, nastawiłam czajnik. Następnie przejrzałam pocztę. Ważne było, żeby rozpocząć dzień od odpowiedniego listu.

– Cześć, Hattie i *tannie* M.! – zawołała Jessie. – Co słyhać?

Przypatrywała się pojemnikowi, który przyniosłam. Nie był przezroczysty, lecz Jessie miała szósty zmysł, jeśli chodzi o ciasto.

– Przykro mi, *skat*, ale to dla Anny i Kannemeyera. Mogłabyś skserować to tutaj na swoim skanerze czy jak mu tam? – Podałam jej listy od obu kobiet. – Muszę oddać oryginały komisarzowi. – Potrząsnęłam puszką na herbatniki, żeby odwrócić uwagę dziewczyny od ciasta, lecz zostały w nim same okruchy. – Kawy?

Kiedy wszystkie miałyśmy już kawę albo herbatę, które tym razem musiałyśmy wypić bez herbatników, zdecydowałam się otworzyć zwykłą brązową kopertę. Obok stempla poczty w Riversdale widniał na niej odcisk kciuka ubrudzonego czarnym smarem. Riversdale to duże miasto oddalone od nas o jakieś sto kilometrów. No, może wcale nie jest aż takie duże, po prostu większe niż Ladismith.

List nadesłał trapiiony problemami mężczyzna, który podpisał się Karel. Musiał wiele się nauczyć, ale wydawał się chętny do nauki, a ja zrobiłam, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

Droga Tannie Mario,

piszę z prośbą o poradę miłosną. Nie zwracaj sobie głowy przepisami. Ja nawet jajka nie potrafię ugotować.

Poznałem dziewczynę na Święcie Brandy i bardzo mi się spodobała. Ma błyszczące oczy i cudowny uśmiech. Nazywa się Lucia. Siedzieliśmy obok siebie przy stole i prawie w ogóle się nie odzywałem, ale poczęstowałem ją moimi [slap chips](#) i trochę zjadła.

Kiedy się domnie uśmiechnęła, poczułem się tak, jakby z piersi chciało mi wylecieć całe stado

ptaków.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem.

Jestem mechanikiem i paznokcie zawsze mam trochę czarne, choćbym nie wiem jak mocno je szorował. Lucia wygląda elegancko i pięknie pachnie. Jest mała i drobna, jak samochód mini. Ja bardziej przypominam ciężarówkę.

Czuję się jak idiota. Chciałbym znów się z nią spotkać, ale nie wiem, jak z nią rozmawiać.

A co, jeśli spróbuję się z nią umówić, a ona się nie zgodzi? Albo się zgodzi, ale ja nie odezwę się słowem przez cały czas?

Karel

Wyjęłam kartkę, długopis i napisałam:

Drogi Karelu,

a co, jeśli się zgodzi? Wyślij do niej SMS. Zaproś ją do kina.

Nie ma powodu, żebyś się czuł jak idiota. Może myślisz, że ugotowanie jajka to prosta sprawa, ale w rzeczywistości to niełatwe zadanie. Idealne jajko powinno się gotować dokładnie trzy minuty. Problem polega na tym, że jeśli włoży się jajko do wrzątku, skorupka pęka. Jeśli zaś włoży się je do zimnej wody, trudno powiedzieć, od którego momentu zacząć odliczać trzy minuty. Są różne sposoby na to, żeby poradzić sobie z tą trudnością. Mnie najbardziej odpowiada pierwsze rozwiązanie.

Trzeba ogrzać jajko, zanim zetknie się z wrzątkiem. Należy włożyć je do miseczki napełnionej w jednej czwartej zimną wodą, a następnie powoli dolewać gorącej wody z czajnika. Tak ogrzane jajko położyć na łyżce i pomału wkładać do wrzątku.

Lub:

dodać do wrzątku łyżeczkę octu – jajko pomyśli dwa razy, zanim zdecyduje się pęknąć.

Lub:

włożyć jajko do zimnej wody, a następnie stać i czekać, aż woda się zagotuje.

Przygotuj wcześniej łyżkę i kieliszek do jajek, ponieważ jajko należy zjeść zaraz po ugotowaniu. Jeśli natychmiast nie obierzemy go ze skorupki, będzie w niej twarde. Jajko najlepiej smakuje z tostami, masłem, solą i pieprzem.

Byłam pewna, że moja odpowiedź ucieszy wiele osób. Mnóstwo ludzi zastanawia się, co zrobić, żeby dobrze ugotować jajko, ale po prostu wstydzą się o to zapytać. Karel wykazał się odwagą, otwarcie zadając to pytanie. Wiązałam z nim duże nadzieje.

Zaczęłam się przyglądać kolejnej kopercie, małej i niebieskiej, gdy nagle zadzwonił telefon. Odebrała Hattie.

– Komisarz – wyszeptała. Puściła oko, przekazując mi słuchawkę. – Do ciebie.

– Mówi Maria – rzuciłam.

– Anna Pretorius została aresztowana – oznajmił komisarz. – Nie chce adwokata. Chce porozmawiać z panią.

– Aresztowana?

– Czy mogłaby pani przyjść do komisariatu? – spytał.

– Pod zarzutem uderzenia pana w szczękę?

– Nie, proszę pani. Pod zarzutem morderstwa.

– Zabiła mężczyznę, który usiłował ją zastrzelić?

Zadawałam głupie pytania, wiem, przecież nie dalej jak wczoraj rozmawiałam z nim na ten temat.

Ale po prostu nie mogłam w to uwierzyć.

– Jest oskarżona o zabójstwo Martine van Schaalkwyk.

To była naprawdę zła wiadomość.

Jednak z drugiej strony przynajmniej mogłam dostarczyć obydwu kawałki ciasta naraz.

ROZDZIAŁ 18

Zatrzymałam się w cieniu kauczukowca na parkingu przed komisariatem. Obok mnie, na miejscu dla pasażera, leżały listy dla komisarza Kannemeyera oraz pojemnik z dwoma grubymi kawałkami ciasta czekoladowego.

W drzwiach komisariatu pojawiła się głowa Pieta, który chwilę później wyszedł na zakurzony asfaltowy plac, żeby mnie przywitać.

Ojej, pomyślałam, a kawałek ciasta dla posterunkowego Pieta?

Gdy wysiadłam z samochodu z pojemnikiem i listami, policjant uśmiechnął się do mnie. Jego żółto-brązowa pomarszczona twarz pofałdowała się jeszcze bardziej, a migdałowe oczy zwęziły. Poruszając się zwinnie i cicho w swoich skórzanych sandałach, posterunkowy wprowadził mnie do komisariatu. Przeszliśmy przez zatłoczoną część recepcyjną i ruszyliśmy korytarzem w stronę gabinetu Kannemeyera. Komisarz rozmawiał przez telefon, usiadłam więc, żeby poczekać, aż skończy, Piet zaś wyszedł, tym samym rozwiązując problem zbyt małej ilości ciasta.

Kannemeyer przywitał mnie skinieniem, nie przerwał jednak rozmowy. Nawet gdy siedział za biurkiem – zrobionym z litego drewna tekowego o czerwonym odcieniu, który pasował do kasztanowych wąsów komisarza – jego okazała postura rzucała się w oczy.

– Mmm... aha... – mamrotał do słuchawki, odchylając się do tyłu na skórzanym fotelu.

Za oknem gabinetu rosły akacje, a cień ich gałęzi padał na białe ściany, koszulę i klatkę piersiową komisarza.

Krzesełko, na którym siedziałam, również wykonano z drewna i skóry. Gabinet Kannemeyera był wygodny i sprawiał wrażenie miejsca, w którym właściciel spędza dużo czasu. Zaczęłam się zastanawiać, jak wygląda życie prywatne komisarza.

Na biurku stał wentylator, pochyliłam się więc w jego stronę, żeby poczuć na twarzy podmuch chłodniejszego powietrza. Sukienka przywarła mi do ciała z gorąca. Między teczkami i stertami dokumentów zawalającymi blat dostrzegłam zdjęcie w srebrnej ramce. Przedstawiało Kannemeyera, młodszego niż obecnie, obejmującego ramieniem kobietę. Była ładna, twarz obracała w jego stronę niczym słonecznik kierujący się w stronę słońca, komisarz zaś promieniał miłością.

– Okej. Tak... W porządku. Na razie. – Odłożył słuchawkę, po czym odchrząknął. – Dzień dobry pani – powiedział.

– Przyniosłam panu ciasto. Mam również kawałek dla Anny.

Przesunęłam pojemnik po blacie i otworzyłam pokrywkę, żeby zaprezentować dwa duże kawałki

owinięte w papier woskowany.

Komisarz podkreślił węża, a jego twarz rozjaśniła się w niespiesznym uśmiechu ukazującym białe zęby.

– Dziękuję – mruknął.

– A zatem co to za sprawa z Anną?

– Dość poważna. – Poglądził węża. – Odciski jej palców znaleziono na pogrzebaczu, którym uderzono Martine van Schalkwyk. Na podjeździe były świeże ślady kół jej *bakkie*.

– Co na to Anna?

– Nie chce z nami rozmawiać. Ani wezwać prawnika.

– Nie zabiłaby swojej przyjaciółki. Nie miała powodu, żeby to zrobić.

– Mogła to być zbrodnia w afekcie. Potłuczono stojące w domu fotografie. Między innymi ślubne zdjęcie Martine i Dirka. – Komisarz zerknął na swoją fotografię. – Van Schalkwyk mówi, że Anna kochała się w jego żonie. Pani listy to potwierdzają. Przyniosła je pani?

Położyłam listy na biurku, ale nie chciałam, żeby zostały wykorzystane w ten sposób. Komisarz przedstawiał kolejne dowody przeciwko Annie starannie, jeden po drugim, jak gdyby nakrywał do stołu. Ja jednak nie miałam ochoty zasiąść do biesiady, którą szykował.

– Listy potwierdzają, że mąż groził Martine śmiercią – oświadczyłam. – Złamał jej rękę. To jego musicie aresztować.

– Nie ma dowodów na to, że ją zabił.

– Czy na pogrzebaczu były jego odciski palców?

– Nie.

– To trochę dziwne, nie uważa pan? Dlaczego miałby nie używać pogrzebacza we własnym domu?

Wyjęłam z pojemnika jeden kawałek ciasta i położyłam na stole. Papier woskowany lekko się rozsunął, ukazując skrawek lśniącej polewy.

Komisarz spojrział na wilgotne ciasto czekoladowe, po czym popatrzył na mnie, tak jakby po raz pierwszy naprawdę mnie zauważył.

– Nam też wydało się to dziwne. Na rączce znaleziono tylko odciski Anny.

– Wygląda to tak, jak gdyby ktoś użył pogrzebacza, a potem wytarł ślady.

Kannemeyer poruszył się na krześle i wyrztał przez okno. Po niebie płynęło kilka dużych chmur, napęczniałych deszczem, który prawdopodobnie nigdy nie spadnie.

– To nie samo uderzenie pogrzebaczem ją zabiło – odezwał się w końcu. – Martine zażyła albo podano jej silne środki uspokajające. Dopiero potem nastąpiło uderzenie w głowę. Na koniec została uduszona. Prawdopodobnie poduszką. W jej ustach znaleziono strzępki wypełnienia z poduszki.

– Słucham? – wykrztusiłam.

– Bardzo mi przykro.

Samobójstwo to jak gdyby dwukrotne morderstwo, uśmiercenie serca i ciała. Jednak Martine w pewnym sensie została zamordowana trzy razy. Nie wierzyłam, że Anna mogłaby zrobić coś takiego.

– Moim zdaniem to nie wygląda na zbrodnię w afekcie – powiedziałam. – To musiało być zaplanowane.

– Cóż, *tannie* Mario, uważam podobnie.

– Dlaczego więc aresztowaliście Annę?

– Musimy działać na podstawie dowodów, które zebraliśmy. Anna została aresztowana, ale nie skazana. Może złożyć wniosek o wyjście za kaucją. Mam nadzieję, że uda się pani przemówić jej do rozsądku. Tylko panią chciała widzieć. Proszę ją przekonać, żeby zwróciła się o pomoc do prawnika. I żeby wniosła zarzuty przeciwko van Schalkwykowi.

– Co mówi Dirk van Schalkwyk? Przesłuchaliście go?

– Oczywiście, że tak. To, co powiedział, pozostaje do wiadomości policji. Przedstawiam pani historię Anny tylko dlatego, że ona potrzebuje pani pomocy.

– W takim razie proszę mi pozwolić zobaczyć się z nią. Czy mógłby pan przysłać nam dwie kawy?
– Zabrałam pojemnik z biurka i nałożyłam pokrywkę. – Do ciasta.

– Zaprowadzę panią do Anny.

Ślepym korytarzem poprowadził mnie do leżącego na tyłach komisariatu pomieszczenia. Było w nim niewielkie okno, metalowy stolik z emaliowanym blatem i dwa plastikowe krzesła. Ściany, żółtawobiałe i popękane, przypominały zęby palacza.

Policjantka wprowadziła Annę ubraną w dżinsy i niewyprasowaną koszulę khaki. Ciemne krótkie włosy Anny były rozczochrane. Gniewnym spojrzeniem obrzuciła Kannemeyera i funkcjonariuszkę.

Otwarłam pojemnik, po czym postawiłam go na stole. Usiadłyśmy. Anna próbowała się do mnie uśmiechnąć, lecz usta miała zaciśnięte.

Policjantka zbliżyła się, żeby zobaczyć ciasto. Założę się, że nigdy w życiu nie widziała tak pysznego czekoladowego placka, ale musiała obejść się smakiem. Nawet gdyby Anna poczęstowała mnie swoją porcją, odmówiłabym. Wyglądała na osobę, która powinna sama zjeść cały kawałek, do ostatniego okruszka. Gdy funkcjonariuszka podeszła do nas, Anna zacięła usta jeszcze mocniej, a jej wargi niemalże zniknęły. Musiałam zrobić coś, żeby się odprężyła, jeśli miała cokolwiek powiedzieć lub przełknąć.

– Posterunkowy Witbooi przyniesie kawę – oznajmił Kannemeyer, który zatrzymał się w progu.

– Czy możemy zostać same? – zwróciłam się do policjantki. – Proszę.

Funkcjonariuszka obejrzała się za siebie, jak gdyby uznała, że mówię do kogoś innego.

– Jestem tutaj dla pani bezpieczeństwa – rzekła.

Popatrzyłam na komisarza, a wtedy on ruchem głowy nakazał policjantce wyjść. Drzwi za nimi się zatrzasnęły, szczęknął zamek.

– Jak się masz? – spytałam.

Anna spojrzała na mnie dużymi brązowymi oczami.

– Och, *tannie* – wymamrotała.

Uniosła palce do czoła i oparła głowę na rękach.

Do celi wszedł Piet z kawą.

– Dziękuję, panie posterunkowy.

Gdy policjant wyszedł, Anna wyprostowała się i znów na mnie popatrzyła. Ja tymczasem dolewałam mleczko do naszych kaw i słodziłam je.

– Cholera jasna – warknęła kobieta, kopiąc butem nogę stolika. – Zawaliłam.

Filizanki zadrżały, ciasto podskoczyło. Polewa zaczynała się już topić. Podałam Annie kawę i próbowałam napić się swojej, ale wciąż była za gorąca.

Anna potarła dłońmi uda.

– Ona nie żyje. Nie żyje. To wszystko przeze mnie – wyjęczała.

Czyżby chciała przyznać się przede mną do winy?

– Och, Anno – powiedziałam, po czym zamilkłam.

Jeśli zamierzała mówić, ja byłam gotowa słuchać.

– Przyjechałam za późno – oświadczyła.

Przeciągnęła palcami po włosach, mierzwiąc je jeszcze bardziej.

– Wiedziałam, że ten sukinsyn ją zabije. Mogłam do tego nie dopuścić. Ale ona zakazała mi przyjeżdżać, a ja jej posłuchałam. Byłam głupia, nie powinnam była jej słuchać. We wtorek karmiłam u siebie kaczki i nagle poczułam, jak gdyby ktoś uderzył mnie w brzuch. Od razu do niej pojechałam.

– Przeniosła wzrok na ścianę. – Ale było już za późno...

Patrzyła nie na popękana farbę, lecz na obrazy, które przesuwały się przed jej oczami.

– Poczęstuj się ciastem – zaproponowałam.

Anna nie sięgnęła po ciasto. Łyknęła za to kawy.

– Pogrzebacz – zaczęłam. – Są na nim twoje odciski palców.

– Kiedy znalazłam martwą Tienie, byłam zrozpaczona i wściekła. Wściekła na niego. Na Tienie. Na siebie. I na to przekłete zdjęcie ślubne. Stało tam, gapiło się na mnie, kłamało w żywe oczy, jak zawsze kiedy tam przychodziłam. Wiem, że to głupie, ale dostałam takiego szału, że chwyciłam pogrzebacz i walnęłam w to cholerne zdjęcie, aż przeleciało przez cały pokój.

Ja również łyknęłam kawy.

– Czy uderzyłaś Martine? – spytałam.

Oczy Anny się rozszerzyły.

– *Tannie* Mario, ja ją kochałam.

Nie spuszczałam z niej wzroku.

– Nie – powiedziała. – Nigdy bym jej nie skrzywdziła. Przenigdy. Ale Dirk... – Pociągnęła solidny łyk kawy. – Zapłaci za to.

Rozwinęłam papier i przesunęłam ciasto bliżej Anny, ona zaś zaczęła je skubać. Teraz wiedziałam, że będzie dobrze, że wyjdzie z tego. Gdy usta miała już pełne, skinęła na mnie i uniosła oba kciuki.

– Wniosłaś oskarżenie z powodu tego, co zrobił w komisariacie? – spytałam, gdy skończyła jeść.

Zlizwała polewę z palców i pokręciła głową.

– To sprawa między mną a nim.

– Anno, musisz mieć adwokata. Przyniosłam numery telefonów, które podałam ci w liście. Zadzwoń do Pomocy Prawnej. Ubiegaj się o zwolnienie za kaucją. – Wyjęłam z kieszeni kartkę. – Proszę.

Roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było radości.

– *Tannie* Mario – powiedziała – myślisz, że obchodzi mnie to, czy pójdę do więzienia? – Wzięła kartkę, ale nawet na nią nie spojrzała. – Myślisz, że mnie obchodzi, czy umrę? Kochałaś kogoś kiedyś? Kochałaś kiedyś tak naprawdę?

Nagle pożałowałam, że nie przywiozłam ciasta dla siebie. Anna zjadła bardzo duży kawałek zupełnie sama.

– Nie – odparłam, wpatrując się w filiżankę.

Henk Kannemeyer przyszedł po mnie i mój pusty pojemnik po cieście. Na dolnej wardze miał odrobinę polewy czekoladowej.

– Będzie występować o zwolnienie za kaucją? – spytał, gdy ruszyliśmy korytarzem.

– Dałam Annie numery telefonów do adwokatów z Pomocy Prawnej – odpowiedziałam. – Moim zdaniem ona tego nie zrobiła.

– Ciasto – mruknął komisarz – było bardzo dobre.

Gdy weszliśmy do jego gabinetu, zobaczyłam, że podzielił się swoim kawałkiem z posterunkowym. Piet przyglądał się z uwagą każdemu okruszkowi na talerzyku, jak gdyby szukał wskazówek mogących naprowadzić na trop tego, w czym tkwi sekret tak doskonałego czekoladowego placka. W tym momencie zadzwonił stojący na biurku telefon i komisarz Kannemeyer przystanął, żeby odebrać. Uniósł rękę, prosząc mnie gestem, abym chwilę poczekała, ja jednak wymknęłam się z gabinetu. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu. W kuchni czekała na mnie jeszcze połowa

ciasta czekoladowego.

ROZDZIAŁ 19

Następnego ranka obudziłam się z lekką niestrawnością, połknęłam więc tabletki na zgagę.

Na stole w kuchni leżał ostatni kawałek ciasta czekoladowego na maślanec. Resztę zjadłam poprzedniego wieczoru, gdy przyrządzałam herbatniki z żurawiną i starałam się zapomnieć o tym, co Anna powiedziała o miłości. Zaparzyłam kawę i wyszłam na werandę, żeby popatrzeć, jak wstaje dzień. W Karru dzieje się to zupełnie zniecka. W jednej chwili światło jest łagodne, pełne nocnych cieni, w następnej zaś rażący blask słońca zrywa wszystko ze snu. Zanim zdążę wypić filiżankę kawy, Rooiberg zmieni kolor z czerwonego przez pomarańczowy na ciemnożółty.

W powietrzu zaczął się ruch, rozległo się bzyczenie owadów, furkot ptasich skrzydeł i śpiewne nawoływania: dławiki wydziobywały fioletowe jagody z rosnących na sawannie drzew *gwarrie*, po gałęziach akacji skakały dzierzbiki.

Wszystkie pięć kur przybiegło, żeby się ze mną przywitać, czerwone korale i grzebienie podskakiwały, a brązowe pióra drżały, gdy ptaki spieszyły w moją stronę. Sięgnęłam do stojącego na werandzie wiadra z gniecioną kukurydzą i rzuciłam im garść ziarna.

Gdy dopiłam kawę, spojrzałam na niebo, rozglądając się za deszczowymi chmurami, jednak żadnych nie dostrzegłam. Miałam na sobie przewiewną, niebieską, bawełnianą sukienkę i byłam boso, lecz mimo to zdążyło mi się zrobić gorąco.

Do puszki, którą zawsze wożę do redakcji, włożyłam świeżą porcję herbatników z musli. Zerknęłam na leżące na stole ciasto. Był to ostatni kawałek być może najlepszego czekoladowego placka, jaki kiedykolwiek zrobiłam. To duża odpowiedzialność.

Nie mogłam zjeść go sama. Nie dlatego, że męczyła mnie niestrawność. Dolegliwości żołądkowe miną. Zawsze mijają. Czułam jednak, że z takiego ciasta należy zrobić dobry użytek.

– Zastanawiam się, jak mógłbyś pomóc w tej całej sprawie – powiedziałam do ostatniego kawałka.
– Pozostałe porcje dobrze się spisały wczoraj w komisariacie. Biedna Anna, mam nadzieję, że niedługo wyjdzie na wolność. W areszcie na pewno karmią okropnie. – Usiadłam przy stole. – Ktoś jednak musi jeść więzienne jedzenie.

Po zażytych tabletkach zrobiło mi się trochę lepiej na żołądku, wstałam więc i ugotowałam jajko. Tylko jedno. Zostałam chwilę w kuchni, żeby je zjeść, a potem jeszcze kawałek chleba z dżemem morelowym.

– Moim zdaniem to ten cały mąż, Dirk, powinien się stołować w więzieniu – oznajmiłam jajku, gdy delikatnie rozbijałam łyżeczką jego czubek. – I chyba należałoby wreszcie zamienić z nim parę

słów.

Gdy skończyłam śniadanie, ponownie zwróciłam się do ciasta.

– Muszę się jednak przygotować. Nie można iść do mordercy nieprzygotowanym.

Sprzątnęłam ze stołu, a następnie przyszykowałam dwie kanapki z chleba na zakwasie i pieczeni jagnięcej. Jedną dla Dirka, drugą dla siebie. Z musztardą, korniszonami i sałatą. Przekroiłam je na pół i włożyłam do pojemnika. Kawałek ciasta obłany lśniąco czekoladowo-rumową polewą wciąż leżał na stole. Zawinęłam ciasto w papier woskowany i również zapakowałam je do pojemnika.

Pojemnik i puszka herbatników pojechały ze mną do redakcji. Zaparkowałam w cieniu jakarandy. W chwili, gdy weszłam do biura, rozdzwonił się telefon. Hattie pomachała mi na przywitanie i odebrała. Jessie nie było.

– Harriet Christie – rzuciła do słuchawki. – Pan Marius... Dzień dobry. Tak, proszę pana. Oczywiście...

Na moim biurku leżała gruba kremowa koperta zaadresowana do mnie pięknym charakterem pisma. Stempel pocztowy pochodził z Barrydale.

– Robimy, co w naszej mocy – mówiła Hattie.

Pan Marius był sponsorem naszej gazety. Zajmował się handlem nieruchomościami. Hattie, patrząc na mnie, otwierała usta i udawała, że wkłada do nich palec wskazujący. Najwyraźniej od rozmowy robiło jej się niedobrze. Cieszyłam się, że nie muszę wykonywać jej pracy. Usiadłam przy biurku i starając się nie zwracać uwagi na to, co mówi Hattie, przeczytałam list.

Tannie Mario,

podoba mi się Pani styl. Dzielną z Pani kobietką.

Jestem dekoratorem wnętrz, który wyprowadził się z Kapsztadu, można powiedzieć, że na emeryturę, do jednego z uroczych miasteczek w Karru. Większość czasu czuję się tu bosko, ale czasami ciasnota umysłu tutejszych mieszkańców sprawia, że mam ochotę rwać włosy z głowy i błagać o litość. Nie będę jednak zbaczać z tematu. Pod koniec tego miesiąca mój przyjaciel obchodzi urodziny i pomyślałem, że warto byłoby to uczcić wykwintną kolacją. Sprowadziłem na tę okazję komplet ceramicznych talerzy w kolorze jasnego turkusu – kunsztowna ręczna robota. Mój przyjaciel to młody mężczyzna, który lubi solidne mięsne dania, ale sądzę, że takie wydarzenie zasługuje na coś więcej niż [pap en wors](#). Ma Pani jakiś pomysł? Przydałoby się coś, co smakiem i kolorem pasowałoby do nowej zastawy. Coś wyjątkowego i z charakterem – jak mój przyjaciel. Coś ognistego.

Marco

Przymknęłam oczy i zaczęłam sobie wyobrażać te cudowne jasnoturkusowe talerze. Zobaczyłam

na nich [frikkadelle](#), [tamatiesmoor](#) i żółty [mieliepap](#). Tak, te pikantne klopsy, sos z dużymi kawałkami pomidorów oraz kasza kukurydziana będą wspaniale wyglądały na niebieskiej zastawie. Oprócz tego przydałyby się dodatki w postaci pieczonych kawałków różnokolorowych warzyw, takich jak burak, dynia piżmowa, żółta papryka. I feta. Och, cóż za piękny widok...

– Hej, *tannie* M. – Głos Jessie sprawił, że cudowny obraz rozwiął mi się przed oczami. – O kim tak marzysz?

Drgnęłam

– Jessie, wystraszyłaś mnie. Myślałam właśnie o klopsach.

– Jak ci poszło wczoraj w areszcie? – spytała Hattie, odkładając słuchawkę.

– Smakowało im twoje ciasto? – zainteresowała się Jessie.

– Och, tak – odparłam, po czym wstałam i napełniłam czajnik wodą. – Kawy, herbaty?

– Tak – potwierdziła Jessie.

– Poproszę – dodała Hattie.

– Pewnie nie został ci już ani kawałeczek? – dociekała młoda dziennikarka, zerkając na pojemnik, który postawiłam na biurku.

– Jeden został – przyznałam. – Ale mam co do niego pewne plany. Przyniosłam wam beskuit na maślanec z musli.

Opowiedziałam o spotkaniu z Kannemeyerem i Anną.

– Rzeczywiście wygląda to tak, jak gdyby ktoś wytarł odciski palców z pogrzebacza, zanim chwyciła go Anna – mruknęła Jessie, biorąc ode mnie filiżankę kawy i herbatnik.

– I bez sensu byłoby, gdyby zrobił to Dirk, w końcu to jego własny pogrzebacz i należałoby się spodziewać, że będą na nim jego odciski palców – dedukowała Hattie, sięgając po herbatę i lekceważąc herbatniki.

– Tak, tyle że to cholerny idiota – warknęła Jessie. – Więc mógł zrobić coś takiego.

– Myślę, że musimy z nim porozmawiać – oznajmiłam.

– Ale czy on będzie chciał rozmawiać z nami? – zastanowiła się Hattie. – Zdaje się, że to niezbyt miły facet.

– Mam kawałek ciasta czekoladowego i kanapkę z jagnięciną. Z musztardą i korniszonami. Może to rozwiąże mu język.

– Moim zdaniem nie powinnyśmy częstować tego sukinsyna ciastem i jagnięciną – obruszyła się Jessie. – Jedyne, na co zasługuje, to potężny kopniak między nogi.

– Ten facet ma broń, pamiętajcie – ostrzegła Hattie. – Ale zgadzam się, że prędzej będzie chciał rozmawiać z *tannie*, która przyniesie dobre jedzenie, niż z dziennikarkami śledczymi.

– No dobra – zgodziła się Jessie. – Pójdiesz z jedzeniem, a ja poczekam na zewnątrz. Jeśli

krzykniesz, przybiegnę, żeby dać mu tego kopniaka. I poprawić gazem łązawiącym.

Przydałaby mi się taka Jessie, kiedy byłam żoną Faniego. Poczęstowałam ją jeszcze jednym herbatnikiem.

– Dirk zatrzymał się w pensjonacie Dwarsrivier – powiedziała Jessie. – Widziałam jego samochód na parkingu i rozmawiałam z *tannie* Sarie, która tam sprząta. Zameldował się na kilka dni.

– Dlaczego wyprowadził się z domu? – spytałam.

– To miejsce zbrodni. Przyjechała ekipa RCIK z Oudtshoorn. Owinęli wszystko żółtą taśmą.

– Boże drogi, Jess. Skąd ty to wiesz? – zdziwiła się Hattie. – Spotykasz się z Reghardtem? On ci o wszystkim opowiada?

– To nie do końca tak – odparła Jessie, okręcając wokół palca końcówki włosów związanych w koński ogon. – Ale widujemy się ostatnio dość często i przez przypadek usłyszałam, jak rozmawia z kimś z policji przez telefon, a potem przez przypadek przejeżdżałam obok farmy van Schalkwyka. Zawróciłam, gdy tylko zobaczyłam samochody RCIK.

Hattie pokręciła głową.

– Moim zdaniem my też powinniśmy obejrzeć miejsce zbrodni – ciągnęła Jessie. – I to jak najszybciej. Zanim Dirk wróci do domu. Ekipa z RCIK ma dzisiaj skończyć, a wtedy policja przestanie pilnować farmy.

– O rety, Jess, nie chcę, żebyś narobiła sobie kłopotów – przejęła się Hattie.

– To Anna ma kłopoty, do tego przez morderstwo, którego nie popełniła. Musimy spróbować jej pomóc.

– Nie wolno nam łamać prawa – przekonywała Hattie.

– Może tobie nie wolno. Jesteś szefową. Ale ja jestem dziennikarką śledczą. Ode mnie się oczekuje, że będę łamać prawo.

– Może uda nam się trochę naciągnąć tę żółtą taśmę – wtrąciłam się. – I niczego nie połamać.

– Dziewczyny, proszę, nie zróbcie nic głupiego. – Hattie westchnęła.

Jessie mrugnęła do mnie. Obydwie popatrzyłyśmy na Hattie wielkimi, niewinnymi oczami. Jessie dopiła kawę, po czym położyła dłoń na kieszeni przy pasku, w której krył się gaz łązawiący.

– Chodźmy – rzuciła. – Założę się, że Dirk umiera z głodu.

ROZDZIAŁ 20

Dwarsrivier jest zaledwie dwie ulice dalej, ale ponieważ letnie słońce może usmażyć przechodnia w kilka sekund, pojechałyśmy moim *bakkie*. Przed pensjonatem stało mnóstwo samochodów i musiałam zaparkować nieco dalej. Kryjąc się w cieniu akacji, ruszyłyśmy wolnym krokiem w stronę pensjonatu. Był to jeden z tych niskich, klockowatych budynków, które stawiano w latach siedemdziesiątych. Pomalowany na jasnobrązowy kolor, nie miał w sobie nic oryginalnego w przeciwieństwie do większości domów w Ladismith utrzymanych w wiktoriańskim stylu. Najładniejszy na całej posesji był usytuowany od frontu trawnik obrzeżony różowymi kwiatami oraz ławka postawiona w cieniu jakarandy i typowych dla Karru wierzb.

– To toyota Dirka – powiedziała Jessie, wskazując duże, białe, terenowe auto.

Przed pensjonatem stała również furgonetka marki Toyota Hilux, z której jakaś rodzina wyładowywała bagaże.

– Nie wyglądają na turystów – zauważyłam.

Wszyscy byli elegancko ubrani i nie sprawiali wrażenia wędrowców, którzy lubią się włóczyć po bezdrożach. Na boku furgonetki widniał rysunek i jakiś napis.

– Adwentyści dnia siódmego – stwierdziła Jessie. – Pisałam o nich artykuł... – Spojrzała przed siebie na drogę. – Czy to nie Anna?

Tak, to była ona. Wskoczyła ze swojego *bakkie* i wielkimi krokami zmierzała w kierunku pensjonatu. Była dalej niż my, ale szła szybko, z pochyloną głową i zmarszczonymi brwiami.

– Pewnie wyszła za kaucją – powiedziałam.

– I pewnie też chce się zobaczyć z Dirkiem – dodała Jessie.

– Założę się, że nie przyniosła mu ciasta – mruknęłam.

– Anno! – zawołałam i pomachałam ręką. Kobieta nawet nie spojrzała w moją stronę. Przyspieszyłyśmy kroku. – Anno!

Zobaczyła nas, ale nie wydawała się z tego powodu zadowolona. Jessie pobiegła przodem i stanęła przed furtką, żeby zagrozić jej drogę, jednak Anna nie zwolniła. Szła prosto na Jessie.

– Anno! Czekaaj!

Nie biegłam, ponieważ nie uznaję biegania, ale szłam bardzo szybko i ciężki oddech utrudniał mi wołanie.

Anna się zatrzymała. Obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem. Miała na sobie robocze buty, dzinsy

i białą męską koszulę.

Otarłam pot z czoła, odczekałam chwilę, aż wróci mi głos, po czym spytałam:

– Co robisz?

– *Tannie Mario* – wydyszała Anna. – Trzymaj się od tego z daleka.

Odepchnęła Jessie, jak gdyby dziewczyna ważyła nie więcej niż beza, po czym asfaltową alejką ruszyła niczym taran w stronę drzwi pensjonatu. Brodaty mężczyzna zeskoczył z alejki na rabatkę, żeby zejść jej z drogi. Zanim weszła do środka, położyła dłoń na wybrzuszeniu z tyłu koszuli. Był to zatknięty za pasek od spodni pistolet.

Jessie wyjęła gaz łzawiący.

– Z pistoletem nie masz szans – powiedziałam.

– Wiem, ale Dirk też ma broń i może trzeba będzie pomóc Annie.

– Jessie, nie! – zawołałam, ona jednak pomknęła ścieżką i znikła w budynku.

Począpałam za nią uzbrojona jedynie w pojemnik z jedzeniem. Przemierzyłam hol wyłożony ciemną wykładziną w cętki, po czym dotarłam do recepcji z beżowymi kanapami i biurkiem, za którym siedziała rudowłosa dziewczyna. Nigdzie nie widziałam Anny ani Jessie.

– Proszę wezwać policję. Natychmiast – zażądałam. – I pogotowie.

Dziewczyna rozdziawiła usta, wpatrując się we mnie bez ruchu. Wtedy chwyciłam leżący na kontuarze telefon i wybrałam numer alarmowy.

– Mamo...! – zawołała dziewczyna.

Owinęła wokół palca kosmyk włosów i nie przestawała go okręcać.

Policjant, który odebrał telefon, zarzucił mnie pytaniami, ale kazałam, aby połączył mnie z komisarzem Kannemeyerem.

– Anna właśnie weszła do pensjonatu Dwarsrivier, w którym zatrzymał się Dirk – rzuciłam, gdy usłyszałam głos komisarza. – Jest uzbrojona, ma pistolet.

– Jadę – powiedział.

– Może być potrzebna karetka – zdążyłam dodać, zanim się rozłączył. – W którym pokoju mieszka Dirk van Schalkwyk? – spytałam recepcjonistkę.

– Maaaamooo...! – znów zawołała dziewczyna, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

Usłyszałam hałas i zobaczyłam otwarte drzwi prowadzące na podwórze. Z biura za recepcją wytoczyła się kobieta w kwiecistej sukience i chustce zakrywającej lokówki na głowie.

– Taaak... – odezwała się do córki.

Ja jednak zmierzałam już na podwórze. Drzwi pokoi wychodziły na ogródek z basenem, leżakami oraz stołem i krzesłami rozstawionymi w cieniu parasola. Dzieci i nastolatki pływały i wylegiwały się przy basenie. Jessie usiłowała zagonić je do recepcji, ale nie zwracały na nią uwagi.

– Ewakuacja! – wołała. – Ruszcie się, już!

Dziewczyna opalająca się na leżaku przewróciła się z pleców na bok.

– Byłam tu pierwsza – oznajmiła.

Jakiś chłopczyk wskoczył z rozpędu do basenu, ochlapując nas wszystkich wodą. Było to niegrzeczne z jego strony, ale dobrze mi zrobiły chłodne krople, które spryskały mi twarz i ramiona.

Anna szła od drzwi do drzwi, sprawdzając po kolei każdy pokój. Pistolet nadal miała wetknięty za pasek. Niewychowana ta dzisiejsza młodzież, pomyślałam, lecz tak czy inaczej dzieci na pewno trzeba było ochronić przed strzelaniną. Zsunęłam pantofle, stanęłam na pierwszym schodku prowadzącym do basenu, po czym otwierałam pojemnik. Odwinęłam ciasto i wyciągnęłam je przed siebie. Podziałało – przyciągnęłam uwagę dzieciarni.

– Ciasto! – oznajmiłam. – Kto wejdzie do środka, ten dostanie kawałek. Czekać w recepcji, dopóki was nie zawołam.

Dzieci zerwały się i pomknęły do budynku jak na skrzydłach. Dobiegły mnie pokrzykiwania rudowłosej recepcjonistki i jej mamy, gdy ociekająca wodą czereda wbiegła na hotelową wykładzinę. Przykro mi było, że okłamałam je z tym ciastem. Zamierzałam jednak zrobić coś, dzięki czemu obietnica zostanie spełniona.

– Uciekajcie stąd! – zawołała Jessie, wymachując gazem łzawiącym przed parą ludzi, którzy wyjrżeli z jednego z pokoi.

Goście spojrzeli na Jessie, na Annę, po czym czmychnęli w popłochu.

Pozostało jeszcze tylko dwoje zamkniętych drzwi.

– Nie rób tego, Anno! – zaklinałam ją. – Usiądź i porozmawiajmy. Mam kanapkę z jagnięciną i ciasto. – Przycisnęłam pojemnik do serca. – Proszę.

Ona jednak była skoncentrowana jak lwica tropiąca zdobycz.

– Spieprzaj! – warknęła.

Nacisnęła klamkę i uchyliła przedostatnie drzwi. Zamknęłam pojemnik, cofnęłam się kilka kroków. Sprawy wyglądały coraz gorzej. Jessie, która zdążyła zająć Annę od tyłu, chwyciła ją za ramię, ale ta odepchnęła ją tak mocno, że młoda dziennikarka zatoczyła się, straciła równowagę i wpadła prosto do basenu, ponownie fundując mi zimny prysznic.

Anna, trzymając pistolet w wyciągniętej przed siebie ręce, popchnęła drzwi stopą. Pokój był pusty.

Wtedy rozległ się odgłos spuszczonej wody. W następnej sekundzie dźwięk zrobił się jeszcze głośniejszy, ponieważ ktoś otworzył drzwi do łazienki. W progu toalety stanął jednak nie Dirk, lecz kobieta w długiej sukience.

– Spadaj! – warknęła Anna, przeganiając ją z pokoju.

Kobieta wrzasnęła i rzuciła się do ucieczki, pędząc w stronę głównego budynku.

Nadal słychać było bulgotanie i pluski...

O mój Boże, Jessie! Przypomniałam sobie, że ona nie umie pływać.

Wskoczyłam do basenu. Udało mi się chwycić dziewczynę pod brodę i wystawić jej twarz na powierzchnię. Jessie łapczywie wciągnęła powietrze. Utrzymując jej głowę ponad taflą wody, zaciągnęłam ją na płytki koniec basenu, gdzie krztusząc się i kaszląc, usiadła na schodach.

Anna dobijała się do ostatniego pokoju. Szarpała za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Zasłony w oknach były zaciągnięte. Kobieta cofnęła się kilka kroków, w ręce nadal trzymała pistolet. Wydawało mi się, że zasłony delikatnie się poruszyły, lecz oczy miałam zalane wodą i nie widziałam dokładnie.

Anna rzuciła się pędem przed siebie i z całej siły kopnęła w drzwi. Usłyszałam trzask pogruchotanego zamka. Drzwi ustąpiły, a wtedy kobieta wpadła do środka.

Zaczęła się strzelanina. Było głośno. Bardzo głośno.

Chwilę później zrobiło się cicho. Bardzo cicho.

Ciszę przerwało wycie syren, które z każdą sekundą narastało. Wreszcie przyjechali. Ale było już po wszystkim. Dirk wytoczył się z pokoju, twarz i bokobrody miał umazane krwią, krew spływała mu wzdłuż ramion, ściekała na dłonie, skapywała z palców. Patrzyłam, jak chwiejnym krokiem idzie w stronę basenu. Nic nie widział.

Powinłam była zawołać, zatrzymać go. Ale tego nie zrobiłam.

Wpadł do wody. Powinłam była wskoczyć za nim, żeby go ratować. Ale tego też nie zrobiłam.

Razem z Jessie popędziłyśmy do pokoju. Na podłodze leżała Anna. Jej dzinsy miały ciemniejszy kolor niż powinny, białą koszulę znaczyły jaskrawoczerwone plamy.

– Nie! – jęknęłam. – Anno...

Chciałam do niej podejść, lecz czyjeś silne ręce odciągnęły mnie na bok. Nagle zaroilo się od umundurowanych ludzi. W następnej chwili siedziałam. Na krześle, zdaje się, że na zewnątrz.

Anna. Zastanawiałam się, czy była teraz tam, gdzie pragnęła być. Razem ze swoją miłością. Razem z Martine.

Ludzie, wszędzie wokoło pełno ludzi.

Ja jednak czułam się tak, jakbym była zupełnie sama.

ROZDZIAŁ 21

– Czy oni wszyscy już sobie poszli, *tannie*? Mama mówiła, że to petardy, ale tata powiedział, że to były strzały.

Nie wiem, jak długo siedziałam odcięta od rzeczywistości, aż z odrętwienia nie wyrwał mnie dziecięcy głos. Niebieska sukienka wyszła i przylgnęła mi do ciała.

– A potem zobaczyłem tych ludzi całych we krwi – ciągnął chłopiec. – To chyba tata miał rację. Petardy nie zrobią takiej krzywdy, prawda, *tannie*? Chociaż mama mówi, że są niebezpieczne. Przyjechała policja, *tannie*, kilku policjantów dalej tu jest.

Dziecko spoglądało na mnie dużymi oczami, ręce trzymało splecione przed sobą. Chudy chłopiec w kąpielówkach i z wystającymi żebrami. Przed pokojem Dirka stał funkcjonariusz zabezpieczający pomieszczenie żółtą taśmą z niebieskim napisem „POLICJA”. Drugi policjant robił zdjęcia.

– Czy oni nie żyją, *tannie*? Umarli?

– Nie wiem – odpowiedziałam.

– Razem z siostrą weszliśmy do środka, tak jak pani kazała. Schowaliśmy się za kanapą.

Zorientowałam się, że cały czas przyciskam do piersi pojemnik. Rozluźniłam uchwyt i położyłam plastikowe pudełko na kolanach. Spojrzenie chłopca powędrowało za jedzeniem.

– Bałem się, *tannie*. Wszyscy się baliśmy. Ale już po wszystkim, prawda?

– Tak – potwierdziłam. – Już po wszystkim.

Dorośli i niektóre dzieci wracali do swoich pokoi, jednak kilku małolatów nadal czuło się bezpieczniej w głównym budynku. Nieśmiało wyglądali przez drzwi, byli przestraszeni i potrzebowali czegoś, co pomogłoby im dojść do siebie.

– Ciasto – powiedziałam, wstając i poprawiając zmiętą sukienkę.

Chłopczyk zerwał się i popędził przede mną w stronę pensjonatu, wołając:

– To *tannie* z ciastem! Mówi, że już po wszystkim! Dostaniemy ciasto!

Weszłam do budynku i usiadłam na beżowej kanapie, a dzieci, nerwowo przestępując z nogi na nogę, wianuszkami otoczyły mnie i mój pojemnik. Sofa była zrobiona z imitacji skóry, która w dotyku przypominała plastik i lepiała się do ciała. W biurze za recepcją policjantka rozmawiała z mamuszką w wałkach na głowie.

– Dzieci – zaczęłam – obiecałam wam wszystkim ciasto i dostaniecie ciasto.

– Baliśmy się, *tannie* – pisnęła jedna z dziewczynek. – Było bardzo głośno. Leciła krew.

Widzieliśmy.

– Wyglądała jak keczup – wtrącił starszy chłopiec. – Rozbryzgany wszędzie wokół. Bałagan jak nie wiem. – Wskazał młodą rudowłosą recepcjonistkę szorującą cętkowaną wykładzinę.

– Chciałam szybko zaprowadzić was w bezpieczne miejsce, dlatego nie zdążyłam wszystkiego dobrze wytłumaczyć. Mam przy sobie tylko jeden kawałek ciasta.

Dzieciom zrzędyły miny. Jedna dziewczynka się rozpłakała.

– Jestem głooooodnaaaa.

– Ale to bardzo duży kawałek i każdy będzie mógł spróbować – dodałam szybko, otwierając pojemnik. – Poza tym zaraz pojedę do domu, upiekę nowe ciasto, przywiozę je i wszyscy dostaniecie po porządnej porcji.

Moja obietnica chyba trochę pocieszyła gromadkę. Dziewczynka przestała szlochać, wyciągnęła rączki do mnie i do jedzenia.

– W porządku, możecie też poczęstować się kanapkami – powiedziałam, chociaż sama również zdążyłam już porządnie zgłodnieć. – No dobrze, teraz przydałby się nóż...

W tym momencie spiesznym krokiem podeszła do mnie blada kobieta, lecz zamiast podać mi nóż, rzekła:

– Chwileczkę. Czym pani ich częstuje?

Odpowiedziałam na pytanie, po czym dodałam, że później upiekę jeszcze jedno ciasto, a tymczasem szukam noża, jednak kobieta ani drgnęła. Może również nabrała apetytu na czekoladowy placek, chociaż byłoby to łakomstwem z jej strony, ponieważ dzieci bardziej niż ona potrzebowały czegoś dobrego. Na szczęście znalazła się również Jessie, która wyjęła z kieszeni przy pasku scyzoryk, rozłożyła największe ostrze i wręczyła mi nóż. Ta dziewczyna naprawdę była doskonale przygotowana na każdą sytuację.

– Policja spisała moje zeznania – poinformowała mnie Jessie. – Chcieli przesłuchać również ciebie, ale wcześniej nie byłaś w nastroju do rozmowy. Powiedziałam Kannemeyerowi, że później przyjdiesz do komisariatu.

– Był tutaj Kannemeyer? – spytałam, krojąc ciasto na cieniutkie plasterki.

Jessie kiwnęła głową.

– Nie pamiętasz? – zdziwiła się.

– To ciasto – zagadnęła blada kobieta – jest robione na maśle i jajkach?

– Och, tak – zapewniłam. – Na najlepszych jajkach zniesionych przez moje kury. I na maślanec.

Może chciała wziąć przepis. Zanim jednak zdążyłam się nim z nią podzielić, kobieta odciągnęła ode mnie dziewczynkę i chudego chłopca, po czym uniosła rękę w ostrzegawczym geście.

– Przykro mi, nie jadamy mięsa ani nabiału – oznajmiła.

Ja i dziewczynka jednocześnie otwarłyśmy szeroko usta. Mała odrzuciła głowę do tyłu i rozpłakała

się, a chłopcu zaczęła drzeć dolna warga. Ja również poczułam, że zbiera mi się na płacz. To był bardzo dziwny dzień.

Miałam wrażenie, że dywan pod moimi nogami delikatnie faluje, a ściany pokoju zaczynają się kołysać. Czy właśnie tak wygląda trzęsienie ziemi?

– *Tannie* Mario, dobrze się czujesz? – spytała Jessie.

Wyjęła mi pojemnik z rąk, ponieważ trzymałam go tak, jakbym zaraz miała go upuścić. Usiadła obok mnie na kanapie i wydawało się, że trzęsienie ziemi jej nie dotyczy. Matki usiłowały odciągnąć dzieci, które płakały i zapierały się nogami.

– Nie jest tak źle – powiedziała Jessie, poklepując mnie po ramieniu. – Rozmawiałam z mamą. Ma dyżur w szpitalu. Oboje żyją. Rany są powierzchowne, stracili trochę krwi, ale żadne ważne narządy nie zostały uszkodzone. Dobrze, że karetka przyjechała tak szybko. Anna ma jedną nogę złamaną przez pocisk, w drugą jest ranna, ale wyjdzie z tego. Ta świnka, Dirk, też się wykaraska, chociaż mocno oberwał w obydwie ramiona. To jakiś cud, że się nie pozabijali.

Matki wezwały na pomoc ojców i wspólnymi siłami wynieśli z budynku wszystkie dzieci. W sali recepcyjnej zostaliśmy tylko Jessie, pojemnik i ja.

– Może jesteś w szoku, *tannie*? – zaniepokoiła się Jessie.

Pokój nie kołysał się już tak mocno, ale nie wrócił jeszcze całkiem na swoje miejsce.

– Jestem pewna, że potrzebujemy tego bardziej niż Dirk czy tamte dzieci – oznajmiła Jessie, spoglądając na jedzenie, które trzymała na kolanach.

Uniosła brwi, po czym podała mi kanapkę i sama poczęstowała się drugą. Chleb wyglądał na świeży, mimo że również miał za sobą ciężki dzień.

– Mmm, mmm, mmm – mruzczała dziewczyna, zamykając oczy i zatapiając zęby w pieczywie przełożonym mięsem.

Od razu zrobiło mi się lepiej. W rękach trzymałam solidną porcję jedzenia. Pod nogami czułam twarde gruntu. Och, *ja*. Korniszony, musztarda i jagnięcina.

– Ci ludzie to adwentyści – powiedziała Jessie, gdy przełknęła pierwszy kęs. – Wierzą, że zaczyna się koniec świata. Po raz kolejny. Mieli w ostatnich latach kilka fałszywych alarmów, ale uważają, że teraz to już na pewno to. Zjechali tu z różnych stron, ponieważ uznają Małe Góry Czarne za dobre miejsce na wniebowzięcie. Niektóre skały widziane z Dwarsrivier przypominają Jezusa.

Koniec świata. Przed chwilą tak właśnie się czułam, kiedy blada kobieta zakazała dzieciom częstować się moim jedzeniem, a ziemia zaczęła usuwać mi się spod nóg. Przypuszczam, że gdybym nie mogła jeść mięsa ani nabiału, też uznałabym, że zbliża się koniec świata.

– Poczęstuj się jeszcze ciastem – zachęcała Jessie, gdy spałaszowałyśmy kanapki. – Tak sobie myślę... Skoro Dirk i Anna są w szpitalu, może warto byłoby w tym czasie obejrzeć miejsce zbrodni.

Cukier i rum ukoiliły moje skołatane nerwy, a dzięki czekoladzie rozjaśniło mi się w głowie.

– Co porabiasz dziś wieczorem?

– Chyba wybieram się z tobą na małą wycieczkę – odpowiedziałam, a Jessie puściła do mnie oko.

ROZDZIAŁ 22

W drodze do domu zatrzymałam się w komisariacie i złożyłam zeznanie, które spisała młoda pracowniczka biurowa. Wydawała się znudzona moją relacją. Być może wszystko to słyszała już wcześniej. Rozglądałam się za Reghardtem, Pietem i Kannemeyerem, ale nigdzie nie było ich widać. Od urzędniczki dowiedziałam się, że komisarz pojechał do szpitala. Młoda kobieta pisała powoli, klimatyzator nie przestawał burczeć i terkotać. Wydawało się, że minęła godzina, zanim zdołała zapisać moje imię, nazwisko i adres, dlatego opowiedziałam całą historię w kilku słowach.

– Skontaktujemy się z panią, jeśli będziemy mieli jakieś pytania – poinformowała mnie, gdy podpisałam zeznanie.

Dotarłam do domu wczesnym wieczorem. Byłam bardzo zmęczona. Usiadłam na werandzie z ciastkiem i filiżanką herbaty. Spojrzałam na niebo, ziewnęłam, nie zamierzałam jednak się położyć.

– Nie uznaję spania w dzień – wyjaśniłam herbacie. – Od drzemek wszystko się miesza. Nie wiadomo potem, czy po obudzeniu zjeść śniadanie, lunch czy kolację. – Zanurzyłam herbatnik z musli w filiżance. – Pewnie można byłoby po prostu zjeść beskuit. Herbatniki można chrupać o każdej porze.

Popatrzyłam na chmury, które zbierały się na północy. Wyglądały obiecująco, były pękate i miałam nadzieję, że w końcu spadnie deszcz. Powiał chłodniejszy wiatr i poruszył liśćmi na drzewie cytrynowym.

Tu, w Karru Małym, niebo jest bezkresne. Zwykle jest również błękitne i czyste, teraz jednak szykowało się do niezwykłego widowiska. Siedziałam, przyglądając się napływającym chmurom. Nie zamierzałam nad niczym się zastanawiać, ale po pewnym czasie myśli same zaczęły się gromadzić i kłębić w mojej głowie. Chmury na niebie także się kłębiły, przybierając różne kształty. Kaczka. Kobieta. Martine, która się rozplywa. Anna i Dirk, którzy pęcznieją, sinieją, stają się obrzmiali. Długi pogrzebacz niczym przecinająca niebo szrama.

To byłoby bez sensu, gdyby Anna wytarła pogrzebacz, zanim uderzyła nim Martine. Ale skoro pogrzebacz został wytarty, to znak, że morderca, chwytając go, nie miał rękawiczek. Na narzędziu mogły się znajdować jakieś inne ślady. Czy morderca też je wytarł?

Przymknęłam oczy, żeby odpocząły, i pozwoliłam myślom płynąć swobodnie.

Kiedy znów otwarłam oczy, okazało się, że herbata wystygła, a chmury podplnęły jeszcze bliżej, były duże i granatowe. Wszystkie drzewa i rośliny wyciągały się ku górze w nadziei, że spadnie deszcz. Miały nadzieję, ale nie oczekiwały niczego. Rośliny w Karru są bardzo cierpliwe. Potrafią

czekać całymi miesiącami na upragnioną kroplę wody. Nie gorknieją jednak, nie wysychają ani nie obumierają. Trzymają się życia dzięki tej odrobinie wilgoci, która im pozostała, i nie przestają czekać.

Nie sądzę, że mnie było stać na coś podobnego.

ROZDZIAŁ 23

Usmażyłam boczek, zrobiłam tosty z chleba na zakwasie, po czym przyszykowałam kanapki z boczkiem oraz z dżemem z owoców cytrusowych. Włożyłam je do pojemnika, żebyśmy z Jessie miały co przekąsić wieczorem. Następnie przygotowałam jeszcze jedną kanapkę i zjadłam ją na werandzie, patrząc, jak tłuste podbrzusza chmur zmieniają kolor na różowy, po chwili zaś na krwistoczerwony, a w końcu na szary. Były coraz bliżej, robiły się coraz większe i ciemniejsze. Wiedziałam, że powinnam się cieszyć, ponieważ w swoim wnętrzu skrywały deszcz, ale ich czarne, ociążałe kłęby przypominały twarze mężczyzn o ciemnych brodach, opuchniętych czołach i niedobrych myślach. Mój mąż Fanie od dawna już nie żył, lecz czasami wydawało mi się, że wrócił niczym nieprzyjemny posmak w ustach. Nagle przed oczami stawała mi jego twarz i widziałam jego rysy, które zawsze wykrzywiały się w tym samym grymasie, gdy zamierzał mnie uderzyć. Krople potu występowały mi na czoło, serce biło coraz szybciej. To wszystko przypominało zły sen, ale działo się na jawie.

Ucieszyłam się, słysząc bzyczenie skutera Jessie, który zmierzał w moją stronę. Przepłukałam usta, umyłam twarz i włożyłam *veldskoene* w kolorze khaki.

Jessie weszła do kuchni, niosąc dwa kaski i mały plecak. Miała na sobie dzinsy, czarne wysokie buty, kurtkę oraz tradycyjnie pasek z kieszeniami wypchanymi przeróżnymi rzeczami.

– Jesteś pewna, że nikogo nie ma w domu Dirka? – spytałam.

– Niedługo się przekonamy.

– Ale policja skończyła badać miejsce zbrodni?

– Tak, porobili zdjęcia, zebrali odciski palców i tak dalej. Zostawili tylko taśmę zabraniającą wstępu. Wiesz, tak na wszelki wypadek.

– Na pewno? Nie chcemy przecież utrudniać dochodzenia.

– Niczego nie utrudnimy – zapewniła Jessie. – Staramy się tylko im pomóc. Im więcej głów, tym lepiej.

– Zastanawiam się, czy nie powinnam się przebrać – mruknęłam, patrząc na swoją sukienkę, a następnie obrzucając spojrzeniem czarny strój dziewczyny.

– Tak, lepiej włóż spodnie. I coś ciemnego na górę. Pojedziemy moim skuterem, żebyśmy mogli ukryć go w krzakach.

– Ja? Skuterem? Nie umiem jeździć nawet na rowerze.

– Ja poprowadzę. Ty będziesz tylko siedzieć.

– Czy to nie za bardzo niebezpieczne?

– Nic ci nie będzie. Masz wiatrówkę?

Tym sposobem znalazłam się na czerwonym skuterze Jessie. Włożyłam brązowe *veldskoene*, granatowe spodnie i ciemnozielony płaszcz przeciwdeszczowy. Na głowie miałam kask, a na ramionach plecak Jessie. Chmury wisiały nad naszymi głowami – były tak ciemne i ciężkie, że niebo z trudem je dźwigało.

– Trzymaj się – rzuciła Jessie. – I siedź spokojnie. Jeżeli skuter się przechyli, kiedy będziemy skręcać, też się przechyli.

Gdy dziewczyna włączyła silnik, odetchnęłam głęboko, a w następnej sekundzie mknęłyśmy już przed siebie.

Czułam drogę pod nami. Łup, łup, łup. Podskakiwałyśmy na wybojach w rytm uderzeń mojego serca. Kiedy skręcałyśmy, myślałam, że obie spadniemy, ale nic nam się nie stało. Wiatr smagał mnie po policzkach. Od pracy silnika wibrowało całe ciało. Jazda na skuterze była trochę ryzykowna, ale ryzyko nagle przestało mi się wydawać czymś złym. Przy Faniem zawsze byłam bardzo ostrożna, starałam się za wszelką cenę unikać niebezpieczeństwa. W końcu doszło do tego, że bałam się własnego cienia.

Wjeżdżałyśmy na zbocze wiodące w kierunku Towerkopu. W dole widziałam mrugające światła Ladismith, a na Elandsbergu, wysoko nad nami, świeciła Oom Stan se Liggie. Tę niewielką latarnię *oom* Stanley de Wet zainstalował wysoko w górach około pięćdziesięciu lat temu. Była to zwykła lampka rowerowa zasilana dynamem obracającym przez wodospad. Gdy wodospad wysycha i nie zasila dynamy, światełko nie świeci i wtedy wszyscy wiemy, że kończy się woda. Oom Stan w swoich skórzanych *veldskoene* wspinał się na górę ponad trzysta razy, żeby doglądać latarni. Kilka lat temu zmarł, ale jego *liggie* nadal działa i dzielnie się przebija przez nocny mrok.

Światło małej latarni dodawało mi odwagi. W pewnym momencie niebo przecięła błyskawica, wydobywając z ciemności zarys Langebergu, góry położonej daleko na południe od nas.

Na drogę wyskoczył królik. Jessie drgnęła i szarpnęła kierownicą, ale udało nam się utrzymać równowagę. Dziewczyna zwolniła, zwierzątko jednak cały czas przebiegało z jednej strony asfaltu na drugą.

Zatrzymałyśmy się, Jessie wyłączyła silnik. Mimo to królik, zamiast uciec, ciągle wskakiwał na drogę.

– Ech, głupie stworzenie – zezłościła się dziewczyna.

– Nie jest głupi. Po prostu się boi.

– Boi się własnego cienia – burknęła.

Popatrzyłam na światło bijące z lampy zamontowanej z przodu skutera. Padało ono w taki sposób,

że w momencie gdy królik kicał w bok, usiłując uciec z drogi, jego olbrzymi cień wyskakiwał wprost na niego i zwierzątko ze strachu znów wbiegało na środek asfaltu. Bało się zostać na drodze, ponieważ my po niej jechałyśmy, lecz równie mocno bało się z niej zejść.

– Wyłącz światła – powiedziałam.

W ciemnościach, które zapadły, królik smyrgnął między krzewy.

Żółty księżyc o pulchnych policzkach wyjrzał przez szczelinę między chmurami i oświetlił nam trasę, jechałyśmy więc dalej z wyłączonymi światłami, cały czas pnąc się gruntową drogą.

Jessie zatrzymała się przy bramie z napisem: „Van Schalkwyk. [Soetwater](#)”.

– Stąd pójdziemy na piechotę. Podobało ci się, *tannie* M.? – spytała Jessie, gdy zsiadałam ze skutera.

Zdjęłam kask i uśmiechnęłam się.

– Och tak, świetna zabawa!

Dziewczyna wzięła ode mnie plecak, po czym wepchnęła skuter w przydrożny gąszcz drzew [spekboom](#). Przeszłyśmy przez bramę i ruszyłyśmy podjazdem prowadzącym w dół, na farmę.

Poniżej znajdował się pograżony w ciemności dom van Schalkwyka. Paliła się jedynie lampa oświetlająca werandę. Kawalek dalej, na skraju farmy, był niewielki domek, w którego oknach migotało żółte światło świecy.

– Mieszka tam robotnik pomagający w gospodarstwie i jego żona – wyjaśniła Jessie.

Skierowałyśmy się w stronę większego domu. Księżyc znów skrył się za chmurami, ale jego poświata przebijała się przez zaciągnięte niebo, rozświetlając kamienistą drogę. W plątaninie aloesów, które majaczyły przed nami, dostrzegłam parę błyszczących oczu.

– Aaa! – wyrwał mi się stłumiony okrzyk.

– To tylko szakal – uspokoiła mnie Jessie.

Gdy podeszłyśmy bliżej, szakal dał nura między krzewy, ciągnąc za sobą puszysty ogon. Przystanęłyśmy w atramentowej plamie cienia rzucanego przez olbrzymi eukaliptus, który rósł za domem.

– Ciii! – syknęła dziewczyna.

Wstrzymałam oddech. Co to za dźwięk? Odgłos kroków. Zmierzały w naszą stronę.

But uwiązał mi między korzeniami, potknęłam się i zламаłam leżącą na ziemi gałązkę.

Kroki ucichły.

– Hej! – rozległ się męski głos.

Mężczyzna znów ruszył przed siebie i był coraz bliżej. Przywarłam do pnia eukaliptusa. Był gruby i pomarszczony. Błysnęła latarka. W zaroślach coś zaszeleściło i szakal czmychnął na sawannę.

– Ha! – burknął mężczyzna.

Stał po drugiej stronie drzewa. Słyszałyśmy, jak zapala zapałkę i zaciąga się papierosem. Jessie i ja wpatrywałyśmy się w siebie szeroko otwartymi oczami.

W oddali przetoczył się grzmot. Mężczyzna zawrócił i powoli ruszył z powrotem. Słyszałyśmy, jak odkaszlnął i splunął, obchodząc dom naokoło. Jego kroki stopniowo cichły.

Kiedy zapanowała zupełna cisza, wyrzwałyśmy zza drzewa. Zobaczyłyśmy rozżarzoną końcówkę papierosa oddalającą się w kierunku domku na skraju farmy. Drzwi się otworzyły, łagodne światło oblało ciemną, przygarbioną sylwetkę robotnika.

– Uff! – westchnęła Jessie. – Miejmy nadzieję, że już się stamtąd nie ruszy.

Otworzyła plecak i wyjęła dwie pary cienkich gumowych rękawiczek.

– No dobra – mruknęła, gdy je naciągnęłyśmy na dłonie. – Teraz trzeba wejść do środka.

Trzymając się z daleka od światła na werandzie, poszłyśmy sprawdzić drzwi i okna na tyłach domu.

– Nic z tego – powiedziała Jessie, stając przed tylnym wejściem.

Drzwi były zabezpieczone żółto-niebieską taśmą. Dziewczyna wyjęła kartę i spróbowała wcisnąć ją w szczelinę między drzwiami a futryną, tak jak to robią na filmach.

– Niedobrze – oznajmiła. – Zaryglowane od środka.

– Zobacz. To okno nie jest zamknięte.

Otwierało się do góry i Jessie pomogła mi podnieść szybę. Potem usiadła na parapecie, zdjęła czarne buty i podała mi je, zanim weszła do środka.

– Lepiej nie zostawiać śladów – wyjaśniła.

Zdjęłam trzewiki i obydwie pary butów postawiłam obok dużej donicy. Jessie otworzyła tylne drzwi i podniosła taśmę policyjną, żebym mogła pod nią przejść. Kiedy znalazłyśmy się już w mrocznym wnętrzu domu i stanęłyśmy naprzeciwko siebie w samych skarpetkach, dojrzałam białe zęby Jessie szczerzące się w uśmiechu.

– Udało się, *tannie* M. – powiedziała. – Weszłyśmy.

Dobiegło nas wycie szakala. Dziki, obłądny dźwięk. Mimo panujących wokoło ciemności uśmiechnęłam się do Jessie. Nie bałam się.

ROZDZIAŁ 24

– Ostrożnie – powiedziała Jessie. – Wygląda jak stłuczone szkło. Zasłońmy okna, będziemy mogli włączyć latarki.

– Nie wzięłam latarki – przyznałam się.

Jessie zasunęła kotary, a ja spuściłam żaluzje. Teraz zrobiło się naprawdę ciemno.

– Proszę. – Włączyła swoją latarkę, mnie zaś podała drugą. – To latarka czołowa. Załóż ją na głowę, o tak. I naciśnij tutaj, jeśli chcesz, żeby świeciła mocniej albo słabiej.

Gdy pomogła mi dopasować czołówkę, rozejrzałam się po pomieszczeniu, w którym stałyśmy. Dom był stary, większy niż mój, ale urządzone w podobnym stylu. Tak samo jak u mnie ścianę oddzielającą kuchnię od salonu wyburzono. W części kuchennej znajdował się drewniany stół oraz wejście do niewielkiej spiżarni, w salonie zaś królował wbudowany w ścianę kominek.

– Aj! – syknęła Jessie.

Pomyślałam, że może się skaleczyła, ale ją zabolalo to, co zobaczyła na podłodze. Zdjęcie młodej, promieniejącej radością Martine w sukni ślubnej oraz Dirka, który na pewno był trochę starszy od żony, ale wcale nie wyglądał na skończonego drania. Wokół ich uśmiechniętych twarzy leżały odłamki szkła.

– To o tym zdjęciu opowiadała mi Anna – przypomniałam sobie.

Poświeciłam latarką na kolejną fotografię leżącą wśród potłuczonego szkła: dwóch mężczyzn w mundurach.

– To Dirk – poznałam. Był młodszy i bez bokobrodów. – I jego ojciec. Chyba.

Mieli na sobie stare mundury wojskowe, noszone przez południowoafrykańskich żołnierzy za poprzedniego ustroju. Dirk uśmiechał się szeroko, ale usta starszego mężczyzny układały się w cienką, prostą linię.

– Jego tata wygląda na wrednego typu – zauważyła Jessie.

Mój mąż odsłużył w tamtych czasach dwa lata w wojsku. Nie szkolono ich na dobrych ludzi.

– Patrz. – Jessie wskazała ciemnobrązową plamę na kanapie. – Krew.

Przytaknęłam skinieniem głowy, usiłując odsunąć od siebie smutek i rozumować chłodno, jak detektyw.

Kanapa znajdowała się niedaleko kominka. Skierowałam latarkę na podłogę obok niej. W kręgu jasnego światła dostrzegłam niewielkie ciemne kółko.

– Tutaj też było trochę krwi – powiedziałam.

Okrążyłam rozbite szkło, weszłam do kuchni i otwierałam lodówkę. Czyste półki. Sałata. Ser z Ladismith. Sosy. Nic nadzwyczajnego, ale sam widok jedzenia sprawił, że poczułam się głodna. Było jednak za wcześnie, aby zjeść przygotowane przeze mnie kanapki. Najpierw musiałyśmy zrobić to, po co tu przyszłyśmy.

– Ty działaj tutaj, ja obejrzę resztę domu – poleciła Jessie.

Zamknęłam lodówkę. Obok kuchenki znajdował się stojak z przyprawami opisanymi i ułożonymi w porządku alfabetycznym. Półki w spiżarni były zastawione puszkami, słoikami i pudełkami, które również starannie poustawiano i oznakowano etykietami. Jednak pogrupowano je nie alfabetycznie, lecz ze względu na zawartość: „Warzywa”, „Mięso”, „Wypieki”, „Przepisy”. Jedną z półek zajmował niedługi rząd książek kucharskich ustawionych od największej do najmniejszej. Dostrzegłam egzemplarz *Cook and Enjoy*. Ja miałam oryginalną, afrykanerską wersję – *Kook en Geniet*.

Rozejrzałam się po spiżarni i kuchni. Z boku zlewu i na krawędziach drewnianego stołu kuchennego zobaczyłam drobny czarny pył. Takiego proszku policja używa do zbierania odcisków palców. Zdjęłam latarkę z głowy i poświeciłam nią pod różnym kątem, a potem się pochyliłam, żeby dokładnie obejrzyć proszek.

– W sypialni i łazience nie ma nic ciekawego – oznajmiła Jessie, wracając do salonu. – Ale znalazłam gabinet Martine pełen różnych papierów. Niesamowicie zorganizowana kobieta. Rachunki, listy, dokumenty, wszystko starannie poukładane. Pewnie była świetną księgową.

– Spójrz na stół z tej strony. Błat wygląda tak, jakby został wytarty. Ale tylko tutaj, przy tych dwóch odsuniętych krzesłach.

– I?

– Tylko pół blatu. Gdybyś ścierała ze stołu, nie przetarłabyś całego blatu?

– Nie. Wytarłabym tylko tam, gdzie się pobrudziło. Myślisz, że tu się pobrudziło?

– Mhm – przytaknęłam. – Morderca wytarł odciski palców z pogrzebacza. To znaczy, że nie miał rękawiczek i mógł zostawić odciski również w innych miejscach. Martine nie należała do kobiet, które ścierają tylko połowę stołu. Popatrz, pośrodku blatu jest trochę okruszków i kurz. Nie zostawiłaby takiego bałaganu. Spójrz, jak dbała o porządek na stojaku z przyprawami.

– O rany. Tak. To samo w dokumentach. Ale może się spieszyła. Albo zatrudniała pomoc domową, która niezbyt się przykładała do pracy. – Jessie poświeciła na czarny pył pokrywający krawędzie stołu. – Policja szukała tutaj odcisków.

– Ale niczego nie znalazła, ponieważ je wytarto. Myślę, że morderca siedział z Martine przy stole – oznajmiłam, dotykając oparcia krzesła.

– I pił z nią herbatę?

– Nie, dzbanek na herbatę jest w szafce. Schowany i suchy. Za to przy zlewie stoją dwie umyte

szklanki.

– Czyli to może być ktoś, kogo znała. – Jessie zerknęła na zegarek. – Wrócę na chwilę do jej dokumentów.

Podczas gdy ona była zajęta w gabinecie, ja z powrotem założyłam czołówkę, żeby mieć obie ręce wolne, i zajrzałam do szuflad. Wszystko wyglądało bardzo schludnie. Starannie poukładane sztucce, ścierki do naczyń. Foliowe torby na zakupy złożone w trójkąty niczym samosy.

Pogrzebałam w koszu na śmieci i natknęłam się na zgniecioną reklamówkę ze Spara. Dlaczego była zgnieciona, a nie złożona? Ręka Martine, przypomniałam sobie. Miała złamaną rękę. Czy można złożyć reklamówkę jedną ręką? Spróbowałam to zrobić. Nie było łatwo, ale sobie poradziłam, nawet z nałożoną na dłoń rękawiczką.

Wróciłam do lodówki i sprawdziłam datę przydatności do spożycia widniejącą na opakowaniu z sałatą. Termin upływał dzisiaj, w piątek. Spar zawsze sprzedaje świeżą sałatę, zatem to opakowanie musiało być kupione zaledwie parę dni wcześniej.

– Jak się tu dostałaś? – spytałam sałatę. – I kiedy? – Obracałam paczkę w dłoniach. – W niedzielę i poniedziałek nie mają w Sparze świeżych dostaw sałaty. To znaczy, że zostałaś kupiona we wtorek albo w środę. Czy Martine kupiła cię we wtorek? W ten dzień zginęła. Miała złamaną rękę, więc nie mogła pojechać do sklepu. Czy Dirk ją zawiózł, czy może sam zrobił zakupy? – Odłożyłam opakowanie na półkę. – Nie wiem, co mężczyźni mają przeciwko sałacie, ale nigdy nie słyszałam, żeby kupowali ją dla siebie. Czy ktoś inny zrobił zakupy dla Martine?

Zamknęłam lodówkę. Żał mi było zielonych liści, które wyglądały na przywiędłe, i naprawdę przykro było patrzeć, jak się marnuje dobre jedzenie. Musiałam jednak dalej robić swoje.

Przy zlewie leżała ścierka do naczyń, biała w niebieską kratkę. Obejrzałam ją dokładnie w świetle latarki. W rogu była niewyraźna czerwona plamka. Poświeciłam naokoło zlewu. Obok kranu dostrzegłam maleńką kropkę czerwonego płynu. Umoczyłam koniuszek małego palca w tej drobince, po czym przeniosłam ją na język i przymknęłam oczy.

Znałam ten słodki, metaliczny smak.

– Pssst! Jessie!

ROZDZIAŁ 25

– Może i masz rację, *tannie* M. – powiedziała Jessie. – Wyczuwam smak żelaza.

– Wiem, że mam rację. W ogrodzie przy moim rodzinnym domu, odkąd pamiętam, rósł granatowiec.

– Czyli jedli granaty – wywnioskowała dziewczyna.

– Albo pili sok z granatów – dodałam, wskazując szklanki.

Usłyszałyśmy cichy odgłos kropel bębniących o blaszany dach.

– Pada! – wymamrotała Jessie.

Podeszłyśmy do tylnych drzwi, zgasiłyśmy latarki i patrzyłyśmy na deszcz padający w ciemnościach. Delikatny, chłodny deszcz. Jessie i ja uśmiechnęłyśmy się do siebie szeroko. Nareszcie. Ziemia odetchnęła z ulgą, gdy kolejne krople zaczęły wsiąkać w glebę. Głęboko wciągnęłam powietrze.

– Och, ten zapach – zamruczałam.

Zapach pierwszego deszczu padającego na rozgrzaną, wysuszoną ziemię. Nic nie może się z tym równać. Chwilę później w powietrzu rozeszła się woń roślinności. Pachniało tak, jak gdyby każda roślina pragnęła na swój sposób podziękować za deszcz. Wszystkie te aromaty zmieszały się, tworząc istną ucztę dla nosa.

– Zjedzmy z tej okazji kanapki – zaproponowałam.

Jessie sięgnęła do plecaka i podała mi pojemnik, z którego wyjęłam tosty z boczkiem i dżemem.

– Światła w domku zgasły – zauważyła Jessie. – Powinnyśmy kiedyś porozmawiać z tym robotnikiem. Rany. Pyszna kanapka, *tannie*.

– Mogłabym przyrzędzić mu *vetkoek* – powiedziałam.

– Z mięsem mielonym – podsunęła Jessie.

– Znalazłaś w papierach Martine jakieś paragony ze sklepu spożywczego?

– Tak.

– Szukam paragonu z wtorku. Myślę, że ktoś tamtego dnia robił jej zakupy, i to mógł być morderca.

Opowiedziałam o dacie przydatności do spożycia widniejącej na sałacie oraz o zgniecionej torbie w koszu na śmieci i przypomniałam o złamanej ręce Martine.

– Chodźmy więc przejrzeć dokumenty – rzuciła Jessie.

Strzepaliśmy okruszki z lateksowych rękawiczek i ruszyliśmy do gabinetu.

– Zobacz, jaki tu porządek – powiedziała dziewczyna. – Korespondencja osobista, wyciągi z konta bankowego, rachunki, dokumenty związane z pobytem ich syna w domu opieki. Paragony ze sklepu spożywczego. – Świeciła latarką na papiery, które przeglądała. – Jest... Ostatnio robiła zakupy w Sparze w piątek. Zaglądałam do torebki, ale nie znalazłam w niej żadnych paragonów.

– Wygląda więc na to, że we wtorek nie robiła zakupów sama...

– Może wyręczył ją Dirk albo Anna, albo jeszcze ktoś inny... Chyba masz rację, *tannie*, to mógł być morderca. Ciekawe, czy policja pobrała próbki tego soku z granatów. Znalazłaś butelkę po soku?

– Nie.

Dotknęłam teczki opatrzonej napisem „Korespondencja osobista”.

– Są tu jakieś listy od nas, z gazety? – spytałam.

– Nic nie ma – odpowiedziała Jessie. – Ale Martine mogła je gdzieś ukryć, żeby nie wpadły w ręce mężowi.

– W takim razie czyje listy trzymała w tej teczce?

– Część jest od nudnego brata z Durbanville, ale większość przysłała interesująca kuzynka. Stare listy przychodziły z Teksasu, teraz, już od paru lat, kuzynka pisze z Nowego Jorku.

– Tak?

Jessie wyciągnęła dwie koperty: jedna była elegancka, kremowa, druga brązowa i tania.

– Kuzynka nazywa się Candy Webster, mieszka w apartamencie z widokiem na Central Park. Wygląda na to, że zajmuje się modą, dużo podróżuje, przysyła Martine pocztówki z różnych bajecznych miejsc. Kobiety były chyba mocno z sobą związane, w każdym liście pełno uścisków i całusów. Z kolei brat David Brown skarży się w liście na ojca, który ponoć nie docenia żadnych jego dokonań. – Dziewczyna podniosła teczkę opisaną „Jamie”. – Tutaj mamy raporty lekarzy i pracowników socjalnych z George na temat stanu syna Martine. Chłopak ma porażenie mózgowie.

Padło coraz mocniej, w pewnym momencie błysnęło się, a zaraz potem rozległ się grzmot. Bardzo głośny i niezbyt odległy. Rozchyliłam zasłony i wyjrzałam przez okno.

– Jessie, spójrz!

Między gałęziami rosłego eukaliptusa dojrzałyśmy duży samochód toczący się powoli podjazdem ze szczytu pagórka na farmę.

– O cholera! – podskoczyła Jessie. – Gaśmy latarki!

– Zdaje się, że zawraca.

Patrzyliśmy przez okno na samochód, który zahamował, wycofał, ustawiając się bokiem do domu, następnie podjechał w przód, obracając się tyłem do nas. Jednak kierowca, zamiast odjechać, zatrzymał się i wyłączył światła. Ulewa na chwilę przycichła, jak gdyby niebo również wstrzymało oddech. W następnym momencie potężna błyskawica grzmotnęła tuż nad nami, a my w jej świetle

zobaczyliśmy biały terenowy *bakkie* oraz mężczyznę, który zmierzał w stronę domu.

Na głowie miał kaptur, w jednej ręce trzymał latarkę. W drugiej pistolet.

Deszcz bezlitośnie łomotał o dach, a następny huk pioruna zabrzmiał niczym strzał wycelowany prosto w nas.

ROZDZIAŁ 26

– Wielkie nieba! – mruknęłam.

– Do stu piorunów! – zaklęła Jessie.

Jednak ani niebo, ani błyskawice nie zatrzymały mężczyzny, który oświetlając sobie drogę latarką, kierował się w stronę wejścia do domu.

Jessie wyjęła gaz łzawiący, weszła do salonu i zbliżyła się do frontowych drzwi.

– On ma pistolet – powiedziałam.

– Nie możemy tak po prostu zwać – odparła.

Odetchnęłam głęboko. Nie chciałam się zachować jak królik uciekający przed własnym cieniem, ale nie byłam również gotowa stanąć do walki z uzbrojonym mężczyzną.

– Musimy się dowiedzieć, kto to – przekonywała Jessie.

– Ukryjmy się – rzuciłam. Deszcz znów przycichł i z werandy dobiegły nas odgłosy kroków. – W spiżarni.

Wśliznęliśmy się do spiżarki w skarpetkach. Latarki miałyśmy zgaszone i w maleńkim pomieszczeniu było naprawdę ciemno. W drzwiach od zewnętrznej strony tkwił duży klucz. Udało mi się go wyjąć, ale nie umiałam trafić nim do dziurki od środka.

Gdy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi frontowych, cofnęłam się, wpadając na Jessie, jednak żadna z nas nawet nie pisnęła. Snop światła padającego z latarki przeciął salon na pół. Zacisnęłam palce na zimnym, twardym kluczu.

Krąg światła przesuwiał się powoli po meblach i sprzętach kuchennych, aż w pewnym momencie dotarł do szpary w drzwiach spiżarni i zatrzymał się na półce z puszkami z fasolą w sosie pomidorowym. Wstrzymałam oddech. Usłyszałyśmy szelest, jak gdyby ktoś chodził po foliowych workach. Dziwny odgłos zdawał się od nas oddalać. Zajrzałyśmy do kuchni. Światło latarki błyskało teraz w gabinecie Martine. Pewnie żałował, że nie zabrał latarki czołowej, ale ja na pewno nie zamierzałam pożyczyć mu swojej.

– Wezwiemy policję? – szepnęłam do Jessie.

– Będą chcieli wiedzieć, co tu robimy. Może to Dirk?

– Samochód wygląda na jego terenówkę. Ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Dirk jest w szpitalu.

– Pod płaszczem przeciwdeszczowym może mieć bandażę. Ludzie potrafią wyprawiać różne dziwne rzeczy, zwłaszcza jak im odbije. A jeśli to Anna?

– Cóż, Anna rzeczywiście porusza się trochę jak mężczyzna – przyznałam.

Udało mi się włożyć klucz do zamka, ale zamknięcie się w spiżarni wydawało się niezbyt mądrym pomysłem.

– Wymknijmy się i spismy numery rejestracyjne samochodu – zaproponowała Jessie.

Poszliśmy na palcach w stronę drzwi frontowych, ale kiedy je uchyliłyśmy, zobaczyłyśmy kołyszącą się w mroku rozżarzoną końcówkę papierosa. Ktoś szedł w naszą stronę, zbliżał się do werandy.

Ukryłyśmy się z powrotem w spiżarni. Zostawiłyśmy uchylone drzwi i przez szparę widziałyśmy fragment ściany pograżonego w ciemnościach salonu. Zamarłyśmy w bezruchu i nadśluchiwałyśmy. Mężczyzna na zewnątrz zakaszłał i splunął, po czym wszedł na werandę i zapukał do drzwi.

– *Meneer!?* – zawołał.

Był to robotnik, na którego natknęłyśmy się już wcześniej.

– *Meneer*. To ja. Lawrence.

Jego głos rozbrzmiewał wyraźniej. Najwidoczniej mężczyzna szeroko otworzył drzwi.

– Przepraszam, *meneer*, ale policja prosiła mnie, żebym miał oko na wszystko. Mówili, że nikomu nie wolno wchodzić do domu.

Znów doleciał nas delikatny odgłos deszczu bębniącego o blaszany daszek.

– Przepraszam, *meneer*.

Słyszałyśmy robotnika jeszcze lepiej, jak gdyby znajdował się już w salonie.

– Nie chciałem pana wpakować w kłopoty, *meneer*. Tamtego dnia.

Zakaszłał.

– *Meneer?*

Z gabinetu dobiegł szeleszczący odgłos kroków, jasny snop światła prześlizgnął się po szparze w drzwiach, przez którą patrzyłyśmy.

– *Meneer?... Hej, światło!*

Czy ten człowiek zaświecił Lawrence'owi prosto w twarz?

Bum! Bum! Strzały.

Coś ciężkiego upadło na podłogę.

– Jezu – wyszeptała Jessie.

Zamknęłam drzwi do spiżarni.

Ręce mi się trzęsły, ale jakoś zdołałam przekręcić klucz w zamku. W dłoniach Jessie dostrzegłam słaby blask telefonu. Usiłowała dokąś zadzwonić, palce jednak jej drżały i wyglądało na to, że nie potrafi wybrać numeru.

Odgłosy kroków zbliżyły się, ktoś podszedł do spiżarni i przekręcił gałkę. Kiedy drzwi się nie

otworzyły, uderzył w nie pięścią. Na szczęście były to solidne, drewniane drzwi. Oby z drewna tekowego, modliłam się w duchu. Cofnęłyśmy się i przylgnęłyśmy do półek na końcu spiżarni.

Bum! Strzał.

W uszach mi dzwoniło od metalicznego odgłosu.

Napastnik znów szarpnął za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Serce mi waliło, jego łomot wypełniał całą spiżarnię.

Po chwili usłyszałam ciche zawroźnienie. Najpierw pomyślałam, że to telefon Jessie zaczął dzwonić, ale już po chwili się zorientowałam, że to wycie policyjnych syren. Jakim cudem przyjechali tak szybko? Dziewczyna nie zdążyła nawet ich wezwać.

Rozległy się kolejne dwa strzały. Były tak głośne i padły tak blisko, że nie miałam wątpliwości, że trafiły którąś z nas. Dotknęłam ręką brzucha i klatki piersiowej, ale nie wymacałam żadnych ran. Znów rozległ się szeleszczący odgłos kroków, napastnik odchodził. Syreny wciąż wyły, nie potrafiłam jednak powiedzieć, czy zbliżają się do nas.

Poczułam na skórze zimne drobiny. Może miałam gęsią skórkę. Wyciągnęłam rękę w stronę Jessie i w ciemnościach znalazłam jej dłoń. Nawet przez lateksowe rękawiczki wyczułam na jej palcach coś lepkiego.

– Och nie! – szepnęłam. – Jessie?

Palce dziewczyny lekko drgnęły.

– Nic ci nie jest, Jessie?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Trochę mi słabo i coś ścieka mi po ręce. Poszedł już?

– Posłuchaj.

Wycie syren ucichło. Dobiegł nas warkot silnika i oddalający się szum opon.

– Jak mam ją znów włączyć? – Usiłowałam znaleźć przycisk na swojej latarce. – Czekaj, mam.

Nacisnęłam guzik i poświeciłam na nas. Obie byłyśmy obsypane białym proszkiem, a rękę i dłoń Jessie pokrywała kleista pomarańczowa maź.

– Dżem morelowy. – Mlasnęłam, oblizując rękawiczkę. – I mąka tortowa.

Postrzelona puszka z dżemem i rozerwana torebka z mąką znajdowały się na półce nad nami. Biały proszek pokrywał konserwy i książki kucharskie. Jessie zlizwała trochę dżemu z palców i cukier zadziałał jak należy. Pokrzepiona, zdjęła rękawiczkę, żeby w końcu wybrać właściwy numer.

– Reghardt – rzuciła do telefonu. – To ja.

– Czy są już blisko? – spytałam, kiedy się rozłączyła. – Syreny umilkły.

– Nie – odpowiedziała. – To nie były syreny, tylko dźwięk dzwonka, który włączyłam w telefonie.

Otworzyłyśmy drzwi spiżarni i wyjrzałyśmy na zewnątrz. Na podłodze nieruchomo leżał czarny

mężczyzna. W czole miał czerwoną dziurę, na klatce piersiowej widniała ciemna rozległa plama.

– Lawrence? – odezwała się Jessie.

Mężczyzna był ubrany w spłowiałą niebieską koszulę, postrzępioną na rękawach i wytartą na kołnierzu. Spodnie khaki były poznaczone ciemnymi śladami w miejscach, gdzie zmoczyły je krople deszczu.

Jessie przyklękła obok ciała.

Oczy mężczyzny były otwarte, jakby wpatrywał się w sufit. Chciałam zamknąć mu powieki, ale zamiast tego włączyłam światło, jak gdyby jasność, która zalała pokój, mogła przywrócić choć odrobinę normalności całej sytuacji.

Prawa ręka mężczyzny leżała za głową, lewa spoczywała wzdłuż boku. W lewej dłoni tkwił niedopałek. Lawrence zgasił papierosa, wydłubując żarzącą się końcówkę, tak aby móc dopalić go później.

Jessie zbadała mężczyźnie tętno. Spojrzała na mnie i pokręciła głową. Czas Lawrence'a dobiegł końca. Dziewczyna podniosła się, otworzyła tylne drzwi i stała w nich, wpatrując się w mrok. Przez dom przeleciał podmuch zimnego wiatru, wpadł wejściem frontowym, wypadł tylnym.

Do tej pory dwa razy w życiu widziałam zwłoki. Leżały w trumnach. Ciało mojej matki i ciało mojego męża. Pamiętam, że na ich widok wzbierały we mnie emocje tak silne, iż traciłam dech w piersiach.

Jednak tego człowieka, Lawrence'a, w ogóle nie znałam, dlatego zdziwiłam się, gdy poczułam, że znów budzą się we mnie podobne uczucia.

Nie leżał w trumnie. Jego krew nadal była świeża. Jeszcze przed chwilą chodził w deszczu, palił, rozmawiał. Żył. A potem ktoś jednym strzałem zmienił wszystko. Bum. Bum. Zabrał mu to wszystko na zawsze. Tym właśnie jest morderstwo – najgorszą z kradzieży.

Skradziono życie Martine. A teraz również Lawrence'owi.

– *Tannie Mario!* – zawołała Jessie. – Nasze buty! Zniknęły.

ROZDZIAŁ 27

Burza przesunęła się na południe, lecz nadal padało, gdy siedziałyśmy na werandzie i czekałyśmy. Nad Górąmi Długimi błyskały pioruny, a wycie policyjnych syren rozlegało się coraz bliżej.

– Co im powiemy? – spytałam Jessie. – Nie powinno nas tu być.

– Ale awantura. Teraz to już dwa morderstwa. Myślę, że trzeba powiedzieć całą prawdę i pokazać, że mamy czyste ręce.

– To chyba nie będzie zgodne z prawdą – jęknęłam, spoglądając na nasze pobrudzone dłonie i ubrania. – Gdzie są serwetki?

Gdy strzepywałyśmy mąkę ze spodni, pod dom podjechały dwa samochody, oślepiając nas światłami skierowanymi prosto na werandę. Po chwili reflektory zgasły, a wtedy w blasku lampy zapalanej na werandzie zobaczyłam przybyłych mężczyzn. Z policyjnego wozu wysiedli Piet i Kannemeyer, z prywatnego samochodu wyskoczył młody mężczyzna. Był wysoki i szczupły, ale chociaż wzrostem górował nad Pietem, od komisarza był niższy.

Moje nogi chciały podbiec do Kannemeyera, co było bardzo dziwne, ponieważ – jak już wspomniałam – nie uznaję biegania. Poza tym stałam w samych skarpetkach.

Gdy mężczyźni podeszli bliżej, nogi Jessie również wydawały się rwać do biegu, ale ani ona, ani ja nie ruszyłyśmy się na krok z werandy. Pierwszy szedł Piet, który trzymaną w ręku latarką świecił to tu, to tam po ziemi. Był ubrany w krótkie spodnie khaki i skórzane sandały.

– Wszystko zatarte przez deszcz – rzekł młody mężczyzna.

Miał bladą twarz i miękkie, ciemne włosy, które opadały mu na czoło ukosem, jak u nastolatka.

Piet znów skierował snop światła w dół, po czym odezwał się cicho:

– Patrzcie, te idą stąd. – Wskazał w kierunku domku na skraju farmy. – A te są inne. Popatrzcie tam. Obcas.

– Rzeczywiście – potwierdził Kannemeyer. – Ten jest szerszy.

Piet prowadził towarzyszy tak, żeby nie podeptali śladów.

– Co panie tu robią? – rzucił Henk Kannemeyer, wchodząc na werandę i marszcząc brwi. – Nic wam nie jest?

Był ubrany w dżinsy i białą bawełnianą koszulę z długim rękawem, niedopiętą pod szyją i na piersiach. Włosy na klatce piersiowej miał kasztanowe.

– Ten człowiek nie żyje – oznajmiłam, wskazując frontowe drzwi.

Kannemeyer wszedł do domu i pochylił się nad ciałem.

Młody mężczyzna stanął blisko Jess, przy której wydawał się bardzo wysoki.

– Jessie – powiedział.

Miał gęste rzęsy i brwi, a jego ciemne, łagodne oczy przywiodły mi na myśl kwiat rudbekii.

– Reghardt. – Dziewczyna spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

– Jesteś ranna? – spytał, delikatnie dotykając jej ramienia.

– To tylko dżem.

Piet i Reghardt podeszli do drzwi, podczas gdy Kannemeyer przyłożył palce do szyi czarnego mężczyzny. Przez chwilę wszyscy trzej stali i patrzyli na martwego człowieka. W ciszy, która zaległa, słychać było deszcz dzwoniący o blaszany daszek.

Milczenie przerwał komisarz.

– Aspirancie Snyman – zwrócił się do Reghardta. – Zadzwońcie, gdzie trzeba. Ale poczekajcie chwilę, zanim wezwiecie ZRM. Już mu nie pomogą, a ja chcę się rozejrzeć, zanim wejdą i wszystko zادةpczą.

– Zespół Ratownictwa Medycznego – objaśniła mi szeptem Jessie.

Reghardt stanął na skraju werandy i po cichu rozmawiał przez telefon komórkowy. Kannemeyer gestem przywołał Pieta, który powoli wsunął się do środka – jego oczy, nos i dłonie wykonywały ledwie dostrzegalne ruchy, jak gdyby wyczuwał rzeczy, których my nie potrafiliśmy dostrzec. Smakował powietrze niczym dzikie zwierzę przybyłe na nowe miejsce.

Kannemeyer wyszedł na zewnątrz i zatopił we mnie spojrzenie. Wydawało się, że ma ochotę krzyczeć, ale kiedy się odezwał, mówił bardzo cicho, co, nie wiedzieć czemu, było jeszcze gorsze.

– Mogłyście zginąć – powiedział.

Wąsy miał zmierzwiłone i domyślałam się, że dwadzieścia minut wcześniej jeszcze twardo spał. Na jego ramionach ciemniały mokre plamy po kroplach deszczu.

– Co się stało? – spytał.

– Hm, przyjechałyśmy sprawdzić... – zaczęłam, ale straciłam wątek, gdy popatrzyłam na Kannemeyera. Wydawał się ogromny, o wiele większy ode mnie. – Chciałyśmy...

– Kto to zrobił?

– Ach... – Nie potrafiłam wykrztusić nic więcej. Słowa więzły mi w gardle.

– Przyjechałyśmy przeprowadzić dochodzenie dziennikarskie – oznajmiła Jessie. – Nadjechał biały samochód terenowy. Parę minut po dwudziestej trzeciej. Nie widziałyśmy numerów rejestracyjnych. Z samochodu wysiadł człowiek z latarką i pistoletem. Zobaczyłyśmy jego postać w świetle błyskawicy. Średniego wzrostu i budowy. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i kaptur. Ukryłyśmy się w spiżarni. Nie widziałyśmy, jak wchodzi do domu, ale słyszałyśmy szeleszczący odgłos kroków. Skierował się do gabinetu i zapalił światło.

Piet i Reghardt również przysłuchiwali się zwięzłej, reporterskiej relacji Jessie. Oczywiście Pieta wędrowały po sylwetce dziewczyny, nie ustając w poszukiwaniu wskazówek.

– Po krótkiej chwili pojawił się Lawrence, mężczyzna, który tu leży. Myślę, że jest robotnikiem, który mieszka w domku na skraju farmy. Byłyśmy w spiżarni, więc nie widziałyśmy wszystkiego, ale słyszałyśmy, jak stojąc za frontowymi drzwiami, wołał tego człowieka, który tu był. Zwracał się do niego „meneer”. Powiedział, że policja kazała mu pilnować domu.

Reghardt przytaknął skinieniem głowy. Może wiedział, kim jest Lawrence, a może po prostu zachęcał Jessie, żeby mówiła dalej. Piet lustrował teraz werandę, ruchy jego oczu przypominały ruchy wagi: strzelał wzrokiem raz w prawo, raz w lewo, po czym niespodziewanie zatrzymywał spojrzenie w jednym punkcie.

– Powinienem aresztować was obie za bezprawne wkroczenie na teren prywatny. – Kannemeyer obrzucił mnie i Jessie gniewnym spojrzeniem.

– Powiedział też, że przeprasza, bo nie chciał go wpakować w tarapaty – mówiła dalej Jessie, jakby nie dosłyszała uwagi komisarza.

– Czyli znał mordercę? – zapytał Kannemeyer.

Pokręciłam głową, a Jessie wyjaśniła:

– Niekoniecznie. Myślał, że go zna. Może widział jego samochód, a może kogoś się spodziewał. Ale nie widział człowieka z pistoletem, gdy do niego mówił. Zawołał go, myśląc pewnie, że to *meneer* Dirk. Potem usłyszałyśmy kroki, zobaczyłyśmy latarkę, a Lawrence powiedział: „Hej, światło”. Przypuszczam, że morderca zaświecił Lawrence’owi latarką prosto w oczy.

Jessie spojrzała na mnie, a ja przytaknęłam skinieniem głowy.

– Wtedy usłyszałyśmy strzały. Dwa. Zamknęłyśmy się na klucz w spiżarni i morderca zorientował się, że tam jesteśmy, a gdy nie udało mu się otworzyć drzwi, zaczął przez nie strzelać. Włączyłam w telefonie dzwonek, który przypomina wycie syreny policyjnej.

Słyszając to, Reghardt się uśmiechnął, ale na Kannemeyerze pomysłowość Jessie wydawała się nie robić większego wrażenia.

– Napastnik strzelił jeszcze dwa razy, dziurawiąc drzwi, i odjechał. Gdy wyszłyśmy ze spiżarni, znalazłyśmy Lawrence’a.

Kannemeyer mocno zasznurował usta. Piet krążył wokół mnie i Jessie, chcąc dobrze nas obejrzeć ze wszystkich stron.

– Nie powinno was tu być – powtórzył komisarz, przeczesując palcami krótkie, gęste włosy. – Obydwie mogłyście zginąć.

Spojrzałam w dół, na skarpetki. Słyszałam wiatr poruszający gałęziami eukaliptusa.

– Zabrał nasze buty – powiedziałam.

Komisarz zamrugnął.

– Zostawiłyśmy je na zewnątrz – wyjaśniła Jessie. – Ja miałam czarne, wojskowe, *tannie* Maria swoje skórzane *veldskoene*.

Kannemeyer zmarszczył brwi i nabrał powietrza, jak gdyby zamierzał coś powiedzieć, lecz tylko pokręcił głową. Odwrócił się od nas i popatrzył na Reghardta.

– Aspirancie Snyman, gdzie fotograf? – spytał.

– Nie odbiera telefonu – odparł Reghardt. – Ale RCIK z samego rana przyśle tu swoją ekipę.

Komisarz westchnął.

– Chcę zrobić zdjęcia, zanim zjawi się tu pogotowie i lekarz sądowy.

– To może – Reghardt zerknął najpierw na Jessie, potem na Kannemeyera – Jessie zrobiłaby zdjęcia.

Dziewczyna wyjęła aparat fotograficzny. Komisarz znów zmarszczył brwi, po czym gestem nakazał dziennikarce wejść do środka.

– Proszę robić tylko to, o co poprosimy. Nie kręcić się po domu. – Ruszył za Reghardtem i Jessie, zatrzymał się jednak w progu i zwrócił się do mnie: – Proszę zostać tutaj. Nie... – Znowu westchnął, a potem wszedł do domu.

Patrzyłam przez otwarte drzwi, jak Piet przedstawia pozostałym przebieg zdarzeń. Jessie fotografowała wszystko, co wskazał jej posterunkowy lub Kannemeyer.

Piet odegrał kilka scen, Reghardt za pomocą latarki dodał efekty świetlne. Posterunkowy pokazał, jak Lawrence wszedł do salonu: chociaż wytarł buty o wycieraczkę, zostawił kilka śladów – gdy uniósł prawą rękę, żeby osłonić oczy przed światłem latarki, automatycznie wysunął prawą nogę, znacząc podłogę smugami rozmazanego błota. Piet wskazał również większe plamy: Lawrence, gdy go postrzelono, upadł do tyłu, ślizgając się na ubłoconych podszwach.

– Patrzcie tutaj, na te ślady w kurzu – ciągnął Piet. – Zabójca miał worki foliowe na butach.

Reghardt zniżył latarkę i oświetlił wskazane miejsce, a Jessie je obfotografowała.

– Ma takie stopy. – Posterunkowy rozsunął dłonie.

– Mniej więcej rozmiar dziesięć – stwierdził Kannemeyer, a Reghardt przytaknął.

– Stawiał kroki w ten sposób – pokazał Piet. – Ma nogi dłuższe niż ja, ale krótsze od twoich. –

Uniósł rękę na wysokość ramienia komisarza. – Jest mniej więcej takiego wzrostu.

Posterunkowy dalej naśladował ruchy mordercy.

– Zrobił krok do przodu, o tak, kiedy strzelił. A tutaj – kucnął przy zwłokach Lawrence’a – dziewczyna dotknęła ciała.

Piet polecił Jessie sfotografować ślady dżemu na nadgarstku Lawrence’a i na jej własnej ręce, a następnie poprowadził wszystkich do spiżarni.

– Kule – oświadczył. – Tutaj, tutaj i tam, jedna przeszła przez puszkę z dżemem i trafiła w ścianę.

– Ile strzałów padło w sumie? – spytał Kannemeyer.

– Pięć – odpowiedzieli jednocześnie Jessie i Piet.

– Tak. Naboje typu .38 Special – dodał Reghardt.

Komisarz zwrócił się do Jessie.

– Niech pani zrobi zdjęcia odcisków skarpetek w mące, zanim wejdziemy.

Gdy skończyli w spiżarni, przeszli do gabinetu. Nie widziałam ich, ale dolatywały mnie strzępki rozmów.

– Opylcie szafkę na dokumenty i biurko, sprawdźcie, czy są odciski palców – polecił Kannemeyer.

Chwilę później usłyszałam głos Reghardta.

– Nie ma. Pewnie włożył rękawiczki. Zobaczymy, co powie RCIK.

Gdy opuścili gabinet, ruszyli w stronę tylnych drzwi. Ja wyszłam na werandę, usiadłam na trzcinowym fotelu i zapatrzyłam się w obmytą deszczem noc. Przebłyskujące między czarnymi chmurach światło księżyca przypominało srebrzyste linie żył.

Wiatr ustał, w powietrzu rozległ się ostry, chrapliwy dźwięk. Odgłos ten narastał i stawał się coraz bardziej rytmiczny. Był to rechot żab. W przyćmionym blasku księżyca dojrzałam obrośniętą trzciną sadzawkę. Tę, w której kiedyś pływały kaczki. Coraz więcej żab przyłączało się do chóru. Kaczki były martwe, ale żaby żyły i miały się doskonale. Po deszczu przyzywały partnera. Nawoływały bez wytchnienia. Ciekawe, czy każda z nich znajdzie kogoś, z kim stworzy stadło, czy może niektóre będą wołać aż do śmierci.

ROZDZIAŁ 28

– Piet jest absolutnie fantastyczny – oznajmiła Jessie, wracając wcześniej niż pozostali. Pojawiła się od frontu w skarpetkach umazanych błotem na brązowo. – Ile rzeczy widzi! Zauważył odciski naszych butów pod eukaliptusem. I ślady terenówki w miejscu, gdzie zawróciła. Ślady kół były dość wyraźne, bo ziemia rozmiękła od deszczu, a korona drzewa podziałała jak parasol i ulewa ich nie zmyła. Piet mówi, że to opony marki Firestone. Potem zobaczył coś, czym bardzo się przejął, skakał wokoło jak antylopa i kazał mi sfotografować z każdej strony jeden z odcisków koła. Odciągnął Kannemeyera na bok i rozmawiał z nim, ale nie słyszałam, o czym mówili.

Trzej mężczyźni również podeszli do werandy.

– Co ciekawego Piet zobaczył w tych śladach? – zapytała Jessie komisarza.

Kannemeyer pokręcił głową.

– Jak się tu dostałyście? – spytał.

– Przyjechałyśmy skuterem – odpowiedziała dziewczyna. – Stoi niedaleko bramy wjazdowej.

– Nie macie tu nic do roboty – oznajmił nam. – Mogłyście zginąć. Aspirancie Snyman, odwieźcie panie do komisariatu, żeby podpisały zeznania, a potem do domu. Posterunkowy Witbooi i ja poczekamy na przyjazd koronera.

– Możemy pojechać skuterem – powiedziała Jessie.

– Nie możecie jechać bez butów – odrzekł Kannemeyer.

Odetchnęłam głęboko.

– Panie komisarzu – zaczęłam. – Razem z Jessie... zauważyłyśmy pewne rzeczy, które mogą się przydać podczas... hm... dochodzenia. Znalazłyśmy krople soku z granatów przy zlewie. I torbę po zakupach, która nie była złożona. Martine zwykle składała reklamówki w trójkąty...

Kannemeyer poczerwieniał na twarzy.

– Stół był wytarty tylko do połowy... – ciągnęłam.

Zaczęły mu drgać wąsy.

– A sałata w lodówce miała termin ważności do...

– Dość tego! – uciął. – Nie powinno was tu w ogóle być. To miejsce zbrodni, a nie jakiś... jakiś... cholerny targ!

– Ale panie komisarzu... – Nie ustępowałam.

– Aspirancie Snyman – przerwał mi Kannemeyer. – Proszę odwieźć te panie.

Był o wiele potężniejszy ode mnie, lecz nawet nie drgnęłam i patrzyłam mu prosto w oczy.

– Panie komisarzu – powtórzyłam. – Może będziemy mogli pomóc.

Zadzwoiła komórka i Kannemeyer odszedł od nas, żeby odebrać. W półmroku dostrzegłam, że zatrzymał się przy sadzawce dla kaczek i tam rozmawiał.

Komisarz nie chciał usłyszeć, co mam do powiedzenia, ale Piet słuchał uważnie. Patrząc na mnie, przytaknął skinieniem głowy, po czym wszedł do domu, obejrzał zlew, stół i zawartość lodówki. Zawołał Jessie, żeby zrobiła zdjęcia. Słyszałam, jak dziewczyna wyjaśnia jemu i Reghardtowi to, co ja usiłowałam przekazać Kannemeyerowi.

Kannemeyer, głośno tupiąc, wszedł z powrotem na werandę, akurat gdy policjanci i Jessie wychodzili z domu.

– Chodźmy, *tannie* – rzuciła dziewczyna.

Wsiadając w zabłoconych skarpetkach do samochodu Reghardta, usłyszeliśmy szakala przyzywającego partnerkę. Spojrzałam na sawannę, ale nie dostrzegłam żadnego poruszenia na pustkowiu wokół farmy. Kątem oka zauważyłam jednak sylwetkę wyłaniającą się z ciemności nieopodal domu. Była to kobieta owinięta cienkim kocem. Przypominała dzikiego kozła kudu, poruszała się z podobną gracją, szyję miała wyprostowaną, głowę trzymała wysoko. Księżyc zagładający przez prześwit między chmurami oblewał ją blaskiem, w którym jej twarz lśniła niczym wypolerowany czarny kamień. Włosy miała uczesane w warkoczyki biegnące równymi rzędkami wzdłuż głowy.

– Lawrence? – spytała.

Komisarz Kannemeyer opuścił głowę i dotknął ręką czoła, po chwili jednak wyprostował się, zszedł z werandy i ruszył w stronę kobiety.

Szakał znów zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. Był to dziki, samotny krzyk.

ROZDZIAŁ 29

Gdy dotarłam do domu, było już bardzo późno i byłam wyczerpana, mimo to nie mogłam zasnąć. Ropuchy w ogrodzie skrzeczały po deszczu jak opętane. Do rechetliwego chóru dołączyły żaby rzeczne. Niedaleko mojego domu, bliżej gór, bije źródło i przepływa strumień, który pojawia się po deszczu. Jednak to nie głośnie kumkanie spędzało mi sen z powiek, lecz myśli, które kłębiły mi się w głowie. Przed oczami przesuwały się kolejne obrazy. Zwłoki Lawrence'a. Rozgniewana twarz Kannemeyera. Piękna kobieta poruszająca się jak kudu. I Kannemeyer idący w jej stronę.

Wstałam, zrobiłam sobie filiżankę ciepłego mleka z miodem i cynamonem, po czym usiadłam przy kuchennym stole w koszuli nocnej. W głowie kłębiło się mnóstwo pytań.

Kto jest mordercą?

Czy Martine i Lawrence'a zabiła ta sama osoba?

Czy Martine piła sok z granatów z mordercą?

Sięgnęłam po długopis i kartkę i zaczęłam zapisywać te pytania, które nie dawały mi spokoju.

„Dlaczego torba na zakupy nie była złożona?”

„Gdzie są nasze buty?”

Sporządziłam również listę osób, z którymi powinniśmy porozmawiać. Postanowiłam, że następnego dnia rano pokażę to wszystko Jess i Hats. Umówiłyśmy się z Jessie na spotkanie w redakcji, mimo że była sobota. Hattie zawsze przychodzi do biura w sobotnie poranki, zajmuje się wtedy księgowością.

Gdy skończyłam przelewać myśli na papier, poczułam, jak ogarnia mnie zmęczenie. Poczłapałam z powrotem do łóżka.

Położyłam się, słuchałam chrypliwego krzyku godowego ropuch oraz deszczu, który znów zaczął padać i ściekać po liściach kamforowca rosnącego za oknem. Wdychałam zapach wilgotnej ziemi i kamfory. Hej, pomyślałam, przecież nie ma jeszcze sezonu na granaty...

Mimo to kiedy zamknęłam powieki, ostatnim obrazem, jaki stanął mi przed oczami, był nie granatowiec, lecz komisarz Henk Kannemeyer, który w białej niedopiętej koszuli schodzi z werandy. W moich myślach nie zmierzał jednak w stronę kobiety wołającej zastrzelonego mężczyznę. W moich myślach szedł do mnie.

ROZDZIAŁ 30

Następnego ranka wstałam z kurami i zaraz po śniadaniu pojechałam do miasta. Opuściłam szyby w moim małym *bakkie*, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Dawno nie było tak chłodne i przyjemne. Niebo po deszczu stało się wyjątkowo przejrzyste i ponad wzgórzami można było dostrzec niebieskie fałdy Gór Długich, górskiego pasma na południe od Karru. Opłukana z kurzu sawanna zrobiła się świeża i zielona.

W redakcji zastałam Jessie. Siedziała za biurkiem, na czubkach palców u nóg kołysała zsunięty but i uśmiechała się do siebie. Kiedy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Oczy błyszczały jej tak, jak gdyby je również spłukał deszcz. Pod kamizelką miała bawełnianą koszulę z krótkimi rękawami. Spłowiała, w kolorze brązowym.

– *Tannie M.* – powiedziała na mój widok. – Hattie wyszła do banku. Opowiedziałam jej o zeszłej nocy.

– Była zła?

– Mhm. Myślę, że bardziej zmartwiona.

– Ty nie wyglądasz na zmartwioną – zauważyłam.

Nie odpowiedziała, ale jej dłoń powędrowała do ramienia i pogłaskała głowę wytatuowanego gekona. Koszula była na nią za duża. To była męska koszula. Jessie odchrząknęła i zaczęła pisać coś na komputerze. Poklepałam listy leżące na moim biurku.

– Dopóki Hattie nie wróci, zajmę się nimi – oznajmiłam.

Zaparzyłam nam kawę, podałam po herbatniku i zabrałam się do pracy. Gdy skończyłam odpisywać na list Marca od niebieskich talerzy, przejrzałam nową korespondencję. Jedna z kopert, brązowa, wyglądała znajomo, chociaż tym razem nie była poplamiona czarnym smarem.

Zamoczyłam ciastko w herbacie i odgryzłam spory kęs, zanim otworzyłam list od Karela.

Dziękuję, Tannie Mario!

Zrobiłem to! Wysłałem do niej SMS. Musiałem kupić telefon komórkowy. Na szczęście znalazłem market, w którym sprzedają je za sto czterdzieści randów, więc kupiłem dwa. Jeden dla Lucii. Poprosiłem kolegę, żeby zaniósł jej telefon, i wysłaliśmy do siebie piętnaście SMS-ów, zanim się w ogóle spotkaliśmy. Poszliśmy do Klubu Filmowego. Grali Jak w niebie. Film mi się podobał, chociaż nie do końca go rozumiałem. Kiedy były smutne sceny, Lucia zaczęła się trząść jak silnik, który trzeba wyregulować. Objąłem ją ramieniem i najpierw drgnęła, jakby miała coś nie tak z rozrusznikiem, ale

już za chwilę wszystko grało. Przestała płakać, ale ja nie przestałem jej obejmować.

Potem poszliśmy na hamburgery i sałatkę i prawie w ogóle się nie odzywałem. Lucia zjadła kilka frytek z mojego talerza i trzymaliśmy się pod stołem za rękę.

Nie pocałowaliśmy się na pożegnanie, ale uśmiechnęła się do mnie w taki sposób, że wszystko w środku mi zawarczało jak w silniku V8. Kiedy wróciła do domu, wysłała mi SMS, i tamtej nocy esemesowaliśmy do późna. Chciałem też podziękować Ci za jajko. Wiem, co masz na myśli, bo jak naleje się zimnej wody do chłodnicy, kiedy silnik jest rozgrzany, może mu pęknąć korpus. Zastanawiam się, czy teraz, kiedy już wiem, jak ugotować jajko, dałbym radę nauczyć się robić do jedzenia coś innego, też łatwego.

Odpisałam:

Drogi Karelu!

Dobra robota! Teraz mógłbyś się nauczyć przyrządzać walijskie grzanki z serem. Potrawa jest o wiele bardziej swojska niż jej nazwa. Tak naprawdę to po prostu pyszny sos serowy, którym polewa się tosty z pokrojonym gotowanym jajkiem.

Sklep Parmalat ma akurat w promocji dojrzały ser gouda, który doskonale będzie się nadawał do tego sosu.

Podaliśmy mu przepis, który uwielbiał mój tata. Ten z dodatkiem piwa i musztardy. W następnej chwili usłyszałyśmy samochód Hattie. Gdy usiłowała zaparkować, jej toyota warczała niczym harley-davidson. Spodziewałyśmy się, że za chwilę dobiegnie nas odgłos zderzenia, ale tym razem w nic nie wjechała.

Minutę później stanęła w drzwiach redakcji i wpatrywała się we mnie z zaciśniętymi ustami.

– Wy dwie! – odezwała się w końcu. – Naprawdę. Macie szczęście, że żyjecie.

Podeszła i objęła mnie.

– No dobra – rzuciła Jessie. – Zapiszmy na tablicy, co wiemy.

Na ścianie wisiała biała tablica, z której czasem korzystałyśmy przy układaniu różnego rodzaju list i planów. Jessie starła ją suchą ścierką. Hattie na zmianę otwierała i zamykała usta, ale nie zaprotestowała, Jessie zaś dalej robiła swoje i napisała na tablicy dwa nagłówki: „Zbrodnie” oraz „Wskazówki”. Pod pierwszym umieściła hasła: „Morderstwo Martine” i „Morderstwo Lawrence’a”.

– Proszę. – Wręczyłam jej listę sporządzoną poprzedniej nocy. – Jest tu parę pytań, na które trzeba odpowiedzieć, i nazwiska paru osób, z którymi mogłybyśmy porozmawiać.

Na tablicy pojawiły się kolejne hasła: „Pytania” oraz „Ludzie”.

Nastawiłam czajnik.

– Chwileczkę, dziewczyny – wtrąciła się w końcu Hattie. – Chyba nie mówicie poważnie.

– Herbaty? – spytałam ją.

Jessie przepisywała moją listę na tablicę.

– Zrobiło się za bardzo niebezpiecznie – ciągnęła Hattie.

– Od kiedy dziennikarze stronią od niebezpieczeństwa? – spytała Jessie.

– Dwa morderstwa! To naprawdę sprawa dla policji – przekonywała Hattie.

– Możemy im pomóc – oznajmiłam. – Powinniśmy z sobą współpracować.

– Bzdury! – prychnęła Hattie. – Jessie powiedziała, że policja wcale nie była zainteresowana współpracą. Komisarz zachowywał się bardzo nieuprzejmie.

– Cóż, to prawda – przyznałam. – Ale chyba miał rację, że nie powinno było nas tam być.

– Teraz go bronisz? – Jessie puściła do mnie oko.

– Zaniepokoił się o mnie... o nas. Mogłyśmy zginąć.

– Oczywiście, że komisarz miał rację. Dość tych wygłupów, drogie panie. Policja dostarczy gazecie odpowiednie informacje, gdy zakończy dochodzenie i sporządzi oficjalne raporty.

– Ja już teraz mam pewne informacje – oznajmiła Jessie. – Półoficjalne.

Znów kołysała sandałem zawieszonym na czubkach palców.

– Dowiedziałaś się czegoś od Reghardta? – spytała Hattie. – Coś jest między wami? Na tyle poważnego, żeby zdradzał ci tajemnice służbowe?

– Nie robi tego celowo. Ale rozmawia przez telefon i nawet jeśli wyjdzie na zewnątrz, a ja stanę przy oknie w łazience...

– Boże drogi, Jessie!

– Och, Hattie. Zdobywanie informacji to moja praca. Pamiętasz, Mario, mówiłam ci zeszłej nocy o śladach terenówki, które oglądał Piet.

– Tak – potwierdziłam, podając jej kawę.

– No właśnie. Reghardt rozmawiał o tych śladach z RCIK. Dziś, z samego rana.

– Chodzi o ekspertów medycyny sądowej, którzy przyjeżdżają z Oudtshoorn – wyjaśniłam Hattie.

– Terenówka miała opony firmy Firestone, typowe dla tego rodzaju samochodów – ciągnęła Jessie.

– Ale opony w różny sposób się zużywają. To tak samo jak u zwierząt. Każde zwierzę zostawia inne tropy, w zależności od tego, jak chodzi. Dobrzy tropiciele, tacy jak Piet, potrafią zauważyć te różnice.

– No i... – zainteresowała się Hattie.

Jessie łyknęła kawy.

– Piet uważa, że ślady tej terenówki, która przyjechała wczoraj w nocy, są takie same jak ślady, które dostrzegł na podjeździe po morderstwie Martine. Ekipa z RCIK będzie pobierać ich odciski, żeby się upewnić.

– O rety. Czy to znaczy, że Anna i Dirk są poza podejrzeniem, ponieważ tej nocy byli w szpitalu? –

spytała Hattie.

Jessie napisała na tablicy: „Podejrzani”, pod spodem zaś: „Dirk? Anna?”.

– Może uciekli... – zastanowiłam się.

– Nie, moja mama powiedziała, że przeleżeli w szpitalu całą noc. Podano im środki uspokajające.

Poza tym żadne z nich nie mogłoby prowadzić samochodu, mając takie obrażenia.

– Czyli to nie mogli być oni – uznała Hattie.

– Zeszłej nocy nie. Trochę potrwa, zanim RCIK przyśle wyniki ekspertyz, ponieważ odciski opon muszą wysłać do badania do laboratorium w Kapsztadzie, a tam zwykle są długie kolejki. Odciski palców sprawdzają u siebie, więc z tym uwiną się szybciej. Zadzwoiłam rano do RCIK, żeby poznać trochę ich procedury, oczywiście nie mówiłam, że chodzi o naszą sprawę. Policja jednak ufa Pietowi i tymczasem rozszerzą krąg podejrzanych. Jeśli złapią człowieka, który zabił Lawrence’a, przez ślady opon powiążą go z morderstwem Martine.

– Hm – mruknęła Hattie. – Zdaje się, że policja wie, co robi.

– Ale wielu rzeczy w ogóle nie biorą pod uwagę – powiedziałam. – A my nie możemy tak po prostu siedzieć i przyglądać się z założonymi rękami.

– Prawda – potwierdziła Jessie, dopisując na tablicy nagłówek „Zadania”. – Poza tym przeoczyli parę wskazówek.

– Czasami nie zwracają uwagi na drobne, ale ważne rzeczy – powiedziałam. – Takie jak jedzenie.

– O co chodzi z sałatą i granatami? – spytała Hattie, wskazując tę część tablicy, na której Jessie umieściła napis „Wskazówki”. – Jessie mówiła o nich wcześniej, ale nic z tego nie zrozumiałam.

– W poniedziałek w Sparze nie ma dostaw świeżej sałaty – wytłumaczyłam. – Dlatego po dacie przydatności do spożycia można poznać, że sałatę kupiono we wtorek, w dniu popełnienia morderstwa. Niełożona reklamówka, brakujący paragon i fakt, że Martine miała złamaną rękę, wskazują na to, że ktoś inny robił jej zakupy. Sezon na granaty jeszcze się nie zaczął, więc przypuszczam, że ten ktoś kupił Martine sok z granatów. Być może właśnie razem go wypili. Może morderca rozpuścił środki nasenne w soku.

Żałowałam, że nie zdołałam tak jasno się wysłowić w rozmowie z Kannemeyerem zeszłej nocy.

– Piet odkręcił zlew i zabrał go z domu Martine – powiedziała Jessie. – Więc może znajdą resztki soku, które wyślą do zbadania.

– Hm – zastanowiła się Hattie. – Zakupy mógł robić jej mąż.

– Tak, nasz przyjemniaczek – mruknęła Jessie. – Moja koleżanka Sanna pracuje w Agri z Dirkiem, porozmawiam z nią. Martine zginęła rano, a ludzie w Agri zwykle wychodzą z pracy dopiero na lunch. Jessie dopisała Sannę pod hasłem „Ludzie”.

– Może tamtym razem wyszedł wcześniej, żeby zrobić zakupy i podrzucić je żonie? – podsunęła Hattie.

– Jak myślisz, z kim powinniśmy porozmawiać na początek? – zapytała ją Jessie.

Hattie przyjrzała się zapiskom na tablicy.

– Zaczęłabym od kobiety, która wczoraj w nocy przysłała pod dom i szukała tego zastrzelonego mężczyzny.

– Dowiedziałam się, że ma na imię Grace – powiedziała Jessie, dopisując tę informację na tablicy.

– Nie znam jej nazwiska. Jest gosposią u van Schalkwyków.

– Oczywiście powinnaś też porozmawiać z Dirkiem i Anną. Potem ze swoją przyjaciółką z Agri. Może z ludźmi, z którymi Martine pracowała... Nie widzę ich imion na tablicy. A co z osobami, które opiekują się jej chorym synem? Z przyjaciółmi, krewnymi, znajomymi z kościoła? Zbadajcie jej przeszłość, zobaczcie, czy coś tam się nie pojawi.

– Lista się wydłuża – mruknęła Jessie, uzupełniając notatki na tablicy pomysłami Hattie.

– Jeżeli już przeprowadzacie śledztwo, to, na litość boską, zróbcie to, jak należy.

Jessie łyknęła kawy i mrugnęła do mnie.

– Niektóre z tych osób mogą nie chcieć tak od razu z nami rozmawiać – zauważyłam. – Może trzeba będzie je jakoś przekonać.

– Tak – potwierdziła Jessie. – Myślę, że najlepszy pomysł *tannie* to vetkoek z mięsem mielonym.

– Mmm – przytaknęła Hattie, ponieważ nawet Anglicy, którzy nie potrafią się odżywiać jak należy, wiedzą, jaka siła drzemie w tej potrawie. – Dobrze, dowiedzcie się, ile zdołacie. Ale bądźcie cholernie ostrożnie. Z każdym artykułem przychodźcie do mnie, zanim go zamieścicie. – Spojrzała na Jessie. – I nie chcę widzieć żadnych zaległości w bieżącej pracy.

– Już wracam do dzisiejszych tematów dnia – oznajmiła Jessie, obracając się z powrotem do swojego komputera. – Artykuł o konkursie krawieckim i wyścigach zdalnie sterowanych samochodów w Philipstown jest prawie gotowy, a po południu jadę na festyn szkolny w Ladismith. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Już nie mogę się doczekać.

– Wezmę je do domu. – Podniosłam resztę nadesłanych do mnie listów. – Muszę kupić parę rzeczy w Sparze i zabrać się do gotowania.

– Możesz odebrać mnie spod redakcji o siedemnastej, *tannie* M.? – spytała Jessie. – Pojechałybyśmy prosto do Grace, kobiety Lawrence'a. Mój skuter dalej stoi w krzakach przy farmie.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

– Potem mogłybyśmy się spotkać z Dirkiem i Anną w szpitalu. Zrobiłabyś vetkoek także dla nich? I może jeszcze parę zapasowych porcji...

– Nie ma sprawy.

Stałam już przy drzwiach. Czekало mnie tego dnia dużo gotowania. Na pierwszy ogień miał pójść walijski sos serowy.

ROZDZIAŁ 31

Gdy przejeżdżałam obok pensjonatu Dwarsrivier, zwolniłam. Gryzło mnie sumienie z powodu dzieci – obiecałam im ciasto. Może uda mi się znaleźć jakiś przepis bez masła i jajek.

Zauważyłam, że przy ulicy stoją zaparkowane trzy białe terenówki. Zatrzymałam się i wysiadłam, aby obejrzeć ich opony. Pierwsza była toyota landcruiser – ta sama, o której dzień wcześniej Jessie powiedziała mi, że należy do Dirka. Miała opony marki Firestone. Bieżnik był suchy i zakurzony w miejscach, gdzie maska samochodu osłaniała gumę przed deszczem. Daleko mi do eksperta w dziedzinie motoryzacji, ale nie wyglądało na to, żeby ktoś jeździł tym samochodem po deszczu.

Następna terenówka miała zabłocone opony, ale nie były one marki Firestone. Trzeci samochód, terenowy *bakkie*, miał lakier koloru kremowego i opony Firestone. Czyste. Bardzo czyste. Czyżby niedawno ktoś je umył? Gdy zaglądałam pod samochód, z pensjonatu wyszedł mężczyzna. Miał czerwoną twarz, długą krzaczastą brodę i brwi przypominające włochate gąsienice. Gąsienice wygięły się w dół, gdy mężczyzna zmarszczył czoło.

– Hej! – zawołał. – Co pani robi?

– O, coś mi spadło – odpowiedziałam. – Dzień dobry, jestem *tannie* Maria.

– Spieszę się – odburknął mężczyzna, wsiadając do samochodu.

– Czy należy pan do adwentystów dnia siódmego? – zainteresowałam się.

Nieznajomy trzasnął drzwiami i odjechał z rykiem silnika. O wiele za szybko.

Mieszkańcy Ladismith nigdy się nie spieszą. Zawsze mają czas choćby na to, żeby się przywitać. Zwykle jednak na powitaniu się nie kończy i nietrudno spędzić w mieście cały dzień, rozmawiając z ludźmi, nawet takimi, których dopiero co się poznało. Ten mężczyzna musiał być przyjezdny.

Dokąd tak się spieszył? Pewnie gdy zbliża się koniec świata, trzeba załatwić całkiem sporo spraw.

Wsiadając z powrotem do samochodu, zastanawiałam się, co bym zrobiła, gdybym myślała, że zbliża się koniec świata. Nie wierzyłam w Boga, w Kościół ani w nic z tych rzeczy, więc pewnie nie spędziłabym swoich ostatnich chwil, modląc się ani wspinając na jakąś górę. Prawdopodobnie ugotowałabym coś dobrego. Tylko co? I kogo zaprosiłabym, żeby zjadł razem ze mną?

Moje myśli powędrowały do lunchu, który zjadłam z komisarzem Kannemeyerem. To była naprawdę pyszna pieczeń. I ciasto udało się doskonale. Mimo to nie byłam pewna, czy chciałabym, żeby tamten posiłek był moim ostatnim.

Na ulicy przed Sparem zobaczyłam kolejnych pięć samochodów terenowych. Cztery z nich były jasnego koloru. Zaparkowałam i przechodząc obok nich, przyjrzałam się kołom. Dwie terenówki

miały opony Firestone, wszystkie zabłocone. Westchnęłam. Nawet gdybym cały dzień chodziła i oglądała koła, co takiego zdołałabym udowodnić? A przecież musiałam się jeszcze zająć zakupami i gotowaniem.

Zajrzałam do sklepu obuwniczego i kupiłam oliwę z oliwek od Elny le Grange. Brat Elny uprawia oliwki nieopodal Riversdale i tego dnia dowiedziałam się, że jego żona spodziewa się dziecka. Elna chciała porozmawiać dłużej, ale ja nie mogłam sobie na to pozwolić. Poszłam do biblioteki i poprosiłam *tannie* de Jager, żeby znalazła w internecie przepis na jakieś pyszne wegańskie ciasto. Nie trwało to długo – kartka z przepisem na wegański orzechowiec z daktylami wyskoczyła z drukarki, zanim bibliotekarka skończyła mi opowiadać, w jaki sposób seler pomaga jej na reumatyzm. Podziękowałam, złożyłam kartkę i schowałam ją do torebki.

Przed wejściem do Spara zobaczyłam kierownika sklepu – mężczyznę z wąsikami jak po wypiciu czekoladowego mleka – który właśnie wskakiwał do swojego małego niebieskiego samochodu, golfa. Z nim też powinnyśmy porozmawiać, bo był szefem Martine, odjechał jednak, zanim zdążyłam podejść i się przywitać.

W Sparze nie było dużo klientów, dlatego zakupy poszły mi sprawnie. Włożyłam do koszyka daktyle, orzechy włoskie i inne składniki na wegańskie ciasto. W domu miałam dość mąki, żeby starczyło na orzechowiec i vetkoek, ale potrzebowałam produktów na curry z mielonego mięsa. Zwykle sama mielę mięso, tym razem jednak skusiłam się na mrożony mielony [wildsvleis](#). Po pierwsze, miałam mało czasu, a po drugie, dziczyzna latem to prawdziwa rzadkość. Najwyraźniej zostały im jakieś mrożonki z zimowego sezonu łowieckiego.

Postanowiłam podejść do kasy, którą obsługiwała Marietjie. Wiedziałam, że to gaduła, lecz tym razem właśnie kogoś takiego szukałam.

– Jak się masz, *tannie* Mario?

Dziewczyna była koloredką o okrągłej, ładnej twarzy. Włosy miała wyprostowane i gładko zaczesane w szeroki kok.

– Nie najgorzej – odpowiedziałam. – Wspaniały deszcz.

– Och, tak – przytaknęła Marietjie, skanując kod na opakowaniu mielonego mięsa.

– Wasz kierownik nieczęsto tu bywa? – spytałam.

– Jest kierownikiem regionalnym wszystkich sklepów Spar w Karru – oznajmiła dziewczyna takim tonem, jakby była dumna ze swojego szefa.

Spojrzałam na zegarek.

– Dzisiaj sobota, trochę późno na objazd po innych oddziałach.

– Och, może po prostu wcześniej skończył pracę – odparła Marietjie. – W weekendy lubi jeździć na swoją fermę dzikich zwierząt w rezerwacie Touwsberg.

Spakowała zakupy do foliowej torby.

– Z żoną – dodała, jak gdyby nie chciała, żebym pomyślała o nim coś złego.

– Przyjaźniłaś się z Martine? Z panią van Schalkwyk? – spytałam.

– Och, takie straszne nieszczęście ta cała sprawa. – Dziewczyna pokręciła głową. – Nigdy nie lubiłam jej męża. Może to było samobójstwo? Słyszałam, że miała depresję.

– Myślisz, że była w depresji?

– Och, sama nie wiem. Pan Cornelius uważa, że tak. Trzymała się na uboczu. Zwykle siedziała w biurze.

– Tam miała biuro, za tamtymi drzwiami? – dociekałam.

– Tak, razem z panem Corneliusem.

– Dziękuję, Marietje. Na razie.

– Do widzenia, *tannie*. Miłego dnia.

Wychodząc, przeszłam obok biura. Miało duże, wychodzące na wewnątrz sklepu okno z szybą w cienkie, srebrne linie. Zapukałam do drzwi i nacisnęłam klamkę, ale były zamknięte, wróciłam więc do okna. Przycisnęłam twarz do szyby, żeby spojrzeć między prążkami. Dostrzegłam duże biurko zavalone dokumentami, na których leżało puste opakowanie po ciastkach. Obok stało drugie biurko, niewielkie, ze starannie poukładanymi tackami na korespondencję przychodzącą i wychodzącą. Nie musiałam się zbytnio wysilać, aby zgadnąć, które biurko należało do Martine.

W drodze do domu naliczyłam kolejnych siedem jasnych terenówek. Wcześniej nie zwracałam na nie uwagi, teraz zaś widziałam je wszędzie.

Miałam apetyt na grzanekę z walijskim sosem serowym, lecz zanim ją przyrządziłam, przygotowałam ciasto na vetkoek. Lubię robić je w tradycyjny sposób, z drożdżami. Podczas gdy ciasto rosło w misce ustawionej w słońcu na werandzie, usiadłam obok i zjadłam grzanekę z ugotowanym, pokrojonym jajkiem polanym gęstym serowym sosem. Piwo, musztarda, śmietana i dojrzały cheddar sprawiły, że sos miał charakterystyczny, pikantny posmak.

Spojrzałam na ogród i sawannę, świeże i zielone po nocnej ulewie. Wyglądało na to, że już zaczynają kiełkować nowe pędy. Popołudnie było ciepłe, lecz bezlitosny upał ustąpił. Kury grzebały w ziemi w cieniu drzewa cytrynowego.

Wystawione na słońce drożdżowe ciasto rosło, ja tymczasem zajęłam się przygotowaniem nadzienia. Podsmażyłam mięso mielone na maśle, a gdy się zrumieniło, dodałam cebulę, mieloną kurkumę, kolendrę i goździki oraz pomidory i chutney z zielonych pomidorów. Tak przygotowane curry zostawiłam na wolnym ogniu, żeby się dusiło.

Przyniosłam ciasto z werandy, delikatnie je zagniotłam, po czym uformowałam kulki. Następnie każdą kulkę spłaszczyłam, nasmarowałam oliwą i odłożyłam, żeby urosła.

Gdy olej był już bardzo gorący, zaczęłam wrzucać do niego po trzy chlebki na raz i czekałam, aż

się usmażą na złocistobrązowy kolor. Po wyjęciu odsączałam je na pustych wyłaczankach po jajkach.

Oczywiście musiałam spróbować, póki jeszcze były gorące. Przecięłam jeden na pół, włożyłam do niego ciepłe curry i siedząc przy poprószonym mąką stole, wśród pobudzonych desek do krojenia, odgryzłam pierwszy kęs. Smakował całkiem dobrze. Nie, nie dobrze. Wyśmienicie.

Przyrządzanie chlebków vetkoek z curry z mielonego mięsa to sztuka, którą południowoafrykańskie gospodynie doskonały przez wiele pokoleń. Gdy rozkoszowałam się przepyszną potrawą, ogarnęła mnie wdzięczność dla tych wszystkich kobiet, a zwłaszcza dla mojej mamy, która nauczyła mnie gotować. Siedząc w kuchni i jedząc vetkoek, doznałam uczucia, jakiego zapewne wierzący doznają w kościele.

Powiedziałam, że nie wierzę w nic, że moja wiara uleciała, ale może to nieprawda. Wierzyłam w dobroczynną moc chlebków vetkoek z curry z mielonego mięsa i we wszystkie *tannie*, które przyrządzały tę potrawę. Gdyby zbliżał się koniec świata, na ostatni posiłek przygotowałabym vetkoek.

ROZDZIAŁ 32

Dwa pojemniki (każdy załadowany czterema chlebkami z mielonym mięsem), Jessie i ja pojechaliśmy moim błękitnym *bakkie* na miejsce zbrodni – na farmę Dirka. Zamierzałyśmy złożyć wizytę Grace. Zaparkowałyśmy w cieniu sumaków i wzięłyśmy z sobą jeden pojemnik. Przeszłyśmy obok opustoszałego domu oraz dużego eukaliptusa, które owijała broniąca wstępu taśma policyjna. Na nogach miałam trzewiki w kolorze khaki. Zerknęłam w stronę tylnych drzwi, na miejsce, w którym ostatni raz widziałam swoje brązowe *veldskoene*. Martwiłam się o te stare, dobre buty. Miałam nadzieję, że nic im nie jest. Skręciłyśmy w stronę domku na skraju farmy. Domku Lawrence’a.

– Patrz – powiedziała Jessie, gdy mijaliśmy sadzawkę. – Tam wciąż są kacze pióra.

Przyglądałam się piórkom zaczepionym między trzciniami, które obrastały cały stawek. Moje spojrzenie złowiła żaba wpatrująca się w nas złocistymi ślepiami.

– To wygląda na zagrodę, tam, przy jabłoniach – rzekła Jessie, gdy uszłyśmy kawałek. – Ale nie widzę w niej żadnych zwierząt.

– Mają tu więcej drzewek owocowych – zauważyłam. – Tam, za krzakami głogu. Chodźmy je obejrzeć.

Cienie powoli się wydłużały, lecz powietrze wciąż było gorące, dlatego poruszałam się wolniej niż Jessie.

– *Tannie M.!* – zawołała Jess, która pierwsza dotarła do drzewek. – To granatowiec!

– Tak myślałam.

– Owoce są jeszcze zupełnie zielone.

Dotknęła jednego – był mały i twardy.

– Nie zjadłyby ich nawet pawiany – wysapałam, doganiając w końcu towarzyszkę.

– Tak, jeszcze nie zaczął się sezon na granaty, tak jak mówiłaś. Ciekawa jestem, skąd wziął się ten sok. Może kupny, wyprodukowany przez Liqui-Fruit albo inną podobną firmę.

– Być może, ale nigdy nie widziałam w sklepie świeżego soku z granatów. Poza tym miał taki domowy smak, zupełnie inny niż soki z kartonu.

Wąską, kamienistą ścieżką ruszyłyśmy w stronę domku. Zatrzymałyśmy się przed drewnianymi drzwiami i zapukałyśmy. Usłyszałyśmy jakiś ruch, ale nikt nie otworzył. Schody były wyczyszczone do połysku, a po obu stronach drzwi znajdowały się niewielkie klomby obsadzone czerwonymi różami, różowymi pelargoniami i pomarańczowymi jaskrami. Róże były bardzo starannie utrzymane. Sama nigdy nie hodowałam tych kwiatów – nie miałam serca do wkładania ogromu pracy w coś,

czego nie można zjeść. Różane krzewy trzeba latami przycinać, żeby kwitły tak pięknie.

W chwili, gdy się przymierzałyśmy, aby zapukać ponownie, drzwi się otwały. Stała w nich kobieta ubrana w błękitną sukienkę w afrykańskie wzory i wycierała ręce ścierką do naczyń. W popołudniowym świetle była równie piękna jak w blasku księżyca. Miała wysokie kości policzkowe i lśniąca skórę. Pachniała masłem kakaowym.

– Dzień dobry, *sisi* – przywitała się Jessie. – To *tannie* Maria, a ja jestem Jessie.

Uśmiechnęłam się do kobiety.

– Ładne róże – powiedziałam. – Ma pani dobrą rękę do roślin?

Kobieta pokręciła głową.

– To Lawrence – odparła.

– Grace, pracujemy w „Gazecie Karru Małego” – oznajmiła Jessie, postępując krok naprzód i wręczając kobiecie wizytówkę. – Możemy wejść?

Gospodyni przyjęła wizytówkę, ale nawet na nią nie spojrzała. Zerknęła za siebie, po czym znów przeniosła wzrok na nas.

– Byłyśmy tu zeszłej nocy – powiedziała Jessie – kiedy zastrzelono Lawrence’a. Bardzo nam przykro.

Grace spuściła oczy, utkwiała spojrzenie w stopach i przełknęła ślinę, jak gdyby wraz z nią przełykała smutek.

– Przyniosłyśmy *vetkoek* – dodałam. – Z mięsem mielonym.

Kobieta podniosła wzrok.

– Z curry z mielonego mięsa?

– Zjedzmy coś – zaproponowałam, pokazując pojemnik z czterema pękatymi chlebkami nadziewanymi mięsem i owiniętymi w papier woskowany.

– Trochę tu bałaganu – mruknęła Grace, ale cofnęła się i pozwoliła nam wejść. – Przeglądam jego rzeczy.

W malutkiej kuchni stały kartony załadowane różnymi przedmiotami. Dojrzałam między nimi talerze, emaliowane kubki i ceramiczną figurkę psa. Udałyśmy się za gospodynią do niewielkiego salonu. Kobieta podeszła do drzwi sypialni i zanim je zamknęła, zdążyłam zobaczyć leżącą na podwójnym łóżku wysłużoną walizkę.

– Pakujesz się? – spytała Jessie.

Grace usiadła na drewnianym krześle. Plecy miała sztywno wyprostowane, nogi złączone, kolana lekko odchylone na bok.

– Naprawdę przykra sprawa – powiedziałam. – Utrata męża musi być dla pani bardzo bolesna, pani... przepraszam, nie znam pani nazwiska.

Usiadłam na kanapie obok stosu starannie złożonych ubrań oraz skrzynki, z której wystawały narzędzia – grabki i sekator.

– Zihlangu – padła odpowiedź. – Nazywam się Grace Zihlangu. I Lawrence nie był moim mężem.

– Narzeczoną? – spytała Jessie.

Grace skinęła głową. Rozejrzała się po pokoju, w którym leżały poukładane w sterty rzeczy Lawrence'a, westchnęła i przygarbiła się. To była dobra pora na vetkoek. Otworzyłam pojemnik z jedzeniem, po czym jedną porcję podałam gospodyni, jedną Jessie, a jedną poczęstowałam się sama. Każdej z nas podsunęłam również serwetkę.

– Dziękuję, *mama* – powiedziała Grace.

Członkowie ludu Khosa, podobnie jak Afrykanerzy, zwracają się do wszystkich ludzi tak, jakby byli ich rodziną: ciociu, mamu, siostru...

– Wyjeżdżasz, *sisi*? – spytała Jessie.

Grace nie odpowiedziała, tylko zatopiła zęby w cieście. Po kilku kęsach znów siedziała wyprostowana. My również zajęliśmy się jedzeniem. Nie rozmawialiśmy, lecz Grace przyglądała się nam, gdy przeżuwałyśmy vetkoek. Popołudniowe światło wpadało przez duże, otwierane pionowo okno, w powietrzu wirowały pyłki kurzu, ale szyby w oknie lśniły. Na ścianach domku widniały pęknięcia, wszystkie jednak zostały zaszpachlowane i pobielone. Stojąca przede mną ława, a także inne blaty i półki, na które rzuciłam okiem, były nieskazitelnie czyste. Nic tutaj nie było wytarte tylko do połowy.

– To najlepszy vetkoek z mielonym mięsem, jaki jadłam w życiu – mlasnęła Jessie. – Fantastyczny.

Gdy Grace skończyła jeść, wytarła serwetką usta i palce, po czym wzięła zużyte serwetki od nas i wyrzuciła wszystkie do kosza w kuchni.

– Chcę stąd wyjechać – oznajmiła, siadając z powrotem na krześle. Była gotowa z nami porozmawiać. – Do Kapsztadu.

ROZDZIAŁ 33

– Masz rodzinę w Kapsztadzie? – zainteresowała się Jessie.

– W Prowincji Przylądkowej Wschodniej – odrzekła Grace. – Wracam tam na pogrzeb Lawrence’a. Ale chcę się zapisać do szkoły dla sekretarek w Kapsztadzie. Uczy się w niej moja koleżanka.

– Pracowałaś w domu Martine, pani van Schalkwyk? – spytałam.

– Tak. Dwa razy w tygodniu. W środy i piątki.

– Czyli nie było cię tu we wtorek, kiedy ona... – Zawiesiłam głos.

– Nie. W poniedziałki, wtorki i czwartki pracuję u pana Mariusa w mieście.

– Jaka była pani van Schalkwyk? – zapytała Jessie.

– Lubiłam ją. To straszne, co się stało. Była dobrą kobietą. Cieszyłam się, że dla niej pracuję. Szkoda, że nie mogłam pracować tylko u niej, a nie...

Jessie uniosła brew, lecz Grace nie powiedziała nic więcej.

– U pana Mariusa masz za dużo obowiązków? – zainteresowałam się.

– Nie boję się ciężkiej pracy – odpowiedziała Grace. – Nie. Po prostu on, wiecie... – Wygładziła dłońmi spódnicę.

– Napastował cię? – zapytała Jessie.

– Patrzy na mnie w dziwny sposób. Nie lubię tego. Nie jest dobrym człowiekiem. Pani van Schalkwyk też go nie lubi. Nie lubiła.

– Skąd wiesz?

– Jakies dwa miesiące temu powiedział, że chce odwiedzić van Schalkwyków, i odwiózł mnie po pracy. Zapukał do drzwi. Pan van Schalkwyk nie wrócił jeszcze do domu, a pani van Schalkwyk kazała mu iść precz. Zamknęła mu drzwi przed nosem. Nie był zadowolony. Przejechał przez grządkę róż przy drodze. Róż Lawrence’a.

– Czego chciał? – dociekała Jessie.

– Nie wiem – odparła Grace. – Szłam do siebie i nie słyszałam całej rozmowy.

– Jakim samochodem jeździ? – drążyłam.

– Dużym, takim jak auto pana van Schalkwyka. Z boku ma napis: „Nieruchomości Karru”.

– Nieruchomości? – powtórzyła Jessie.

Pokiwałam głową. Pan Marius był jednym z reklamodawców w naszej gazecie – tym, który

przyprawiał Hattie o ból głowy.

– Tak. W jego gabinecie wisi dużo zdjęć. Domy. Sawanna. I różne fotografie zrobione z nieba.

– Czy Martine często przyjmowała gości? – Jessie kontynuowała przesłuchanie.

– Odwiedzała ją przyjaciółka, Anna. Dużo się razem śmiały. To było miłe. Przy mężu się nie śmiała.

– Czy on ją bił?

– Nie widziałam tego, ale widziałam siniaki. – Pokręciła głową. – I potłuczone rzeczy w koszu na śmieci.

– Pamiętasz jeszcze jakichś gości? – dalej pytała Jessie.

– Przyszedł raz jeden mężczyzna. Może miesiąc temu. Kiedy wypił herbatę, pani van Schalkwyk powiedziała mu, że powinien już iść. Powiedziała, że jej mąż nie byłby zadowolony, gdyby go spotkał. Ten mężczyzna przyszedł jeszcze raz któregoś piątku, ale pani van Schalkwyk pracuje w piątki, więc sobie poszedł.

– Znasz tego mężczyznę? – chciała wiedzieć Jessie.

– Nazywa się John. Czasami widzę go rano w mieście. Ma stragan z jajkami, warzywami i różnymi roślinami.

– Na bazarze? – domyśliłam się.

Grace przytaknęła.

– O czym rozmawiała z nim Martine? – spytała Jessie.

– Nie wiem. Nie słuchałam.

Spuściłam wzrok, zerknęłam na ostatni vetkoek i rzuciłam:

– Może usłyszałaś coś niechcący, przez przypadek?

– Sprzątałam w pokoju obok. Pani van Schalkwyk powiedziała, że dawne czasy minęły. Potem on mówił coś o szczelinie. Chyba był zły.

– O szczelinie? – zdziwiła się Jessie.

Grace przygryzła dolną wargę i utkwiała spojrzenie w paznokciach u rąk.

Pomogłam jej przezwyciężyć zakłopotanie, zmieniając temat.

– Gdyby pani van Schalkwyk wycierała stół, czy wytarłaby go tylko do połowy?

– Och, nie! – odparła Grace. – Nie jest taka. Jest jak ja. Nigdy by tego nie zrobiła.

– Czy policja cię przesłuchiwała? – spytałam.

– Przyszli porozmawiać tej nocy, gdy Lawrence... Ale ja nic nie słyszałam. Tylko deszcz i pioruny. Nie obudziłam się, kiedy Lawrence wstał. Obudziłam się później, chociaż nie wiem dlaczego. Czekałam i czekałam, a kiedy nie wracał, zaczęłam go wołać, a potem poszłam go poszukać. – Objęła się rękami i potarła dłońmi ramiona. – Powiedziałam policji, że nie ma nikogo, kto chciałby zabić

Lawrence'a. Był dobrym człowiekiem. Robił, co do niego należało, to wszystko.

– Bardzo mi przykro – wyznałam. – Podejrzewamy, że być może ta sama osoba zabiła jego i Martine.

– Boję się tutaj zostać. Chcę wyjechać, ale brakuje mi na to pieniędzy. Muszę prosić pana van Schalkwyka i pana Mariusa o pomoc.

– Czy Lawrence pracował na farmie codziennie? – spytała Jessie.

– Tak. Kiedyś to była owcza farma, ale od dawna nie prowadzą hodowli, przestali, jeszcze zanim tu przyszedłam. Sprzedali dużo ziemi, wielu robotników straciło pracę. Zatrzymali Lawrence'a, żeby zajmował się tym, co zostało. Ogrodem, sadem. Jest dobrym pracownikiem.

– Czy w tamten wtorek, gdy Martine została zamordowana, Lawrence był na farmie?

– Tak. Policja wypytywała go o tamten dzień. Byłam przy tym, jak z nim rozmawiali.

– Co im powiedział?

– Powiedział, że widział, jak rano podjeżdża pod dom samochód pana van Schalkwyka. Pomachał mu, ale *meneer* mu nie odmachnął. Policjanci spytali, czy jest pewny, że to był pan van Schalkwyk, a Lawrence powiedział, że tak.

Jessie pochyliła się w fotelu, Grace zaś mówiła dalej.

– Spytali, czy Lawrence stał blisko domu, a on odpowiedział, że nie, pracował na skraju farmy, w sadzie. – Kobieta wskazała ręką okno. – Przycinał zeschnięte gałęzie, rąbał drewno. Wtedy zapytali, jak więc może być pewny. Powiedzieli, że pan van Schalkwyk zeznał, że cały ranek był w pracy i pracownicy w Agri mówią to samo. Lawrence na to powiedział, że może nie jest tak całkiem pewny, ale przecież widział samochód pana van Schalkwyka. Spytali, czy jest pewny, że to był jego samochód, czy może auto takiego samego typu jak samochód pana van Schalkwyka. Lawrence powiedział, że auto wyglądało mu na samochód *meneera*, ale może to było inne auto.

Grace westchnęła i potarła palcami kłykcie drugiej dłoni. Skinęłam głową, a wtedy podjęła opowieść.

– Kiedy policjanci wyszli, spytałam go, czy to naprawdę był pan van Schalkwyk. Odpowiedział, że nie chce, żeby przez niego *meneer* miał kłopoty. Powiedziałam mu, że nie żyje kobieta i że musi powiedzieć prawdę, ale on milczał i tylko kręcił głową. Lawrence nie był złym człowiekiem, tylko nie był silny.

– Kochałaś go? – spytałam.

– Lawrence'a? – Grace spojrzała na starannie złożone męskie ubrania leżące na kanapie, po czym przeniosła wzrok na zamknięte drzwi do sypialni. – Nie.

Podniosłam pojemnik i poczęstowałam ją ostatnim chlebkiem.

ROZDZIAŁ 34

Siedziałam w *bakkie* przed szpitalem i czekając na Jessie, obserwowałam zachód słońca.

Długi, biały budynek szpitala okalały starannie utrzymane kwietniki. Kwitnące na nich rośliny były bardzo zadbane. Wiedziałam, że podobne porządki panują wewnątrz budynku: szpital bardzo dbał o swoich pacjentów – nawet jeśli karmiono ich nie najlepiej. Szpitalne jedzenie jest okropne. Właśnie dlatego vetkoek powinien się sprawdzić w wypadku Anny i Dirka.

Szpital stał na szczycie niewysokiego wzgórza u stóp Klein Swartberge, Małych Gór Czarnych. Brunatne pagórki układały się w fałdy prowadzące w stronę Rooibergu, Góry Czerwonej. W świetle zachodzącego słońca była naprawdę czerwona. Wyglądała jak ogromne zwierzę, które położyło się, aby odpocząć, i nie życzyło sobie, by mu przeszkadzano. Zastanowiłam się, czy to na pewno dobry pomysł, żeby tego dnia odwiedzać Dirka.

Niebo mieniło się teraz odcieniami zieleni i błękitu, przybierając barwę podobną do tej, która zdobi stare miedziane rury. Gdzieniegdzie urozmaicały ją różowo-pomarańczowe pasma chmur.

Usłyszałam warkot czerwonego skutera Jessie. Mniej więcej w tej samej chwili dobiegł mnie jeszcze jeden dźwięk, gwałtowny i niepokojący. Przypominał pomruki nadciągającej burzy, ale dolatywał ze szpitala. Jessie wjechała na wzgórze i zaparkowała obok mnie. Ruszyliśmy do wejścia.

– Co to za hałas? – spytała dziewczyna.

Weszliśmy do środka, ja z pojemnikiem, Jessie z kaskiem pod pachą. Ryki i stukot ucichły, ale zaraz znów się rozległy i stawały się coraz wyraźniejsze, ponieważ kierowałyśmy się w ich stronę. Drzwi prowadzące do niewielkich sal były otwarte i w niektórych widziałyśmy pacjentów. Minęłyśmy wspartego na poduszkach mężczyznę o pożółkłej twarzy i siedzącą przy nim młodą kobietę wpatrzoną w wazon z kwiatami. Jakaś staruszka posłała nam słaby uśmiech, jak gdyby spodziewała się, że przyszłyśmy w odwiedziny właśnie do niej. Szłyśmy dalej i chwilę później w jednoosobowej sali zobaczyłyśmy Annę.

– Hej, *tannie!* – zawołała.

Chciała nam pomachać, ale ręce miała przykute do poręczy łóżka, obok którego stał wózek inwalidzki. Na lewej nodze Anny białął gips, prawą zaś miała zabandażowaną od kostki po kolano.

Dziwny dźwięk zbliżał się coraz bardziej. Przypominał wycie dzikiego zwierzęcia przedzierającego się przez busz.

– Przyskrzynili mnie! – oznajmiła kobieta, potrząsając kajdankami.

– Ojej, Anno, zostałeś aresztowana? – spytała Jessie, stając w drzwiach sali.

– Tak, to też. Ale przykuli mnie do łóżka, bo znalazłam Dirka i powyciągałam mu kroplówki!

Diabelski hałas stawał się coraz głośniejszy. Wyrzałam na korytarz akurat w tym momencie, gdy zza rogu wyłoniła się dziwna postać.

– Ojej! – powtórzyła Jessie.

To był Dirk ubrany w bladozieloną szpitalną koszulę. Ryczał niczym ranne zwierzę i ciągnął za sobą hałaśliwy balast. Do kostki miał przywiązany metalowy pręt przypominający kawałek poręczy łóżka, jego nóg zaś uczepliło się dwóch mężczyzn w białych uniformach. Obie ręce Dirka były zabandażowane – jedna nawet wsparta na temblaku – i wyglądało na to, że sanitariusze próbują zatrzymać go, tak aby nie zrobić mu krzywdy. Sami widzicie, jaki to dobry szpital.

Za nimi biegła pielęgniarka, usiłując przekrzyczeć ryczącego Dirka i wołających coś sanitariuszy. W rękę trzymała strzykawkę z igłą tak dużą, że wydawała się przeznaczona nie dla człowieka, lecz dla konia. Dirk nie zamierzał stać spokojnie i czekać, aż pielęgniarka wbije mu ten szpikulec. Kopniakiem strząsnął z siebie mężczyznę, który trzymał go za prawą nogę. Sanitariusz poleciał na ścianę, ale zaraz się zerwał i znów rzucił na Dirka. Tutejszy personel jest naprawdę pełen oddania.

Razem z Jessie próbowałyśmy zatarasować wejście do sali Anny, lecz Dirk wraz ze swoją obstawą przepchnęli się obok nas. Rozwiane poły wiązanej z tyłu szpitalnej koszuli odsłaniały pośladki Dirka obrośnięte takimi samymi szorstkimi włosami, jakie porastały mu głowę i policzki. Anna usiadła na łóżku gotowa do walki, zaczęła szarpać kajdankami, podczas gdy Dirk z łoskotem kuśtykał w jej stronę. Jessie ruszyła do przodu, zabiegła drogę rozszalałemu mężczyźnie i zanim zdążył dopaść Annę, prysnęła mu prosto w twarz gazem łzawiącym. Dirk rozkaszłał się, splunął, ale mimo to zdołał dobrać się do łóżka i zębami wyszarpnąć rurki od kroplówek. Dusiałam się od piekącego zapachu pieprzu, łzy płynęły mi ciurkiem z oczu. Dirk kopał w łóżko, usiłując je przewrócić, ale w tym momencie dopadła go pielęgniarka i zatopiła igłę w jego udzie.

Mężczyzna wrzasnął niczym rozwścieczony pawian, było już jednak za późno. Zwiotczałe ciało zaczęło się osuwać po oparciu łóżka. Sanitariusze zdołali wsunąć pod Dirka wózek, żeby nie upadł jak długi, a wtedy górna połowa jego ciała poleciała do przodu, na łóżko, głowa zaś spoczęła na udach Anny.

Śpiący błogo na kolanach Anny Dirk wydawał się jedyną szczęśliwą osobą w sali pełnej zapłakanych i krztuszących się od gazu ludzi.

ROZDZIAŁ 35

– Przyniosłyśmy ci vetkoek, Anno – oznajmiłam. – Z curry z mielonego mięsa. Mam nadzieję, że gaz pieprzowy nie zepsuje smaku.

Sanitariusze wywieźli Dirka, a Annę przenieśli do innej sali. Na dworze zrobiło się już ciemno i szpitalne pomieszczenia zalewało jaskrawe sztuczne światło.

– Och, dziękuję *tannie* – powiedziała Anna.

Zdjęto jej kajdanki z rąk i mogła sięgnąć po vetkoek.

Dłonie oraz ręce miała posiniaczone, jedną nogę w gipsie, drugą w bandażach, ale jej oczy lśniły, a policzki pałały zdrowym rumieńcem. W niczym nie przypominała zrozpaczonej, zagubionej kobiety, jaką pamiętałam z ostatniego spotkania.

– Myślę, że walka dobrze jej robi – zwróciłam się do Jessie. – Dzięki niej nabiera sił.

– Tak, Dirk również – dodała Jessie. – Nie jest zbyt potężnym mężczyzną, a widziałas, jak ciągnął za sobą tych facetów i połowę łóżka.

Anna nie przysłuchiwała się naszej rozmowie. Pałaszowała vetkoek, jak gdyby od tygodnia nie miała nic w ustach.

– Powinnyśmy im w ogóle mówić, że prawdopodobnie oboje są niewinni?

– Może żądza zemsty pomaga im poradzić sobie z utratą Martine?

– Ale równie dobrze ta żądza może ich zabić – zauważyłam.

Anna wytarła usta serwetką i wbiła wzrok w pojemnik z chlebkami. Żeby jednak zasłużyć na dokładkę, musiała wpierw odpowiedzieć na parę pytań.

– Tamtego dnia, gdy zginęła Martine, czy robiłaś dla niej zakupy? – zaczęłam.

– Nie – odparła, marszcząc brwi. – Tamtego dnia nie.

– Czy Dirk czasami robił zakupy?

– Ta świnią nigdy w życiu nie była na zakupach. Tienie zwykle kupowała potrzebne rzeczy po pracy w Sparze.

– Miała złamaną rękę, pamiętasz? Nie mogła sama jechać do pracy – wtrąciła się Jessie.

– Może dręczyły go wyrzuty sumienia – rzuciłam, ponieważ przypomniało mi się, co Martine napisała w pierwszym liście do mnie.

– Akurat! – prychnęła Anna. – On nie ma sumienia.

– Czy Martine lubiła granaty? – spytałam.

– Tak, ale najbardziej sok z granatów. Od czasu do czasu Spar sprowadza butelki zamrożonego soku od Robertsona. Nieraz Martine zapraszała mnie specjalnie, żebym mogła się poczęstować. Ale zwykle wypijałam tylko szklaneczkę. Ten sok tak bardzo jej smakował, że chciałam, aby zostało dla niej jak najwięcej. Uwielbiałam patrzeć, jak go pije.

Wolałam nie mówić Annie, że Martine raczyła się sokiem z granatów również w towarzystwie kogoś innego, ponieważ obawiałam się, że kobieta wpadnie w szal z zazdrości.

Anna uśmiechnęła się, a ton jej głosu złagodniał, gdy wróciły wspomnienia.

– Pijąc, zamykała oczy i mogłam patrzeć na nią bez żadnych obaw. Mogłam uwolnić wszystkie swoje myśli i uczucia, gdy miała zamknięte oczy. – Sama przymknęła powieki. – Kochałam Tienie, naprawdę, mimo że była Angielką. Moja prababka Anna Hermina Stefanus Pretorius zmarła w obozie koncentracyjnym w rejonie Vaal. Anglicy spalili nasze farmy na popiół.

Wojny burskie toczyły się dawno temu, lecz gdy Anna znów na nas spojrzała, w jej oczach płonął tak silny gniew, jakby konflikt zbrojny między Anglikami i Afrykanerami zakończył się nie dalej niż wczoraj. Przez to jej spojrzenie zrobiło mi się niemal przykro, że mój ojciec był Anglikiem. Najchętniej wytłumaczyłabym Annie, że rodzina taty ma korzenie szkockie i irlandzkie. Moja prababcia była spokrewniona z irlandzkim bohaterem narodowym Robertem Emmetem, którego Brytyjczycy skazali na powieszenie i poćwiartowanie.

Anna delikatnie przesuwiała kciukiem po opuszkach palców drugiej dłoni i zapatrzyła się w przestrzeń ponad moim ramieniem, jak gdyby wracała myślami do przeszłości. Po chwili mówiła dalej.

– Ale Tienie była inna, naprawdę. Przy niej znów czułam się jak dziecko, które bawi się nad rzeką i jeszcze nie wie, czym są problemy. Była jak strumień czystej wody. Słodkiej i świeżej. – Anna przeniosła spojrzenie na Jessie, po czym oświadczyła: – Kochałam ją. Ale nie jestem idiotką. Wiedziałam, że ona nie pokocha mnie w taki sam sposób. Kochała mnie za to po swojemu.

Jej wzrok znów stał się nieobecny i miałam wrażenie, że spogląda nie na nas, lecz na obrazy, które teraz istniały już tylko w jej głowie.

– Kiedy mnie widziała, uśmiechała się lekko, tak jak tylko ona potrafiła. Jej oczy rozjaśniały się, moje serce zaś robiło fikołka, rozumiecie, skakało z radości. A gdy siedzieliśmy razem i piłyśmy kawę albo patrzyliśmy na kaczki pluskające się w stawie, czułam się jak w niebie.

Teraz popatrzyła prosto na mnie.

– Miałam nadzieję, że któregoś dnia zamieszkamy razem. Nigdy nie chodziłaby głodna. Gdyby padał deszcz, a nie spadały ceny kukurydzy, miałabym nawet dość pieniędzy, żeby kupować jej ładne ubrania. Największym wydatkiem byłby jej syn, który mieszka w domu opieki. Mówiłam, że mógłby zamieszkać z nami, ale upierała się, że on potrzebuje specjalnej opieki. Kocha tego chłopaka. – Na twarz Anny wrócił wyraz rozpacz i zagubienia. – Kochała... Bo już nie żyje... Jak to możliwe, że coś,

co zajmuje tyle miejsca w czyimś sercu, nagle znika?

Pokręciła głową i położyła dłoń na piersiach. Potem znów spojrzała w przestrzeń nad nami, a w jej oczach zapłonął ogień.

– Temu sukinsynowi nie ujdzie to na sucho – syknęła. – Dopilnuję, żeby za wszystko zapłacił. Nie boję się. Jeśli umrę, pójdę prosto do Tienie. Będziemy razem, skończą się problemy z mężczyznami i kukurydzą...

– Anno – przerwałam jej. – Anno. – Zamrugęła, jakby właśnie się obudziła. – Posłuchaj mnie. Zeszłej nocy byliśmy w domu van Schalkwyka. Lawrence, mężczyzna, który u niego pracował, przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Został zastrzelony. Nie żyje.

– Och, nie. – Zasłoniła usta dłonią. – Biedny Lawrence.

– Myślimy, że mógł to zrobić ten sam człowiek, który zabił Martine. Zostawił takie same ślady opon.

– To nie mógł być Dirk – dodała Jessie. – Tak poranionymi rękami nie dałby rady prowadzić samochodu, a poza tym całą noc przeleżał w szpitalu nafaszerowany środkami nasennymi.

Anna spojrzała na swoją kroplówkę i postukała palcem w gips.

– Może ktoś inny zastrzelił Lawrence'a – powiedziała. – A Dirk zabił Martine.

– Może – przyznałam.

– A może nie – rzekła Jessie.

Zobaczyłam na twarzy Anny cień zwątpienia. Jej oczy posmutniały, głowa opadła na piersi.

– Tęsknię za nią – wyszeptała, a gdy podniosła wzrok, zobaczyłam, że ma mokre rzęsy. – Nie macie pojęcia, jak bardzo za nią tęsknię.

ROZDZIAŁ 36

Zostawiłyśmy Annę z jej tęsknotą i z chlebkiem z mielonym mięsem, a same poszłyśmy poszukać Dirka.

Gdy go znalazłyśmy, leżał na plecach i chrapał. Jego bokobrody przypominały dzikie, przerośnięte krzewy sawanny. Z kącika ust sączyła się cienka strużka śliny. Po jednej stronie jego łóżka stał telewizor, po drugiej biały stolik, na nim zaś taca z nietkniętym szpitalnym jedzeniem. Lewa ręka Dirka spoczywała na klatce piersiowej razem z temblakiem, prawa była zabandażowana od ramienia po dłoń, spod bandaża wystawały jedynie palce. Jedna noga mężczyzny była przykuta kajdankami do łóżka.

Na łóżku obok leżał nastolatek ze słuchawkami na uszach. Nad jego głową umieszczono tabliczkę informacyjną: „Nic doustnie”. Uśmiechnęłam się do chłopca, ponieważ zrobiło mi się go żal, ale on nawet na nas nie spojrzał, wzrok miał wlepiony w ekran telewizora.

– Dirk? – odezwała się Jessie.

Mężczyzna, chrapiąc, pochrząkiwał jak prawdziwy guziec.

– *Oom van Schalkwyk*... – spróbowałam.

Wujek van Schalkwyk szarpnął nogą, ale nie otworzył oczu. Najwyraźniej końskie lekarstwo miało silne działanie nasenne. Pożałowałam, że nie mam przy sobie soli trzeźwiących, którymi mogłabym go ocucić. Wtedy przypomniałam sobie o chlebkach. Odwinęłam jeden i podsunęłam Dirkowi pod nos. Po chwili zapach dotarł do jego nozdrzy i mężczyzna uchylił powiekę.

– Vetkoek? – chrząknął.

Poruszył nosem, po czym otworzył drugie oko i utkwił spojrzenie w miejscu, gdzie curry z mielonego mięsa wystawało poza krawędź przekrojonego ciasta.

– *Mama?* – spytał.

– Usiądź, Dirkie, i zjedz swój vetkoek – poleciłam.

– Jak się podnosi te łóżka? – zastanawiała się głośno Jessie, oglądając pilota.

Ekran stojącego obok telewizora nagle rozbłysnął, z głośników ryknęły dźwięki reklamy herbaty Five Roses. Dirk zmrużył oczy. W następnej chwili telewizor się wyłączył, a wezgłowie łóżka gwałtownie podskoczyło, wyrzucając Dirka do pozycji siedzącej.

– Hej! – warknął i obrzucił nas mętym spojrzeniem.

Podaliśmy mu vetkoek, który zdołał podnieść do ust wystającymi spod bandaża palcami prawej ręki.

Jadł bardzo niechłujnie, zatknęłam mu więc pod brodą serwetkę, która leżała na tacy ze szpitalnym posiłkiem.

– Pyszne... Dzięki, *ma*. – Młasnął. – Jedzenie w tym... hotelu jest gówniane.

– Dirkie – zaczęłam. – Czy robiłeś w tym tygodniu zakupy dla Martine? We wtorek, w dniu, w którym umarła?

– Martiiiiiiiiine – zawył Dirk. Odłożył *vetkoek* i zaniósł się płaczem. – Ona nie żyyyyyje.

– Zrobiłeś dla niej zakupy? – powtórzyłam.

– Nie – zaszlochał. Kawałki mięsa wypadły mu z ust, potoczyły się po serwetce i ześlizgnęły na temblak. – Nigdy nie robiłem dla niej zakupów. Nigdy. Byłem złym mężem. Złym.

– Zabiłeś ją? – spytała Jessie.

– Nie – odpowiedział, wpatrując się w nas dużymi, przekrwionymi oczami, jakie czasami widzi się u psów gończych. – Tamta kobieta, tamta szcurzyca to zrobiła. Znaleźli jej odciski palców.

– Dirkie, posłuchaj – oznajmiłam. – Nie sądzimy, żeby to zrobiła Anna. Być może Martine zabił ktoś inny. Ten sam człowiek zastrzelił zeszłej nocy Lawrence’a.

– Lawrence? – sapnął Dirk. – Nie żyje?

Kiwnęłam głową.

Dirk wbił spojrzenie w sufit, jakby spodziewał się tam znaleźć wytłumaczenie całej tej sytuacji.

– O, nie. Lubiłem Lawrence’a...

Powieki mu opadły, ale już po chwili znów szeroko otworzył oczy. Walczył z działaniem środka nasennego.

– Myślimy, że człowiek, który zabił Lawrence’a, prawdopodobnie zabił też Martine – oświadczyła Jessie. – Przychodzi ci do głowy ktoś, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić?

Dirk spuścił wzrok, popatrzył na dłonie i wydawał się zaskoczony tym, że trzyma w nich *vetkoek*. Odgryzł duży kęs ciasta z mięsem, po czym wytarł usta w zabandażowane ramię.

– Była dobrą kobietą – powiedział. – A ja byłem złym mężem. Złamałem jej rękę.

– Czy był jeszcze ktoś, jakiś mężczyzna, który...?

– Zabiję go – wybełkotał. – Przysięgam, że zabiję ich oboje. Jego i tę lesbę.

Powieki znów zaczynały mu ciążyć. Nagle jednak rozwarły się szeroko, jak gdyby ujrzął ducha. Nastolatek również wybałuszył oczy i rozdziawił usta. Obróciłyśmy się.

W drzwiach stała kobieta, która wyglądała niczym aktorka z filmów kręconych w latach czterdziestych ubiegłego stulecia. Była ubrana w czarne aksamitne buty na wysokich obcasach oraz krótką, elegancką, czarną sukienkę odsłaniającą długie nogi i podkreślającą krągłe piersi. Złociste włosy miała upięte nisko nad karkiem, jej wargi połyskiwały czerwienią dojrzałych wiśni, a kąciki ust unosiły się w delikatnym uśmiechu.

– Dirk van Schalkwyk! – rzekła kobieta, po czym weszła do sali, kołysząc biodrami, a głowa Dirka przechylała się z boku na bok w rytm jej kroków. – Ależ ty wyglądasz!

Mówiła z akcentem amerykańskim, ale takim jak bohaterowie *Przeminęło z wiatrem*, jak gdyby pochodziła z południa Stanów Zjednoczonych. Mimo to nazwisko Dirka wymówiła w odpowiedni, południowoafrykański sposób.

– Pani jest kuzynką Martine – odezwała się Jessie. – Projektantką mody z Nowego Jorku.

Emocje, vetkoek i końska dawka środka nasennego w końcu wzięły górę nad Dirkiem, który w tym momencie stracił świadomość.

– Zgadłaś, złotko – przytaknęła gwiazda filmowa. Zawtórowało jej chrapanie guźca. – Czy można gdzieś tu dostać kieliszek przyzwoitego martini?

ROZDZIAŁ 37

– Candice Webster – przedstawiła się kuzynka, wyciągając rękę. – Ale mówcie mi Candy.

– Jessie Mostert. – Jessie uścisnęła jej dłoń. – A to jest *tannie* Maria van Harten.

Projektantka mnie również podała rękę. Uścisk miała mocny, ale skórę bardzo delikatną.

– Jesteście przyjaciółkami Dirka? Z pewnością przydałaby mi się czyjaś pomoc w sprawach związanych z pogrzebem.

– Bardziej byłyśmy związane z Martine – wyjaśniła Jessie. – Chodźmy poszukać tego martini.

Opuściłyśmy chrapiącego Dirka i nastolatka z rozdziawionymi ustami.

– Dirk to idiota – powiedziała Candy. Stukot jej obcasów niósł się po szpitalnym korytarzu. – Ten facet potrafił wszystko spaprać, zepsułyby nawet kamień. Gdyby nie był taki nieudolny, pomyślałabym, że to on ją zabił. Jeśli chcemy urządzić Martine stosowne ostatnie pożegnanie, ja muszę się tym zająć. Na szczęście byłam w Południowej Afryce, kiedy dostałam telefon z tą tragiczną wiadomością. Mam butik w Kapsztadzie.

– Czy Martine nie ma żadnych bliższych krewnych? – spytała Jessie.

– Jej ojciec to sknera, a brat to menda. Mają wszystko i wszystkich gdzieś. Ale skoro już są w okolicy, przynajmniej przyjdą na pogrzeb. Pomyślałam, że możemy urządzić go w środę.

– Na pewno będziemy mogły ci jakoś pomóc – oznajmiła Jessie. – Jedź za mną do hotelu Ladismith. Podają tam dobre martini.

Stałyśmy już na parkingu. Candy otworzyła drzwi małego czerwonego samochodu marki MG, który również wyglądał tak, jakby zjechał prosto z planu zdjęciowego.

– Świetne auto – zachwyciła się Jessie.

– Tak, prawdziwa ślicznotka – potwierdziła Candy. – Wypożyczone.

– Spotkamy się na miejscu, *tannie* M.

Pokręciłam głową.

– Wybaczcie – powiedziałam. – To był długi dzień. Muszę pojechać do domu i odpocząć. Zobaczymy się jutro.

Jessie mnie objęła, Candy cmoknęła powietrze obok mojego policzka. Czerwony MG ruszył za skuterem w dół wzgórza, a ja i ostatni vetkoek potoczyliśmy się za nimi w małym niebieskim *bakkie*. Gdy one skręciły w stronę hotelu, my pojechaliśmy prosto, minęliśmy roгатki miasta i wjechaliśmy na

drogę gruntową, która prowadzi do mojego domu.

Usiedliśmy przy kuchennym stole, vetkoek i ja, po chwili zaś zostałam już tylko ja.

ROZDZIAŁ 38

Zapaadłam w twarde sen i obudziłam się, gdy słońce stało już wysoko. Niedobrze zaczynać dzień tak późno, ale po prostu musiałam odpocząć. Poza tym była niedziela.

Włożyłam szlafrok i wypuściłam kury, które pędem ruszyły w stronę całodobowego bufetu na przymie kompostowej. Poranne promienie słońca wydobywały złociste i rudawe odcienie z ich rdzawobrazowych piór.

Usiadłam na werandzie, żeby wypić herbatę i przekąsić herbatnikiem. Ich zapas w puszcze był na wyczerpaniu.

– Powinnam upiec trochę herbatników – oznajmiłam herbacie. – I to wegańskie ciasto, które obiecałam dzieciom.

Ubrałam się, zjadłam jedną kromkę chleba z gotowanym jajkiem i drugą z dżemem morelowym. Potem zabrałam się do wegańskiego orzechowca z daktylami. Zrobiłam więcej ciasta niż w przepisie, żeby starczyło na dwie formy – jedną większą i jedną mniejszą. Mniejszy placek miał być dla mnie, abym mogła spróbować, jak wyszedł orzechowiec, nie odkrawając ani kawałka z ciasta przeznaczonego dla dzieci.

Przygotowałam też dwie duże blachy ciasta na beskuit na maślance. Musiałam zapełnić herbatnikami domową puszkę, puszkę redakcyjną oraz tę, którą wozilałam w *bakkie* do towarzystwa i jako prowiant. W podróż zawsze warto zabrać coś do jedzenia.

Gdy ciasto na beskuit było upieczone, wyjęłam je z piekarnika, połamałam na kawałki, zmniejszyłam temperaturę w piekarniku i z powrotem włożyłam do niego herbatniki, aby wyschły i stwardniały. Tymczasem mniejszy orzechowiec zdążył ostygnąć, usiadłam więc przy kuchennym stole, żeby go spróbować.

– Hm, całkiem niezły – uznałam, gdy przełknęłam pierwszy kęs. – No dobrze, może byłby smaczniejszy, gdybym go podała ze śmietaną, ale nie ma tragedii. – Zjedzenie połowy małego ciasta przyszło mi bez trudu. – Ci adwentyści pewnie mają jeszcze jakiś inny powód, dla którego chce im się wspinać po górach – zwróciłam się do większego ciasta orzechowego. – Ciekawe, czy uda mi się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat, gdy zaniosę cię dzieciom.

Podczas gdy beskuit twardniały w piekarniku, zrobiłam duży dzban soku z arbuza, żeby nie wyschła na wiór, siedząc na werandzie. Słońce stało niemal w zenicie, cienie w ogródku się skurczyły. Spojrzałam ponad sawanną na Rooiberg. Zbocza góry były rdzawobrazowe, upstrzone brunatnymi i zielonymi krzewami. W miejscu, gdzie szczyt stykał się z błękitnym niebem, dostrzegłam

rozedrgane linie. Było tak gorąco, że góra zaczęła parować.

Przez chwilę po prostu odpoczywałam, słuchając odgłosów dobiegających z ogrodu i z sawanny. Kury siedziały cicho, za to ptaki nawoływały się bez ustanku. Najładniej ze wszystkich śpiewały dzierzbiki. Potrafią wyśpiewać więcej melodii niż wszystkie pozostałe ptaki razem wzięte. Od czasu do czasu słyszałam samochody jadące do miasta lub z niego wracające. Może ludzie jechali z kościołów do domu na niedzielny lunch.

Jednak najgłośniejszym, najbardziej wszechobecnym dźwiękiem była cisza.

Czasami cisza mnie przeraża, ponieważ sprawia, że czuję się bardzo samotna. Tego dnia rozkoszowałam się nią. W ostatnim czasie panował wokoło taki zgiełk, że byłam spragniona ciszy. Chłonełam ją z niemal taką samą łapczywością, z jaką piłam sok z arbuza.

Słyszałam własny oddech, czułam bicie swojego serca. Nagle usłyszałam coś jeszcze, coś jak natrętne bzyczenie owada. Rozejrzałam się. Może to trzmiel robi tyle hałasu? Nie dostrzegłam żadnego owada, ale bzyczenie z każdą chwilą robiło się głośniejsze. Skuter. Jechał gruntową drogą i zmierzał w moją stronę. Wkrótce zobaczyłam Jessie, która zatrzymała się, zdjęła kask i potrząsnęła głową, roztrzepując swoje czarne włosy. Pomachałam jej. Było za gorąco, żeby wyjść na powitanie. Czekałam na nią w cieniu werandy.

Dziewczyna usiadła na krześle obok mnie, ale nie odezwała się ani słowem. Była blada, jak gdyby ktoś wyssał z jej twarzy wszystkie kolory.

Nalałam jej szklankę soku z arbuza, ona jednak nawet na nią nie spojrzała.

– Jessie, dobrze się czujesz, *skat*?

Dziewczyna otworzyła usta, odetchnęła głęboko, a wtedy całe jej ciało zaczęło się trząść.

– Och, *tannie* Mario...

ROZDZIAŁ 39

Jessie zamknęła oczy, ale łzy wypływały spod jej rzęs i toczyły się po policzkach. Objęłam ją, a ona wtuliła się we mnie i płakała mi w fartuch. Głaskałam ją po głowie, gładziłam jej włosy.

– O matko – westchnęłam.

Kiedy się uspokoiła, powiedziałam:

– Posłuchaj dzierzbików.

Znów cudownie śpiewały. Jessie oparła głowę na moim ramieniu, a ja patrzyłam, jak jeden z ptaków przeleciał z akacji na drzewo *gwarrie*. Uniósł żółte gardziółko i zaczął wydawać piękny, bulgoczący dźwięk przypominający melodyjny szmer strumienia.

– Napij się soku z arbuza – zaproponowałam, podsuwając jej szklanę. – Wylałaś tyle łez w taki upał. Jeszcze się odwodnisz i będzie.

Dziewczyna pociągnęła duży łyk.

– Och, *tannie* Mario... – westchnęła.

Potem znów przełknęła, mimo że nie miała w ustach nic prócz mojego imienia.

– O co chodzi, Jessie?

– Jestem skończoną idiotką.

Wtedy już wiedziałam, że chodzi o problemy miłosne. Tylko miłość może zrobić idiotkę z tak mądrej dziewczyny jak Jessie.

– Reghardt? – spytałam.

Przytaknęła skinieniem głowy i pociągnęła nosem.

– Chodziliśmy razem do szkoły i zawsze bardzo mnie lubił, no wiesz, ale ja wolałam, żebyśmy po prostu się kolegowali. Kiedy studiowałam w Grahamstown, tęskniłam za nim. Tęskniłam za mamą, rodziną i znajomymi, ale za nim chyba najbardziej. Odkąd wróciłam, spotykaliśmy się od czasu do czasu, ale powiedziałam mu, że nie jestem gotowa na stały związek. Cenię swoją niezależność.

Znów łyknęła soku, po czym objęła się rękami, a dłonie położyła na wytatuowanych ramionach.

– Tamtej nocy, gdy widzieliśmy zabójstwo Lawrence’a, najpierw odwieźliśmy ciebie, a potem pojechałam z nim do domu. Był bardzo miły, ja trochę wystraszona, no i wiesz... Chodzi o to... Nigdy wcześniej nie posunęłam się tak daleko z żadnym facetem... – Spojrzała na sawannę. – Ale było dobrze. Naprawdę dobrze. Otwarłam się przed nim, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

Skinęłam głową, choć nie miałam pewności, czy rzeczywiście wiem.

– Było naprawdę niezwykle. Fantastycznie. Zachowywał się tak, jakby dla niego to było też coś wyjątkowego. Ale potem...

Rozejrzała się po stole, jakby szukała pomocy, jednak przed nami stał jedynie mój talerzyk z okruchami wegańskiego ciasta... Marna pomoc.

– Wczoraj wieczorem zobaczyłam go w barze – ciągnęła Jessie. – Razem z tatą i kolegami oglądał rugby. Powiedział mi od niechcienia „cześć”, a ja poczułam się trochę dziwnie, jakby... No, nieważne, ale pomyślałam, że może podejdzie do mnie w przerwie meczu, a poza tym i tak byłam zajęta rozmową z Candy.

Bardzo chciałam usłyszeć, czego dowiedziała się od Candy, lecz to mogło poczekać.

– Potem, w przerwie, nie podszedł do nas, chociaż zrobił jakiś gest, jak gdyby pomachał. Kelnerka przyniosła drinki, które postawili nam jacyś faceci. Martini. Prawie wszystko wypić Candy. Ja byłam zmęczona i koło jedenastej zebrałam się do wyjścia. Reghardt tylko mi pomachał na do widzenia. Nie pocałował mnie, nie podszedł do mnie ani nic. Kiedy przyjechałam do domu, moja siostra jeszcze nie spała. Pogadałyśmy chwilę i przypomniała mi o czymś, o czym powinnam była pamiętać.

Jessie sięgnęła po serwetkę i wydmuchała w nią nos.

– Zapomniałam, że pochodzimy z prowincjonalnego, rasistowskiego miasteczka. Reghardt nie chciał, żeby ojciec i koledzy zobaczyli go z jakąś koloredką.

– Oj, Jessie, daj spokój – zachnęłam się.

Ale jeszcze zanim skończyłam mówić, dotarło do mnie, że dziewczyna może mieć rację.

– Byłam tylko jego zabawką... Jednorazową szmatką, której można użyć, a potem wyrzucić.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wtedy przypomniałam sobie o cieście. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie pomyślałam o tym, że w kuchni stoi jeszcze połowa małego orzechowca.

– Poczekaj tu sekundę, *skat*. Zaraz wracam.

W kuchni pachniało twardniejącymi w piekarniku herbatnikami na maślanie. Szybko zaparzyłam filiżankę kawy i wyniosłam ją na werandę razem z kawałkiem orzechowca dla Jessie.

Dziewczyna skosztowała ciasta, popiła go łykiem kawy, ale wcale się nie rozpogodziła.

– Później było jeszcze gorzej – mruknęła. Chociaż nie przelykała już jedzenia, w jej gardle coś drgało. – Dziś rano przejeżdżałam obok hotelu Ladismith i zobaczyłam czerwony sportowy samochód Candy. Weszłam do środka, bo pomyślałam, że może nocuje w hotelu, chociaż wcześniej mówiła, że zatrzymała się w pensjonacie Sunshine. W holu natknęłam się na Janniego, który wczoraj pracował na nockę w barze. Powiedział mi, że Candy nie śpi w hotelu.

Jessie znów przełknęła ślinę. I nie dokończyła swojego orzechowca. Może bez jajek i masła ciasto było zbyt mało pokrzepiające. Powinnam była przybrać jej porcję bitą śmietaną.

– Powiedział też, że Candy wyszła z Reghardtem – ciągnęła Jessie. – Że wyszli objęci. Puścił do mnie oko i zarechotał: „Ta dziewczyna to seksbomba, szczęściarz na pewno ją zaliczył”.

Jessie znów się rozsłochała, ale ponieważ wypłakała już wszystkie łzy, jej płacz bardziej przypominał nierówne pokasywanie.

Nie miałam pojęcia, co zrobić. Wiem, że jestem autorką rubryki porad miłosnych, lecz odpisywanie na listy to zupełnie co innego niż radzenie komuś, kto siedzi obok i zanosi się szlochem. Pragnęłam jedynie, żeby Jessie przestała cierpieć. Cała ta miłość wydawała mi się grą niewartą świeczki. Bo kto to widział, żeby złamać tak silną dziewczynę. Żeby taka mądra dziewczyna wychodziła na idiotkę.

Uścisnęłam ją i pocałowałam kilka razy w czubek głowy. *Soentjies*. Całusy, którymi obsypywała mnie mama, kiedy się uderzyłam albo skaleczyłam.

– Tego ci potrzeba – uznałam. – *Soentjies*.

Kiedy ciało dziewczyny przestało się trząść, chwyciłam ją za ramiona i pomogłam jej wstać.

– Chodź do środka, Jessie – powiedziałam. – Upieczemy te małe ciasteczka, [soentjies](#).

Zaprowadziłam ją do kuchni.

– Podaj mi dużą kostkę masła, jest za tobą – poprosiłam, sama zaś otwierałam szafkę, żeby wyjąć cukier puder, mąkę i mąkę kukurydzianą. – Będziemy potrzebować masła. Dużo masła. Włóż je do szuflady do podgrzewania, żeby zmiękło.

Dziewczyna wykonywała moje polecenia, chociaż poruszała się powoli niczym oklapła szmaciana lalka.

– Teraz weź kawałek masła, żeby natłuścić tę blachę – powiedziałam, wystawiając wszystkie składniki na stół. – Bardzo ładnie. Teraz utrzyj masło. Tak... i powoli dodawaj cukier puder. Nie przestawaj ucierać... Świetnie.

Widziałam, jak na nowo wstępują w nią siły, gdy zajęła czymś ręce. Chciałam, żeby jej umysł również czymś się zajął.

– Teraz przesiej i zmieszaj mąki – poinstruowałam. – Tak... A jak rozmowa z... kuzynką? Dowiedziałaś się czegoś, co mogłoby nam pomóc w rozwiązaniu sprawy?

Ręce Jessie były oblepione mąką i masłem.

– Cóż – mruknęła – powiedziała mi dużo interesujących rzeczy.

– Tak?

Rozbiłam trzy jajka i zaczęłam ubijać je w misce.

– Ten mężczyzna, o którym opowiadała nam Grace, ten cały John. Według Candy to może być dawny chłopak Martine, John Visser. Farmer, prowadzi ekologiczne uprawy.

– Teraz dosyp mąki do masy maślanej, a ja dodam jajka. Tak, cały czas mieszaj.

– Prosił ją o rękę, ale ona nie chciała za niego wyjść. Candy uważa, że John wydawał się Martine za mało odpowiedzialny.

– Dobrze, teraz wyrób ciasto rękoma. Czyli zamiast za niego wyszła za Dirka?

Przełożyłam blachę z herbatnikami do szuflady do podgrzewania i zwiększyłam temperaturę w piekarniku do stu osiemdziesięciu stopni, aby przygotować go do pieczenia soentjies.

– Dirk ma lepsze zabezpieczenie finansowe i wydawał się porządnym człowiekiem, kiedy Martine brała z nim ślub. Candy nie wiedziała, że Dirk bił Martine. Wściekła się, gdy o tym usłyszała, i złościła się też, że Martine o niczym jej nie mówiła.

Pomyślałam o swoim życiu z mężem i liście, który przysłała mi Martine. Napisała, że rozścieliła łóżko i jak zwykle zamierzała się w nim położyć.

– Kobiety wolą, żeby inni nie wiedzieli, że mąż je bije – powiedziałam. – Wydaje im się, że to one są wszystkiemu winne.

– Candy wspominała, że Martine była bardzo dumną osobą. Nigdy nie prosiła o pomoc.

Schowałam mąkę do szafki. Na półce obok dostrzegłam masło orzechowe i pomyślałam, że byłoby miłym urozmaiceniem w tradycyjnym przepisie na soentjie.

– Może warto by dodać trochę tego – powiedziałam, stawiając słoik obok Jessie. – Jak myślisz?

– Mniemam. – Oczywiście Jessie załśniły. – Pochodzą z interesującej rodziny. Ojcowie Martine i Candice byli braćmi i obydwaj mieli mnóstwo pieniędzy. Dziadek, głowa rodu, miał kopalnię złota, dosłownie. Ojciec Candy pomógł jej rozkręcić własny interes i zostawił jej niezłą fortunę.

– Mmm? – mruknęłam, nakładając łyżką masło orzechowe.

– Natomiast ojciec Martine uznał, że dwójka jego dzieci powinna nauczyć się niezależności, więc nie dał im ani centa. – Jessie wgniatała w ciasto masło orzechowe. – Jakiś czas temu, po śmierci matki, Martine i jej ojciec posprzeczali się i od tamtej pory nie utrzymywali kontaktów. Brat Martine kręci się koło ojca, licząc na to, że coś mu wreszcie skapnie z fortuny staruszka, ale nic z tego. Przynajmniej jak na razie. Ojciec ma już osiemdziesiąt parę lat i jest porządnie schorowany. Jeździ na wózku.

– Teraz utocz z nich kuleczki, o tak – pokazałam. – I spłaszcz widelcem.

– I wiesz co? – Jessie zręcznie formowała małe kulki z ciasta. – Brat Martine nie wiedział nawet o jej synu! Tym, który mieszka w domu opieki.

Pieczenie i rozmowa sprawiły, że Jessie ze szmacianej lalki znów stała się pełną życia dziewczyną. Energicznie uderzała widelcem w ułożone rzędem kulki – plask, plask, plask, po czym przekładała surowe ciasteczka na blachę.

– Ciekawe dlaczego – zastanowiłam się. – Myślisz, że Martine się wstydziła?

– Zdaniem Candice Martine była zamknięta w sobie, a poza tym nie łączyła jej z bratem bliska więź. Z tego, co zrozumiałam, w tej rodzinie w ogóle było dużo tajemnic, ale nie znam szczegółów.

– Martine miała mało pieniędzy, inaczej odeszłaby od Dirka – powiedziałam. Wyłożoną płaskimi ciasteczkami blachę wsunęłam do piekarnika. – Ale napisała, że układa jakiś plan... Ciekawe, co wymyśliła.

– Na ostatnich wyciągach z konta nie widać nic nadzwyczajnego. Dostawała wypłatę, pobierała niewielkie sumy.

Jessie wytarła brudną część stołu. Spojrzała na mnie, po czym starła blat ponownie, tym razem cały.

Soentjies wkrótce były upieczone. Z cukru pudru i soku cytrynowego przyrządziłyśmy lepką masę, którą nakładałyśmy na jedno ciasteczko i przykładaliśmy drugim. Całuski były gotowe. Ułożyłyśmy je na talerzu i wyniosłyśmy na werandę razem z dużym dzbanem herbaty rooibos.

Teraz, gdy na dworze zdążyło się trochę ochłodzić, kury znów kręciły się po ogrodzie i grzebały w kompoście. Cienie na wzgórzach się wydłużyły, a popołudniowe światło sprawiało, że wszystkie akacje i kolczaste krzewy wydawały się mniej ostre. Nie słyszałam dzierzbików, ale w powietrzu unosiły się trele innych ptaków.

Soentjies były pyszne. Kruche, orzechowe i maślane. Teraz przynajmniej Jessie miała co przełykać.

– Rety, *tannie*, są fantastyczne – powiedziała, gdy zjadła pierwsze pić.

Dobrze było znów widzieć uśmiech na jej twarzy.

„*I'm Your Man*”, zaśpiewał nagle telefon dziewczyny.

Jessie wyjęła komórkę z kieszeni przy pasku, ale gdy spojrzała na wyświetlacz, uśmiech z jej twarzy momentalnie znikł.

– Reghardt – powiedziała, po czym nacisnęła guzik, a piosenka urwała się w połowie refrenu. – Zaraz zmienię ten dzwonek.

Po chwili telefon znów się rozśpiewał, lecz Jessie znów nie odebrała.

Tym razem dzwonił na melodię *By the Rivers Dark*.

ROZDZIAŁ 40

Jessie wyjechała bez uśmiechu, ale za to z pojemnikiem pełnym soentjies. Zanim posprzątałam, upał zelżał na tyle, że mogłam popracować w ogródku. Brakowało mi moich brązowych *veldskoene* – zamiast nich musiałam włożyć te w kolorze khaki. Głowę przykryłam słomkowym kapeluszem.

– Mam nadzieję, że się pozbiera – powiedziałam sałacie, wokół której plewiłam. – Na pewno się pozbiera. Jest młoda i ładna. – Przeniosłam się na grządkę pomidorów. – Znajdzie kogoś innego.

Przyniosłam łopatę ciemnego kompostu wygarniętego z dna przyzmy. Rdzawobrzęde kury grzebiące nieopodal w trawie poszły sprawdzić, czy w ziemistym nawozie nie znajdzie się coś do jedzenia.

– Chodźcie tutaj, wyjedźcie robactwo, które pożera mi warzywa – zachęciłam ptaki, ale one mnie zignorowały.

Grabkami rozrzuciłam kompost między roślinami. Ze środka główki fioletowej sałaty wyciągnęłam tłustego ślimaka.

– Cip, cip, cip, cip! – zawołałam i rzuciłam szkodnika kurom, które pędem ruszyły w moim kierunku.

Najszybszy ptak połknął ślimaka, po czym pierzaste stadko rozeszło się po grządkach w poszukiwaniu kolejnych przysmaków. Rozrzuciłam nawóz wokół nagietków i dzikiego czosnku, które razem z kurami pomagały mi zwalczać szkodniki w ogródku.

– Poradzi sobie – powiedziałam kurom. – Jessie. Znajdzie kogoś, kogo pokocha.

Jedna z kur podeszła do mnie, zadarła główkę, przekrzywiła ją i wlepiła we mnie bystre oczka.

– Ja? – Wbiłam grabki w ziemię, żeby zmieszać ją z nawozem. – Też sobie poradzę.

Z grządek z sałatą przeszłam na zagon z burakami i ziemniakami. Kura deptała mi po piętach.

– Świetnie sobie radzę.

O zachodzie słońca zagnałam kury do kurnika, zmyłam z siebie zmęczenie po pracy w ogrodzie i przebrałam się w koszulę nocną. Zrobiłam kanapkę z resztką curry z mielonego mięsa i zjadłam ją na werandzie, patrząc, jak wieczór przemienia się w noc, a niebo obsypuje się gwiazdami.

– Naprawdę świetnie sobie radzę – zapewniłam kanapkę, zanim przełknęłam ostatni kęs.

Ptaki poszły spać, przez chwilę słuchałam więc nawoływań ropuch i żab. Kiedy kładłam się do łóżka, one nadal wołały, rozpaczliwie nadymając gardła, tak jakby tłukły się w nich serca.

Następnego dnia rano obudziłam się przed ptakami i patrzyłam, jak nad Wielkimi Górami Czarnymi wschodzi słońce. Poczułam w sobie jakąś pustkę, jakby czegoś mi brakowało... Prawdopodobnie dlatego, że zbliżała się pora śniadania.

Wypuściłam kury i najpierw je nakarmiłam (*mielie*), a potem sama zjadłam (jajecznicę na boczku, tosty, dżem morelowy i soentjies). Następnie wybrałam się do miasta swoim niebieskim rozklekotanym *bakkie*. Obok mnie podskakiwały dwie puszkę herbatników na maślanie – jedna dla redakcji, a jedna na drogę – oraz wegański orzechowiec z daktylami starannie owinięty w papier woskowany i spakowany do pojemnika. Na słupie telefonicznym przy drodze siedziały trzy duże czarne ptaki, które poderwały się do lotu, gdy podjechałam bliżej. Wrony. Wzbiły się wysoko, leciały coraz wyżej w stronę nieba. Nie ufam tym ptakom, sama nie wiem dlaczego.

Zaparkowałam przed pensjonatem Dwarsrivier, wysiadłam na słońce i ruszyłam chodnikiem w stronę budynku. Minęłam *bakkie* Dirka i terenówkę tamtego mężczyzny, który się spieszył. Jasne, beżowe ściany pensjonatu odbijały promienie słoneczne i musiałam zmrużyć oczy, żeby światło mnie nie raziło. Bramę wejściową ocieniała jakaranda. W ogrodzie na ławce pod wierzbą siedziały dwie kobiety, rozmawiając i pijąc herbatę. Były odwrócone tyłem do mnie, postanowiłam więc zatrzymać się i odpocząć chwilę tam, gdzie stałam.

– Po prostu nie chcę spędzić z nim swoich ostatnich dni na tej ziemi – powiedziała wyższa kobieta, splatając długie rude włosy w warkocz, który owinęła wokół czubka głowy.

– Ale, Emily, nie możesz go tak zwyczajnie rzucić – odezwała się na to druga kobieta. – Jest twoim mężem i naszym przewodnikiem.

Była niższa, okrągłsza i miała siwe kręcone włosy.

– I co z tego? Mnie też należy się coś od życia. Możesz go sobie wziąć, Georgie.

– Oj, oj! – zapiszczała Georgie i powachlowała się kartką papieru. – Co by na to powiedział Joel?

– Miej sobie ich obydwu. Dni naszych rozkoszy cielesnych są policzone.

– Kiedy przejdziemy na tamten świat, rozkoszom nie będzie końca – powiedziała Georgie.

– Mówiłam o cielesnych rozkoszach, cielesnych.

– Och, Emily, żartujesz sobie ze mnie.

– Wcale nie, mówię poważnie. – Kobieta opuściła rudy warkocz na plecy. – Nie zniosę ani jednego dnia dłużej z tym egoistycznym szaleńcem. To chyba świadomość, że wszystko się kończy, sprawiła, że zaczęłam widzieć wyraźniej.

– Ale gdzie ty się podziejesz?

– Mam trochę oszczędności i są pewne rzeczy, które zawsze chciałam zrobić...

– A jeśli nie zdążysz wrócić na czas, żeby wstąpić do nieba razem z nami?

– Może nie zdążę, no i co?

– Ależ Emily, jeśli Emmanuel się dowie, wiesz, co zrobi...

W tym momencie z pensjonatu wychynął mężczyzna z brodą, ten, który się spieszył.

– Chodźcie tu! – zawołał, stając w drzwiach. – Spóźniłyście się na śniadanie.

– Oj, oj! – Dłonie Georgie wzbily się w powietrze niczym przestraszone ptaki.

– Już idziemy, mój drogi – rzuciła Emily, po czym obydwie kobiety wstały.

Mężczyzna zobaczył mnie przy bramie, zmarszczył brwi, po czym się odwrócił. Wzięłam głęboki oddech, wysunęłam pojemnik z ciastem przed siebie i ruszyłam w stronę budynku. Poszłam za nimi do jadalni. Adwentyści dnia siódmego zgromadzeni przy długim stole jedli śniadanie. Tęga *mama* – właścicielka pensjonatu, tym razem już bez lokówek i ze starannie ułożoną fryzurą – siedziała przy innym stoliku ze swoją córką. Młoda koloredka podała im na tacy ciepłe kiełbaski, boczek i jajka. *Mama* burknęła coś do niej, a wtedy dziewczyna pospieszyła do kuchni, po czym przyniosła tosty, margarynę i dżem, które postawiła na długim stole.

Mały, chudy chłopiec, który tak bardzo chciał spróbować ciasta, zalewał miseczkę musli mlekiem sojowym z kartonu. Nigdy nie próbowałam mleka sojowego.

– W jaki sposób rośliny strączkowe dają mleko? – spytałam.

Rudowłosa Emily spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

– Dzień dobry – przywitałam się. – Jestem *tannie* Maria.

– Jestem Emily – odpowiedziała kobieta.

Nikt nie zaprosił mnie, żebym usiadła albo zjadła z nimi śniadanie. Ci ludzie z całą pewnością nie pochodzili z Ladismith...

– Upiekłam orzechowiec z daktylami – oznajmiłam, poklepując trzymany pojemnik. – Dla dzieci.

Emily zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– To wegańskie ciasto – wyjaśniłam. – Bez masła, jajek i tak dalej.

– Och, wegańskie. – Rudowłosa kiwnęła głową.

– Czy ktoś z was znał może Martine? Martine van Schalkwyk? – spytałam.

– To ta kobieta, która pracowała w Sparze? – zainteresowała się Emily.

Georgie przytaknęła i powiedziała:

– Urocza osoba.

Siedząca obok niej blada kobieta – ta sama, która ostatnim razem powstrzymała mnie, gdy chciałam poczęstować dzieci ciastem – pokręciła głową.

– Nie przyłączyła się do nas – oznajmiła. – Nie znamy jej.

Mężczyzna, który zajmował miejsce u szczytu stołu i nadal był nachmurzony, wstał, po czym wyszedł z sali, zostawiając na talerzu niedojedzony tost. Być może przeszkadzał mu zapach mięsa i jajek dolatujący od mniejszego stolika.

Pozostałym adwentystom śniadanie chyba smakowało. Kiedy jednak dzieci zobaczyły, że

otwieram pojemnik z ciastem, zerwały się i otoczyły mnie wianuszkami.

– Ach, proszę, mamó, możemy wziąć kawałek! – błagał chudy chłopiec, zwracając się do bladej kobiety.

– Och, no dobrze. Ale najpierw dokończ owsiankę. Dziękuję, hm, *tannie*. – Kobieta wzięła pojemnik z ciastem. – To bardzo miło z pani strony.

– Jeśli mogę, chciałabym o coś zapytać – powiedziałam. – Kiedy dokładnie będzie koniec świata?

Emily roześmiała się i odparła:

– Ostatnio był dwudziestego pierwszego maja.

Blada kobieta się skrzywiła.

– Nie podajemy już dokładnych dat – oświadczyła. – Ale sądzimy, że będzie to około dwudziestego pierwszego grudnia.

– Tak szybko? – spytałam. – Nie zostało zbyt wiele czasu.

Kobieta pokręciła głową, smarując tost cienką warstwą margaryny i grubą warstwą dżemu.

– Wydaje się, że nie za bardzo was to martwi – zauważyłam.

– Och, nic nam nie grozi – powiedziała kobieta i odgryzła kawałek tostu.

Georgie przytaknęła, a jej krótkie siwe loki się zatrzęsły.

– Zostaniemy wzięci do nieba.

– Kto będzie wzięty do nieba? – dociekałam.

– My, wierzący! – odparła blada kobieta.

Uśmiechnęła się. Jej oczy były niebieskie i lśniące. Pełne wiary. Zęby miała pobrudzone dżemem.

ROZDZIAŁ 41

W redakcji gazety położyłam puszkę z herbatnikami i nastawiłam czajnik.

– W co wierzycie? – spytałam Hattie i Jessie.

Jessie spojrzała na mnie znad komputera, ale nawet się nie uśmiechnęła, widząc mnie i herbatniki. Włosy miała spięte w koński ogon mniej starannie niż zazwyczaj. Nienagannie uczesana Hattie siedziała za swoim biurkiem.

Ani jedna, ani druga nie odezwały się, gdy szykowałam filiżanki – herbatę dla Hattie, kawę dla siebie i dla Jess.

– Mamy czas tylko do dwudziestego pierwszego grudnia – oznajmiłam. – Żeby zacząć w coś wierzyć.

– Och, skarbie – westchnęła Hattie. – Rozmawiałaś z adwentystami, prawda?

– Koniec świata za pasem – mruknęła Jessie takim tonem, jak gdyby zupełnie nie obchodziło ją to, co się stanie ze światem i z nią samą.

– Doprawdy – zirytowała się Hattie. – Ci ludzie są nieźle stuknięci.

– Wszyscy umrzemy – oświadczyła Jessie. – Jeśli nie dwudziestego pierwszego, to na pewno kiedyś.

– Właśnie. – Hattie wstała, żeby przynieść sobie herbatę. – Może dlatego chodzę do kościoła. Na wypadek gdyby się okazało, że istnieje życie po śmierci. Jednak szczerze mówiąc, sama nie wiem, w co wierzę...

– A ja bym chciała, żeby istniało życie przed śmiercią – wypaliłam.

Jessie spojrzała na mnie znad monitora, Hattie uniosła jedną brew.

– Dobrze się czujesz, Mario? – zaniepokoiła się Hattie.

– Tak, wszystko w porządku. Przepraszam, plotę bez sensu. Mam dobre życie.

Podaliśmy Jessie kawę, po czym poczęstowałam zespół redakcyjny herbatnikami na maślanec. Ucieszyłam się, że Jessie nie była na tyle przygnębiona, aby odmówić. Hattie oczywiście pokręciła głową.

– Przekąszę w porze lunchu – powiedziała. – Słyszałam od Jessie, że miałyście pracowity weekend.

– Opowiedziałam o Dirku i Annie – wyjaśniła Jessie. – I o tym, czego się dowiedziałam od Candy.

– Jest kilka tropów, które należałoby zbadać – dodała Hattie.

W tym momencie dobiegł nas delikatny stukot, jak gdyby po ścieżce wiodącej do redakcji przechadzał się kucyk. W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa ozdobiona słomkowym kapeluszem, długimi czarnymi rzęsami i pomarańczową szminką.

– Och, fantastycznie! – wykrzyknęła Candy. – Zastałam was wszystkie!

Otworzyła drzwi szerzej i wkroczyła do redakcji w fioletowych szpilkach. Oprócz nich miała na sobie liliową bawełnianą sukienkę, tak przewiewną, że na sam widok od razu robiło się chłodniej. Rozpuszczone jasne włosy opadały jej luźno na ramiona.

Jessie osunęła się na krzesło i przygarbiła się.

– Hattie – powiedziałam – to jest Candy, kuzynka Martine.

Candy zdjęła kapelusz, powachlowała się nim, po czym powiesiła go na oparciu krzesła Jessie, sama zaś usiadła na stołku przy biurku dziewczyny.

– Pogrzeb odbędzie się w środę o godzinie dziesiątej – oznajmiła. – Załatwiłam księdza i lokal na stypę, pozostało jedynie zorganizować catering. Przydałoby mi się też pomoc w zapraszaniu gości.

– Możemy zamieścić informację o pogrzebie w jutrzejszym wydaniu gazety – zaproponowała Hattie.

– Tak, byłoby wspaniale – ucieszyła się Candy. – Ale niektórych żałobników powinniśmy zaprosić osobiście. Po tym, co usłyszałam od Jessie o poszukiwaniu mordercy, pomyślałam sobie, że takie osobiste wręczanie zaproszeń to dobra okazja, aby lepiej się przyjrzeć paru osobom. Mogłybyśmy zrobić to razem.

Jessie, blada na twarzy, przypatrywała się swoim dłoniom. Ja utkwiałam spojrzenie w pomarańczowych paznokciach u nóg Candy.

Gdybym zgodziła się na tę propozycję współpracy, mogłabym zrobić przykrość Jessie. Z drugiej strony Candy nie wiedziała o tym, co łączy młodą dziennikarkę z Reghardtem, więc nie zraniła jej celowo. Podczas gdy ja i Jessie byłyśmy się z myślami, Hattie zaproponowała gościowi filiżankę herbaty i zanotowała informacje dotyczące pogrzebu. Przynajmniej jedna z nas nie zapomniała o dobrych manierach.

– Dziękuję ci, Jessie, za fantastyczny wieczór – odezwała się Candy, łyknąwszy herbaty. – Wybacz, że trochę mnie poniosło. Do tej pory nie otrząsnęłam się z szoku po tragedii Martine. A tak poza tym, to macie tu w miasteczku naprawdę uroczych mężczyzn. Uroczych. Wyobraźcie sobie, że jeden z nich...

Na ścieżce rozległy się kroki. Ktoś zapukał do drzwi, a następnie wszedł do środka. Reghardt. Jessie podskoczyła.

– No proszę, Reggie! – Candy rozpląnęła się w uśmiechu. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Reghardt otworzył i zamknął usta bezgłośnie niczym ryba. Jessie przeszyła policjanta wzrokiem, od którego niejedna ryba padłaby śnięta, po czym przepchnęła się obok niego i wybiegła na dwór.

– Jessie... – zaczął Reghardt i ruszył za nią.

Jednak zanim zdołał powiedzieć cokolwiek więcej, skuter dziewczyny mknął już ulicą. Policjant wrócił do redakcji i zatrzymał się w progu.

– Nic z tego – mruknął. – Pojechała...

– Jestem umówiona na spotkanie w sprawie kwiatów – oświadczyła Candy, zerkając na zegarek.

Przechodząc obok Reghardta, poklepała go po policzku. Policjant poczerwieniał i znów poruszył ustami jak ryba.

– Reghardt – odezwałam się. – Ciekawi mnie jedna rzecz. Czy znaleźliście coś w rurach u van Schalkwyków? Na przykład sok z granatów?

– Tak – odpowiedział policjant. – To znaczy nie, nie mogę rozmawiać o tych sprawach. Jeszcze nie teraz. Przykro mi, *tannie*. Komisarz... To tajemnica służbowa.

– Eksperci z RCIK mogą sami sprawdzić, czy w soku były środki nasenne, czy muszą przesłać próbki do Kapsztadu?

– Przykro mi, *tannie*, nie mogę powiedzieć. Możesz skierować swoje pytania do rzecznika prasowego policji. Ale on też nie ma żadnych informacji... na razie. Wiesz, dokąd pojechała Jessie? Czy wróci za chwilę?

– Przykro mi, nie mogę ci powiedzieć.

– Pójdę sprawdzić... – oznajmił.

Pożegnał nas uprzejmym skinieniem głowy, po czym wyszedł.

Hattie ruszyła do drzwi, żeby za nim wyjrzeć.

– O co w tym wszystkim, na litość boską, chodzi? – spytała.

– Paszteciki nadziewane kurczakiem i tarta mleczna – oświadczyłam. – *Tannie* Kuruman robi najlepszą tartę mleczną. Mogłaby się zająć cateringiem.

– Słucham? – nie zrozumiała Hattie.

– Na stypę – wyjaśniłam.

Hattie nadal stała w drzwiach i kręcąc głową, spoglądała na ścieżkę.

ROZDZIAŁ 42

– Wielkie nieba! – powiedziała Hattie, poprawiając spódnicę, gdy z powrotem usiadła za biurkiem.

– Dlaczego Jessie wybiegła stąd jak oparzona?

– Niedługo wróci – odparłam.

Nie czułam się upoważniona do tego, żeby wtajemniczać Hattie w życie uczuciowe Jessie. Znów nastawiłam czajnik, zaparzyłam nam świeżej herbaty, po czym usiadłam przy biurku i sięgnęłam po listy. Otworzyłam zwykłą białą kopertę noszącą stempel z Ladismith.

Droga Tannie Mario,

martwią mnie dwie sprawy i może Ty będziesz umiała mi pomóc.

Pierwsza sprawa: zastanawiam się, co jest w życiu naprawdę ważne. Najważniejsze. Rodzina? Obowiązki? Bóg? Przyjaciele? Jedzenie? Miłość?

Druga sprawa: czy znasz jakieś przepisy dobre na biwak? Takie, żeby nie było w nich mięsa ani składników, które trzeba przechowywać w lodówce. Mam parę puszek pomidorów i soczewicy na dobry początek.

Dziękuję za pomoc.

Zagubiona Lucy

List był krótki, ale tematy obszerne. Rozmyślając nad nimi, patrzyłam, jak poranne słońce przesuwa się po ścianie nad biurkiem Hattie. Największą trudność stanowiło to, że nigdy nie byłam na biwaku.

Nie byłam również ekspertem w sprawach, o których wspominała Lucy. Nie miałam rodziny. Moje obowiązki odeszły razem z moim mężem. Bóg był dla mnie kimś obcym. Miałam przyjaciół, Hattie i Jessie, a także gotowałam i jadłam dużo dobrego jedzenia. Ale co mogłam wiedzieć o miłości? Skąd mogłam wiedzieć, co tak naprawdę jest ważne?

– Hats – zaczęłam. – Pamiętasz, jak dwa lata temu, kiedy przyszły te straszne ulewy, powódź zerwała część drogi i dojazd do mnie zalała rzeka?

– Och, tak, byłaś odcięta od świata przez ponad dwa tygodnie.

– Przyjechałaś i stałaś nad tą rzeką koło mojego domu.

– Ale ty byłaś uparta i nie chciałaś, żebym ci rzucała świeże jedzenie.

– Hattie, pomidory wylądowały w wodzie i nie mogłam pozwolić, żeby kolejne dobre rzeczy popłynęły nie wiadomo dokąd. Dawałam sobie radę, miałam konserwy oraz suszone jedzenie, a do

tego owoce i warzywa, które ładnie się przechowały.

– Nie wierzyłam ci. Ale kiedy woda opadła i w końcu przedostałam się do ciebie, ugościłaś mnie pysznym posiłkiem: potrawką z dyni piżmowej i buraków.

– Ze świeżo upieczonym chlebem.

– Upiekłaś nawet szarlotkę z kruszonką. Czy to nie po tej powodzi założyłaś ogródek warzywny i zaczęłaś hodować kury?

Ja jednak nie odpowiedziałam. Zająłam się odpisywaniem Lucy. Po namyśle doszłam do wniosku, że znam wiele przepisów dobrych na biwak.

Droga Lucy,

koniec końców, najważniejsze są miłość i jedzenie. Bez nich chodzimy głodni. I potrzebujemy ich, żeby móc się cieszyć wszystkimi innymi sprawami, o których pisałaś.

Dalej podałam Lucy dwa przepisy dobre na biwak. Pierwszy na makaron z sosem z soczewicy, pomidorów w puszcze oraz świeżej cebuli, czosnku, imbiru i skórki z cytryny. Drugi – na potrawkę, którą przyrządziłam po powodzi dla Hattie. Gdy wklepywałam przepisy, usłyszałam charakterystyczny stukot na naszej ścieżce. Miałam nadzieję, że to Jessie, choć dobrze wiedziałam, że to nie ona.

Do redakcji wparowała Candy.

– Do licha! – zaklęła. – Właśnie widziałam go przy stole zawalonym owocami. Och, mój kapelusz.

Zdjęła słomkowy kapelusik z oparcia krzesła Jessie i włożyła go na głowę. Powachlowałam się kopertą.

– Były narzeczony Martine, John. Jest na bazarze – ciągnęła Candy. – Nie zauważył mnie. –

Spojrzała na mnie. – Chodźmy z nim porozmawiać.

– Oczywiście, powinnaś pójść. – Hattie pokiwała głową.

Ja jednak nie ruszyłam się z miejsca. Nie chciałam zrobić przykrości Jessie. Była moją partnerką w śledztwie – jakże mogłabym pójść z Candy po tym, co się stało... Z drugiej strony Candy znała Johna i działała na mężczyzn jak vetkoek: potrafiła skłonić ich do mówienia.

– Cóż, równie dobrze mogę porozmawiać z nim sama... – oświadczyła Candy, stukając stopą w drewnianą podłogę.

Pomarańczowe paznokcie idealnie pasowały do koloru pomadki, którą pomalowała usta. Odłożyłam list i wstałam.

Trzeba było znaleźć mordercę.

ROZDZIAŁ 43

Pomknęłyśmy jej czerwonym MG, a pęd powietrza był tak silny, że rozwiewał mi rzęsy. Słomkowy kapelusz Candy spoczywał tam, gdzie go odłożyła – na moich kolanach. I właśnie w tym momencie z przeciwka nadjechała Jessie na skuterze. Minęłyśmy się na drodze, musiała nas widzieć, ale nie spojrzała w naszą stronę.

Na parkingu przy chodniku stał rząd straganów. Za sto randów dziennie miejscowi mogli wynająć stoisko – drewniany stół z dużym parasolem ogrodowym przymocowanym do ciężkiej, betonowej podstawy. Cień rzucany przez parasol był mniejszy od stołu i wędrował tak samo, jak wędrowało słońce po niebie, dlatego towary zwykle układano na jednej połowie stołu w stos, a następnie przesuwno, tak żeby zawsze znajdowały się w cieniu. Można było tu kupić kolorowe słomkowe kapelusze, duże, brzydkie torebki oraz tanie plastikowe gadzety, które psuły się albo łamały, zanim się wróciło do domu. Jednak na niektórych stoiskach sprzedawano dobre, świeże produkty rolne z okolicznych farm.

– To on – powiedziała Candy.

Zatrzymałyśmy się przed zrobionym z dwóch połączonych stołów straganem załadowanym owocami i warzywami. W słońcu, między dwoma parasolami, stał przystojny mężczyzna o brązowych kręconych włosach, ubrany w skórzany kapelusz i dżinsową koszulę. Ułożył towary w ten sposób, że zielone i liściaste produkty znajdowały się w cieniu, za to melony, pomidory i dynie leżały na słońcu. Parasole ustawił tak, aby trochę cienia padało na miejsce, gdzie stawali klienci. Najwyraźniej był bardzo uprzejmym człowiekiem. Albo sprytnym handlarzem. Poznałam tego mężczyznę i jego stragan. Mieszkał w okolicy Ladismith od ładnych paru lat, ale wciąż zachowywał się jak przyjezdny, nie był tak otwarty jak ludzie stąd. Przychodził na targ handlować, a nie wdawać się w pogaduszki. Zastanawiałam się, czy będzie chciał rozmawiać z nami.

Candy zaparkowała bokiem do jego stoiska. Nie patrzyła na niego, wysiadając z samochodu, ale wiedziała, że on patrzy na nią. Poruszała się wolno, jakby pozowała przed niewidzialnym aparatem fotograficznym. Czerwone drzwi samochodu otwierają się, wysuwają się fioletowe szpilki i długie nogi. Candy wstaje, poprawia okulary słoneczne, potrząsa jasnymi włosami. Delikatnie obciąża liliową sukienkę. Materiał się napręża, opinając biodra i piersi.

Oczy mężczyzny utrwały kolejne obrazy. Ja również wysiadłam, trzymając w dłoniach kapelusz Candy.

– Spójrz na te piękne mango, *tannie* Mario – zaszczębiotała Candy, przechodząc na drugą stronę

chodnika i kierując się w stronę stoiska Johna.

Mężczyzna miał naprawdę ładne warzywa i owoce. Wzięłam do ręki mango i powąchałam je. Słodkie jak miód. Niektóre mango miały niewielkie wybrzuszenia, ale tak właśnie się dzieje, kiedy hoduje się owoce we własnym ogródku. Choć nie zawsze wyglądają równie ładnie jak te sprzedawane w sklepie, to smakują o wiele lepiej. Obok leżały kiście pękatek, ciemnych winogron.

– Czy mogę spróbować? – spytałam mężczyznę.

Wzrostem dorównywał stojącej na obcasach Candy, na którą spoglądał spod runda skórzanego kapelusza.

– Proszę bardzo – odpowiedział.

Och, winogrona były pyszne, słodkie i soczyste.

Candy również spróbowała jeden owoc, ale zajęło jej to trochę więcej czasu. Najpierw otarła winne grono o wargi, potem koniuszkiem języka dotknęła ciemnej skórki i wolno ją polizała. Zanim włożyła owoc do ust, miałam wrażenie, że oczy mężczyzny wyskoczą z orbit. Candy uśmiechnęła się, po czym uniosła okulary słoneczne i spojrzała na niego, jakby dopiero teraz go zauważyła.

– No proszę, przecież to John! John Visser.

Mężczyzna przełknął ślinę i otarł usta.

– Pamiętasz mnie, kochaniutki? Jestem Candy, kuzynka Martine.

– Candice? – powiedział.

– Pewnie już słyszałeś o Martine.

John zmarszczył brwi i przełożył główkę kapusty do cienia.

– Tak. To straszne.

– Zastanawiałam się, jak się z tobą skontaktować. Pogrzeb odbędzie się w środę rano, o dziesiątej.

– To straszne – powtórzył. – Kawał drania.

– Mówisz o jej mężu?

– Tak. – Zacisnął pięści.

– Myślisz, że to jego sprawka?

– Nie traktował jej tak, jak powinien.

– Często widywałeś Martine?

Rozwarł pięści i znów je zacisnął.

– Był bardzo zazdrosny, nikomu nie pozwalał się do niej zbliżyć. Ale utrzymywaliśmy kontakt...

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś?

– Kilka tygodni temu. Źle zrobiła, że za niego wyszła.

– Odwiedziłeś ją w domu?

– Co to ma być, jakieś przesłuchanie?

Candy się uśmiechnęła. Wzięła ode mnie kapelusz i starannie włożyła go na głowę.

– To przyjaciółka rodziny, Maria – przedstawiła mnie mężczyźnie. – A to John Visser. Dawny... znajomy Martine. Maria pomaga mi zorganizować pogrzeb. John jest farmerem. Nadal prowadzisz uprawy ekologiczne?

Skinął głową.

– Ładna. – Poklepałam dynię. – Ja też mam ogródek. I odkąd kupiłam kury i zasadziłam dziki czosnek, robactwo trzyma się od niego z daleka.

– W takim razie twoje uprawy również są ekologiczne – oznajmił John.

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam – odparłam. – Ale nie używam chemikaliów, żeby pozbyć się szkodników, i ręcznie plewię ogródek.

– A jakie nawozy stosujesz? – zainteresował się.

– Kompost i kurze odchody.

– Doskonale! – klasnął w dłonie. – Masz prawdziwą ekologiczną uprawę. Większość przydomowych ogródków to czysta ekologia, dopóki ich właścicielom nie zrobią prania mózgow firm rolnicze. Chemikaliami, które sprzedają, zniszczyli w Afryce produkcję rolną na własne potrzeby. Pestycydy, herbicydy, nawozy sztuczne, a teraz nasiona genetycznie modyfikowane. To, co robią, to kryminał.

Candy się uśmiechnęła.

– Nie mogliby po prostu pozwolić działać naturze? – spytała.

– Nie, bo wtedy by nie zarobili. Zysk. Tylko to się liczy.

– Pieniądze, pieniądze, pieniądze.

John ściszył głos i pochylił się nad stołem.

– A być może i coś więcej – rzekł. – Władza. To są naprawdę źli ludzie. I mają swoje zamiary.

– Przykro mi, że nie wyszło między tobą i Martine – powiedziała Candy.

Cofnął się i wziął do ręki pomidor.

– Podjęła złą decyzję – oświadczył, podrzucając warzywo i łapiąc je.

– Być może – odpowiedziała Candy.

– Zobacz, jak to się wszystko skończyło – burknął.

W zwieszanej bezwładnie ręce nadal trzymał pomidor. Gdy zacisnął pięść, spomiędzy palców wypłynął czerwony sok.

– Te winogrona – spytałam. – Ile kosztują?

– Pięćdziesiąt randów za pojemnik – powiedział John, upuszczając zgnieciony pomidor na ziemię.

Nie lubię patrzeć, jak ktoś obchodzi się w ten sposób z jedzeniem.

– Wezmę jeden – powiedziałam. – I jedno pudełko pomidorów.

– Ja poproszę trzy mango – dodała Candy.

– Przyniosę świeże winogrona z *bakkie* – rzekł John. – Trzymam je tam pod płachtą przeciwsłoneczną. – Wytarł ręce o dzinsy.

Ruszyłam za nim przez parking, Candy zaś została, żeby wybrać sobie mango.

– Trochę za wcześnie na winogrona – zauważyłam.

– To wczesna odmiana – wyjaśnił mężczyzna. – Ale mam szklarnię. Pewnie można to uznać za małe oszustwo. Wybudowałem ją, żeby ochronić rośliny przed jeżozwierzami i pawianami. Potem zorientowałem się, że mogę kontrolować wilgotność i temperaturę, dzięki czemu czasami udaje mi się wyhodować owoce poza sezonem.

Zatrzymał się przy samochodzie, dużej, białej terenówce. Z oponami Firestone.

– Masz granatowce?

John zachowywał się tak, jakby nie usłyszał mojego pytania, i zabrał się do rozładowywania pojemników z winogronami. Z tyłu samochodu dostrzegłam nalepkę. Dużą, czerwoną, z napisem: „Stop szczelinowaniu”. Szczelinowanie? Gdzie ja o tym słyszałam?

– Co to jest szczelinowanie? – spytałam.

– Uwielbiała granaty – mruknął John do siebie. – Całe pole obsadziłem dla niej granatowcami. Wszystko na nic.

Zaniósł winogrona na stragan, mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem.

Kiedy płaciłam, znów zapytałam:

– Co oznacza naklejka na twoim samochodzie, ta o szczelinowaniu?

– Chodzi o tych drani od ropy, tych z Shaftu. Nie zatrzymają się, dopóki nie wyciągną z ziemi całego węgla, ropy i gazu. Szczelinowanie hydrauliczne to metoda, którą stosują przy poszukiwaniu gazu ziemnego. Wwiercają się głęboko, do samej skały, i wpuszczają toksyczne chemikalia. Zanieczyszczają wody gruntowe. A do tego chcą się dostać do naszych wód podziemnych. Jeśli wejdą na teren Karru, to będzie katastrofa. Całkowita katastrofa. Nasz ekosystem jest niezwykle delikatny.

– Chcą to zrobić tutaj, w Karru Małym?

– Działają głównie w Karru Wielkim – wyjaśnił, pakując owoce mango do brązowej papierowej torby. – Ale zaczęli badać teren również u nas. Słyszałem, że wykupują ziemię w miejscach, gdzie spodziewają się znaleźć złoża. Najpierw sprawdzili wszystko z nieba. Zrobili zdjęcia satelitarne w podczerwieni. Po zeszłorocznej suszy wielu farmerów walczy o przetrwanie i tanio sprzedają ziemię...

– Rozmawiałeś o szczelinowaniu z Martine? – spytałam.

Mężczyzna zaczął przekładać arbuzy.

– Te koncerny naftowe to najgorsze męty. Musimy ich powstrzymać. – Spojrzał na niebo. – Chyba zanoszą się na deszcz. Powoli będę się zbierał.

Pojawiło się kilka chmur, ale do deszczu było jeszcze daleko. John zaczął pakować melony i kapusty do kartonowych pudeł.

– Holenderski Kościół Reformowany. Pogrzeb. W środę – przypomniała mu Candy. – Czy mógłbyś ponieść trumnę?

– To straszne – wymamrotał John do siebie, po czym kręcąc głową, ruszył w stronę parkingu z kartonem załadowanym warzywami.

– Zdaje się, że temu facetowi brakuje którejś klepki – powiedziała Candy, gdy wróciliśmy do samochodu.

– A może ma o parę klepek za dużo – odparłam.

Nie wiem, co właściwie chciałam przez to powiedzieć, ale na swoje usprawiedliwienie mam to, że akurat zbliżała się pora lunchu, a o pustym żołądku w ogóle nie powinno się myśleć.

ROZDZIAŁ 44

Poszliśmy do baru *tannie* Kuruman, gdzie upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu: zamówiliśmy pyszne paszteciki z kurczakiem i w czasie, gdy jedzenie się podgrzewało, omówiliśmy sprawę cateringu na stypę.

– Jakie menu możecie zaproponować? – spytała Candice.

Tannie Kuruman poprawiła czerwoną chustę na głowie, po czym spojrzała na fioletowe szpilki i liliową sukienkę, potem zaś na twarz Candy. Żeby dokonać tego ostatniego, *tannie*, która jest szersza niż wyższa, musiała mocno zadrzeć głowę. Następnie skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała poszukać oparcia we własnym ciele, i znów popatrzyła w dół, na pomarańczowe paznokcie u nóg Candy. Nie wiem, czy oniemiała na widok nietypowej klientki, czy może nie zrozumiała z powodu jej amerykańskiego akcentu.

Na wszelki wypadek powtórzyłam pytanie Candy własnymi słowami:

– Jakie przekąski damy ludziom? Po pogrzebie?

Tannie Kuruman odchrząknęła i w końcu przemówiła:

– Może moje paszteciki? Zrobiłabym te z kurczakiem.

– Tak – przytaknęłam. – Do tego krokiety z mięsem.

– Dobry pomysł. I melkertjies. Małe tarty mleczne. – Tłumacząc afrykanerską nazwę, spojrzała na Candy. – I koeksisters... Jak to powiedzieć po angielsku? Ciasteczkowe siostry? – Wskazała wyłożone na ladzie plecione ciastka smażone w głębokim tłuszczu i nasączone syropem. – Chodzi o nie.

Candy się uśmiechnęła.

– Skarbie, wiem, co to koeksisters... Fantastyczne menu. Ułóżcie je według własnego pomysłu. Mnie po prostu wystawcie rachunek.

– Cóż, trzydzieści randów za osobę, jeśli ma być coś prostego. Albo pięćdziesiąt, wtedy przygotuję coś specjalnego. Na ile osób?

– Wolałabym coś specjalnego – rzekła Candy. Spojrzała na mnie. – Sześćdziesiąt osób, jak sądzisz?

– Powinno wystarczyć. – Stypy nie cieszyły się w Ladismith taką popularnością, jak za dawnych czasów. – Może zrobiłabyś kilka potraw bez mięsa i nabiału? – zaproponowałam. – Na wypadek, gdyby zjawił się któryś z adwentystów...

– Oczywiście – zgodziła się *tannie*. – Kiedyś już dla nich gotowałam. Na moje oko, te ich dzieci są trochę za chude...

Paszteciki z kurczakiem pachniały wspaniale. Wyniosłyśmy je na dwór i usiadłyśmy w cieniu jakarandy na ławce z widokiem na Church Street. Candy powoli skubała pasztecik, za to ja wgrzyłam się w swój na tyle porządnie, żeby za jednym kęsem poczuć smak zarówno ciasta, jak i nadzienia. Właśnie wtedy usłyszałam brzęczenie skutera. To była Jessie – skręcała w stronę baru. Może przyjechała kupić coś na lunch. Candy pomachała do niej i dziewczyna zobaczyła nas siedzące razem na ławce i zajadające się pasztecikami.

Na widok jej miny przestałam przeżuwać jedzenie.

Chciałam wypluć pasztecik i zawołać ją. Powiedzieć, że jest moim partnerem w śledztwie i osobą, z którą najbardziej lubię jeść. Błyskawicznie pogryzłam i przełknęłam pierwszy kęs lunchu, ale zanim usta znów miałam puste, Jessie zawróciła i pomknęła przed siebie.

Jedzenie w pośpiechu nie było dobrym pomysłem, pasztecik szybko zniknął, a ja dalej czułam się głodna. Wtedy jednak zadzwonił telefon Candy i kobieta oddała mi połowę swojej porcji.

– Jest pyszny – zapewniła. – Ale ja już nie mogę.

– David! Skarbie! – wykrzyknęła do telefonu, po czym ciszej dodała: – W co jesteś ubrany? – Roześmiała się. – Dostałeś wiadomość ode mnie? Tak... Środa. Jak się czuje stryj Peter?... Naprawdę? Nie wiedziałam, że umie płakać. Jesteś pewny, że to nie zapalenie spojówek? A jak z jego zdrowiem? – Wstała i odeszła od ławki. – Dziś po południu... Nie, jej prawnik jest na miejscu, w Ladismith... Tak...

Nie słyszałam dalszej części rozmowy. Kiedy Candy wróciła, skrzywiła się.

– David – oznajmiła. – Brat Martine. Mam nadzieję, że włoży porządny garnitur na pogrzeb. Jest totalnym bezguscim w sprawach mody.

Strzepałam resztki ciasta z palców, po czym się podniosłam. Candy dwa razy wyraziła się przy mnie źle o tym człowieku, jednak przez telefon rozmawiała z nim jak z dobrym znajomym. Może tak się załatwia sprawy w tej rodzinie.

– Cholera, czasami się zastanawiam, co Davidowi chodzi po głowie – powiedziała Candy, gdy ruszyliśmy do samochodu. – Od dawna chce położyć łapę na fortunie ojca. Stryjek to skończony sknera, ale od roku choruje na raka żołądka i lekarze stwierdzili, że jest za stary na operację. David krąży wokół niego jak sęp, stara się, jak twierdzi, być pomocny. Zabiera go na wakacje. Teraz są w rezerwacie Sanbona, wynajęli luksusowy domek myśliwski niedaleko stąd...

Wsiadłyśmy do MG. Siedzenia parzyły.

– Był u Martine w zeszłym tygodniu? – spytałam.

– Mówi, że nie – odparła Candy, uruchamiając sportowy samochód i wyjeżdżając z parkingu. –

Zamierzali ją odwiedzić, ale do niej nie dotarli.

– Łączyła ich bliska więź?

– Bliska więź łączy Davida jedynie z jego tanimi garniturami. Oraz z marzeniem o bogatym życiu.

Ale mimo wszystko to jej brat. Nie wierzę, że mógłby, no wiesz...

– Jednak po śmierci Martine cały majątek ojca byłby już tylko dla niego – zauważyłam.

– Tak mu się przynajmniej zdaje – mruknęła Candy.

W następnej chwili pęd powietrza był już zbyt mocny, żebyśmy mogły dalej rozmawiać.

Candy wysadziła mnie razem z winogronami i pomidorami przed budynkiem redakcji.

– Prawnik Martine prosił mnie o spotkanie – powiedziała, patrząc w lusterko wsteczne i nakładając świeżą warstwę pomarańczowej pomadki. – Przypuszczam, że w sprawie testamentu. Powinnam też pewnie zajrzeć do Dirka i pomówić z nim o pogrzebie.

Nie widziałam na ulicy skutera Jessie, ale mimo to, wchodząc do redakcji, rozejrzałam się z nadzieją, że ją zastanę. Położyłam owoce i warzywa na biurku.

– Jessie nie czuje się dobrze – oznajmiła Hattie. – Powiedziała, że będzie pracować w domu. Jak rozmowa z Johnem?

– Interesująca – odparłam. – A *tannie* Kuruman zgodziła się zająć cateringiem.

Opowiedziałam o naszym spotkaniu z Johnem, po czym zadzwoniłam na komórkę Jessie, ale nie mogłam się połączyć. Zadzwoniłam na jej numer domowy, jednak nikt nie odebrał.

– Martwię się trochę o Jessie – wyznałam Hattie.

– Mhm – mruknęła. – Dziwnie się ostatnio zachowuje.

Hattie nie знаła całej historii, lecz nadal czułam, że nie mam prawa wtajemniczać jej w szczegóły osobistego życia Jessie.

– Napijemy się herbaty? – zaproponowałam.

Usiadłam przy biurku z filiżanką ciepłego naparu i herbatnikiem, chcąc przez chwilę spokojnie pomyśleć. W tym momencie zadzwonił redakcyjny telefon.

– To siostra Mostert – powiedziała Hattie, gdy po krótkiej wymianie zdań odłożyła słuchawkę. – Mama Jessie. Prosi, żebyśmy przyjechały do szpitala. Natychmiast.

ROZDZIAŁ 45

– Jedźmy moim samochodem – rzuciła Hattie, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

– Nie. – Szybko otworzyłam drzwi mojego niebieskiego *bakkie* i usiadłam za kierownicą. – Myślisz, że coś się stało Jessie? Dlaczego jej mama nie powiedziała, o co chodzi?

Wtaczaliśmy się na wzgórze, na którym był szpital.

– Nie słyszałam jej wyraźnie, ale jestem pewna, że Jessie nic nie jest. Czy można opuścić tę szybę trochę niżej?

– Przykro mi – powiedziałam. – Zacina się. Czeka, włączę nadmuchi.

Opuściłam szybę po swojej stronie najniżej, jak się dało, i do wnętrza samochodu wpadł ciepły podmuch powietrza. Być może lepiej byłoby zabrać się toyotą, ale nie chciałam ryzykować jazdy z Hattie – wystarczająco już martwiłam się o Jessie.

– Nie cierpię, gdy dzwonią ze szpitala i nie mówią, o co chodzi. Zadzwonili tak do mnie w sprawie mamy. Twierdzą, że robią to w trosce o bezpieczeństwo, aby bliscy pacjentów spokojnie dojechali do szpitala. Ale moim zdaniem to jedna wielka bzdura. Niepokój jest gorszy niż to, jak już się wie.

– Nie ma cienia – zauważyła Hattie. – Twój samochód nagrzej się niemiłosiernie.

Wjeżdżałyśmy na parking przed szpitalem. Jedyne zacienione miejsca pod wyrosniętym sumakiem zajęły samochód policyjny i kremowa terenówka.

– Zostawiłam w redakcji winogrona – przypomniałam sobie, parkując w słońcu. – Pacjenci w szpitalach zajadają się nimi. No chyba że przyniesie się im *vetkoek*.

Cykady grały jak opętane. W miarę jak zbliżałyśmy się do szpitala, ich cykanie stawało się coraz głośniejsze. Minęłyśmy terenówkę z oponami firmy Firestone. Na jej boku widniał czarny napis: „Nieruchomości Karru”.

Granie cykad zdawało się dobiegać z *jakkalsbos* rosnących na rabacie przy wejściu do szpitala.

W drzwiach minął nas mężczyzna, który wychodził w takim pośpiechu, że potracił mnie w ramię.

– O! Pan Marius! – zawołała Hattie, na co mężczyzna się odwrócił.

Nie był wyższy niż Hattie, ale wydawał się patrzeć na nią z góry. Włosy miał czarne, przylizane i z przedziałkiem na boku. Cienki wąsik ozdabiał górną wargę, która podobnie jak dolna była wykrzywiona w grymasie, jak gdyby mężczyzna przed chwilą przełknął coś gorzkiego. Oczy mu się zwęziły, zmierzył nas obie spojrzeniem, po czym wysunął palec i wycelował nim najpierw we mnie, a następnie w Hattie.

Cykady ucichły. Słyszałam sapanie mężczyzny, który oddychał przez nos.

Otworzył usta i myślałam, że coś powie, on jednak obrócił się na pięcie i pomaszerował asfaltowym parkingiem w stronę terenówki. Silnik zawarczał, samochód gwałtownie ruszył i odjechał, a cykady znów zaczęły hałasować.

– Jesteście! – zawołała siostra Mostert, mama Jessie.

Była niską kobietą o okrągłej twarzy i apetycznej sylwetce. W eleganckim uniformie pielęgniarki przypominała vetkoek owinięty czystą, białą serwetką.

– Czy coś się stało Jessie? – spytałam.

– Jessie? – powtórzyła, spoglądając najpierw na Hattie, a potem na mnie. – Nie, nie chodzi o Jessie. To pani Pretorius i pan van Schalkwyk. Znów zrobili awanturę. Musieliśmy wezwać policję. Pomyślałam, że może wy z nimi porozmawiacie, przekonacie ich, żeby skończyli te wygłupy.

Szłyśmy za pielęgniarką korytarzem, słuchając jej relacji.

– Przyłapaliśmy panią Pretorius, jak próbowała nalać dettol, płyn do mycia podłóg, do kroplówki śpiącego pana van Schalkwyka. Wymknęła się nam, gdy zdjęłyśmy jej kajdanki, żeby mogła pójść do toalety, a właściwie pojechać. Była na wózku inwalidzkim! Potem w środku nocy pan van Schalkwyk jakimś cudem wjechał na swoim łóżku do sali pani Pretorius. Nie mam pojęcia, jak tego dokonał, przecież całe ręce ma zabandażowane, ale zdaje się, że odpychał się stojakiem do kroplówki, jak wioślarz płynący po rzece. Łóżko na szczęście utknęło w drzwiach, zdążyli się jednak obrzucić różnymi przedmiotami, zanim ich rozdzieliliśmy.

– Doprawdy – mruknęła Hattie. – Zachowują się jak dzieci.

– Tyle że te ich zabawy są o wiele bardziej niebezpieczne. Nie możemy pilnować pacjentów dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dlatego wezwałyśmy policję. Reghardt uznał, że może wam uda się przemówić im do rozsądku. Gdzie jest Jessie?

– Nie czuje się zbyt dobrze, pojechała do domu – odparła Hattie.

– Nie mogłam się do niej dodzwonić – powiedziała pielęgniarka. – Mam nadzieję, że nic jej nie jest.

– To nic poważnego – zapewniła Hattie. – Delikatny rozstrój żołądka. Ale kiedy siostra zadzwoniła i kazała nam przyjechać, pomyślałyśmy, że może Jessie...

– Och, przepraszam, nie chciałam was wystraszyć. Po prostu w chwili, gdy do was dzwoniłam, przyjechał komisarz, dlatego nie miałam czasu wszystkiego wyjaśniać.

– Kannemeyer? – spytałam. – Jest tutaj?

– Tak, chce spisać zeznania, żeby mogli wystąpić do sądu o jakiś tam zakaz.

– Zakaz zbliżania się? – przypomniałam sobie rozmowę z Pomocą Prawną.

– Tak, chodzi o to, żeby pani Pretorius i pan van Schalkwyk nie mogli podchodzić do siebie bliżej niż na ileś tam metrów.

– A co tu robił pan Marius? – chciała wiedzieć Hattie.

– Odwiedzał pana van Schalkwyka.

Doszłyśmy do sali Anny i zobaczyłam komisarza Kannemeyera stojącego przy jej łóżku. Fryzurę pewnie miałam straszną. Nie poprawiałam jej od czasu rajdu w samochodzie Candy. Przygłodziłam włosy ręką, ale tak naprawdę przydałoby się lustro.

– Skorzystam tylko z toalety – szepnęłam do Hattie.

Jednak było już za późno – Anna zdążyła nas zobaczyć.

– *Tannie* Mario! – zawołała. – Chodź i wytłumacz temu policjantowi, co znaczy „nie”.

Odetchnęłam głęboko i weszłam do sali.

– Nie, nie ma mowy, cholera jasna – oświadczyła Anna.

Komisarz, ubrany w kremową bawełnianą koszulę i rdzawoczerwony krawat, wyglądał bardzo elegancko, jak gdyby pół dnia przesiedział w klimatyzowanym biurze, a nie jeździł na słońcu i wietrze w sportowym samochodzie. Skinął głową w naszym kierunku i cofnął się, żeby zrobić miejsce siostrze Mostert, która poprawiła poduszkę pod wystającą z gipsu nogą Anny i przekręciła pokrętło przy kroplówce.

Włosy Anny były jeszcze bardziej rozczochrane niż moje, zielona szpitalna koszula pomięta, ale policzki zaróżowione. Kobieta uśmiechnęła się i poklepała dłonią skraj łóżka, zachęcając nas, abyśmy podeszły bliżej. Siostra oddziałowa mrugnęła do mnie, po czym wyszła.

Komisarz Kannemeyer odchrząknął. W ręku trzymał podkładkę do pisania, do której była przyczepiona kartka papieru i długopis.

– Pani Pretorius twierdzi, że nie będzie wnosić oskarżenia przeciwko van Schalkwykowi – powiedział. – Nie złożę nawet zeznań w sprawie ostatnich zajść.

Anna zacisnęła usta.

– Ale Anno – zaczęłam. – W tej sytuacji Dirk zrzuci całą winę na ciebie.

Kobieta pokręciła głową, po czym przeniosła wzrok na Kannemeyera i gestem przynagliła go do mówienia.

Komisarz westchnął i ciągnął dalej:

– Van Schalkwyk również nie wniesie oskarżenia.

– To był zwykły wypadek – oznajmiła Anna.

– To samo twierdzi on – dodał Kannemeyer, po czym stuknął palcem w podkładkę. – Oboje zostaniecie oskarżeni z urzędu o zakłócanie spokoju i używanie broni palnej w miejscu publicznym. A szpital wniesie oskarżenie za ten wygląd z dettolem. Poza tym nadal jesteście podejrzani w związku ze sprawą zabójstwa...

– Przyniosłaś może vetkoek? – spytała mnie Anna.

– Przykro mi. – Przecząco pokręciłam głową.

– *Tannie* Mario i pani... ehm... – Kannemeyer spojrział na Hattie.

– Harriet – powiedziała. – Harriet Christie.

– *Tannie* Mario i pani Christie, mam nadzieję, że zdołają panie przemówić tej kobiecie do rozsądku. Niech w końcu zrozumie, jak poważne są przestępstwa, których się dopuściła.

– Ciasto? – dociekała Anna.

– Nie wzięłam nawet winogron – przyznałam. – Bardzo mi przykro.

Kannemeyer popatrzył na przypiętą do podkładki kartkę papieru. Była czysta. Klepnął podkładką o udo, po czym ruszył w stronę drzwi. Zanim wyszedł z sali, przypomniał sobie o dobrych manierach i obrócił się do nas.

– Do widzenia paniom – rzekł.

ROZDZIAŁ 46

– Co się dzieje, Anno? – spytałam. – Dlaczego nie wnosisz oskarżenia?

Anna prychnęła.

– Nic się nie dzieje – odparła. – Nic nikomu do tego. To sprawa między mną a Dirkiem.

– Ale Anno, tłumaczyłyśmy ci – powiedziałam. – On prawdopodobnie nie zabił Martine.

– Może tak, może nie. Ale jeszcze za jej życia był skończonym gnojem. I zawsze przeszkadzał. –

Opadła na poduszki. – Ona powinna być ze mną.

– Przed chwilą widziałam tu pana Mariusa – rzekłam. – Odwiedzał Dirka. Czy Martine mówiła ci coś o nim?

– O kim? – spytała zatopiona w myślach Anna.

– O handlarzu nieruchomościami – wyjaśniła Hattie.

– Nie lubiła go – odparła Anna. – Chyba się o coś posprzecjali czy jakoś tak.

– Czy Martine chciała kupić albo sprzedać jakąś nieruchomość?

– Nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Nie powiedziała, o co poszło. Tienie była zamknięta w sobie. O wielu sprawach nie mówiła. Ale kiedy śmiała się ze mną, otwierała się jak *veldvygie* na słońcu.

– A czy wspominała coś o Johnie Visserze?

Anna zamrugała powiekami i rozejrzała się po sali, jakby dopiero co została tu przywieziona.

– O swoim byłym narzeczonym? – dodałam.

– Miała narzeczonego? Zabiję go!

Spojrzałam na Hattie i pokręciłam głową.

– Idę porozmawiać z Dirkiem – oznajmiłam. – Postaraj się, proszę, wlać jej trochę oleju do głowy, żeby nie wpakowała się więcej w żadne kłopoty.

Prawdę mówiąc, nie wiem, czy można komuś wlać olej do głowy. Albo go w głowie mamy, albo nie.

Aspirant Reghardt Snyman stał na warcie przed salą Dirka.

– Przyjechała Jessie? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Nie najlepiej się czuje – odpowiedziałam.

– Nie odbiera telefonów ode mnie. Poprosiłem siostrę Mostert, żeby do was zadzwoniła.

Pomyślałem, że może uda wam się...

Machnął ręką w stronę Dirka, który leżał przykuty kajdankami do łóżka.

– Zrobimy, co w naszej mocy – zapewniłam go.

– *Tannie* Mario? – Reghardt zawiesił głos. Oczy miał wielkie i okrągłe jak szczenię.

Czekałam przez chwilę, podczas gdy aspirant rozglądał się po szpitalnym korytarzu, szukając słów. Podłoga i ściany były czyste i lśniące. Trudno było na nich znaleźć coś, czego można by się ucześcić.

– Właściwie to nic – wymamrotał.

Siostra Mostert stała obok łóżka Dirka i poprawiała temblak na lewej ręce pacjenta. Twarz Dirka ze zdobiącymi ją postrzępionymi bokobrodami i nierównym zarostem przypominała trawnik skoszony przez pijacznę. Za to temblak i bandaż były nieskazitelnie białe i starannie założone.

– Za chwilę pana ogolimy i doprowadzimy do porządku – oznajmiła pielęgniarka, jak gdyby czytała w moich myślach.

Dirk zmarszczył brwi i miałam wrażenie, że nie do końca mnie poznaje. Może nie zapamiętał mnie z ostatniego spotkania, podczas którego był pod wpływem końskiej dawki środków uspokajających.

– To jest *tannie* Maria – przedstawiła mnie siostra. – Przyszła z panem porozmawiać.

Zanotowała coś w karcie pacjenta, po czym zostawiła nas samych.

– *Oom* van Schalkwyk – zaczęłam. – Musicie z Anną skończyć z tymi wybrykami. Wasze kłótnie nie pomagają w złapaniu mordercy.

– To ona zabiła Martine.

– Nie, Dirk. Myślę, że to nie ona. Prawdopodobnie zrobił to ten sam człowiek, który zastrzelił Lawrence’a.

Mężczyzna zmrużył oczy i powiedział:

– Wie pani, śniło mi się coś podobnego. Śniła mi się moja mama. Przyniosła mi *vetkoek*, opowiedziała o śmierci Lawrence’a i o człowieku, który zabił ich oboje. – Spojrzał w sufit. – Mama zmarła dawno temu. Robiła najlepszy na świecie *vetkoek*. – Sięgnął po leżącą obok łóżka chusteczkę i wydmuchał nos. – Czyli to prawda. Lawrence nie żyje.

– Tak, to prawda. A tej nocy, kiedy został zastrzelony, Anna była tu, w szpitalu. Nie zrobiła tego.

– Ta przekłeta Anna. Miała zły wpływ na Martine. Zawsze wiedziałem, kiedy ją odwiedzała. Po tych spotkaniach Martine odsuwała się ode mnie, traktowała jak powietrze. Zamykała drzwi na klucz, przede mną, przed własnym mężem! Zanim zabrała ją śmierć, Anna odbierała mi ją po kawałku... –

Wystająca spod bandażu dłoń zacisnęła się w pięść.

– Może odsuwała się od ciebie dlatego, że tak źle ją traktowałeś – powiedziałam.

– Co?!

Poczerwieniał na twarzy.

– Biłeś ją.

– Za kogo ty się uważasz?

Nadał policzki jak balony. Ja przez cały czas stałam i wpatrywałam się w niego bez słowa.

W końcu westchnął, powietrze z niego zeszło.

– Masz rację, *tannie* – przyznał. – Byłem beznadziejnym mężem. Teraz już za późno...

– Anna była dobrą przyjaciółką Martine. Jeśli szanowałeś żonę, ze względu na jej pamięć powinieneś szanować Annę.

– Wiem, że ludzie myślą, że to ja ją zabiłem. Czasami trochę mi odbija. – Usiadł prosto i pochylił się w moją stronę. – Ale ja tego nie zrobiłem. Nie zabiłem jej. Musicie mi uwierzyć.

– Moim zdaniem to nie ty. Ani nie Anna.

– Pani jest z policji?

– Nie, prowadzę śledztwo dla „Gazety Karru Małego”. Zaangażowałyśmy się w sprawę, kiedy Martine do nas napisała, niedługo przed śmiercią.

– Kto to zrobił, *tannie*? Kim jest sukinsyn, który ją zabił?

– Tego jeszcze nie wiemy. Ale jeśli ty i Anna przestaniecie z sobą walczyć, może pomożecie nam to odkryć.

– Nie wiem, kto mógł to zrobić Martine. Zaczynam przez to wariować.

Na dowód pomachał obandażowaną ręką. Przysunęłam plastikowe krzesło i usiadłam przy łóżku. Czułam, że jest gotowy do współpracy i odpowie na wszystkie pytania. Miałam tylko nadzieję, że nie zapomnę mu zadać tych najważniejszych.

– Lawrence chciał cię przeprosić. Powiedział, że nie chciał wpakować cię w tarapaty – zaczęłam. – Co mógł mieć na myśli?

– Tarapaty? Och, tak, Lawrence zeznał policji, że przyjechałem do domu tego ranka, gdy zabito Martine. Ale to jakieś brednie. Nie wychodziłem z pracy aż do przerwy na lunch. Wszyscy w Agri mnie widzieli. Nie mam pojęcia, czemu tak powiedział.

– Może widział kogoś, kto jeździ takim samym samochodem jak ty?

– Tak, mogło tak być... Lawrence nie miał zwyczaju gadać bzdur.

– Morderca mógł się zorientować, że Lawrence go widział.

– I pani zdaniem dlatego potem go zastrzelił?

– Może strzelił tylko dlatego, że Lawrence nakrył go nocą w twoim domu.

– A co ten sukinyś robił w moim domu!? – zawołał Dirk.

– Przeglądał dokumenty w gabinecie Martine.

Mężczyzna potarł dłonią szczecinę, która porastała mu brodę.

– Widziałam tu pana Mariusa – zmieniłam temat. – Po co przyszedł?

– Ma kupca na naszą ziemię. – Dirk przełknął ślinę. – Na moją ziemię.

– Zamierzasz sprzedać ziemię?

– Ech, sam nie wiem. Proponują dwa razy więcej, niż jest warta, więc byłbym cholernym idiotą, gdybym się nie zgodził. Martine nie chciała niczego sprzedawać. Mówiła, że Marius coś kombinuje. Ale teraz, kiedy jej nie ma, sam nie wiem... Marius chce, żebym podpisał umowę. Dla mnie to jednak za szybko. Nie byłem w domu, odkąd...

Rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Zatrzymał wzrok na stojącym przy łóżku dzbanku z wodą.

– Nalać ci wody? – zaproponowałam.

Pokręcił głową, ale nie przestawał patrzeć na dzbanek. Posmutniał, jak gdyby dostrzegł w naczyniu coś przygnębiającego.

– Kim jest ten kupiec? – spytałam.

Na twarzy Dirka odmalowało się zakłopotanie. Miał minę człowieka, który zapomniał, o czym mowa.

– Ten, który chce kupić twoją ziemię – wyjaśniłam.

– Nie wiem. Marius zamierza załatwić sprawę po cichu...

– Czy Martine była religijna?

– Była dobrą kobietą. Z zasadami.

– Miała coś wspólnego z adwentystami dnia siódmego?

– Z kim? Och, z tymi od końca świata. Hm, nie mam pojęcia. Kiedyś coś tam mówiła... Nie zawsze jej słuchałem. Nie byłem dobrym mężem.

– Znałeś przyjaciela Martine, Johna Vissera?

– Tego wypierdka? Zaraz, zaraz, jak to „przyjaciela”? – Twarz Dirka znów nadęła się niczym czerwony balon. – Widziałaś ich razem, *tannie*? Gdzie?

– Nie, nie, po prostu pytam. Słyszałam, że dawno temu się spotykali.

– Rzuciła go. Dawno temu. Ale wiesz co? On ma białą terenówkę! Widziałem na własne oczy. Przypomina mój samochód. To był on... Zabiję go!

ROZDZIAŁ 47

Gdy otworzyłyśmy drzwi zaparkowanego przed szpitalem *bakkie*, ze środka buchnęło gorąco. Obciągnęłam spódnicę, żeby skóra nóg nie dotykała siedzenia.

– Boże drogi! – westchnęła Hattie. – Powinnaś sobie zamontować klimatyzację, *tannie* Mario.

– Kosztowałyby więcej niż cały mój *bakkie*.

– Można tu dostać udaru cieplnego. Następnym razem jedziemy moim samochodem.

Zawiozłam Hattie do redakcji, wzięłam winogrona i pomidory, po czym ruszyłam do domu. Brązowe wzgórza otaczała mglista aureola kurzu i rozgrzanego powietrza. Na drodze pojawiły się miraży – migotliwe plamy przypominające kałuże. Upał potrafi płać figle w zadziwiający sposób. Ludzi obrazami chłodnej wody, jak gdyby suche powietrze postanowiło zmyślić sobie coś, czego tak bardzo pragnie. Tak to jest, kiedy zbyt mocno czegoś chcemy: może nas to doprowadzić do obłądu.

Zanim dotarłam do domu, sukienka zdążyła przylgnąć do fotela. Z utęsknieniem czekałam na chwilę, gdy naleję sobie szklankę lemoniady z lodem. Zaparkowałam w cieniu sumaka i odkleiłam się od siedzenia. Sięgnęłam po winogrona i pomidory, które pociły się w torebce.

– Zaraz włożę was do lodówki – obiecałam.

Było cicho. Zbyt cicho. Może ptaki rozleniwiły się przez upał i nie chciało im się śpiewać, pomyślałam. Ale dlaczego umilkły owady? Kiedy szłam ścieżką, odgłosy moich kroków wydawały się bardzo głośne.

Kury, gdzie się podziały kury, zastanawiałam się. Nie grzebały w przyzmię kompostowej, nie widziałam też, żeby wylegiwały się w cieniu.

Nagle zamarłam. Na wycieracze przed drzwiami leżało coś brązowego. Co to było?

Postąpiłam krok do przodu.

Moje brązowe *veldskoene*.

W pierwszej chwili ucieszyłam się na ich widok. *Veldskoene* w kolorze khaki, które miałam na nogach, same poniosły mnie w stronę butów, które po długiej wędrówce wróciły do domu. Zaraz jednak przypomniałam sobie, w jaki sposób zniknęły. Zdarzyło się to tego wieczoru, gdy zamordowano Lawrence'a.

W następnej chwili zauważyłam, że obydwie trzewiki są przecięte na pół, jakby ktoś przekroił je nożem do chleba.

Pojemnik z winogronami wypadł mi z ręki. Usłyszałam przenikliwy wrzask i pomyślałam, że to ja krzyczę, ale kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam przelatującą wronę. Chciałam jak najszybciej ukryć się w domu. Ominęłam rozkwaszone winogrona i zaszlachtowane buty, aby otworzyć drzwi. Nie były zamknięte na klucz, bo prawie nigdy ich nie zamykam. Gdy weszłam, zatrzasnęłam za sobą drzwi i chciałam przekręcić klucz w zamku, ale gdzieś zniknął. W domu panowała absolutna cisza. Słyszałam jedynie łomot serca, które tłukło mi się w piersiach.

Włożyłam pomidory do lodówki, po czym podeszłam do telefonu. Chciałam, żeby przyjechał do mnie Henk Kannemeyer. Zadzwoiłam na policję i poprosiłam komisarza. Mężczyzna, który odebrał, mówił ochrypłym, zaspanym głosem.

– Nie ma go – rzucił. – Czym mogę służyć, *mevrouw*?

– Proszę przysłać do mojego domu wóz policyjny.

Podaliśmy swoje nazwisko i adres. Mężczyzna dłuższą chwilę literował i zapisywał informacje.

– Co się stało, *mevrouw*?

– Potrzebna jest policja.

– Czy ktoś się do pani włamał?

– Nie jestem pewna. Zginął mi klucz.

– Zgubiła pani klucze? – dopytywał się funkcjonariusz.

– Był tu morderca.

– Czy ktoś został zamordowany?

– Moje *veldskoene*. Są przecięte na pół.

– Ktoś zamordował pani *veldskoene*? Proszę pani, czy to ma być żart?

– Nie – odparłam. – Muszę porozmawiać z komisarzem Kannemeyerem. Czy on ma telefon komórkowy?

– Nie podajemy numeru telefonu komisarza.

– A czy jest posterunkowy Piet Witbooi?

Odpowiedziało mi milczenie.

– Muszę z nim porozmawiać. To poważna sprawa.

Zapadła cisza. Nie wiedziałam, czy funkcjonariusz odłożył słuchawkę, czy poszedł zawołać Pieta. Po chwili usłyszałam stłumione dźwięki, czekałam więc cierpliwie.

W końcu w słuchawce rozległ się głos.

– Halo. Mówi posterunkowy Piet Witbooi.

– Piet, to ja, *tannie* Maria. Moje brązowe *veldskoene*, które zniknęły w nocy, gdy zastrzelono Lawrence'a. Stoją przed progiem. Przecięte na pół.

– Zaraz będziemy.

Zadzwoiłam na komórkę Jessie. Nie udało mi się połączyć. Zadzwoiłam do niej do domu i odebrała jakaś dziewczyna, pewnie jedna z jej sióstr albo kuzynek. Jessie ma dużą rodzinę.

– Mówi Maria van Harten. Czy mogę rozmawiać z Jessie?

– Jeesieeeeeee! – zawołała dziewczyna.

Usłyszałam odgłos kroków, gdy odchodziła od telefonu. Łup. Łup. Serce tłukło mi się w piersiach, wstrzymałam oddech.

– Nie chce rozmawiać, *tannie* – oznajmiła dziewczyna po chwili. – Mówi, że nie czuje się dobrze.

– Ale czy poza tym u niej wszystko w porządku? – wysapałam.

– Taaak – odparła.

– Otwórz drzwi frontowe i sprawdź, czy coś nie stoi przed progiem – poleciłam. – Na przykład buty.

– Co? – zdziwiła się dziewczyna.

– Bądź tak dobra i sprawdź, proszę – nalegałam.

Rozmówczyni poszła do drzwi, po czym wróciła.

– Nic nie ma, *tannie*.

Połączenie zostało przerwane.

W tym momencie rozległo się pukanie i omal nie wyskoczyłam ze skóry.

To dziki ptaszek. Stukał dziobem w swoje odbicie w szybie.

Walczył z własnym cieniem.

ROZDZIAŁ 48

– Dzień dobry, Piet – przywitałam posterunkowego. – Dziękuję, że przyjechałeś.

Ucieszyłam się na jego widok. Przybył w towarzystwie młodego policjanta, który przedstawił się jako sierżant Vorster. Vorster miał brązową, okrągłą twarz o skórze gładkiej jak u niemowlęcia i czarne, kędzierzawe włosy. Piet był pomarszczony niczym stuletni staruszek, ale poruszał się ze zwinnością młodzieńca. Ominął winogrona i pochylił się, żeby ze wszystkich stron obejrzeć stojące na wycieracze trzewiki. Następnie przyjrzał się kurzowi, który pokrywał werandę. Gestem nakazał Vorsterowi cofnąć się i nie przeszkadzać.

Lemoniada, pomyślałam. Powinnam nalać nam wszystkim lemoniady z lodem. Właśnie po to wróciłam do domu, a nie po poćwiartowane buty. Zadzwoiła komórka Vorstera, sierżant odebrał.

– Tak – potwierdził. – Jesteśmy. – Schował telefon. – Komisarz Kannemeyer jest w drodze.

– Przepraszam na chwilę – powiedziałam.

Musiałam się odświeżyć. Przynajmniej włożyć czystą sukienkę. Ta, którą miałam na sobie, była przepocona. Chwyciłam z sypialnianej szafy ładną suknię w fioletowe róże – nie nosiłam jej od jakiegoś czasu, chociaż ją lubiłam – i wpadłam do łazienki. Zdjęłam wilgotne ubranie, po czym wrzuciłam je do kosza na brudną bieliznę. Nie było czasu na prysznic, opłukałam więc twarz i wytarłam się małym ręcznikiem. Usłyszałam podjeżdżający samochód, potem trzaśnięcie drzwiami.

Włożyłam sukienkę w róże przez głowę i pociągnęłam ją. Była ciasna, nie chciała przejść przez ramiona. Co się stało? Nigdy wcześniej nic takiego z nią się nie działo. Szarpnęłam mocniej. Bez rezultatu. Postanowiłam zatem ją zdjąć, ale to też okazało się niemożliwe. Materiał nie chciał się poruszyć w żadną stronę. Stojąc z podniesionymi i skrępowanymi sukienką rękami, usłyszałam kroki na werandzie.

Zaczęłam podskakiwać, naciągając na siebie oporny materiał. Ani drgnął. Utknęłam.

– Posterunkowy Witbooi! – zawołał Kannemeyer, który najwyraźniej zatrzymał się przed drzwiami frontowymi. – Mogę wejść?

Owinięta sukienką, wyginałam się i kręciłam. Materiał zatykał mi usta, coraz trudniej mi się oddychało. Piet i Kannemeyer byli w domu, rozmawiali. Usłyszałam odjeżdżający samochód, prawdopodobnie kierowany przez Vorstera. Ramiona mi słabły i zaczynało mi się kręcić w głowie. Oparłam się o ścianę, żeby złapać oddech.

Po chwili znów zaczęłam się szamotać i poczułam, że sukienka się rozdziera. Szarpnęłam, rozdarłam ją jeszcze mocniej, a następnie zdjęłam i w końcu się oswobodziłam.

Uff! Usiadłam na pokrywie sedesu. Najpierw pocięte *veldskoene*, teraz podarta sukienka.

Spojrzałam w lustro. Twarz miałam czerwoną jak pomidor i znów po całej tej szamotaninie z sukienką lepiłam się od potu. Ponownie wytarłam się całą ręcznikiem.

Rozległo się pukanie do drzwi łazienki.

– Przepraszam – dobiegł mnie głos Kannemeyera. – Chcę się tylko upewnić, że wszystko u pani w porządku.

– Wszystko dobrze – odpowiedziałam. – Już idę.

Z pojemnika na brudną bieliznę wygrzebałam starą sukienkę. Nie dość, że była przepocona, to na dodatek zmięta od leżenia w koszu. Próbowałam ją ponaciągać, ale nic to nie dało. Piet i Kannemeyer stali tuż za drzwiami łazienki – nie było mowy, żebym przedostała się jakoś do szafy w sypialni. Podniosłam i rozłożyłam w powietrzu sukienkę w fioletowe róże. Rozdarcia widoczne były jedynie na plecach. Szybko ją włożyłam. Tym razem weszła bez problemu i z łatwością zapięłam zamek. Kiedy się obróciłam, dostrzegłam w lustrze dwa duże pęknięcia, ale z przodu wszystko wyglądało jak należy. Uczesałam włosy i pomalowałam usta pomadką. Łyknęłam wody, jednak to nie było to. Lemoniada, musiałam się napić lemoniady z lodem.

Wyszłam z łazienki i przyłgnęłam plecami do ściany. Policjanci stali niedaleko, oglądali otwierane do góry okno.

– Nie ma zamknięcia – mruknął Kannemeyer do Pieta, marszcząc brwi.

– Panie komisarzu – wtrąciłam się. – Lemoniady?

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Końcówki jego wąsów się uniosły. Szłam bokiem jak krab, tak by mężczyźni nie widzieli mnie z tyłu.

– Wygląda na to, że nie wszedł do środka – oznajmił Kannemeyer.

Włożył moje brązowe *veldskoene* do przezroczystej foliowej torby przypominającej miniaturowy worek na zwłoki. Ja dalej posuwałam się z plecami przylegającymi do ściany w stronę suszarki do naczyń, z której wzięłam trzy szklanki.

– Czy drzwi były zamknięte na klucz? – spytał komisarz.

– Nie – odparłam. – Na dodatek klucz był w zamku, a teraz go nie ma.

Kannemeyer pokręcił głową i szarpnął koniuszek wąsa.

– Mogłaby pani na jakiś czas opuścić dom i pomieszkać gdzieś indziej? – spytał.

Powoli zmierzałam w stronę lodówki.

– Posterunkowy Witbooi sprawdził podłogi, już można wszędzie chodzić – powiedział komisarz.

– Nie chcę się wyprowadzać – oznajmiłam, otwierając lodówkę, która znajdowała się za moimi plecami.

Kannemeyer zmarszczył brwi. Na półce wymacałam dzbanek z lemoniadą. Piet podszedł do mnie, wyjął naczynie z lodówki i podał mi je. Napełniłam szklanki, po czym krabim chodem dotarłam do

fotela stojącego nieopodal kuchennego stołu. Ach, w końcu zimna lemoniada. Piet wypił cytrynowy napój duszkiem, ale komisarz nawet nie dotknął szklanki.

– Pani chyba nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Posterunkowy Witbooi obejrzał ślady opon i butów. Są takie same jak ślady opon i butów człowieka, który zabił Lawrence’a, a może także i Martine. Żarty się skończyły.

– To jest mój dom – powiedziałam.

– Tylko na jakiś czas, dopóki go nie złapiemy.

– Jak chcecie to zrobić? Macie jakieś tropy?

– Nie jest pani tutaj bezpieczna. Nie można nawet zaryglować okien.

– Macie podejrzanych?

– *Tannie* Mario. Te buty, pocięte w ten sposób, to pogroźka. Pani życie jest w niebezpieczeństwie.

Łyknęłam lemoniady i spojrzałam na *veldskoene* w kolorze khaki, całe i zdrowe na moich stopach.

– Pewnie jesteśmy coraz bliżej – odparłam. – Inaczej ten człowiek nie miałby powodu mi grozić.

– Jesteście coraz bliżej? Co pani chce przez to powiedzieć? Mówiłem wam, żebyście nie mieszały się do tej sprawy.

– Proszę się poczęstować lemoniadą, panie komisarzu.

Kannemeyer przemierzał pokój tam i z powrotem.

– Znow chcecie wpaść w kłopoty. Proszę zobaczyć, do czego to doprowadziło. Mam nadzieję, że będzie to dla pani ostrzeżeniem.

Pociągnęłam kolejny łyk, spojrzałam na sufit i utkwiałam wzrok w miejscu, gdzie odłaziła farba. Zastanawiałam się, komu jeszcze – prócz komisarza – działałyśmy na nerwy.

– Panie komisarzu, czy ludzie wiedzą, że Jessie i ja byłyśmy w domu van Schalkwyka w noc, gdy zamordowano Lawrence’a?

– Nikomu nic nie mówiłem, ale jestem pewien, że słyszała już o tym połowa miasta. *Mevrou* Gouws ze sklepu z artykułami żelaznymi rozpowiada o waszym wyczynie na prawo i lewo.

– Gdyby ten człowiek chciał mnie zamordować, dlaczego miałby ciąć moje *veldskoene*? On próbuje mnie zastraszyć. Myśli, że coś wiem...

– Nie pani prowadzi to śledztwo – powiedział, akcentując każde słowo.

– Nie, pan je prowadzi. Ale jeśli chce pan znaleźć zabójcę, powinien pan słuchać ludzi, którzy mają coś ważnego do powiedzenia.

Kannemeyer usiadł przy kuchennym stole. Przeczesał palcami włosy i wypił pół szklanki lemoniady. Zdawało się, że trochę po niej ochłonał.

– Dobrze – oznajmił. – Proszę mi powiedzieć, co pani wie.

– Chyba przyda się panu długopis i kartka – uprzedziłam go.

Wyjął długopis i niewielki notes. Skinął głową na Pieta, który również usiadł.

– Proszę sobie dolać lemoniady, Piet – zachęciłam.

Posterunkowy poszedł za moją radą i napełnił nam szklanki, ja zaś opowiedziałam im wszystko, czego dowiedziałam się na temat Grace, Johna, pana Mariusa, brata Martine, Candice, a nawet adwentystów dnia siódmego.

Na koniec dodałam:

– Może teraz wy powiecie, do czego doszliście.

Kannemeyer pokręcił głową.

– Nigdy się pani nie poddaje, prawda? To tajemnica służbowa. Mogę jednak zdradzić, że miała pani rację w sprawie soku z granatów. Znaleziono w nim środki uspokajające. Poprosiliśmy pracowników Spara, żeby spróbowali sobie przypomnieć, komu sprzedali ten sok.

– Pewnie kupowało go mnóstwo klientów. Kasjerki nie będą pamiętać wszystkich.

– Nie takie znowu mnóstwo. W skrzynce, która przysłała do sklepu w zeszłym tygodniu, było zaledwie sześć litrów soku.

– Ale mówiłam panu, że John mógł wyhodować granaty w szklarni przed sezonem. Poza tym może ma zapas mrożonego soku własnej roboty...

– Sprawdźmy to. Proszę jednak, *tannie* Mario, niech się pani trzyma z daleka od tej sprawy. Bardzo panią proszę. Nie chcemy, żeby stała się pani kolejną ofiarą.

Na dnie szklanki, którą wychyliłam do końca, były drobinki cytryny. Pogryzłam je starannie.

– Jessie też może grozić niebezpieczeństwo – powiedziałam.

– Czy jej buty również przywędrowały do domu?

– Nie. Przynajmniej nie wróciły do chwili, kiedy do niej dzwoniłam jakiś czas temu.

– Musimy przenieść panią w bezpieczne miejsce – oznajmił Kannemeyer.

– Panie komisarzu. Nie zamierzam stąd uciekać. Kto karmiłby moje kury?

– Możemy na pewien czas przysłać tu któregoś z funkcjonariuszy. Na wypadek gdyby morderca wrócił. Kury nakarmi więc policjant.

– A kto nakarmi policjanta? Zostaję.

ROZDZIAŁ 49

– Martwię się o moje kury – wyznałam Pietowi, gdy Kannemeyer odjechał. – Zwykle kręcą się w ogródku przed domem.

Piet wstawił trzy brudne szklanki do zlewu i wyszedł na zewnątrz. Mnie udało się znaleźć starą bawełnianą koszulę męża, którą zarzuciłam na plecy, żeby zakryć rozdarcia z tyłu sukienki, po czym ruszyłam za posterunkowym do ogródka. Zastałam Pieta za domem, kucał obok pierzastego stadka i naśladował gdakanie. Ptaki zbiły się w gromadkę pod krzewem sutherlandii, z którego zwisały czerwone, podłużne kwiaty przypominające olbrzymie krople krwi. Kiedy kury zobaczyły, że nadchodzę, popędziły w moim kierunku.

Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć. Żadnej nie brakowało, wszystkie były całe i zdrowe.

– Ko, ko, ko! – zawołały.

– Cip, cip, cip! – odpowiedziałam, po czym wróciłam na werandę, a ptaki podreptały za mną.

Spojrzałam na winogrona, które wcześniej upuściłam na ziemię.

– Przepraszam – wymamrotałam i schyliłam się, żeby je wziąć i przebrać.

Rozgniecione owoce wyrzuciłam do ogródka, gdzie zajęły się nimi kury, pozostałe zaś zaniosiłam do kuchni, umyłam i włożyłam do lodówki. Ptaki ciągle czekały przed domem, sypnęłam im więc garść gniecionej kukurydzy i patrzyłam, jak wydziobują żółte okruchy spomiędzy trawy. Piet chodził po ogrodzie i podjeździe, przyglądając się mrówkom, ziarenkom piasku i innym drobinom.

Nieco później przyjechał policyjny samochód, z którego wysiadł sierżant Vorster. Posterunkowy Piet odjechał służbowym autem, za to Vorster usiadł na werandzie, aby obserwować grę światła i kolory zmieniające się na Rooibergu. Cienie wzgórz wydłużały się, chłodniejsze podmuchy łagodziły upał przytłaczający nas przez cały dzień. Lemoniada skończyła się już wcześniej, ale przyniosłam sierżantowi kawę i beskuit.

– Dziękuję, *tannie* – powiedział.

– Nie powinien pan udawać tajnego agenta? – spytałam.

Vorster zmarszczył brwi.

– No, wie pan. Przebrać się w zwykłe ubranie, wyglądać jak tajniak. Na wypadek gdyby ten człowiek wrócił.

Sierżant pokręcił głową.

– Jestem tu, żeby panią chronić – odparł i pociągnął łyk kawy.

Posłałam łóżko w pokoju gościnnym. Kolację zamierzałam przyrządzić prostą – walijskie grzanki z sosem serowym. Poszłam do kurnika po jajka, ale wracając, pomyślałam, że lepiej będzie spytać Vorstera, co miałby ochotę zjeść. Może był adwentystą dnia siódmego albo coś w tym rodzaju.

– Czy lubi pan jajka i sos serowy? Powoli szykuję kolację.

– Na kolację wracam do domu. Komisarz Kannemeyer będzie pełnił służbę wieczorem, zmieni mnie o siódmej.

Zegar w kuchni wskazywał piątą. Włożyłam jajka do miski na kuchennym blacie. Uznałam, że mogą poczekać do śniadania. Nagle zachciało mi się przyrządzić [bredie](#) z jagnięciny z pomidorami i zawijaniec z miodową polewą. Ciasto drożdżowe musi chwilę rosnąć, lecz jeśli postawiłabym je w wieczornym słońcu, powinnam zdążyć. Gulasz z jagnięciny musi jednak dusić się cały dzień. Znów zerknęłam na zegar, ale od ciągłego spoglądania na wskazówki czasu nie przybywało, wprost przeciwnie, robiło się go coraz mniej. Przypomniałam sobie o podduszonym kawałku mięsa, który leżał w zamrażarce. Wystarczyło go rozmrozić, dodać pomidory i przyprawy. Musiałam szybko się uwijać, żeby przyrządzić posiłek, którym będzie można niespiesznie się delektować. Podczas gdy jagnięcina rozmrażała się w żeliwnym garnku na kuchence, a ciasto drożdżowe rosło na werandzie, ugotowałam ziemniaki, sparzyłam i obrałam pomidory oraz znalazłam wszystkie przyprawy. Ucieszyłam się, że nie zabrakło mi ziela angielskiego ani gałki muszkatołowej, ponieważ nadają [tamatiebredie](#) wyjątkowy smak. Wsypałam przyprawy do mięsa gotującego się na wolnym ogniu, a gdy po kuchni rozszedł się ich cudowny zapach, włożyłam garnek do otulacza, w którym gulasz dalej się dusił.

Następnie wyszłam na werandę zajrzeć do ciasta drożdżowego i właśnie wtedy usłyszałam nadjeżdżający samochód. Ręce miałam oblepione mąką, sukienkę i koszulę przewiązane fartuchem, ale nie zamierzałam znów się przebierać. Wniosłam miskę z ciastem do kuchni, poprawiłam włosy i nastawiłam czajnik. Z ciasta utoczyłam długi, gruby wałek, który na blasze do pieczenia ułożyłam w luźną spiralę.

Rozległo się pukanie, chociaż drzwi były otwarte.

– Coś tu ładnie pachnie.

Końcówki jego wąsów wydawały się wyjątkowo spiczaste, jak gdyby były nawoskowane. Przebrał się w dzinsy i jasną bawełnianą koszulę, która wyglądała na miękką i spłowiałą od częstego noszenia. Przy boku miał broń, w ręku trzymał niewielką walizkę i parę reklamówek.

– Kawy? – spytałam, oblewając zawijaniec miodową polewą z kawałkami migdałów.

– Poproszę – odpowiedział. – Z mlekiem i łyżeczką cukru.

Położył torby na krześle w kuchni, a walizkę na kanapie w salonie. Kawę wypił na stojąco, przyglądając się drzwiom frontowym. Gdy wkładałam ciasto do szuflady do podgrzewania, żeby jeszcze trochę urosło, czułam zapach kardamonu.

– Trzeba wstawić nowy zamek – oznajmił. Z jednej z reklamówek wyjął narzędzia, po czym na zewnątrz i od wewnątrz drzwi zamontował solidne skoble. – To na razie będzie musiało wystarczyć. Proszę, tu są klucze i kłódka.

Położył je na stole obok worka z mąką. Do ramy okna z zepsutym zamkiem przykręcił mniejszy skobel. Nie mówiłam mu, że okna i drzwi lubię zostawiać otwarte.

– Jest pan głodny? – spytałam.

– Przyniosłem paszteciki – odparł, wskazując foliową torbę leżącą na krześle.

– Oczywiście – mruknęłam. Umyłam ręce i wytarłam je ścierką do naczyń. – A co by pan powiedział na tamatiebredie?

– Proszę mi mówić Henk.

– I zawijaniec z miodową polewą? – dodałam.

Nie potrafiłam się przełamać, żeby wymówić jego imię.

– Uff. Chyba nic się nie stanie, jeśli paszteciki zjem jutro na lunch.

Wyciągnął rękę w moją stronę.

– Masz tu trochę mąki. Na policzku.

Otarłam twarz wierzchem dłoni.

– Nie trafiłaś – oznajmił.

Ponowiłam próbę.

Pokręcił głową i podszedł bliżej. Poczułam ciepło, które biło od niego, jak gdyby przed chwilą wyszedł z piekarnika. Był dużo wyższy ode mnie. Widziałam rude i kasztanowe włosy porastające mu klatkę piersiową. Palcami musnął mój policzek tuż obok ust.

– Już – powiedział.

Pachniał świeżo upieczonym ciastem cynamonowym i miodem. Cofnął się. Zaschło mi w ustach. Drżącymi rękami nalałam sobie kawy. Kiedy podniosłam filiżankę, brązowy płyn oblał mi palce.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Odstawiłam filiżankę i wytarłam dłonie o fartuch.

– To był długi dzień – powiedziałam.

– Usiądź – polecił.

Usiadłam. Oparłam łokcie o oblat stołu, głowę wsparłam na rękach.

– Masz może [brandewyn](#)?

Wskazałam górną szafkę. Znalazł butelkę za ekstraktem z wanilii, nalał trochę brandy do szklanki, wysypał łyżeczkę cukru, po czym wymieszał i postawił przede mną. Brandewyn była słodka, ciepła i poczułam, jak rozpala mi wnętrzości.

– Pomoże wyjść z szoku – oznajmił.

Miał na myśli wstrząs wywołany odnalezieniem pociętych *veldskoene* na progu mojego domu. Sytuacja, owszem, przerażająca, jednak to nie dlatego cała się trzęsłam. Większym szokiem było dla mnie to, że mężczyzna dotknął mojej twarzy. I zrobił to delikatnie.

ROZDZIAŁ 50

Może to przez brandy, ponieważ prawie w ogóle nie piję, ale cały tamten wieczór wydawał się snem.

Henk Kannemeyer wytarł kuchenny stół, znalazł talerze, noże i widelce, po czym starannie nakrył do kolacji. Przypilnował ryż, a kiedy ten się dogotował, postawił miskę z parującymi ziarnami na stole.

– Czuję zapach bredie, ale go nie widzę – oznajmił.

Wskazałam otulacz. Komisarz wyjął garnek, z którego nałożył najpierw mnie, a potem sobie.

– Jedz – powiedział.

Wpatrywałam się w talerz szeroko otwartymi oczami. Nigdy wcześniej nie widziałam stołu nakrytego do posiłku przez mężczyznę ani talerza, na który mężczyzna nałożyłby jedzenie. Wszystko to wyglądało bardzo ładnie. Mięso duszone w pomidorach kusiło zapachem, zaczęłam więc jeść.

– Kiedy trzeba wyjąć ciasto? – spytał.

Nie mieściło mi się w głowie, że mogłam zapomnieć o cieście. Pamiętałam, aby wstawić je do piekarnika, ale zapomniałam, że trzeba je wyjąć. Zerknęłam na zegar.

– Za dwie minuty – odparłam.

Potem znów zapomniałam o cieście, a on znów o nim pamiętał.

Kiedy skończyliśmy kolację, postawił na stole zawijaniec w miodowej polewie, obok zaś położył talerzyki i widelczyki do ciasta. Zamiast deserowych wyjął talerze na sałatkę, ale nie miało to żadnego znaczenia.

– Wspaniale gotujesz, Mario. Dawno nie jadłem czegoś tak pysznego.

Uśmiechnął się do mnie, oczy jednak miał smutne.

Brandy sprawiła, że odważyłam się zapytać:

– Nie ma pan żony, panie komisarzu?

Smutek w jego oczach zmienił się w cierpienie. Odwrócił wzrok.

– Naprawdę świetnie gotowała – powiedział i przełknął ślinę. – Zmarła cztery lata temu. Cztery lata i trzy miesiące.

– Przykro mi – mruknęłam.

Chociaż prawdę mówiąc, wcale nie było mi przykro. Gdy usłyszałam, że nie ma żony, serce podskoczyło mi z radości, tak bardzo się ucieszyłam. Zaraz jednak dopadły mnie wyrzuty sumienia.

Nawet siedząc po drugiej stronie stołu, wyczuwałam jego ból.

– Przykro mi, Henk – powtórzyłam, lecz tym razem szczerze.

Ukroiłam duży kawałek zawijańca i położyłam na jego talerzyku. Polewa miodowa częściowo wsiąkła w ciasto, na wierzchu lśniły uprażone, skarmelizowane migdały. Kiedy skończyliśmy deser, chwilę jeszcze siedzieliśmy i słuchaliśmy żab.

W końcu zaczęłam sprzątać i zmywać, komisarz zaś przez cały ten czas wpatrywał się nieruchomo w stół.

Wieczór upłynął w ciszy i spokoju. Jednak chociaż niewiele rozmawialiśmy, zdawało się, że dużo zostało powiedziane.

Właśnie wtedy stało się coś dziwnego. Gdy stałam przy zlewie z rękami zanurzonymi w mydlanej wodzie, brzuch wypełniało mi dobre jedzenie i brandy, a przy stole za mną siedział rosły mężczyzna, ogarnęło mnie zupełnie nowe poczucie szczęścia. Różniło się ono od tego, które zwykle czułam, piekąc dobre ciasto, patrząc na swoje kury czy goszcząc u siebie Hattie.

Po raz pierwszy zakosztowałam czegoś, czego zawsze chciałam spróbować, lecz nigdy nie potrafiłam przyrządzić. Może mimo wszystko miałam zaznać prawdziwego życia przed śmiercią.

Komisarz Kannemeyer obszedł dom, żeby pozamykać drzwi i okna na noc. Okno w mojej sypialni miało lufcik i ucieszyłam się, że komisarz uchylił go, aby do środka mogło wpadać świeże powietrze.

Następnie rozłożył śpiwór na kanapie.

– Przygotowałam łóżko w pokoju gościnnym – powiedziałam.

– Tutaj będę lepiej słyszał – oznajmił. – Może będzie chciał wejść frontowymi drzwiami.

Wyszedł na zewnątrz, przespacerował się po podwórku i ogrodzie z latarką. Ja przeniosłam pościel z pokoju gościnnego na kanapę. W taką upalną noc w śpiworze może zrobić się za gorąco, a do przykrycia powinno wystarczyć prześcieradło.

Umyłam zęby, włożyłam koszulę nocną, szlafrok i leciutko podmalowałam się szminką. Później poszłam powiedzieć mu dobranoc.

– Mam lekki sen – oświadczył komisarz. – Ale gdybyś usłyszała jakiś hałas, cokolwiek, od razu mnie obudź.

Kiedy się położyłam, trochę zakręciło mi się w głowie. Być może to przez brandy, która wyparowywała z organizmu. Nie domknęłam drzwi, dlatego słyszałam, jak komisarz idzie do łazienki, i zastanawiałam się, czy wziął z sobą szczoteczkę do zębów i piżamę.

Potem usłyszałam, jak kładzie się na kanapie. Wsłuchiwałam się w rechotanie żab, pohukiwanie samca sowy i odpowiedź samicy. Nagle rozległ się cichy warkot. Usiadłam, ale nie byłam zbyt

przestraszona – tajemniczy dźwięk bardziej przypominał odgłos zwierzęcia niż hałas, jaki mógłby robić morderca. Wstałam z łóżka i ruszyłam w stronę drzwi. Warkot wydawał się głośniejszy. Dochodził z wnętrza domu! Nabrałam powietrza, aby zawołać komisarza, gdy nagle uświadomiłam sobie, że znam ten dźwięk. Było to chrapanie mężczyzny. Na palcach poszłam do salonu. Henk leżał na pościeli, kompletnie ubrany. Usta miał nieco rozchylone i miarowo chrapał. Przez chwilę stałam, przyglądając się jego klatce piersiowej, która podnosiła się i opadała.

Komisarz drgnął, po czym gwałtownie usiadł. W rękę trzymał pistolet.

– Maria?

– Przepraszam – wymamrotałam. – Usłyszałam warkot, ale to tylko twoje chrapanie.

Zapomniałam...

– Och, wybacz – powiedział. – Położę się na boku.

– Nie – zaprotestowałam. – Nie musisz. Podoba mi się to.

Roześmiał się niskim, ciepłym śmiechem. Odgłos ten był jeszcze przyjemniejszy niż chrapanie.

Komisarz wciąż na mnie patrzył.

Wtedy zorientowałam się, że przez okno za mną wpada światło księżyca. Moja koszula nocna była uszyta z cienkiej bawełny.

Zarumieniłam się. Policzki mi płonęły. Postąpiłam parę kroków w tył, wpadłam na ścianę, po czym umknęłam do sypialni.

Zamknęłam drzwi i wskoczyłam z powrotem do łóżka. Nawet mąż nigdy nie widział mnie nagiej. Nawet w chwilach, no wiecie, intymnych, byłam przykryta pościelą. Henk Kannemeyer zobaczył mnie. Widział moją nagą sylwetkę w świetle księżyca.

Czerwieniło się całe moje ciało. Piersi, uda miałam tak gorące, że musiałam ich dotknąć, aby się upewnić, czy nie płoną żywym ogniem.

ROZDZIAŁ 51

Było mi gorąco i nie mogłam zasnąć, nawet gdy zrzuciłam z siebie prześcieradło i leżałam w samej koszuli. Pomyślałam, żeby szerzej otworzyć okno, lecz nie chciałam narobić hałasu, który mógłby usłyszeć Kannemeyer.

Wysłuchiwałam się w odgłosy nocy i pochrapywanie komisarza. Nie było głośne, ale czułam je w całym ciele. Po chwili chrapanie ucichło, żaby jednak wciąż rechotały. Chłodniejszy wiatr, który powiał, również nie przyniósł mi snu. Gdy żaby w końcu umilkły, słychać było tylko świerszcze i od czasu do czasu odległy warkot ciężarówki jadącej drogą numer 62. Wreszcie nie było słychać już nic prócz ciszy.

Zapadłam w głęboką ciszę Karru Małego.

Obudziłam się okryta splątaną koszulą nocną. Słońce jasno świeciło, ptaki dawno skończyły się z sobą witać. Zamknęłam drzwi, włożyłam trzewiki i brązową sukienkę. Nie była zbyt ładna, ale dobrze na mnie leżała. Poszłam do łazienki, żeby się odświeżyć. Uczesałam się i pomalowałam usta szminką, po czym ruszyłam do salonu. Był pusty. Pościel leżała starannie złożona na kanapie.

Kłódka przy drzwiach wejściowych wisiała otwarta, wystawiłam więc głowę na zewnątrz.

– Dzień dobry, *mevrouw* – odezwał się Vorster.

– Dzień dobry – odpowiedziałam. – Gdzie komisarz Kannemeyer?

– W pracy.

– Kawy? – zaproponowałam.

– Poproszę.

Oczywiście, że pojechał do pracy. Spojrzałam na zegar kuchenny. Ósma. Rozejrzałam się, czy nie leży gdzieś wiadomość. Ale dlaczego miałyby mi zostawiać wiadomość? Jest policjantem, a nie... kimś innym. Skoro jednak pełnił tu służbę, powinien był się pożegnać albo przynajmniej sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku.

Wtedy przypomniały mi się drzwi do sypialni. Rano były lekko uchylone, a ja z całą pewnością zamknęłam je, zanim się położyłam. Pewnie zapukał, i kiedy się nie odezwałam, zajrzał do sypialni.

W takim razie widział mnie, w pełnym świetle, niemal rozebraną, leżącą na łóżku.

Zrobiło mi się niedobrze. Być może już wcześniej widział moją nagą sylwetkę w blasku księżyca, ale światło dzienne bez wątplenia wydobyło na jaw najgorszą prawdę o mnie. Nogi jak nieupieczone

wałki ciasta drożdżowego. Rozczochrane włosy. Piersi bez stanika.

Zaparzyłam kawę i zaniiosłam ją Vorsterowi na werandę razem z kawałkiem zawijańca. Sama usiadłam w kuchni, zanurzyłam herbatnik w filiżance, lecz nie miałam na niego ochoty. Odłożyłam rozmoczone ciastko na spodek. Nadeszła pora śniadania, ale nie byłam głodna.

– Może bierze mnie choroba – wyznałam herbatnikowi. – Czuję coś dziwnego w żołądku.

Wypiłam kawę i sypnęłam kurom gniecionej kukurydzy. Następnie zapakowałam większą część ciasta do pojemnika dla Jessie i pojechałam w kierunku miasta.

W redakcji gazety zastałam tylko Hattie, Jessie nie było. Włożyłam ciasto do lodówki.

– Rety, *tannie* Mario – przywitała mnie Hattie. – Wyglądasz strasznie.

– Wiem – przyznałam.

– Dopadło cię to samo co Jessie?

– Może. Jak ona się czuje?

– Nie przyjdzie dzisiaj, ale chyba nie jest z nią najgorzej, ponieważ dużo pracuje w domu. Napisała artykuł o szczelinowaniu. Przed chwilą zamieściłam go na naszej stronie internetowej. Wcześniej przesłała niezły felieton o Grace Zihlangu, kobiecie, która pracowała jako pomoc domowa u van Schalkwyków. Obydwa artykuły są dość prowokacyjne, ale widać taki już styl tej naszej Jessie.

Hattie włączyła czajnik stojący na moim biurku.

– Pozwól, że dla odmiany ja zaparzę ci herbatę – zaproponowała. – Jest poczta do ciebie. Rano znalazłam ten list wetknięty pod drzwi redakcji.

Kto mógł dostarczyć list osobiście? Wzięłam do ręki małą, białą kopertę i przeczytałam: TANNIE MARIA. Była zaadresowana drukowanymi literami. Podkreślonymi. Ani z przodu, ani z tyłu koperty nie napisano nic poza tym.

Wewnątrz znajdowała się kartka formatu A4 złożona dwa razy. Usiadłam i rozłożyłam list przed sobą.

Droga Tannie Mario,

proszę Cię, pomóż mi. Nie wiem, co zrobić. Chodzi o kobietę. Już wcześniej, kiedy byłem młodym chłopakiem, wiedziałem, że to dziewczyna dla mnie.

Westchnęłam. Gdzie się ruszyć, sprawy sercowe. Hattie dołała mleka i posłodziła herbatę, po czym podsunęła mi filiżankę.

– Dziękuję, *skat* – mruknęłam.

Zaproponowała beskuit, ale pokręciłam głową.

– Wielkie nieba – powiedziała Hattie. – Co się dzieje, Mario?

- Chyba coś z żołądkiem – odparłam.
- Nigdy nie widziałam cię w takim stanie.
- Trochę mnie boli – wyjaśniłam.
- Przypomina dolegliwości Jessie.
- Nic mi nie będzie.

Hattie wzięła swoją filiżankę z herbatą i wróciła za biurko, a ja wróciłam do listu.

Zawsze tylko się przyjaźniliśmy. Potem ona wyjechała, a kiedy wróciła, była jeszcze mądrzejsza, chociaż dla mnie została tą samą fajną dziewczyną. Wydawało się, że zainteresowała się mną, rozumiesz, inaczej niż przedtem, ale mówiła, że nie chce mieć chłopaka, chce być niezależna i tak dalej. Potem jednak pewnego wieczoru jakoś tak wyszło, że przytuliłem ją i... sama wiesz, jak to jest.

Łyknęłam herbaty. Smakowała przyzwoicie. Harriet o wiele lepiej przyrządzała herbatę niż kawę.

Nie potrafię znaleźć słów. Napiszę tylko, że było fantastycznie. Myślałem, że dla niej też było to coś wyjątkowego, naprawdę tak myślałem. Pamiętałem o jej niezależności, nie chciałem naciskać, dlatego czekałem, aż do mnie zadzwoni, ale nie zadzwoniła. Następnego wieczoru wyszedłem z chłopakami oglądać rugby i do baru przyszła ona. Była z koleżanką, powiedziała „cześć”, ale nie wydawała się zbyt przyjaźnie nastawiona, więc pomyślałem, no dobra, może nie chce, żeby wszyscy się o nas dowiedzieli. Naprawdę zależało mi, żeby między nami wyszło, dlatego nie chciałem robić nic, z czego nie byłaby zadowolona. Nie zaprosiła mnie, żebym przysiadł się do niej i do jej koleżanki. Inni faceci co chwila przysyłali im drinki. Ja siedziałem i oglądałem rugby.

Zadzwonił telefon, odebrała go Hattie.

– Harriet Christie – przedstawiła się. – Ach, pan Marius. Dzień dobry panu.

Potem zamilkła na długo, jakby mężczyzna po drugiej stronie linii bez końca mówił. Co pewien czas wtrącała „ale...” albo „proszę pana...” i zdaje się, że chciała dojść do głosu, jednak on jej nie dopuszczał. Ja czytałam dalej.

Właściwie nie pożegnała się, wychodząc. Mimo to wciąż miałem nadzieję, że będzie moją dziewczyną i że nam wyjdzie. Następnego dnia dzwoniłem do niej kilka razy, ale nie odbierała. Potem w poniedziałek poszedłem do niej do pracy. Popatrzyła na mnie, jakby mnie nienawidziła, i wyszła.

Nie wiem, co robić. Pewnie powinienem dać sobie z nią spokój, bo najwidoczniej to wszystko nic dla niej nie znaczyło i nie chce, żeby widywano ją ze mną. Ale nie potrafię o niej zapomnieć.

Czy możesz mi pomóc?

List nie był podpisany. Wiedziała jednak, kto jest nadawcą.

ROZDZIAŁ 52

– Proszę pana – powiedziała Hattie do telefonu – jeśli pozwoli mi pan wtrącić choć słowo... – Była blada, wysoko na jej policzkach pojawiły się różowe plamy. – To niezależna gazeta. Jest pan reklamodawcą, ale nie właścicielem...

Pan Marius wrzeszczał tak głośno, że nawet ja go usłyszałam. Nie rozróżniałam słów, ale doleciał mnie jego głos – przypominał pokrzykiwania rozwścieczonej małpki.

Hattie odsunęła słuchawkę od ucha.

– Istnieją standardy dziennikarskie... – zaczęła, gdy nastąpiła krótka przerwa w jazgocie.

Zaraz jednak znów rozległy się małpie wrzaski i tym razem zrozumiałam słowa:

– Pożalujecie tego!

Hattie spojrzała na trzymany w ręku telefon.

– Doprawdy – prychnęła. – Trzasnął słuchawką.

Cmoknęłam z dezaprobatą.

– Ależ nieuprzejmy – orzekła Hattie, postukując ołówkiem o blat biurka, a stopą o podłogę.

Podniosła filiżankę i łyknęła herbaty. Po jej minie widziałam, że herbata zdążyła wystygnąć, nastawiłam więc czajnik.

– Chodzi o artykuły Jessie – ciągnęła. – Te na temat szczelinowania i Grace. Jego zdaniem są zbyt zaangażowane politycznie. Chce, żebyśmy usunęły je ze strony internetowej i nie publikowały w papierowym wydaniu.

– Nie podoba mi się ten człowiek – oznajmiłam.

– Jest przewodniczącym Izby Handlowej w Ladismith – przypomniała Hattie, po czym westchnęła.

– Nie możemy stracić ich poparcia.

Harriet była niczym wysokie, mocne drzewo. Burza, która się rozpętała, przygniotła ją do ziemi. Ale nie złamała.

Podaliśmy nam filiżanki ze świeżo zaparzoną herbatą. Herbatę Hattie posłodziłam łyżeczkę więcej, żeby rumieńce wróciły na jej twarz.

– Zerknij na stronę internetową – poprosiła. – Powiedz, co myślisz o artykułach Jessie. Ja muszę zadzwonić w parę miejsc, porozmawiać z innymi sponsorami.

Usiadłam przy komputerze Jessie, kliknęłam na ikonę gazety i wyskoczyło okienko z naszą witryną. Gubię się w stronach internetowych tak samo jak w rozświetlonych setkami lamp centrach

handlowych, od których wolę zwykle miejskie sklepiki. Udało mi się jednak znaleźć artykuły Jessie.

Dziewczyna pisze bardziej uczenie, niż mówi, ale mimo to jej teksty czyta się dość łatwo. Zawsze ożywia je różnymi historyjkami i wypowiedziami. Artykuł na temat Grace zatytułowała „Koniec końców”. Opowiadając historię Grace, wplatała w nią rozważania na temat ogólnej sytuacji kobiet zatrudnionych jako pomoce domowe. Pisała o tym, jak ciężko pracują i jak mało praw im przysługuje. Potrafiła sprawić, że bohaterka artykułu przestawała być nam obojętna, czytelnik zaczynał się przejmować jej losem, bolesną stratą i marzeniami. Jessie nie powiedziała tego wprost, ale z tekstu jasno wynikało, że jej zdaniem byłoby podłością ze strony pracodawcy, gdyby nie wspomógł Grace. Najwyraźniej pan Marius odczytał to jako przytyk pod swoim adresem.

– Niech to szlag – syknęła Hattie, odkładając słuchawkę. – Kierownik Spara Cornelius van Wyk zgadza się z panem Mariusem. Narzeka, że dziennikarki gazety bawią się w detektywów, zamiast zając się pracą reporterską. Ostrzega, że Izba może się wycofać ze sponsorowania.

– Och, Hats – westchnęłam.

– Zadzwoń do pani van der Spuy. Jest sekretarzem Izby – postanowiła Hattie.

Pani van der Spuy była właścicielką miejscowego sklepu meblarskiego Mandy’s.

– Zapytaj, czy ma miód na sprzedaż – rzuciłam.

Bizneswoman posiadała również własną pasiekę.

Zaczęłam czytać artykuł o szczelinowaniu. Nosił tytuł „Stop szczelinowaniu” – identyczne hasło widniało na nalepce na samochodzie Johna. Tekst nie poruszał uczuć tak bardzo jak felieton o Grace, ale było w nim kilka ciekawych głosów. Dużo do powiedzenia miał pewien człowiek, który pływa z niedźwiedziami polarnymi. Opisał, jakie szkody wyrządza szczelinowanie prowadzone w innych częściach świata. Mówił też o zniszczeniach, jakie ta procedura może spowodować na terenie Karru i całej Afryki Południowej. Środki chemiczne używane do szczelinowania mogą zanieczyścić wody powierzchniowe i olbrzymie zbiorniki wód podziemnych. Mimo to rząd popiera firmy wydobywcze, takie jak Shaft, ponieważ one mają pieniądze.

– Ojej – mruknęłam.

Jessie pisała również o zmianie klimatu i odnawialnych źródłach energii – takich jak słońce czy wiatr – które sprawdziłyby się lepiej niż gaz, ropa i węgiel. Ale na tym nikt nie może zarobić, ponieważ nikt nie jest właścicielem praw do słońca czy wiatru, podczas gdy złoża gazu, ropy i węgla mają swoich posiadaczy. Wyglądało więc na to, że w całej tej sprawie najbardziej liczą się pieniądze, a nie dobro Karru.

Nie rozumiałam wszystkiego, co tłumaczyła Jessie, ale dotarło do mnie wystarczająco wiele, żebym zaczęła się niepokoić o wodę i o to, co jej zanieczyszczenie oznaczałoby dla mieszkańców i roślin Karru Małego. Dla dzierzbików, szakali i żab. Przeszło mi też przez myśl, że może John wcale nie jest tak bardzo stuknięty, jak mogłoby się zdawać. W sumie nie ma się co dziwić tym, którzy

złuszczą się na szczelinowanie. Z kolei nie do końca pojmowałam, dlaczego pana Mariusa zdenerwował artykuł Jessie. Skoro przejmował się losem Karru, powinno mu zależeć na tym, żeby ludzie wiedzieli, czym grozi szczelinowanie.

– Ma miód – oznajmiła Hattie, wstając i częstując się herbatnikiem. – Pani van der Spuy. I dzięki Bogu dalej nas popiera. Powiedziała, że powinnam przyjść na następne posiedzenie Izby Handlowej. Marius czy van Wyk mogą wycofać swoje reklamy, ale dofinansowania ze strony Izby nie można wstrzymać, jeśli nie przegłosują tego wszyscy przedsiębiorcy.

– Niemożliwe, żeby wszyscy okazali się tak szaleni jak Marius – uznałam. – Myślisz, że firma Shaft kupiła jego poparcie?

– Kto wie. Ten facet nie pogardziłby pieniędzmi od samego diabła. O ile sam nie jest diabłem wcielonym.

– Artykuły są dobre, Hattie.

Wyłączyłam komputer Jessie.

– Pójdą do druku – oświadczyła redaktor naczelna.

Znów stała wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, jak gdyby wichur, który wcześniej przygiął ją do ziemi, ustał. Ja jednak czułam, że burza jeszcze nie minęła.

ROZDZIAŁ 53

Wróciłam do biurka i podniosłam list, który doręczono osobiście.

– Chyba najwyższy czas, żeby Jessie wróciła do pracy – oświadczyłam.

– Zaczynam się zastanawiać, co tak naprawdę się z nią dzieje – powiedziała Hattie.

– Ma złamane serce – wyjaśniłam. – Ale można je skleić.

Zadzwoiłam do komisariatu i poprosiłam do telefonu Reghardta, nie zastałam go jednak i nie chciano mi podać jego numeru telefonu komórkowego.

– Reghardt? – Hattie uniosła brwi. – Ja mam jego numer. Czy to on jest odpowiedzialny za złamane serce Jessie?

– Jego serce również jest złamane – powiedziałam.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Juhu! – zawołała Candice, wchodząc do biura.

Na nogach miała skórzane sandały, dlatego tym razem jej przybycia nie zapowiadał stukot obcasów. Ubrana była w kremową sukienkę, która idealnie na niej leżała. Pachniała kwiatem cytryny, a jej wargi i paznokcie u nóg lśniły perłowym różem. Pewnie nawet śpiąc, wyglądała świetnie.

– Mario? – zagadnęła mnie.

– Przepraszam, zamyśliłam się – odparłam. – Co mówiłaś?

– Wszystko przygotowane na jutrzejszy pogrzeb. Jak wam idzie? Mogę jakoś pomóc?

– Tamtej nocy, po tym jak poszłyście z Jessie napić się do baru – zaczęłam. – Gdzie spałaś?

Harriet spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– Napijesz się herbaty, Candice? – zaproponowała.

– Jasne, poproszę – odpowiedziała Candy. – Byłam zbyt wstawiona, żeby prowadzić. Tamten miły chłopak, policjant, zawiózł mnie do domu. Do pensjonatu Sunshine, w którym się zatrzymałam.

– Masz na myśli Reghardta?

Pokiwała głową.

– Candy, musisz powiedzieć całą prawdę – oświadczyłam. – To niezwykle ważne dla naszego śledztwa.

– Mówię szczerą prawdę. Nie byłam na tyle zaprawiona, żeby nie pamiętać. Narobiliśmy trochę hałasu, wchodząc do pensjonatu, i obudziliśmy właściciela.

– Czyli Reghardt wszedł z tobą do pokoju?

Candice się roześmiała.

– Och, nie! Zaprowadził mnie tylko pod drzwi pokoju. Trochę chwiałam się na nogach. Właściciel, pan Wessels, krzywo na nas patrzył i osobiście odprowadził Reghardta do wyjścia.

– Czyli między tobą a Reghardtem do niczego nie doszło?

– A skądże – zachnęła się Candy. – To uroczy chłopiec, ale nie w moim typie. A ja nie jestem w jego typie. Poza tym ma dziewczynę.

– Tak ci powiedział?

– Tak, wydawał się z niej bardzo dumny. Ale nie powiedział, jak ma na imię.

– To Jessie – oznajmiłam.

– O cholera! – zawołała Candy. – Czy ona myśli, że...?

Przytaknęłam.

Candice usiadła i wzięła filiżankę herbaty, którą podała jej Hattie.

– Biedactwo – westchnęła Candy.

– Czy możesz dać mi ten numer, Hats? – poprosiłam.

Reghardt odebrał po pierwszym sygnale.

– Jessie? – zapytał.

– Mówi *tannie* Maria – wyprowadziłam go z błędu. – Dostałam list od pewnego młodego człowieka. Chciałabym mu pomóc. Pomyślałam, że może ty mi poradzisz, co mu odpowiedzieć...

Reghardt milczał.

– Jego dziewczyna traktuje go jak powietrze, ponieważ myśli, że spędził noc z inną kobietą – ciągnęłam.

– Skąd jej to przyszło do głowy?

– Ponieważ dowiedziała się, że jej chłopak wyszedł z baru, obejmując pewną kobietę.

– Co takiego?

– Pewną piękną i pijaną kobietę.

– Ach, o to chodzi. Była zbyt wstawiona, żeby prowadzić.

– Tak.

– Dlatego ja... To znaczy, dlatego on odwiózł ją do domu.

– Tak, i co dalej...?

– Co dalej? Nic dalej. Och, nie! Ona myśli, że... Och, nie.

– Bardzo ją to zabolalo. Ten chłopak jest dla niej kimś wyjątkowym.

– Naprawdę?

– Moim zdaniem nie powinien poddawać się tak łatwo.

– Tak myślisz?

– Co mam mu odpowiedzieć?

– A gdyby poprosił kogoś ze wspólnych znajomych, żeby powiedzieli tej dziewczynie, jak było naprawdę? Myślisz, że ktoś zgodziłby się to zrobić dla niego?

– Jeśli dziewczyna czuje się bardzo mocno zraniona, może nie chceć widzieć nikogo ze wspólnych znajomych. Moim zdaniem chłopak powinien napisać list, w którym wyjaśni, co się stało, i wyzna swoje uczucia, a potem musi sam do niej pójść. Jeśli dziewczyna nie będzie chciała się z nim zobaczyć, zostawi jej list.

– Tak, to dobra rada, *tannie*. Powiedz mu to.

– Nie zaszkodzi, jeśli chłopak przyniesie koeksisters. Dziewczyna za nimi przepada.

Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, telefon zaterkotał, więc odebrałam. Usłyszałam głos siostry Mostert. Dzwoniła ze szpitala.

– Zniknęli – oznajmiła. – Anna i Dirk. Jeszcze przed chwilą jedli śniadanie, a teraz nigdzie ich nie ma.

– Gdzie policjanci, którzy mieli ich pilnować?

– Pewnie trudno będzie wam w to uwierzyć, ale Dirk i Anna zakolegowali się. Przestali z sobą walczyć, więc policja odwołała swoich ludzi.

– Zanim Dirka i Annę wypisano ze szpitala?

– Tak. I jeszcze jedno. Skradziono karetkę.

– Sądzicie, że to oni ją ukradli?

– Ale które z nich miałyby prowadzić? Ona ma nogę w gipsie, on rękę na temblaku... Nic z tego nie rozumiem. Dzwoniłam już na policję, ale pomyślałam, że was też powiadomię.

– Co się dzieje? – spytała Candice, gdy odłożyłam słuchawkę.

– Chodzi o Dirka i Annę. Zniknęli. Znikła również karetka.

– Przecież w ich stanie... – zaczęła Hattie.

– W sumie mają dwie zdrowe ręce i dwie zdrowe nogi – powiedziałam. – Jeśli będą współpracować, mogą działać jak jedna zdrowa osoba. Ale czy udałoby im się ukraść karetkę?

Hattie wybuchła śmiechem.

– Doprawdy, ci dwoje mieliby współpracować!? – zawołała.

– Siostra Mostert mówi, że się pogodzili. Są teraz przyjaciółmi.

– Ale po co mieliby uciekać? I dokąd? – spytała Candice.

– Szukać zemsty – odpowiedziałam. – I zdaje się, że to wszystko moja wina. Choć raz mnie posłuchali... Candice, możemy jechać twoim samochodem? Jest szybszy. Musimy dotrzeć na farmę Johna.

– Myślisz, że winią go za to, co się stało z Martine? – zapytała Hattie.

Skinęłam głową, po czym zwróciłam się do Candy:

– Masz telefon komórkowy?

– Tak.

– Hattie, zadzwonimy do ciebie, gdy dojedziemy na miejsce, a ty tymczasem dzwoń na policję.

Powiedz wszystko Kannemeyerowi i poproś go, żeby wysłał samochód policyjny na farmę Johna.

Dach był podniesiony, więc tym razem wiatr nie targał nam włosów, ale jechałyśmy szybko. Bardzo szybko. Nie przeszkadzało mi to jednak, bo Candy była dobrym kierowcą. Gdy pomknęłyśmy drogą przez sawannę, zobaczyłam rozwijające się wszędzie naokoło żółte i fioletowe kwiaty. Candy również je dostrzegła.

– Piękne – powiedziała.

– To deszcz – wyjaśniłam. – Pojawiają się po deszczu.

– Piękne – powtórzyła.

– Czy ludzie rodzą się piękni? – spytałam, patrząc na jej gładką, brzoskwiniową cerę i złociste włosy. – Czy piękno to coś, co może wykiełkować i rozwinąć się jak kwiaty po deszczu? Jak ty to robisz?

Candice się uśmiechnęła.

– Piękny wygląd to część mojej pracy.

– Ale na przykład ja nie mogłabym nosić takich ubrań jak ty – zauważyłam.

– Nie. Musisz znaleźć ubrania odpowiednie dla siebie. Takie, które podkreślą twoje atuty.

– Ha. Ja nie mam żadnych atutów.

– Bzdury. Twoje biodra, piersi i twarz są w idealnych proporcjach. Masz wspaniałe krągłe kształty. Do tego śliczne dłonie i kostki. Wiem, jaki styl byłby doskonały dla ciebie. Jeśli chcesz, poproszę, żeby przysłali ci coś z mojego sklepu. Jaki nosisz rozmiar, czterdzieści sześć? A buty? Trzydzieści osiem?

Przytaknęłam, po czym spojrzałam na swoją brązową sukienkę i trzewiki w kolorze khaki. Były praktyczne, ale nawet ja wiedziałam, że w ubraniach tego typu nie prezentuję się najlepiej. Zanim wyszłam za mąż, miałam rozmiar czterdzieści dwa, potem czterdzieści cztery, a teraz czterdzieści sześć.

– Nie mogę nosić tych eleganckich sukienek z Nowego Jorku – powiedziałam.

– Na koszt firmy.

– One i tak nic nie zmienią...

– Och, pleciesz bzdury. Jesteś śliczna. I masz świetną cerę, mimo tego gorącego i suchego klimatu. Co stosujesz?

– Oliwę z oliwek.

– Dojrzałe kobiety muszą jedynie odrobinę więcej wagi przywiązywać do tego, co jedzą i ile się ruszają.

– Na tym polega twój sekret?

– Sekret? Nie mam żadnych sekretów.

Przejeżdżałyśmy obok zagajnika jasnozielonych drzew *spekboom*.

– Chociaż właściwie jeden udało mi się odkryć – dodała po chwili. – Ubrania, cera, makijaż, to wszystko może się przydać. Lecz jeśli kobieta podoba się samej sobie, jaśniej blaskiem, który sprawia, że jest piękna.

– Tak, może i tak, ale nawet jeśli podoba się sobie, promienieje i tak dalej, czy mężczyźni zobaczą jej piękno?

– Mężczyźni nie są tacy głupi, na jakich wyglądają.

– Patrz! – zawołałam. – *Bokkie!*

– Co takiego?

– Dzikie źrebiątko, tam, w cieniu *spekboom*. Przy tych dużych głazach. Mała antylopa stenbok.

Candice niczego jednak nie widziała. Łatwo zobaczyć kolorowe kwiaty, ale trzeba bystrego oka, żeby dostrzec brązowo umaszczone zwierzę skryte w cieniu.

Może jeszcze trafię na mężczyznę o bystrym wzroku.

ROZDZIAŁ 54

– Widać znak! – zawołałam. – „Farma Ekologiczna Dzikie Pola”.

Candice gwałtownie skręciła w boczną, nieasfaltowaną drogę. Spłoszona mangusta dała nura w pobliskie zarośla. Podjeżdżałyśmy ku domowi, który leżał u stóp Gór Czarnych. W tych okolicach sawanna wydawała się zieleńsza, bujniejsza, bo oprócz krzewów i drzew porastały ją wysokie trawy oraz kwiaty. Przedłużeniem pobliskiego górskiego wąwozu był rząd akacji, wąwóz musiał zatem przekształcać się po opadach w koryto rzeki. Gdzieniegdzie widać też było bardzo stare drzewa *gwarrie* i *spekboom*.

– Zwolnij trochę – poprosiłam.

Mijałyśmy gaj drzewek owocowych otoczonych dziwnym ogrodzeniem.

– To granatowce – powiedziałam. – Ale owoce mają małe i jeszcze zielone.

– Ogrodzenie chyba jest pod napięciem – rzekła Candy. – Zasilane przez solary.

Miała rację – na końcu pola stały dwa kolektory słoneczne.

– Słyszysz to dziwne ujadanie? Co to takiego? – spytała po chwili.

– Pawiany – powiedziałam, mając nadzieję, że się nie mylę i że szczekliwe odgłosy, które usłyszałyśmy, wydają mały, a nie Dirk i Anna.

Na szczęście to były pawiany. Gdy skręciłyśmy, zobaczyłyśmy stado małych uciekających ze szklarni. Pędziły z naręczami owoców niczym zdziczały tłum klientów obładowanych towarami podczas letnich wyprzedaży. Jeden pawian siedział na szklanym dachu i opychał się fioletowymi winogronami.

Niedługo potem naszym oczom ukazał się dom.

– Jest karetka – oznajmiła Candice.

– Dasz mi telefon? – poprosiłam.

Zaparkowałyśmy obok ambulansu. Candy wyjęła ze schowka telefon, podała mi go, a ja zadzwoniłam do Hattie.

– Karetka jest na farmie – powiedziałam.

– Mój Boże! Czy wszystko w porządku?

– Jeszcze nie wiem. Dopiero wejdziemy do domu. Czy policja już jedzie?

– Udało mi się w końcu połączyć z Kannemeyerem. Właśnie wyjeżdża. Zadzwonię do niego i przekażę, że znalazłyście karetkę. Mario, proszę, bądź ostrożna.

Razem z Candy wysiadłyśmy i podeszłyśmy do przewróconego wózka inwalidzkiego. Leżał na boku u stóp schodów prowadzących na werandę i wyglądał jak wózek, którym poruszała się Anna. Ale gdzie w takim razie była ona?

Dużą, szeroką werandę przykrywał dach z blachy falistej przyozdobiony na krańcach koronką z kutego żelaza. Sam dom był bardzo stary, wybudowany w tradycyjnym, wiejskim stylu. Ściany miał starannie pobielone, ale w niektórych miejscach poprzecinane szczelinami pełnymi drobnego piasku – grube cegły suszone na słońcu gdzieś tam popękały i wymagały odnowienia. Na werandzie stała ubrana w ogrodniczkę chuda kobieta, która zaglądała przez drzwi do wnętrza domu.

– Zostawcie go! – wołała.

Candice przebiegła obok niej, ja ruszyłam jej śladem.

– Uważajcie – ostrzegła nas kobieta. – To szaleńcy.

– Nie podchodzić! – wrzasnęła Anna, gdy weszliśmy do środka. – Inaczej go zabijemy.

– Anno – powiedziałam.

– Dirk. – Candice oparła ręce na biodrach.

Anna i Dirk drgnęli, spojrzeli na nas wzrokiem piesków przyłapanych na niemądrej psocie, nie wypuścili jednak swojej ofiary. John leżał na brzuchu, Dirk siedział mu na plecach i przyduszał go do podłogi. Oczy van Schalkwyka wydawały się obłąkane, jedną rękę nadal miał na temblaku, drugą zabandażowaną, ale unieruchamiał Johna mocnym uściskiem nóg. Przez szparę w zielonej szpitalnej koszuli widać było jego owłosiony zadek. Anna – szczelnie otulona swoją koszulą – siedziała na podłodze obok Johna. Zabandażowaną nogę podwinęła pod siebie, a tę usztywnioną gipsem wysunęła do przodu. W jednej ręce trzymała długą metalową rurkę, którą przygniatała szyję Johna do podłogi, w drugiej zaś ścisnęła dużą strzykawkę wbity tuż pod uchem farmera.

Metalowa rurka przypominała szpitalny stojak do kroplówek. Policzki Anny były zarumienione, włosy rozczochrane. Ta farma powinna się nazywać nie Dzikie Pola, ale Dzikie Zachód, pomyślałam.

– Co robisz, Anno? – spytałam.

– Oossyy – wystękał John.

Anna skrzywiła się i mocniej ścisnęła trzymaną rurkę oraz strzykawkę.

– Jest napełniona powietrzem – pisnęła kobieta stojąca w drzwiach. – Powiedzieli, że wstrzykną mu powietrze do żyły i zabiją go, jeśli wejdę do środka albo zadzwonię na policję.

Candice przysunęła dla nas dwa krzesła. Kobieta w ogrodniczkach wśliznęła się do domu, znalazła trzecie krzesło i ustawiła je obok naszych. Wszystkie trzy usiadłyśmy przodem do całego zajścia niczym publiczność w pierwszym rzędzie.

– Czy to zbiegli ze szpitala wariaci? – spytała kobieta.

Candice przytaknęła, ja przecząco pokręciłam głową.

– Wiemy, że on to zrobił – oznajmiła Anna. – Tylko nie chce się przyznać.

– Co zrobił? – chciała wiedzieć kobieta.

– Zabił Tienie – wycedziła Anna.

– Spał z moją żoną – warknął Dirk jednocześnie.

– John, o co tu chodzi!?! – zawołała kobieta.

– Oocy – wystękał John.

– Ci troje kochali się w jednej kobiecie – wyjaśniła Candice. – W Martine, którą zamordowano. Ta dwójka oskarża o zabójstwo tego trzeciego, Johna.

– Lawrence widział tamtego dnia twój samochód – powiedział Dirk. – Dlatego go zabiłeś.

– Martine? – spytała kobieta. – Ta dziewczyna ze zdjęcia? Dalej się z nią spotykałeś?

John zarzęził.

– Znalazłam jej zdjęcia – wyjaśniła kobieta mnie i Candy – w książce, która zawsze leżała przy łóżku. A byliśmy wtedy z sobą już rok! – Obróciła się do Johna. – Obiecałeś, że nigdy więcej się z nią nie zobaczysz.

Język Johna wystawał spomiędzy warg.

– Spotkałeś się z nią, John? – Kobieta w ogrodniczkach nie ustępowała.

Wydawało się, że mężczyzna usiłuje pokręcić głową, ale nie bardzo mu to wychodziło ze względu na okoliczności.

– Anno – odezwałam się. – Jak ma nam cokolwiek wyznać, jeśli go tak dusisz?

Anna podniosła rurkę, ale nie cofnęła ręki ze strzykawką.

John wciągnął powietrze do płuc.

– Pomocy – wycharczał.

Kobieta skrzyżowała ręce.

– No więc?

– Ja nic nie zrobiłem – bronił się John.

– Wykrzyczałeś jej imię, John. W bardzo nieodpowiednim momencie. Udawałam, że tego nie usłyszałam. „Martine”, powiedziałeś w chwili, kiedy powinieneś zawołać „Didi”. Nazywam się Didi.

– Byłeś z wizytą u Martine? – spytałam.

John pociągnął nosem. Anna docisnęła rurkę, a gdy z ust farmera wydobył się odgłos przypominający gdaknięcie duszonego kurczęcia, poluzowała.

– Proszę, nie zabijajcie mnie – jęknął.

– John, mów prawdę – groźnie powiedziała Didi.

– Tak, byłem u niej. Ale nie dlatego, że się w niej zakochałem. Miałem interes...

– Ja ci dam interes! – ryknął Dirk.

Podskoczył na plecach Johna i zdawało mi się, że usłyszałam chrupnięcie.

– Nie! – zawył John. – Nie chodzi o to. Opowiadałem jej o szczelinowaniu hydraulicznym. Firmy wydobywcze przeprowadzają ten proces, poszukując złóż gazu ziemnego. Wykupują farmy i myślę, że Marius dla nich pracuje. Dla firmy Shaft. Chciał kupić twoją ziemię, a ja przekonywałem Martine, że nie może jej sprzedać. Szczelinowanie zniszczy Karru Małe.

– Tak, szczelinowanie to nic dobrego – przytaknęłam. – Przeczytacie artykuł Jessie w jutrzejszej gazecie i sami się przekonacie.

– Czyli dalej ją kochasz – wymamrotała Didi.

– Nie. Kocham ciebie, Didi. Ona to już przeszłość. Uwierz mi, proszę.

– Czy zawoziłeś jej sok z granatów? – spytałam.

– Nie – odparł. – Nigdy.

– Macie sok z granatów? – zwróciłam się do Didi.

– Sezon jeszcze się nie zaczął – odpowiedziała. – Dojrzewają w marcu.

– Nie mroziliście na zapas? – dociekałam.

Pokręciła głową.

– A szklarnia? W szklarni owoce dojrzewają wcześniej.

Didi spojrzała na Johna.

– Masz tam granatowiec, prawda? Owoce już dojrzały?

– Jeszcze nie – odpowiedział John. – Są zielone. Proszę. Pomóżcie mi wstać, nie mogę oddychać.

– Ten cały pan Marius. – Dirk poruszył się niespokojnie i spojrzał na Annę. – Myślisz, że on to zrobił, bo Martine nie chciała sprzedać ziemi?

John, nadal przygnieciony ciężarem napastnika, jęknął.

– Dirk – odezwałam się. – Ty i Anna powinniście leżeć w szpitalu i nabierać sił. Jutro pogrzeb.

– Nie ufam temu Mariusowi – oznajmił John. – Jeśli pracuje dla Shafta... I chciał kupić ziemię pod szczelinowanie... Do czego byłby zdolny, gdyby ktoś mu stanął na drodze, na przykład kobieta taka jak Martine?

Anna wypuściła z rąk metalową rurkę i wyjęła igłę z szyi Johna. Spojrzenie utkwiała w rogu pokoju. Mruknęła coś pod nosem i chociaż trudno było pochwycić jej słowa, Dirk i John usłyszeli je. Obydwaj skinęli głowami. Ja wiedziałam, co powiedziała, ponieważ to samo zdanie padło z jej ust już wcześniej: „Zabiję go”.

Dirk zszedł z pleców Johna i usiadł w fotelu. Anna odłożyła rurkę, strzykawkę zaś wetknęła pod siedzisko drugiego fotela. Opierając się na rękach, odsunęła się nieco od Johna, po czym wyprostowała również zabandażowaną nogę. John obrócił się na plecy, pomacał zebra.

– Ten pieprzony sukinsyn, już ja mu zrobię szczelinowanie – warknął Dirk.

– Dopadniemy go – powiedział John.

Spojrzał na Annę, Anna zaś popatrzyła na Dirka. Spojrzenia, które wymienili, różniły się od tych, którymi obrzucali się wcześniej. Nie było w nich nienawiści ani strachu. Cała trójka przypominała teraz niegrzeczne dzieci knujące za plecami dorosłych.

Z zewnątrz dobiegł warkot samochodu pędzącego drogą gruntową w stronę farmy.

– To policja – oznajmiłam.

– Może napijemy się herbaty? – zaproponowała Didi, wstając z krzesła.

Przedstawienie skończone. Poszłam pomóc jej w kuchni.

W tym momencie w drzwiach stanęło dwóch mężczyzn. Kannemeyer i Piet. Kannemeyer odchrząknął. Candice wstała i posłała mu promienny uśmiech. Jeden z tych, przy których od razu się zauważało jej długie nogi i pomalowane perłowym lakierem paznokcie.

– Witam pana. Nie wiedziałam, że spotkam tu takiego olbrzyma!

Nie mówiła do Pieta.

ROZDZIAŁ 55

Kannemeyer uśmiechnął się do Candy, a całej reszcie posłał chmurne spojrzenie. Patrząc na mnie, jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

– No dobra, co tu się dzieje? – spytał.

– Nic – odpowiedziała Anna, poruszając palcami obu nóg.

– Nic – zawtórował jej John, siadając. Jedną ręką trzymał się za żebra.

Dirk nawet się nie odezwał.

– Te beskuit wyglądają smakowicie – zwróciłam się do Didi, niosąc herbatniki i filiżanki, które następnie postawiłam na niskim stoliku w salonie. – Sama je piekłaś?

– Tak. Są z ekologicznymi płatkami musli. – Położyła tacę z herbatą, mlekiem i cukierniczką obok filiżanek.

Kannemeyer spojrzał na mnie, jakby to wszystko była moja wina, i pokręcił głową.

Piet chodził między nami niczym surykatka buszująca w trawie. Obejrzał kark Johna. Widniała na nim zaschnięta kropla krwi. Znalazł strzykawkę ukrytą pod siedziskiem fotela, ale jej nie dotknął. Położył dłonie po kolei na każdej poduszce wyściełającej siedzenia ustawionych w rzędzie krzeseł.

– Częstujcie się, proszę, tutaj jest mleko i cukier – zachęcała Didi, nalewając herbatę z dzbanka.

Candice do jednej filiżanki dołała mleka, a do drugiej wsypała dwie łyżeczki cukru.

– Kawy – powiedział Dirk, który poprawiał koszulę, żeby wyglądać przyzwoicie.

– Ja też poproszę kawę – odezwał się Kannemeyer.

Anna i John poparli ich, Didi odstawiła więc dzbanek z herbatą i poszła do kuchni zaparzyć kawę.

Candice zaniósła beskuit i posłodzoną herbatę Kannemeyerowi. Komisarz jej podziękował. Przyglądałam się, jak pije pierwszy łyk i patrzy na nią, podczas gdy ona uśmiecha się i również podnosi filiżankę do ust. Trudno było na nią nie patrzeć. Dobrze wiedziała, jak świetnie wygląda w tej kremowej sukience, i cała promieniała.

Piet odciągnął Kannemeyera na bok i zdał mu relację z tego, co się tu działo. Z jego gestów wyczytałam, że doskonale rozeznał się w zajściach, które miały przed chwilą miejsce.

Ja również miałam ochotę na kawę, ale byłoby niegrzecznie zmarnować cały dzbanek herbaty, dlatego napełniłam swoją filiżankę, wymknęłam się z salonu i stanęłam w drzwiach kuchennych. Były otwarte i wychodziły na dziki ogród z rozłożystymi drzewami kamforowymi. Nie czułam głodu, ale po chwili wróciłam do środka, żeby wziąć herbatnik – tak dla towarzystwa. Kannemeyer słuchał Pieta

i nie spuszczał oka z Candy. Wyszłam kuchennymi drzwiami do ogrodu i skryłam się z herbatą oraz z herbatnikiem w cieniu kamforowca.

Stałam między krzewami bukko i kępami *bitterbos*. Nade mną rozciągało się bezkresne niebo, błękitne i świetliste. Zbyt świetliste. Ja czułam się tak, jakby światło we mnie zgasło.

Łyknęłam herbaty i spojrzałam na szklarnię. Pawiany uciekły. Dopiłam herbatę, postawiłam filiżankę obok krzewu *slangbos*.

– Mamy do rozwiązania zagadkę morderstwa – przypomniałam herbatnikowi, którego nawet nie nadgryzłam.

Wyglądał apetycznie, ale nie aż tak jak beskuit z musli mojej mamy, a ja nadal nie byłam głodna.

Wyszliśmy na słońce, herbatnik i ja, i ruszyliśmy w stronę szklarni. Przymaszerowałam w moich *veldskoene* po kępach sukulentów. Po deszczu wszystkie *vetplantjies* i *vygie* kwitły i rosły jak szalone. Chwilę później nadepnęłam na niewielki karpobrot jadalny, miażdżąc obcasem opalizujące płatki.

Zrobiło mi się przykro, że rozdeptałam niewinnego sukulenta, i zaczęłam ostrożniej stawiać kroki. Dostrzegłam wąską ścieżkę, która zaprowadziła mnie do szklarni. Spacer nie trwał długo, ale było tak gorąco, że bardzo się ucieszyłam, mogąc przystanąć w cieniu sumaka rosnącego przy wejściu.

– Choroba – mruknęłam do herbatnika. – Ale bałagan.

Widać było, że grasowało tu stado pawianów. Poprzewracane doniczki z ziemią, połamane rośliny, rozbite na miazgę czerwone i zielone owoce albo warzywa. W rogu cieplarni dostrzegłam to, czego szukałam.

– Granatowiec – poinformowałam herbatnik. – Ale nie ma na nim owoców. Ani jednego, choćby najmniejszego.

Przeszłam między plamami czerwono-fioletowej papki. Zdaje się, że była to pozostałość po pomidorach i winogronach.

– Ale owoce na nim rosły – rozległ się czyjś głos.

Podskoczyłam i spojrzałam na herbatnik, który trzymałam w ręce. Przez chwilę myślałam, że w końcu zwariowałam i wreszcie mi odpowiedział. Jednak sekundę później stanął obok mnie Piet.

– Rety, Piet, skradasz się jak kot – odetchnęłam. – Nie słyszałam cię.

Piet przejechał palcami po końcówkach gałęzi granatowca.

– Widzisz? Tutaj zostały zerwane.

– Były dojrzałe? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– Przekłete pawiany – powiedziałam.

– Trzeba je zapytać.

Wskazał ubarwiony pomidorowym sokiem odcisk łapy na podłodze. Ruszyłam za Pietem, który

idąc tropem pawianów, opuścił szklarnię, przemierzył pole i dotarł do suchego koryta rzeki. Nawet ja dostrzegłam ślady małąp odcisnięte w piasku pokrywającym dno wąwozu. Stałam w cieniu akacji i dziko rosnących drzewek oliwnych, po czym spojrzałam tam, gdzie wskazywał Piet – w górę, w kierunku wąwozu.

Drzewa rozkwitały, w powietrzu unosiło się bzyczenie pszczół i słodki zapach kwiecia. Piet szedł piaszczystym korytem przede mną, ale często się zatrzymywał, żeby popatrzeć na mrówki, dzięki czemu mogłam go dogonić. Gdy udało mi się z nim zrównać, również się zatrzymywałam, aby popatrzeć na mrówki, dzięki czemu mogłam złapać trochę tchu. Niezliczone owady maszerowały w równych rzędach, przenosząc pyłek i kwiaty.

Szliśmy w górę wąwozu, zbliżając się do góry. Cieszyłam się, że mam na nogach *veldskoene*. Te buty wiedzą, jak wędrować przez piach i kamienie. W końcu dotarliśmy do dużego *gwarrie*. Piet pokłonił się, jakby witał staruszkę, po czym podszedł do drzewa i przykucnął w jego cieniu. Ja przystanęłam obok i czekałam, aż uspokoi mi się oddech. Posterunkowy delikatnie położył dłoń na jednej z gałęzi. Jego jasnobrązowa skóra była szorstka i sucha jak ciemna kora *gwarrie*, a pokryta zmarszczkami twarz przypominała pofałdowane liście wiekowego drzewa. *Gwarrie* rosną niezwykle wolno – drzewo, pod którym się zatrzymaliśmy, miało bardzo gruby pień, musiało więc sobie liczyć kilka tysięcy lat. Lud Pieta, Buszmeni, również mieszkał na tych ziemiach od tysięcy lat. Posterunkowy szepnął do drzewa coś, czego nie dosłyszałam, a potem znów ruszyliśmy częściowo zacienionym korytem rzeki.

W pewnym momencie Piet postukał palcem w ucho, wtedy przystanęłam i zaczęłam nasłuchiwać. Z głębi wąwozu dobiegały wrzaski pawianów. Wkrótce znaleźliśmy się w cieniu góry, nieopodal wąwozu. Piet wskazał rosnące powyżej nas olbrzymie drzewo figowe z szarymi korzeniami oplatającymi głązy.

Na drzewie pawiany urządziły sobie piknik. Gdy podeszliśmy bliżej, stado przeniosło się na wyższe gałęzie. Dwie młode mały goniły się i kłóciły o kiść winogron. Mały pawian, przyczepiony do brzucha mamy, trzymał w pysku czerwony pomidor.

Piet rozejrzał się pod drzewem. Znalazł kawałek skórki melona i kilka zielonych liści, ale niewiele poza tym.

Wtedy spojrzał w górę i wskazał na dużego pawiana. Mały trzymała coś w jednej łapie, drugą zaś drapała się po brzuchu. Gdy po chwili obnażyła zęby, pomyślałam, że chce mój herbatnik. Podałam ciastko Pietowi, który odgryzł kawałek i przeżuując, patrzył na pawiana. Zwierzę chrząknęło, znów obnażyło kły.

Posterunkowy skończył jeść, po czym podniósł z ziemi biały kamień.

Następnie cofnął się kilka kroków i zawołał:

– Ty łobuzie!

Po tych słowach rzucił kamieniem w dużego pawiana, trafiając go w owłosiony brzuch.

Najwidoczniej małpa nie lubiła, gdy nazywano ją łobuzem, ponieważ wrzasnęła głośno i cisnęła czymś w Pieta. W następnej sekundzie rozległy się piskliwe krzyki i zasypał nas grad niedojedzonych owoców i warzyw. Coś twardego uderzyło mnie w głowę. Mocno.

– Niech to szlag – syknęłam, pocierając obolałe miejsce.

Pawiany zeskoczyły z drzewa na półki skalne, pochrzając z niezadowoleniem. Zepsuliśmy im piknik. Wokół nas na piasku walały się winogrona, skórki melona i pomidory. Twarz Pieta zdobiły czerwone plamy soku pomidorowego i szeroki uśmiech.

U moich stóp leżał pocisk, który trafił mnie w głowę – nadgryziony dojrzały granat o pestkach lśniących niczym rubiny.

ROZDZIAŁ 56

– Jak to jest, że zawsze zastaję cię w środku jakiejś awantury? – spytał Kannemeyer.

Wróciliśmy na farmę i staliśmy na werandzie przed domem Johna. Piet podał komisarzowi granat. Kannemeyer spojrzał na owoc, następnie na Pieta, w końcu zaś na mnie. Z salonu dobiegało biadolenie Johna i głos skaczącej koło niego Didi.

– Pawiany – wyjaśniłam – zabrały go ze szklarni.

– Nieźle – powiedział komisarz do owocu granatu. – Ruszyliście w pościg za stadem pawianów?

– Piet je znalazł – dodałam. – Siedziały na figowcu.

– Ta kobieta, Candice, zawiozła Annę i Dirka do George, do domu opieki. Chcą powiedzieć chłopakowi o jego mamie.

– Och.

– Mówiłem im, że to nie najlepsza pora na takie wyjazdy – ciągnął Kannemeyer. – Ale nikt mnie tu nie słucha.

Piet oglądał mrówki na drugim końcu werandy.

– Czy mogłabyś pojechać karetką do szpitala? – spytał komisarz. – Zabrałabyś Johna. Ktoś musi obejrzeć jego żebra.

– Czy opowiedzieli ci, co się tutaj działo?

– Nie. Ale sami do tego doszliśmy. – Pokręcił głową. – Oczywiście nikt nie chce wnosić oskarżenia.

– Przynajmniej Anna i Dirk przestali walczyć – oświadczyłam.

– Z sobą może i tak.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – Spojrzałam na granat, który trzymał w dłoni.

– Porozmawiam z Johnem.

– Najlepiej nie przy niej – poradziłam.

Kannemeyer przytaknął skinieniem głowy. Spojrzał na sine zbocza góry.

– Ta cała Candy – zaczął – to twoja dobra znajoma?

– Można tak powiedzieć – odparłam.

Teraz już nazywał ją „Candy”.

Piet popatrzył na mnie, następnie zerknął na Kannemeyera, po czym znów na mnie, jak gdyby się spodziewał, że zaraz coś się wydarzy.

– Co o niej wiesz? – spytał komisarz.

– Wspominałam ci o niej wczoraj. To kuzynka Martine.

Wczoraj nie wypytywał mnie o Candy. Teraz jednak, kiedy ją poznał, chciał o niej wiedzieć wszystko.

– Powiedz mi o niej coś więcej – poprosił.

Wzruszyłam ramionami.

– Pije – rzuciłam, ale zaraz zrobiło mi się głupio. – Czasami. Była wstrząśnięta tym, co się stało z Martine.

Kannemeyer podkręcił wąsa.

– Dlaczego pytasz? – mruknęłam.

– Z ciekawości.

Hattie przyjechała po mnie pod szpital swoją toyotą. Gdy wsiadłam, podała mi brązową kopertę ze stemplem Riversdale.

– Wysłane priorytetem – powiedziała. – Pomyślałam więc, że to może być coś pilnego.

Wolałabym przejść się do redakcji spacerem, niż jechać z Hattie, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa po porannej wędrówce, a poza tym zrobiło się zbyt upalnie. W jej samochodzie przynajmniej była klimatyzacja. Odetchnęłam głęboko chłodnym powietrzem, podczas gdy toyota z szarpnięciem ruszyła z parkingu.

– No, teraz mów, Mario, czego się dowiedziałaś?

Wtoczyła się na złą stronę drogi i otarłyśmy się lekko o niewysoki murek, żeby uniknąć zderzenia z autem, które jechało z przeciwka.

Opowiedziałam Hattie o cyrku na farmie, o pawianach i granacie. Kręciła głową, cmokała i zadawała pytania w odpowiednich momentach. Była marnym kierowcą, ale uważnym rozmówcą i umiała słuchać.

– Pewnie nie miałaś czasu na lunch? – spytała, gdy mknęłyśmy w dół wzgórza.

– Tak – potwierdziłam.

– Ja też jeszcze nie jadłam. Pomyślałam, że może skoczymy na paszteciki z mięsem?

– Nie jestem głodna – odparłam.

Nadepnęła na hamulec, samochód znów szarpnął i gwałtownie skręcił na pobocze, zatrzymując się na pniu jakarandy.

– Mario. – Przyjrzała mi się uważnie. – Powiesz mi w końcu, co się z tobą dzieje?

Patrzyłam na fioletowe kwiatki, które wirując w powietrzu, łagodnie opadały na maskę auta. Strąciło je uderzenie zderzaka w pień.

– Dzwonił do mnie komisarz – ciągnęła Hattie. – Wszystko już wiem. O twoich butach.

Jakiś owad zamieszkujący drzewo wydawał odgłosy przypominające skrzypienie źle naoliwionych drzwi.

– Nie chciałam cię martwić – powiedziałam.

– Na litość boską, nie bądź głuptasem! – zawołała. – Dlaczego nie przeniesiesz się do mnie na parę dni?

– Czy to pomysł komisarza?

– Ten człowiek po prostu dba o twoje bezpieczeństwo. – Hattie westchnęła. – A ja martwię się nie tylko o to. Widzę, że nie jesteś sobą.

Owad cyknął dwa razy. Pewnie przywoływał partnera.

– Jestem zmęczona – odparłam. – Nie spałam dobrze tej nocy.

– Teraz mówisz, że jesteś zmęczona. Wcześniej mówiłaś, że boli cię brzuch i że złapałaś to samo, co Jessie. Okazuje się, że Jessie wcale nie była chora. No chyba że z miłości...

Usłyszałam coś, co brzmiało jak wołanie drugiego owada, który odpowiada na wezwanie pierwszego. Cyk. Cyk-cyk.

– No wiesz, nigdy bym... – zaczęła Hattie. – *Tannie Mario*. Czy ty się zakochałaś?

Prychnęłam i skrzyżowałam ręce. Teraz obydwie owady się przyzywały. Samiec i samica cykały jak szalone.

– Dobry Boże. To ten potężny komisarz, prawda? – spytała.

– Nie bądź niemądra, Hattie.

– Powiedział, że zeszłej nocy przydzielił ci policyjną ochronę. Ochraniał cię osobiście?

Przyglądałam się dłoniom, na których drżały cienie rzucone przez gałęzie.

– Mario van Harten – powiedziała. – Ty się rumienisz. – Uśmiechnęła się i szturchnęła mnie łokciem. – Co się stało?

– Nic. Nic się nie stało. I nic się nie stanie. Gorąco tutaj, jedźmy.

Jechaliśmy do redakcji w ciszy. Względnej ciszy, ponieważ my milczaliśmy, ale w samochodzie jak zwykle co chwila coś zgrzytało lub piszczało.

Hattie zatrzymała się parę centymetrów za moim błękitnym *bakkie*.

– Do zobaczenia jutro rano na pogrzebie – powiedziała. – Jutro porozmawiam przede wszystkim z panią van der Spuy o Izbie Handlowej.

– Powodzenia – mruknęłam, wysiadając z samochodu. – Dzięki, że mnie podwiozłaś.

– To kawał chłopca – dodała Hattie. – I najwyraźniej troszczy się o ciebie. Inaczej nie zadzwoniłby do mnie w tej sprawie.

– Po prostu wykonuje swoje obowiązki – odpowiedziałam, wsiadając do *bakkie*.

W moim samochodzie było gorąco jak w piekarniku, ale ruszyłam, nie opuszczając szyb. Nie chciałam słyszeć ani słowa więcej. To, co mówiła Hattie, sprawiało mi przykrość, sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że dawało mi nadzieję. A nadzieja boli.

Opuściłam szyby, gdy dotarłam do końca ulicy. Wiał ciepły wiatr, na niebie zbierały się pękate chmury. Miałam nadzieję, że spadnie deszcz. Tego rodzaju nadzieja nie grozi cierpieniem.

ROZDZIAŁ 57

Przed domem przywitały mnie kury i sierżant Vorster.

– Cip, cip, cip! – zawołałam, sypiąc ptakom *miele*. – Lemoniady? – spytałam Vorstera, który stał na werandzie.

Sobie też nalałam szklanek orzeźwiającego napoju, po czym wyszłam do ogrodu i usiadłam na metalowym krześle w cieniu drzewa cytrynowego. Patrząc, jak wydłuża się cień Rooibergu, a chmury gęstnieją i ciemnieją, poczułam się samotna. Weszłam do domu, przyszykowałam sobie filiżankę herbaty i beskuit, wzięłam brązową kopertę, długopis i kartkę, a następnie wróciłam do ogrodu.

Spojrzałam na sawannę i zatrzymałam wzrok na największym w okolicy drzewie *gwarrie*. Rosło najbliżej mnie i nieco z dala od innych. Starzało się w samotności od tysiący lat.

Mimo że miałam herbatę, beskuit, kury i Vorstera, nadal czułam się samotna. Chyba jednak nie byłam dla siebie najlepszym towarzystwem.

Zjadłam herbatnik, ale nie dlatego, że byłam głodna, tylko po to, aby sprowadzić swoje ciało i umysł na ziemię. Za długo bujałam w obłokach. Byłam głupia, mając nadzieję na miłość. W moim wieku, z takim ciałem. Do tego z takim mężczyzną jak Henk Kannemeyer. Ale moglibyśmy chyba zostać przyjaciółmi.

Postanowiłam przyrządzić nam na kolację bobotie. Najpierw jednak otwierałam brązową kopertę. Spodziewałam się, że znajdę w niej list od mechanika, który chciał ugotować jajko.

Dziękuję, Tannie!

Sos serowy wyszedł fantastycznie. Dania z piwem są pyszne.

Nie wiedziałem, jak bardzo kopiaste mają być łyżki, o których pisałaś w przepisie, ale potem pomyślałem, że to obojętne – najważniejsze, żeby wszystkie były tak samo kopiaste. Grzanki z sosem bardzo mi smakowały i czasami robię je sobie na kolację, razem ze smażonym stekiem.

Wszystko dobrze się układa i jestem już z tą dziewczyną. Poznałem jej rodziców i tak dalej. Nie przeszkadza im, że mało się odzywam, cieszą się, że mam dobrą pracę i kocham ich córkę.

No właśnie, skoro mowa o miłości. Kiedy jestem ze swoją dziewczyną, cały czas się uśmiecham. Ona chyba też lubi po prostu uśmiechać się ze mną, nie musimy rozmawiać. Jeśli chcemy powiedzieć sobie coś ważnego, piszemy SMS-y.

W ten weekend przychodzi do mnie na kolację. Jest fajna pogoda, żeby posiedzieć na dworze i popatrzeć na gwiazdy, dlatego pomyślałem, że urządzę grill. Zostało mi trochę boerewors z kudu.

Będziemy tylko we dwoje, rozumiesz, i chcę ją poczęstować czymś wyjątkowym. Co jeszcze mógłbym ugotować? Grzanki po walijsku chyba nie będą pasować.

Pomóż.

Karel

Ucieszyłam się, że układa mu się z dziewczyną. Powachlowałam się kopertą. Zrobiło się parno, deszcz utknął gdzieś w chmurach. Postanowiłam podać mechanikowi dobry przepis na [potjiekos](#) z dodatkiem boerewors. Do tego dorzuciłam przepis na chleb domowej roboty. Łatwo go upiec, a na pewno zrobi wrażenie na dziewczynie. Chciałam jeszcze zaproponować przyrządzenie jakichś sałatek, ale pomyślałam, że to już będzie za wiele.

Pisząc do niego, poczułam się mniej samotna. Przyjemnie jest mieć kogoś, kogo można prowadzić za rękę i pomóc mu przechodzić kolejne etapy.

Przygotowałam bobotie, a następnie sama się wyszykowałam. Włożyłam kremową sukienkę w niebieskie kwiatki. Vorster zawołał: „do widzenia!”, po czym usłyszałam, jak maszeruje ścieżką i zatrzymuje się, czekając na nadjeżdżający samochód. Chwilę później doleciały mnie kroki Kannemeyera, który zmierzał w stronę domu. Przywołałam na twarz serdeczny uśmiech i otworzyłam drzwi.

W progu stał Piet.

Dopilnowałam, aby uśmiech nie zniknął z mojej twarzy.

– Dobry wieczór, Piet.

Posterunkowy przywitał mnie skinieniem głowy i oznajmił:

– Komisarz Kannemeyer ma spotkanie. Tej nocy ja będę pełnić służbę.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Przepraszam, Piet – powiedziałam, odwróciłam się i poszłam odebrać.

– *Tannie* Mario!

– Jess.

– Wybacz, *tannie*, że ostatnio mało się pokazywałam. Stęskniłam się za tobą.

– Ja za tobą również się stęskniłam, *skat*.

– Reghardt przyniósł mi list. Wszystko w nim wyjaśnił. Do tego zostawił paczkę koeksisters.

Zajadała się nimi cała rodzina.

– Cieszę się, Jessie. W lodówce w redakcji zostawiłam ci kawałek zawijańca w polewie miodowej.

– Fantastycznie. Dzięki, *tannie* M. Rozmawiałam z właścicielem pensjonatu Sunshine. Powiedział, że to prawda. Reghardt nie został wtedy na noc.

– Zuch dziewczyna.

– Rutyna zawodowa. Zawsze wszystko sprawdzam dwa razy.

– A ja rozmawiałam z Candice – wyznałam. – Mówi, że do niczego nie doszło. Reghardt nie jest w jej typie.

– Co za tupet – burknęła dziewczyna. – Ciekawe, kto jest w jej typie.

– Widziałaś się już z Reghardtem? – spytałam.

– Jestem z nim umówiona w Route 62 Café. Właśnie tam idę. Chciałam tylko podziękować ci, *tannie*, i przeprosić. O, już go widzę. Na razie, *tannie*. Zaraz, czekaj. Nigdy nie zgadniesz, kogo jeszcze widzę. Siedzi w rogu. Nasza Candy. Z komisarzem Kannemeyerem...

ROZDZIAŁ 58

Daleko nad Górami Długimi padało, ale sawanna wokół mnie pozostała sucha. Po północy zaczęło grzmieć i błyskać się, nie spadła jednak ani kropla deszczu. W świetle błyskawic widziałam jej perłową sukienkę, a w huku grzmotów słyszałam jego głos.

Gdy następnego ranka przyjechałam do kościoła na pogrzeb Martine, niebo było bezchmurne. Nie miałam już nadziei na deszcz. Candy rozmawiała z Kannemeyerem, dłonią wspierała się o jego ramię. On był ubrany w niebieską koszulę i czarny krawat. Ona miała toczek z woalką i krótką czarną sukienkę z perłowymi guziczkami biegnącymi od góry do samego dołu. Ja włożyłam swoją brązową, bawełnianą sukienkę.

– Złociutka. Dzięki Bogu, już jesteś. – Candy pospieszyła w moją stronę w czarnych aksamitnych szpilkach.

– Dzień dobry, Candice – przywitałam się.

Buty mnie gnioły. Włożyłam najelegantsze, ale najmniej wygodnie pantofle.

– Potrzebuję twojej pomocy – oznajmiła Candy.

Ruchem ręki wskazała kościół. Zbór [Nederduitse Gereformeerde Kerk](#) to strzelisty, biały budynek, który nie wygląda zbyt przyjaźnie. Kiedyś przychodziłam tu z Faniem. U stóp wysokich schodów prowadzących do zboru zgromadziła się grupa ludzi.

– Nie myślałam jasno – wyznała Candy. – Poprosiłam krewnych i bliskich przyjaciół, żeby przyszli wcześniej. Liczyłam, że trochę pomogą, ale spójrz na nich.

Henk gdzieś zniknął. Wśród zebranych zobaczyłam starszego człowieka na wózku inwalidzkim. Za nim stał mężczyzna w błyszczącym niebieskim garniturze, który wydawał się na niego za ciasny. Anna również była na wózku, usztywnioną nogę położyła na lekko uniesionym, wysuwanym, metalowym podnóżku. W dżinsach, które miała na sobie, jedna nogawka była obcięta powyżej gipsu, druga zaś pozostała długa i zasłaniała bandaż. Stroju dopełniały czarne mokasyny i elegancka czarna bluzka. Nawet z daleka dostrzegłam, że w oczach Anny znów czai się rozpacz. Pomachałam jej, ale ona tego nie zauważyła.

Wypatrzyłam Didi, która poprawiała bandaż obwiązujące żebra Johna, oraz Dirka w ciemnym garniturze. Jedną ręką spoczywała na temblaku, marynarkę musiał więc narzucić luźno na ramiona. Bokobrody miał starannie przystrzyżone, twarz ogoloną i niemal równie białą jak bandaż.

– Im wszystkim trzeba pomóc przy wchodzeniu na schody – oznajmiła Candy. – Nie ma żadnego cholernego podjazdu. Dzięki Bogu zjawił się Henk Kannemeyer. Poniesie też trumnę.

Podeszła do nas Jessie ubrana w eleganckie granatowe spodnie i – tradycyjnie – w czarną koszulkę. Odchrząknęła.

– Ja też mogę w czymś pomóc – zaofiarowała się.

– Dziękuję, skarbie. Jesteś naprawdę kochana. *Tannie* Kuruman dwoi się i troi w sali recepcyjnej, ale nie ma łatwo, ponieważ tamci ludzie wciąż ją zagadują. – Candy wskazała salę, do której *tannie* Kuruman właśnie wносиła srebrną tacę, przepychając się przez gromadkę tłoczącą się przy wejściu.

Wydawało mi się, że poznaję niektóre osoby.

– Jednak największy problem mamy z pastorem. Rozchorował się, a świecki kaznodzieja wyjechał do Riversdale. Macie jakieś pomysły?

Popatrzyłam na Candy, na jej skórę i włosy lśniące równie świetlistym blaskiem jak perłowe guziczki przy jej sukience, i chciałam coś powiedzieć, ale nie potrafiłam wydusić ani słowa.

– Ja i Reghardt pomożemy wnieść wózki na górę – zaproponowała Jessie.

Przełknęłam ślinę, po czym spróbowałam jeszcze raz.

– Zajmę się jedzeniem i kaznodzieją – wykrztusiłam.

– Jesteście aniołami, dziękuję! Och, a oto i James. – Candy westchnęła. – Syn Martine. Muszę przedstawić go dziadkowi Peterowi i wujowi Davidowi. Nigdy się nie widzieli. Prawdę mówiąc, David dopiero teraz dowiedział się o jego istnieniu.

Pospieszyła w stronę chłopca wiezionego na wózku inwalidzkim przez mężczyznę w białym uniformie pielęgniarza.

Mięśnie karku chłopca były zwiotczałe, głowa zwisała mu bezwładnie. Candice przykucnęła obok wózka i zaczęła coś mówić. Stałyśmy za daleko, żeby usłyszeć jej słowa, ale zobaczyłyśmy, że chłopak podnosi głowę, a jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

Gdy Candy kucnęła, jej sukienka stała się jeszcze krótsza i bardziej opięta. Szybkim krokiem podszedł do nich Dirk, który położył zabandażowaną dłoń na ramieniu syna.

– Ten w błyszczącym garniturze i różowym krawacie to pewnie brat Martine, David – powiedziała Jessie.

Mężczyzna, o którym mówiła, pchał wózek ze staruszką w stronę chłopca. Naraz jednak oupa zaczął sam napędzać koła rękami i po chwili zostawił Davida za sobą.

Candice wstała, pomogła zatrzymać toczący się wózek i ustawiła go tak, że Jamie stykał się kolanami ze swoim dziadkiem. Głowa chłopca opadła na bok, ale uśmiech nie schodził z jego ust. *Oupa* miał na sobie czarną wykrochmaloną koszulkę, z której wystawała blada szyja i pomięta twarz. Był drobny, podobny do ptaka, ubranie na nim wisiało.

Oczy dziadka rozwarły się szeroko, jak gdyby zobaczył ducha, i przez dłuższą chwilę staruszek nie

odrywał wzroku od Jamiego. Chłopiec miał jasne włosy Martine i jej spiczasty nos. Taki sam jak dziadek. Jamie uśmiechnął się jeszcze szerzej, jego głowa kiwała się z boku na bok. Pielęgniarz wytarł kąciki ust chłopca.

Jamie uniósł rękę i pomachał dziadkowi, a ten chwycił wnuka za dłoń.

Na policzkach staruszka coś zalśniło, promienie porannego słońca odbiły się w wilgotnych smużkach.

– On płacze – mruknęła Jessie.

Candy otarła oczy chusteczką i położyła dłoń na ramieniu Davida, który stał za wózkiem ojca. Wszyscy spoglądali na chłopca trzymającego dziadka za rękę.

– Patrz na Davida – szepnęła Jessie.

Twarz wuja wykrzywiał gniew, może nawet nienawiść, pozbawione wyrazu oczy przypominały zgaszoną latarkę. Jego usta się uśmiechały, ale pochmurne spojrzenie zdawało się rzucać cień na siostrzeńca.

Chłopiec zerknął na Davida, jednak zaraz potem jego głowa opadła jak zwiędły kwiat. Uwolnił się z uścisku dziadka i cofnął dłonie, które osunęły się na kolana i skuliły niczym śpiące myszy.

Wszyscy się obrócili, po czym ruszyli w stronę kościoła. Dirk i *oupa* trzymali się blisko Jamiego, David i Candice zostali nieco z tyłu.

– Czyli on naprawdę żyje – rzucił David, gdy nas mijali. – O ile można to nazwać życiem.

ROZDZIAŁ 59

– *Tannie, tannie!* – zawołał chudy chłopiec, biegnąc w moją stronę. – Przyniosłaś ciasto?

– Nie, przykro mi – odpowiedziałam.

Tak jak przypuszczałam, tłumek zebrany przed salą recepcyjną tworzyli adwentyści. Wszyscy byli odświętnie ubrani, mężczyźni mieli krawaty, kobiety eleganckie nakrycia głowy.

– Jest tu trochę rzeczy, które możemy jeść. Tak powiedziała mama. – Chudzielec zdawał się bardziej wygłodniały niż zwykle. – Oszczędzamy jedzenie na wycieczkę w góry. Zrobimy tam biwak.

Błada kobieta, która parę dni wcześniej zakazała mi karmić dzieci, podeszła do nas i stanęła przy chłopcu. Na głowie miała niebieski czeppek.

Zwróciłam się do nich obojga.

– Tak, będą wegańskie dania, ale musicie poczekać do końca pogrzebu. A nie możemy rozpocząć pogrzebu bez pastora. Czy jest między wami ktoś, kto mógłby nam pomóc?

– Cóż. – Zastanowiła się kobieta w czepku. – Emmanuel jest pastorem, ale nie ma go dzisiaj.

– Pojechał szukać Emily, swojej żony – wtrąciła Georgie, która również do nas podeszła.

Jej siwe loki częściowo przykrywał różowy kapelusz.

– Georgina jest świeckim kaznodzieją. – Kobieta w czepku wskazała na towarzyszkę.

– Oj, oj! – pisnęła Georgie. – Nie, nie. Nigdy nie wygłaszałam kazań poza naszą wspólnotą.

– Prowadziła już pogrzeby – ciągnęła kobieta. – Dwa.

Georgie pokręciła głową tak energicznie, że zdawało się, iż różowe różyczki zdobiące jej kapelusz zaraz odpadną.

– Oczywiście zapłacimy – zapewniłam.

Georgie spojrzała na koleżankę, po czym znów przeniosła wzrok na mnie.

– Ile?

– Jeden placek ze szpinakiem przed uroczystością i dwieście randów po wszystkim – odparłam.

– Och – westchnęła Georgie. – Umowa stoi.

Gromadziło się coraz więcej ludzi, przyjeżdżali samochodami i przychodzili pieszo, ubrani w odświętne stroje. Candice i David stali przy drzwiach, witając przybyłych. Bliscy zmarłej – ekipa na wózkach i w bandażach – zajęli miejsca z przodu. Ja usiadłam w jednej ze środkowych ławek obok pracowników Spara. Większość z nich miała na sobie służbowe uniformy, ale Marietjie wystroiła się

w sukienkę i buty na wysokich obcasach. Siedziała obok kierownika, pana Corneliusa van Wyka, który użył chyba jakiegoś kleju do włosów, ponieważ niemożliwe, żeby zaczesane do góry i na bok cienkie kosmyki tak same z siebie trzymały się łysiny. Adwentyści dnia siódmego usadowili się z tyłu.

Światło wpadało do kościoła przez okna umieszczone bardzo wysoko i miało się wrażenie, że znajdujemy się pod wodą. Gdy prawie wszystkie ławki były zajęte, rozległa się muzyka, a wtedy do kościoła wniesiono trumnę. Z jednej strony podtrzymywali ją Reghardt, Piet i Jessie, z drugiej Kannemeyer, David i Didi. Zdaje się, że Didi wybaczyła w końcu Johnowi. Może nie była zazdrośnicą. I prawdopodobnie nie wiedziała o dojrzałych granatach w szklarni. Jessie i Henk usiedli z przodu obok Candy. Grace również zajęła miejsce w jednej z pierwszych ławek. Na głowie, którą trzymała sztywno wyprostowaną, miała niebieską chustę ze [shweshwe](#), zawiązaną w tradycyjny, afrykański sposób. Hattie trochę się spóźniła i zatrzymała się przy adwentystach. Obok mnie zostało puste miejsce, które zajął duch mojego męża Faniego. Próbowałam go przegonić, ale nie udało się – cały czas czułam jego przytłaczającą obecność.

Georgie dobrze się spisała w roli kaznodziei. Mówiła o tym, że nasze życie również kiedyś dobiegnie kresu, przypomniła nam o Bogu i niebie. Wspomniała coś na temat końca świata, ale nie zaprosiła na wycieczkę w góry, gdzie wspólnie mielibyśmy czekać na to wielkie wydarzenie. Wreszcie poprosiła członków rodziny, żeby powiedzieli parę słów o zmarłej. Dirk podniósł się z ławki, ale kiedy stanął twarzą w twarz z zebranymi, głos uwiązł mu w gardle, wrócił więc na miejsce bez słowa. Wtedy wstała Candy i wygłosiła krótką przemowę na temat ukochanej kuzynki i życzliwych mieszkańców Ladismith.

Poirytowany duch Faniego wciąż siedział obok mnie. Nie padło ani jedno słowo o tym, że Martine była bita przez męża, ani na temat mordercy. Na pogrzebach nigdy nie wyciąga się brudów. Wspólnie odśpiewaliśmy pieśń *All Things Bright and Beautiful*.

Następnie przy dźwiękach psalmu *Pan jest pasterzem moim* utworzył się kondukt żałobny z trumną na przedzie. Niosący ją Kannemeyer wydawał się smutny, końcówki jego wąsów zwisały posępnie. Gdy przechodził obok mnie, poczułam w brzuchu coś dziwnego, jak gdyby ktoś ugniatał mi żołądek. Wstałam, żeby dołączyć do orszaku, i zostawiłam rozszoszczonego ducha Faniego na kościelnej ławce.

Bliscy, z czego połowa na wózkach inwalidzkich, szli zaraz za trumną: wózek z dziadkiem pchała Candice, pielęgniarz wioził Jamiego, Dirk zaś człapał za Anną, która sama obracała koła. Zarówno trumnę, jak i wózki zniesiono ze schodów.

Chwilę później żałobnicy weszli, wtoczyli się lub przykuśtykali na cmentarz za kościołem, gdzie już wcześniej wykopano głęboki dół. Po płaskiej stronie grobu w pierwszym rzędzie zatrzymali się siedzący na wózkach Anna, *oupa* i Jamie. Za nimi w kilku szeregach ustawili się pozostali ważni uczestnicy konduktu: Dirk i pielęgniarz, David, Candice i Kannemeyer, John i Didi, Jessie, Reghardt

i Piet. Nawet Hattie znalazła się między nimi.

Ja stałam po drugiej stronie grobu razem z adwentystami dnia siódmego i pracownikami Spara. W momencie gdy Georgina wygłaszała ostatnie pożegnalne słowa i przeszło mi przez myśl, że nareszcie jest już po wszystkim, zobaczyłam, że wózek Jamiego zaczyna toczyć się do przodu. Pielęgniarz skoczył, aby go przytrzymać, ale nie zdążył i jego podopieczny zawisł na krawędzi grobu. Na pomoc rzucił się Piet, który w ostatniej chwili chwycił wózek i wyciągnął go na bezpieczny grunt. David postąpił parę kroków w tył.

– Oj, oj! – zawołała Georgina.

– Zablokowałem koła – tłumaczył się pielęgniarz, przejmując wózek od Pieta. – Nie mam pojęcia, co się stało.

Dziadek wyciągnął rękę i poklepał wnuka po kolanie. Candice kucnęła przy chłopcu, ale Jamie wydawał się nieporuszony, mruzczał coś do siebie i próbował złapać dziadka za rękę.

Kaznodziejka Georgie przypomniła cichym głosem, że z prochu powstaliśmy i w proch się obrócimy. Mężczyźni w kombinezonach roboczych opuścili trumnę na linach do grobu. Następnie łopatami zaczęli rzucać na nią ziemię. Nieopodal grobu leżał wysoki błotnisty kopczyk. Nawet jeśli na nabożeństwie żałobnym nie wyciągano brudów, tutaj nie można było od brudu uciec.

Ziemia uderzała o wieko trumny z cichym, ciężkim westchnieniem.

Martine miała nigdy nie wrócić.

Nabrałam garść ziemi i sypnęłam ją do grobu.

Zrobię, co w mojej mocy, Martine, myślałam. Zrobię, co w mojej mocy, żeby się dowiedzieć, kto cię zabił.

ROZDZIAŁ 60

Podczas stypy siedziałam z Hattie przy stole z jedzeniem. Mężczyźni, między innymi Henk, otoczyli Candy wianuszkami, jak gdyby chcieli się ogrzać jej ciepłem. Gładka suknia doskonale podkreślała ponętą figurę przybyszki z Nowego Jorku. Moja brązowa sukienka zdążyła się już pognieść.

– Ta kobieta, z którą rozmawia Jessie, to chyba Grace? – spytała Hattie, strzepując z kolan okruszek pasztecika nadziewanego mięsem.

Przytaknęłam. Grace była ubrana w ciemnoniebieską sukienkę pasującą do chusty zawiązanej na głowie w tradycyjny sposób.

– Wygląda jak księżniczka – stwierdziła Hattie. – Mario, może coś zjesz?

Pokręciłam głową. Henk położył rękę na nagim ramieniu Candy, pochylił się i powiedział jej coś na ucho, po czym wyszedł. Ze mną ani się nie przywitał, ani nie pożegnał.

David przyniósł herbatę i kawałek tarty mlecznej ojcu, który siedział na wózku obok Jamiego, nieopodal Candy. Ręce staruszka trzęsły się, gdy podnosił filiżankę do ust. Twarz miał łagodną i smutną. Jego wnuk wydawał się szczęśliwy, jedząc wegański placek ze szpinakiem, którym karmił go pielęgniarz. Mężczyzna najwyraźniej zajmował się swoim podopiecznym z ogromnym oddaniem, skoro zdołał wywalczyć jeden z wypieków, na które rzucili się adwentyści.

– Ciekawe, czy do chłopaka dociera to, że jego matka odeszła – zastanowiłam się na głos.

Candy pochyliła się, żeby pogłodzić Jamiego po włosach.

Jessie z talerzykiem pełnym koeksisters podeszła do mnie i Hattie.

– Grace mówi, że dostała trochę pieniędzy od Dirka – oznajmiła.

– Świetnie. Może Dirk jednak nie jest skończoną świnią – powiedziała Hattie.

– Hm – mruknęła Jessie. – Świnia to świnia. Nie uda mu się załatwić całej tej sprawy pieniędzmi. Tak czy inaczej, to, co dał, razem z pieniędzmi z polisy Lawrence’a wystarczy, żeby Grace zaczęła na nowo żyć w Kapsztadzie.

– To znaczy, że polisa ubezpieczeniowa Lawrence’a była zapisana na nią? – zainteresowała się Hattie.

– Och, daj spokój, Grace nikogo nie zabiła.

– Często to właśnie najbliżsi okazują się winni – oświadczyła Hattie.

– Dostała coś od Mariusa? – spytałam.

– Ani centa – odparła Jessie. – Grace mówi, że proponował jej pieniądze, ale tylko w zamian za „pewną przysługę”.

– Marius to jednak skończona świnią – uznała Hattie. – Byłam u pani van der Spuy dziś rano. Dowiedziałam się, że Marius prowadzi na nas ostrą nagonkę. Jeśli stracimy wsparcie Izby, nie starczy nam funduszy na dalsze wydawanie gazety.

– Och, Hats – westchnęłam.

– Dziś wieczorem idę na posiedzenie Izby. Trzymajcie kciuki. A tak w ogóle, to gdzie podział się pan Marius? Jeszcze niedawno go tu widziałam...

– Ha – powiedziała Jessie. – Przed chwilą pogonili go Dirk, Anna i John. Patrzcie na nich. – Wskazała głową wspomnianą trójkę. Siedzieli obok siebie, wokół nich kręciła się Didi. – W bandażach, na wózkach, ale i tak rzucili się na niego przed salą. Powstrzymali ich Reghardt i Kannemeyer, a Marius uciekł.

Opowiedziałam przyjaciółkom, co się wydarzyło w domu Johna, i wytłumaczyłam, dlaczego Dirk i Anna przestali zadręczać farmera, za to wszyscy razem zmówili się przeciwko Mariusowi.

– Kurczę! – zawołała Jessie. – Szczeliniarze. Chcą kupić ziemię Martine.

– Dobry Boże – dodała Hattie. – Jeśli Marius pracuje dla Shafta, to zaczyna się robić jasne, dlaczego tak się wściekł na twój artykuł, Jess. Cóż, lepiej niech się strzeże nieustraszonej trójki.

– Masz na myśli ich? – spytała Jessie, wskazując Johna, Dirka i Annę trzymanym w ręce ciastkiem. – Czy nas?

– Chciałam wam też powiedzieć – ciągnęłam – że sezon na granaty jeszcze się nie zaczął, ale znaleźliśmy jeden dojrzały owoc na farmie Johna. Wyhodowany w szklarni.

– Czyli twoim zdaniem on mógł...? – Hattie zawiesiła głos.

– Kiedyś kochał się w Martine – przypomniałam. – A ona przepadała za sokiem z granatów.

– Czy jego dziewczyna o tym wie? – spytała Jessie, patrząc na Didi, która karmiła Johna pasztecikiem.

Przytaknęłam skinieniem głowy.

Hattie uniosła brwi.

– Piekło nie zna większej furii niż kobieta wzgardzona... – oznajmiła sentencjonalnie.

– Ciekawe, czy w Sparze przypomnieli sobie coś na temat soku z granatów – zastanowiłam się.

– Spytam swojego kuzyna Boetiego – powiedziała Jessie. – Pracuje tam.

Hattie rozejrzała się po sali. Była wyższa od nas i lepiej widziała zebranych mieszkańców Ladismith oraz gości przybyłych z daleka: rodzinę i przyjaciół Martine, jej współpracowników, adwentystów dnia siódmego.

Po chwili spojrzała na nas i rzekła:

– Każda z tych osób...

– ... może być mordercą – dokończyła za nią Jessie.

Nagle przez gwar rozmów przebił się długi, niski jęk.

– Co to było? – zaniepokoiła się Jessie.

– To dziadek – rzuciła Hattie.

Staruszek siedział zgięty wpół, trzymając się za brzuch. Filizanka i talerzyk z niedojedzonym kawałkiem tarty mlecznej zsunęły się z jego kolan na podłogę.

Candice podbiegła do stryja, my również ruszyliśmy w ich stronę, przeciskając się przez tłum, który się zbierał wokół całego zajścia.

– Pomocy – stęknął pozieleniały na twarzy *oupa*. – Ktoś mnie otruł.

ROZDZIAŁ 61

My, dziewczyny z gazety, wszystkie trzy działałyśmy jak na zgrany zespół przystało. Jessie stanęła przed wózkiem *oupa* niczym widywani w filmach zawodowi ochroniarze. Hattie wyrosła za jego plecami, gotowa bronić dziadka jak silna akacja, której cień przynosi ukojenie, a kolce zapewniają ochronę. Ja zjawiłam się za późno, żeby ocalić mleczną tartę *tannie* Kuruman. Część ciasta leżała rozdeptana na podłodze, a część przykleiła się do butów adwentystów dnia siódmego.

– Dzwon do Kannemeyera – poleciłam, ale Jessie już rozmawiała przez telefon.

– Jadą – oznajmiła.

– Trzeba wezwać karetkę – rzuciła Hattie.

– Szybciej będzie moim samochodem – odparła Candice.

Hattie odsunęła się, żeby Candy mogła wyprowadzić wózek z dziadkiem.

Jessie szła przed nimi, torując drogę.

– Z drogi! Z drogi! – wołała do ludzi blokujących przejście.

Candice pędziła z wózkiem jak na wyścigach, ale *oupa* zdawał się to cierpliwie znosić. Mimo że Hattie i ja wystartowałyśmy zaraz za nimi, szybko zostałyśmy w tyle. David również ruszył naszym śladem, wydawało się jednak, że nie za bardzo zależy mu na tym, aby dogonić czołówkę.

Patrzyłyśmy, jak Candice, Jessie i staruszek z piskiem opon odjeżdżają sprzed kościoła czerwonym MG.

– Marnie wyglądasz – powiedziała Hattie, poklepując mnie po ramieniu.

– Źle spałam w nocy.

– Może skoczysz do domu i odpoczniesz? Ja zostanę i wszystkim się zajmę.

– Dzięki, Hats. Pogrzeby mnie męczą.

Poszłam spacerem do mojego *bakkie* zaparkowanego ulicę dalej. Droga była płaska jak stół, ale czułam się tak, jakbym się wspinała na jedną z gór Karru.

Wytoczyłam się z miasta i wjechałam między wzgórza przypominające olbrzymie skulone zwierzęta śpiące pod błękitnym niebem. Miałam ochotę zatrzymać się i dołączyć do drzemiącego stada, zmusiłam się jednak do powrotu do domu. Znalazłam nawet siłę, aby zaparzyć Vorsterowi filiżankę kawy i sypnąć *mielie* kurom. Dopiero wtedy zdjęłam buty, położyłam się do łóżka i zapadłam w czarną otchłań snu.

Nie śniłam o niczym.

Kiedy się obudziłam, zamrugałam powiekami, spojrzałam przez okno na duże, szare chmury i zorientowałam się, że zapada wieczór. Musiałam spać ładnych kilka godzin.

Nagle z kuchni doleciał brzęk. Serce podskoczyło mi w piersiach niczym wystraszony królik, ale zaraz potem poczułam złość. Nie zamierzałam drzeć ze strachu we własnym domu. Jeśli ma mi się coś stać, niech się stanie. Nie będę królikiem, który boi się własnego cienia. Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym się obronić. Znalazłam jedynie szczotkę do włosów, podniosłam ją więc i ścisnęłam mocno w dłoni.

Ruszyłam w stronę kuchni boso, ale uzbrojona. Przy kuchence stał Henk Kannemeyer. Stawiał patelnię na ogień. Cofnęłam się do korytarza i przejechałam szczotką po włosach.

– Maria? – rzucił.

– Już idę – odpowiedziałam.

Popędziłam do łazienki. Przeraziłam się, gdy zobaczyłam się w lustrze. Policzek miałam pobrużdżony od spania, oczy podpuchnięte. Zrobiłam, co mogłam, żeby doprowadzić się do ładu, po czym przebrałam się w świeżą niebieską sukienkę i poszłam do kuchni.

– Mam nadzieję, że lubisz jajecznicę – powiedział Kannemeyer, ubijając jajka w misce.

Wciąż był ubrany w tę samą niebieską koszulę co na pogrzebie, ale zdjął krawat i podwinął rękawy.

– Nie jestem zbyt głodna.

Coś strzeliło, a ja drgnęłam. To tylko tosty, które wyskoczyły z tosterka. Kannemeyer wyjął je, na ich miejsce włożył kolejne dwie kromki chleba i wrócił do ubijania jajek.

– Chyba nic poza tym nie umiem ugotować – powiedział. – A kiedy zaganiałem kury do kurnika, znalazłem parę jajek.

Otworzył lodówkę. Jak to się stało, że ten mężczyzna zaglądał do mojego kurnika, kręcił się po mojej kuchni, szukał czegoś w mojej lodówce?

– Masz jogurt?

– Nie – odparłam.

– O, tu jest jakaś resztko. – Dodał łyżkę jogurtu do wymieszanych jajek. – Nie znalazłem sztućców. Żeby nakryć do stołu.

– Ja to zrobię.

Nóż wypadł mi z ręki i oboje schyliliśmy się, aby go podnieść. Nasze ręce się zetknęły, gdy staliśmy pochyleni. Cofnęłam się, ściskając w dłoni nóż. Umyłam go i przygotowałam nakrycia.

Kannemeyer położył na talerzach podpieczony chleb i jajka, po czym posmarował masłem swoje tosty.

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmił, wpatrując się we mnie ciemnoniebieskimi oczami. – O Candice.

Wbiłam wzrok w swój nieposmarowany tost.

– To niełatwe – ciągnął. – Wiem, że się znacie i lubicie. – Odłożył nóż. – Prawdopodobnie jej ufasz.

– Nie musisz tego robić – powiedziałam.

– Martwię się o ciebie... – zaczął.

– Nie masz żadnych... – Jak by to ująć? – ... Zobowiązań. Wobec mnie.

– Może nie powinienem ci tego mówić...

– Racja, nie powinieneś. Nie musisz mi nic wyjaśniać. Masz prawo robić, co chcesz.

– Zresztą może sama już wszystkiego się domyślasz.

– Tak. Nie jestem idiotką.

– To znaczy, że uważasz na nią?

Zmarszczyłam brwi, patrząc, jak Kannemeyer nakłada jajecznicę na tost. Mocniejszy podmuch wiatru zatrzęsł szybą w oknie.

– Martwię się, bo chodzi o twoje bezpieczeństwo – dodał.

– Moje bezpieczeństwo?

– Mario, Candice może być zabójcą.

ROZDZIAŁ 62

– Słucham? – powiedziałam.

– Nie chcę, żebyś zostawała z nią sam na sam.

– Słucham? – powtórzyłam. – Byłeś z nią na kolacji.

– Miała motyw, środki i sposobność do tego, żeby popełnić morderstwo.

– Nie rozumiem – mruknęłam. – Nie wierzę.

– Chodzi o naprawdę duże pieniądze. Martine zostawiła spadek synowi, a powiernikiem tego majątku ustanowiła Candice.

Poprawiłam leżące na stole nóż i widelec. Ułożyłam je równolegle do siebie.

– Martine nie była bogata – powiedziałam. – To Dirk opłacał pobyt Jamiego w ośrodku. Kiedy żyła, nie miała dość pieniędzy na to, żeby odejść od męża.

– Ojciec Martine założył dla niej specjalny fundusz.

– Tak, słyszałam, że staruszek ma dużo pieniędzy, ale nie chce nic dać swoim dzieciom. Uważa, że powinny być samodzielne czy jakoś tak...

– Wolałbym ci wszystkiego nie opowiadać, ale chyba tylko w ten sposób mogę sprawić, żebyś mi uwierzyła. – Dokończył tost i zaczął wyjaśniać: – Dawno temu Martine poroniła i była tym bardzo zmartwiona. Ojciec powiedział jej wtedy, że dostanie pieniądze, gdy urodzi dziecko. Chyba myślał, że w ten sposób pomoże córce, ale Martine widziała to inaczej.

– Czyli Martine dostała pieniądze po urodzeniu syna?

– Nie, ponieważ nie pozwoliła ojcu zobaczyć wnuka. Wtedy on wykreślił ją z testamentu, ale ustanowił na rzecz chłopca fundusz powierniczy, którym ona miała zarządzać. Jednak Jamie ma dostać te pieniądze dopiero po śmierci dziadka. To niezły majątek.

– Dalej nie rozumiem – powiedziałam. – Nawet jeśli to wszystko prawda, Candy jest bogata. Nie potrzebuje tych pieniędzy.

Kannemeyer pokręcił głową.

– Była bogata. Dobrze zarabiała jako modelka, a jej ojciec, stryj Martine, zostawił jej fortunę. Potem jednak wyszła za mąż za nafcjarza z Teksasu, który stracił większość majątku przez jakieś niepowodzenie w interesach. Zdradzał ją i udało jej się odzyskać trochę pieniędzy podczas rozwodu. Wystarczyło na otwarcie sklepu z odzieżą. Dobrze sobie radzi... Ale to nic w porównaniu z tym, co teraz zyska.

– A co na to *oupa*? Nie przeszkadza mu, że Candy może okraść jego chorego wnuka?

– Dziadek cieszy się, że to ona została powiernikiem. A pieniędzy wystarczy dla nich obojga.

– Skąd to wszystko wiesz?

Szarpnął wąsa.

– Kiedy akurat nie zajmujemy się wyciąganiem cię z kłopotów – powiedział – udaje nam się trochę popracować.

– Ale Candy nawet tu nie było, kiedy Martine zginęła – przekonywałam go. – Niedawno przyjechała.

Dziwnie się czułam, broniąc Candice. Jednak co innego mieć ją za taką, która potrafi odebrać mężczyznę drugiej kobiecie, a co innego myśleć, że byłaby zdolna odebrać komuś życie. Zamordować własną kuzynkę.

– Samochód, którym jeździ, został wypożyczony tydzień temu.

– Poza tym mordercą jest mężczyzna. W noc, gdy zginął Lawrence, widziałyśmy mężczyznę.

– Jesteś pewna? To wysoka kobieta i mogła włożyć męskie buty.

– Nie porusza się jak mężczyzna.

– Widziałaś czyjąś postać przez ułamki sekundy w świetle błyskawic.

– A ty widziałaś ją. Nie porusza się jak mężczyzna.

Kannemeyer westchnął.

– Być może działa z kimś jeszcze.

– Z mężczyzną, który też zyskałby na śmierci Martine... – Zamyśliłam się. – David! Brat Martine cały czas był blisko. W zeszłym tygodniu zatrzymał się w rezerwacie Sanbona.

– Nie musisz sobie zawracać tym głowy. Chciałem tylko cię ostrzec i poprosić, żebyś była ostrożna. Nie chcę rozmawiać z tobą o szczegółach dochodzenia w sprawie zabójstwa.

Skończył jeść, odłożył nóż i widelec. Otworłam grzechoczące okno, żeby wpuścić świeże powietrze. Chłodny podmuch przeleciał przez dom.

– To o czym możesz ze mną porozmawiać? – spytałam, znów siadając. – Jak minął ci dzień?

Mogliśmy udawać, że jest nie moim ochroniarzem, ale zwykłym znajomym, który wpadł z wizytą. Posmarowałam swoje tosty masłem. Poczułam, jak pędem wraca mi apetyt niczym zagubiony pies, który odnalazł drogę do domu.

– Cóż... – Podkreślił wąsa. Postanowił trochę poudawać razem ze mną. – Jadąc tu, widziałem źrebię.

– Jakie?

– Antylopy stenbok.

– Trudno je zauważyć – powiedziałam między jednym kęsem a drugim. – Wylegują się w cieniu

zupełnie bez ruchu.

– Łączą się w pary na całe życie – dodał. – Poza tym byłem w Sparze.

– A co robią, gdy jedno z pary ginie?

– Wtedy znajdują nowego partnera. Chyba że są za stare.

Podmuchy wiatru przyniosły zapach wilgotnej ziemi. Może w Górach Czarnych padało.

– Co kupiłeś w Sparze? – spytałam.

Jajecznicą była pyszna. Lekka i puszysta.

– Nie pojechałem na zakupy. Ginę rzeczy z półek. Konserwy, suszone owoce i kiełbasy, soczewica, ryż, tego typu towary.

– Ktoś cię wezwał?

– Kierownik. Podejrzewa pracowników, pakowaczy.

– Dlaczego?

– Och, nie wiem, prawdopodobnie dlatego, że ciągnie się to już od jakiegoś czasu. Codziennie ginie coś niewielkiego.

– Wydaje mi się, że oni by nie ryzykowali. Przecież mogliby przez to stracić pracę. W takim miasteczku trudno o zajęcie.

Kannemeyer wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, żeby zwrócili uwagę na klientów, którzy przychodzą codziennie. Ludzi, którzy kupują w Sparze lunch, frytki i paszteciki.

Skinęłam głową i spytałam:

– Nie myślą o założeniu monitoringu?

– Jest drogi. Droższy niż konserwy i ryż.

Wytarłam talerz ostatnim kawałkiem tosta, który zaraz potem włożyłam do ust. Kannemeyer zaczął sprzątać ze stołu, a ja się do niego przyłączyłam, wstawiając brudne naczynia do zlewu. Potem podałam mu ostatni kawałek zawijańca. Komisarz pachniał miodem, tak samo jak ciasto.

– A ty? – spytał.

Ciasto wyglądało smakowicie, lecz było go za mało na nas dwoje.

– Dziękuję, najadłam się – odpowiedziałam.

– Chciałem spytać, jak się masz, jak tobie minął dzień?

– Mój dzień?

Znów siedzieliśmy przy stole. Kannemeyer jadł zawijańca palcami. Nie odrywał ode mnie swoich szaroniebieskich oczu – był gotów mnie wysłuchać.

Dziwnie się czułam, gdy naprzeciwko siedział mężczyzna gotowy słuchać. Chyba było to coś, czego zawsze pragnęłam, a teraz, kiedy moje marzenie się ziściło, nie miałam pojęcia, co zrobić.

– Pogrzeby bardzo mnie męczą. Nie wiem dlaczego – powiedziałam.

– Rozumiem, o czym mówisz.

– Czuję się ociężała, jak gdybym dźwigała na plecach ciało zmarłego.

Kiwnął głową. Przypomniałam sobie smutek malujący się na jego twarzy, gdy niósł trumnę.

– Ale nie chodzi tylko o tę jedną osobę – ciągnęłam. – Czuję się tak, jakby na pogrzebie byli obecni wszyscy inni zmarli, którzy odeszli wcześniej.

Kannemeyer utkwiał spojrzenie w talerzyku i zaczął przyciskać palcem ostatnie okruszki ciasta. Nie chciały się trzymać skóry i spadały z powrotem na talerz, ale komisarz nie przestawał ich rozgniatać.

Usłyszałam, jak pierwsze drobne krople deszczu cicho uderzają o daszek nad werandą.

ROZDZIAŁ 63

Następnego dnia wstałam przed kurami i przyrządziłam nam śniadanie. Nie umiałam usmażyć dobrej jajecznicy, dlatego zrobiłam jajka w koszulkach na sosie pomidorowym – moja mama nazywała to danie „cielęcymi oczami” – i podałam je ze smażonymi kielbaskami wołowymi. Upiekłam też szybko jedną blachę bułeczek serowych i ugotowałam mieliępap. Kannemeyer sprzątnął pościel z kanapy, a następnie pomógł mi wynieść śniadanie na zewnątrz. Do chleba podałam masło i dżem morelowy, a do kaszy kukurydzianej mleko i cukier. Na stole postawiłam również talerzyk z winogronami od Johna, które wciąż były fioletowe i jędrne.

Usiedliśmy na werandzie i jedząc śniadanie, patrzyliśmy, jak Rooiberg przybiera rdzawoczerwony kolor, a grzbiety brunatnych pagórków oblewa blask porannego słońca. Byłam głodna, ale po zjedzeniu bułeczki i jajka z kielbaską poczułam sytość. Kiedy się najadłam i napatrzyłam na zaróżowione szczyty wzgórz, przeniosłam spojrzenie na jedzącego Kannemeyera. Nie ogolił się, a mimo to jego wąsy wyglądały bardzo elegancko. Najwyraźniej nie narzekał na brak apetytu, ponieważ spróbował wszystkiego, co przyszykowałam. Gdy spałaszował ciepłe dania, zaczął skubać winogrona i popatrywał to na ogród, to na mnie.

Kury zdążyły się już obudzić, gdakały jak szalone, nie musieliśmy więc rozmawiać. Po pewnym czasie usłyszeliśmy samochód skręcający z drogi numer 62 w stronę mojego domu.

– To sierżant Vorster – powiedział Kannemeyer, ocierając wąsy na wypadek, gdyby przyczepiły się do nich okruszki jedzenia.

– Czy woskujesz sobie wąsy? – spytałam.

– Czasami. Tylko końcówki – odpowiedział. – Woskiem pszczelim.

To tłumaczyło, dlaczego pachniał miodem.

– Muszę się zbierać – oznajmił.

– Dziadek jest w szpitalu... – zaczęłam, ale urwałam i pokręciłam głową. – Nieważne.

Wiedziałam, że Kannemeyer nic mi nie powie, a nie chciałam psuć naszej zabawy w udawanie.

– Miłego dnia – dodałam.

– Do zobaczenia – odparł, wstając.

Pochylił się, zapach miodu i cynamonu stał się jeszcze wyraźniejszy. Przez chwilę myślałam, że mnie pocałuje na pożegnanie, ale on oczywiście schylił się, aby zebrać salaterki oraz talerze i zanieść je do kuchni. Koniec zabawy.

– Zostaw – powiedziałam. – Ja posprzątam.

Nałożyłam Vorsterowi resztkę kaszy.

Kannemeyer odjechał, ja zaś zeszłam na trawnik, karmiłam kury i słuchałam, jak warkot jego samochodu powoli cichnie.

ROZDZIAŁ 64

Zadzwoił telefon. Pomyślałam, że może to Hattie z wiadomościami z wczorajszego wieczornego posiedzenia Izby. W słuchawce jednak rozległ się głos Jessie.

– Przyjechał prawnik. Do szpitala.

– Co z dziadkiem?

– Żyje, ale jest słaby.

– Candy jest przy nim?

– Tak, brat Martine również. Candy poprosiła moją mamę i policjantkę, która stoi na straży, żeby podpisały jakiś dokument jako świadkowie, ale one odmówiły.

– Ciekawe, czy chodzi o testament staruszka – zastanowiłam się. – Czy policja nie może im tego zabronić?

– Nie robią nic niezgodnego z prawem.

– W takim razie my musimy ich powstrzymać.

Stanęłam swoim niebieskim *bakkie* obok czerwonego skutera Jessie na parkingu przed szpitalem. Obie zmieściłyśmy się w cieniu kauczukowca. Dzień był upalny, cykady bez przerwy wygrywały te same monotonne dźwięki.

Jessie chodziła tam i z powrotem przed wejściem do szpitala. Włożyła spodnie khaki, ciężkie wojskowe buty i była uzbrojona w długopis i notatnik. Ja miałam na sobie *veldskoene* w kolorze khaki, w rękach zaś ścisnęłam pojemnik z winogronami. Byłyśmy gotowe do boju.

Dobrze się czułam, znów mając Jessie u boku. Gdy wmaszerowałyśmy do szpitala, wyszła do nas siostra Mostert w uniformie jak zwykle nieskazitelnie białym i czystym.

– Cześć, mamó – powiedziała Jessie, całując ją w policzek.

– Zaprowadzę was do nich – oznajmiła mama Jessie.

Przed wejściem do sali stała policjantka.

Siostra Mostert przeprowadziła nas obok funkcjonariuszki ze słowami:

– *Oupa* Brown, ma pan gości.

Nie mogłyśmy jednak zbliżyć się do staruszka, ponieważ dojście do niego blokowały trzy osoby.

Candy znów miała na sobie kremową sukienkę doskonale pasującą do jej brzoskwiniowej cery i promiennego uśmiechu. Brat Martine był w tym samym co na pogrzebie błyszczącym garniturze,

tyle że teraz wygniecionym, jakby w nim spał. Na nasz widok skrzywił się niczym człowiek, który wyczuł w powietrzu przykry zapach, ja jednak czułam w sali jedynie woń środka dezynfekującego.

Prawnika poznałam po aktówce i drogiej fryzurze. Nie uśmiechnął się ani nie spochmurniał, za to zmierzył nas wzrokiem, tak jakby usiłował dokładnie oszacować nasz wzrost i wagę. Pewnie się zastanawiał, czy okażemy mu się pomocne.

– Dzień dobry, Mario – odezwała się Candy. – Cześć, Jessie. Bardzo się cieszę, że zajrzałyście do nas.

– Jak się czuje twój stryjek? – spytałam.

– O wiele lepiej, jak widzisz.

Ja jednak nic nie widziałam, ponieważ cała trójka zasłaniała mi łóżko: prawnik i David stanęli naprzeciwko siebie po dwóch stronach pościelenia, Candy zaś zatrzymała się w nogach łóżka. Otworzyłam pojemnik, wyjęłam winogrona i trzymając je przed sobą niczym przepustkę, minęłam Candice i utorowałam sobie drogę do staruszka.

– Przyniosłam słodkie winogrona dla *oupa* – oznajmiłam.

Brat Martine odwrócił się do mnie i zmarszczył brwi, a wtedy Jessie skorzystała z okazji, aby wcisnąć się między niego a Candy. Stałyśmy teraz z dwóch stron łóżka. Leżący na nim *oupa* był blady, wydawał się jeszcze starszy niż wcześniej i miałam wrażenie, że ledwie nas widzi. A jednak wyciągnął rękę po winogrona. W tym momencie policjantka podeszła i zabrała owoce. Staruszek wydał słaby okrzyk.

– Nie! – zaprotestowałam.

To były ostatnie pyszne, fioletowe winogrona, które miałam.

– Przykro mi, proszę państwa – powiedziała funkcjonariuszka. – Nie można wnosić jedzenia spoza szpitala. Chodzi o bezpieczeństwo pacjenta.

– Truli mnie – szepnął dziadek do Jessie. – Ktoś próbował mnie otruć.

– Przyszłyście w samą porę – oznajmiła Candy – żeby odegrać rolę świadków.

Prawniki unieśli podkładkę z przypiętą do niej kartką papieru.

– Zależy nam, aby panie poświadczyły, że pan Peter Brown rzeczywiście podpisał ten dokument.

Otworzyłam szeroko oczy, jak gdybym pierwszy raz słyszała o czymś podobnym. Jessie mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Czy pan wie, co napisano w tym dokumencie? – spytała Jessie pana Browna.

– O rany – mruknął David. – Wałkujemy to już trzeci raz. Możemy wreszcie zakończyć tę sprawę? Jessie zignorowała go.

– Proszę pana? – naciskała.

– To mój testament – odpowiedział *oupa*. – Będą jakieś zmiany.

– Czy przeczytał pan te zmiany i zrozumiał, na czym polegają? – spytałam.

– Nie mogę znaleźć okularów. Ale Candy wszystko mi wytłumaczyła.

– Potrzebujemy tylko świadków, którzy potwierdzą, że pan Brown podpisał ten dokument – powtórzył prawnik, wkładając dziadkowi długopis do ręki. – Inne szczegóły są nieistotne.

Staruszek złożył długi, chwiejny podpis przypominający pozostawiony przez ślimaka mokry ślad, który czasami znajduje się rano na zlewie. Następnie adwokat podał długopis Jessie i postukał palcem w miejsce, w którym miała się podpisać.

– Gdzie? – dziewczyna ogarnęła spojrzeniem kartkę, mimo że gest prawnika nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

– Tutaj, proszę – powiedział adwokat.

Jessie upuściła długopis.

– Ojej! – zawołała.

Prawnik pochylił się, żeby go podnieść, ale nagle długopis przejechał po podłodze i znalazł się na drugim końcu sali. Być może ktoś potrącił go nogą. Klimatyzator zaczął głośno buczeć.

– Och, na litość boską! – syknął David.

Podczas gdy brat Martine i adwokat rzucili się za długopisem, Jessie przebiegła oczami po kartce. Czytała z nieludzką szybkością. Zanim prawnik wrócił, zdążyła przekazać mi testament. Adwokat sięgnął po podkładkę, chcąc odzyskać dokument, lecz miał za krótkie ręce. Pomyślałam, że pewnie Candy spróbuje mi odebrać kartkę, ale się myliłam.

Prawnik wyjął telefon komórkowy, wybrał jakiś numer i powiedział komuś, żeby przyjechał tu, do jasnej cholery, ponieważ potrzebny jest świadek przy podpisywaniu ważnego dokumentu.

Ja czytałam powoli, tekst był zawiły, pełen długich słów, lecz pojęłam, o co w nim chodzi.

– Moja asystentka już jedzie – oznajmił adwokat. – Są panie wolne.

– Chwileczkę – powiedziałam.

Gdy skończyłam czytać, spojrzałam na Jessie i obie skinęłyśmy głowami. Podpisałam najpierw ja, a następnie ona.

– Stać! – rozległ się czyjś głos.

Był to głos Kannemeyera. Nie słyszałam, jak wchodzi, teraz zaś stał przy łóżku i patrzył na nas wszystkich z góry. Wąsy mu drżały w podobny sposób, w jaki drży ogon wiewiórki, gdy zwierzątko jest czymś mocno przejęte.

– Candice Webster i Davidzie Brown. Proszę udać się ze mną do komisariatu w celu przesłuchania. Natychmiast.

– Moi klienci nie muszą odpowiadać na żadne pytania – wtrącił się adwokat.

Candy oparła rękę o biodro i przekrzywiła głowę.

– Ależ to komisarz Kannemeyer – powiedziała. – Właśnie o panu myślałam.

Uśmiechnęła się do niego, lecz inaczej niż zwykle – tak jakby coś ją bolało. Komisarz nie odwzajemnił uśmiechu.

– Może tu znajdzie pan odpowiedź na wszystkie swoje pytania – rzekła, podając mu podkładkę z kartką.

Patrzyłam, jak Kannemeyer zapoznaje się ze zmianami w testamencie. Nie czytał tak szybko jak Jessie, ale nie był tak powolny jak ja.

W nowej wersji testamentu zapisano, że wszystkie pieniądze zgromadzone na funduszu, który ojciec założył dla Martine, zostaną przeznaczone na opiekę nad jej synem. Jeśli cokolwiek z nich zostanie, majątek miał przejść na ośrodek, który zajmował się Jamiem. Pieniędźmi miała zarządzać rada powiernicza, w której skład wchodził personel ośrodka oraz Candice. Dodano również zapis, który mówił, że jeśli staruszek „umrze śmiercią nienaturalną”, jego syn David Brown nie dostanie w spadku ani centa.

Gdy Kannemeyer skończył czytać, podniósł wzrok i spojrzał najpierw na Jessie, potem na mnie, a w końcu na Candy.

Ta ostatnia unikała jego spojrzenia i poprawiając pościel na łóżku stryja, oznajmiła:

– Teraz może pan dalej szukać mordercy Martine, nie tracąc więcej swojego cennego czasu na nas.

W tym momencie w sali pojawił się lekarz, bardzo czarny mężczyzna w białym fartuchu. Skórę miał tak ciemną, że przeleciało mi przez myśl, iż musi pochodzić z Zimbabwe. Białka oczu i zęby, które pokazał w uśmiechu, lśniły równie nieskazitelną bielą jak jego ubranie.

– Widzę, że urządziliście sobie tutaj imprezkę – rzucił. – Mam nadzieję, że nie podano na niej lodów. Przyszły pańskie wyniki, panie Brown. Dobra wiadomość jest taka, że rak żołądka nadal pozostaje w remisji. Zła wiadomość jest taka, że ma pan alergię na mleko. I prawdopodobnie na skutek alergii rozwinął się u pana wrzód żołądka.

– Tak, tak, wiem to wszystko o raku... – potwierdził *oupa*.

– Nic mi nie powiedziałaś – obruszył się David. – Cały czas mówiłaś, że umierasz.

– Ale co do mleka – ciągnął staruszek, nie zważając na oburzenie syna – zawsze je piłem. To samo zdrowie.

– Obawiam się, że niekoniecznie – odparł doktor. – Chociaż większość lekarzy zgodziłaby się z panem i żaden z nich nie zadałby sobie trudu, żeby sprawdzić, czy pacjent jest uczulony na laktozę. W rzeczywistości wiele osób nie trawi laktozy w odpowiedni sposób, a u niektórych przechodzi to w ostrą alergię pokarmową. Jej objawy mogą się nasilać wraz z wiekiem i z pewnością w wyniku stresu. Chemioterapia, którą pan przeszedł, na pewno zaostrzyła stan alergiczny. Jeśli pozbędzie się pan tego wrzodu, eliminując z diety laktozę, będą większe szanse na to, że rak żołądka pozostanie w remisji.

– Czyli ojciec nie został otruty? – upewnił się David, zwracając się do lekarza.

– Nie. Chyba że tartę mleczną uzna się za truciznę.

– Widzicie!?! – zawołał brat Martine. – Widzicie? Tyle lat, tyle lat i takiej doczekałem się wdzięczności.

– Daj spokój, Davidzie – powiedziała Candy. – Przecież nikt nie twierdził, że ty...

– Jak to nie? – zachnął się mężczyzna. – On tak twierdził. Testament tak twierdzi, na litość boską.

To zniewaga. – Z jego ust tryskały kropelki śliny. – Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem.

Wymaszerował z sali. Kannemeyer obrócił się, jak gdyby chciał iść za nim, ale zatrzymał się, potarł ręką czoło i został z nami.

– To on podał mi tę tartę – oświadczył staruszek.

Nie mogłam stać z boku i bezczynnie przysłuchiwać się tym bezpodstawnym oskarżeniom.

Nikommu nie wolno obmawiać tarty *tannie* Kuruman.

– To był bardzo dobry melkert – oznajmiłam. – W tarcie mlecznej musi być mleko. Bez niego nie można się obejść.

ROZDZIAŁ 65

Kannemeyer i ja staliśmy z dwóch stron łóżka, na którym leżał staruszek. Wszyscy pozostali wyszli.

– I znów znajduję cię w samym środku awantury – patrząc na mnie, komisarz jak zwykle zmarszczył brwi.

Nie wydawał się jednak aż tak bardzo rozgniewany. *Oupa* jadł winogrona, które oddała mu policjantka.

– Zacząłeś mnie śledzić? – spytałam.

Kannemeyer przecząco pokręcił głową i uśmiechnął się tym swoim uśmiechem.

– Zamierzasz więc przeprosić Candice?

– Za co?

– Za to, że ją podejrzewałeś.

Oupa włożył do ust następne winne grono i spoglądał to na mnie, to na komisarza, jakby oglądał mecz tenisowy.

– Podejrzewanie ludzi to mój zawodowy obowiązek – odparł Kannemeyer. – Być może ona zorganizowała to wszystko właśnie dlatego, że wiedziała o moich podejrzeniach. W chwili, gdy doszło do zabójstwa, motyw mógł przecież istnieć.

– Och, chyba nie myślisz, że mimo wszystko ona to zrobiła? – zdziwiłam się.

Nie odpowiedział.

– Candy to dobra dziewczyna – odezwał się staruszek. – Dobra dziewczyna.

– Chyba poczuła się urażona – powiedziałam.

– Jest przyzwyczajona do tego, że zawsze stawia na swoim. Nie lubi niespodzianek – rzekł Kannemeyer.

– Byłeś dla niej niespodzianką? – spytał *oupa*, częstując komisarza winogronami.

Kannemeyer pokręcił głową i odpowiedział, zwracając się do mnie:

– Inną, niżby chciała.

– Te winogrona są bardzo słodkie – powiedziałam.

Staruszek przytaknął skinieniem głowy.

– Jestem po dobrym śniadaniu – oznajmił Kannemeyer, wciąż patrząc na mnie.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Komisarz odszedł parę kroków na bok, żeby odebrać.

– Van Wyk – powiedział. – Tak?... Mmm. Mmm. Dobrze. Już jadę.

– Czy to van Wyk ze Spara? – spytałam.

Kannemeyer ruszył w stronę wyjścia.

– Nie mieszaj się w to. – Pogroził mi palcem. Powaga malująca się na jego twarzy zmieniła się w smutek. – Proszę.

– Za późno – odparłam. – Już jestem zamieszana.

Kannemeyer zdążył jednak wyjść, więc słyszał mnie tylko *oupa* i ostatnie winne grono, które sekundę później włożył do ust.

ROZDZIAŁ 66

Jadąc w dół wzgórza, na którym stał szpital, myślałam o odebranych przez Kannemeyera telefonach ze Spara. Miałam własne przypuszczenia dotyczące jedzenia ginącego ze sklepowych półek. Wiedziałam, że komisarz wolałby, abym do tej sprawy również się nie mieszała. Jednak gdy w małym mieście dochodzi do kradzieży, ludzie zaczynają dziwnie na siebie patrzeć. Poza tym kierownik Spara dawał przez to popalić swoim pracownikom, a to było niesprawiedliwe...

Zamierzałam pojechać do redakcji – chciałam się dowiedzieć od Hattie, jak jej poszło na posiedzeniu Izby Handlowej. Zanim jednak dotarłam do Eland Street, moje ręce ni stąd, ni zowąd postanowiły obrócić kierownicę tak, aby samochód skręcił w alejkę, która prowadziła do Dwarsrivier. Gdy dojechałam do pensjonatu, prawa stopa nadepnęła na hamulec i zatrzymałam się w cieniu wysokiego kalistemonu. Drzewo było czerwone od kwiatów.

Chusteczką starłam z ust szminkę, po czym przejechałam rękami po włosach, żeby je zmierzwić. Wyjęłam ze schowka pomadkę i weszłam przez furtkę do ogródka przed pensjonatem.

Na ławce w ogrodzie samotnie siedziała Georgie, jak gdyby na mnie czekała. Ubrana była w białą sukienkę w błękitne prążki, które pasowały do jej siwych włosów i sprawiały, że ona sama wydawała się odrobinę wyższa i mniej krągła niż w rzeczywistości. Zastanowiłam się, gdzie mogłabym kupić podobną sukienkę w paski.

– *Tannie* Maria! – zawołała Georgie i przesunęła się, robiąc mi miejsce obok siebie na ławce.

Dotknęłam włosów, delikatnie je poprawiając.

– Dziękuję za wczorajsze kazanie, Georgie. Wspaniale się spisałaś.

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Chciałam tylko skorzystać z waszej łazienki, żeby trochę się odświeżyć – wyjaśniłam.

– Ależ oczywiście – powiedziała Georgie.

– Jadę do Spara – ciągnęłam. – Słyszałam, że w całym sklepie zamontowano ukryte kamery.

– Oj, oj – pisnęła kobieta.

– Zaczęły zdarzać się kradzieże, ginęły konserwy i inne rzeczy. Dlatego założyli ten cały monitoring.

Georgie utkwiała spojrzenie w trawie.

– Nie chcę, żeby mnie filmowali taką niechlujną – tłumaczyłam.

Georgie przyglądała siwe loki. Weszłam do pensjonatu i skierowałam się do damskiej toalety.

Uczesałam się, obmyłam twarz i pomalowałam usta szminką. Kiedy znów wyszłam przed budynek, Georgie nie było już w ogrodzie. Cofnęłam się do pensjonatu, minęłam recepcję i ruszyłam na tyły hoteliku, gdzie mieściły się pokoje wychodzące na ogródek z basenem. Przechodząc obok jednego z pokoi, przez otwarte drzwi zobaczyłam Georgie rozmawiającą z jakimiś kobietami. Wszystkie zamilkły, gdy dostrzegły mnie stojącą w progu.

– Dzień dobry paniom – powiedziałam, obejmując spojrzeniem wszystkie twarze zwrócone w moją stronę.

– Witamy – odpowiedziała Emily.

Wróciła na łono wspólnoty. Jej długie, rude włosy zaczesane naokoło głowy przypominały koronę. Zastanawiałam się, która z nich napisała do mnie list z prośbą o przepis dobry na biwak.

– Dziękuję. Do zobaczenia – powiedziałam.

Uśmiechnęłam się i pomachałam im.

– Do widzenia, *tannie* Mario – odparła Georgie.

– Dzięki – dodała Emily.

Nogi poniosły mnie do samochodu, a zaciśnięte na kierownicy ręce zawiozły ulicę dalej, do redakcji gazety.

– Wczoraj wieczorem byłam na posiedzeniu Izby Handlowej – powitały mnie w progu słowa Hattie. Jessie siedziała przy biurku odwrócona tyłem do wejścia. – Wygłosiłam krótką pogadankę na temat wolności prasy, a potem przedsiębiorcy głosowali, czy będą nas dalej wspierać.

– No i...? – spytałam, nie zdejmując dłoni z klamki.

– Przegłosowali dwa do dziesięciu.

Mina mi zrzędła, ręce opadły.

– Na naszą korzyść! – dodała szybko Hattie. – Wygrałyśmy.

Jessie obróciła się i zobaczyłam jej szeroki uśmiech.

– A kiedy Marius się wściekł, właściciele sklepu meblowego Mandy's powiedzieli, że od tej pory oni mogą nas sponsorować!

Uściskałam Hattie, co nie było łatwe, ponieważ cały czas podskakiwała, a ja nie uznaję podskoków. Potem zaparzyłam herbatę i kawę oraz wyjęłam z lodówki zawijaniec z polewą miodową, dzięki czemu poczułyśmy, że naprawdę świętujemy.

– Marius może się ugryźć w nos – oznajmiła redaktor naczelna, wymachując kawałkiem ciasta.

– Tak, pieprzyć go – zawtórowała Jessie.

– No, no – zastopowała ją Hattie, ale nadal się uśmiechała.

Na moim biurku leżał całkiem spory stos kopert, zaczęłam je więc przeglądać. Na jednej zobaczyłam niewielką brązową plamę. Przeszło mi przez myśl, że może to kolejny list od tego sympatycznego mechanika. Jednak zabrudzenie nie wyglądało na rozmazany smar, a poza tym na kopercie widniało jedynie moje imię napisane na maszynie: „*TANNIE MARIA*”. Nie było adresu. List dostarczono osobiście.

– Ktoś zajrzał do redakcji i przyniósł tę kopertę? – spytałam Hattie, unosząc list, tak żeby mogła go zobaczyć.

– Leżała na twoim biurku, kiedy przyniosłam resztę listów – odpowiedziała Hattie. – Myślałam, że ty ją tam zostawiłaś.

Otwarłam kopertę. W środku znajdowała się kartka formatu A4 z plamą podobną do tej na kopercie, tylko znacznie większą. Kartka była trochę lepka, rozkładałam ją więc ostrożnie.

Zapach, który mnie uderzył, sprawił, że żołądek podszedł mi do gardła. Na białym papierze ujrzałam ciemnoczerwony kształt, nad nim zaś napisane na maszynie cztery słowa:

ODCZEP SIĘ ALBO ZGINIESZ.

Plama na rozłożonej kartce przybrała kształt czerwonego motyla.

Motyla z krwi.

ROZDZIAŁ 67

Obrazki tego rodzaju dają ludziom psychologdy. Pytają, co na nich widać, a potem orzekają, jak bardzo ktoś oszalał.

Siedząc i patrząc na plamę w kształcie motyla, czułam się tak, jakbym całkiem oszalała.

Widziałam kobietę, która próbuje uciec przed samą sobą. Wyciąga ręce i przebiera nogami, ale nie może ruszyć się z miejsca, ponieważ biodrami jest złączona z inną kobietą, biegnącą w przeciwnym kierunku.

Chciałam jej powiedzieć, że jest nie tylko kobietą, ale i motylem, i jeśli przestanie przed sobą uciekać, to może poleci.

Zamrugałam oczami, kobiety zniknęły, a na kartce zobaczyłam przejechane zwierzątko, zmiażdżone kołami i krwawiące. Usłyszałam dziwny dźwięk przypominający pisk rannego stworzenia.

– Wszystko w porządku, *tannie* Mario? – spytała Hattie.

Jessie i Hattie stały po moich bokach. Zwierzęcy jęk dobywał się z moich ust. Uniosłam kartkę, aby mogły ją obejrzeć. Ręce mi drżały, ożywiając czerwony obrazek, który teraz wyglądał niczym tańczące płomienie. Płomienie, które mogą zniszczyć wszystko.

– Och, Boże drogi! – zawołała Hattie.

– Nie dotykaj – ostrzegła Jessie. – Może uda się zdjąć odciski palców tego sukinsyna.

– Och, Mario – westchnęła Hattie.

Miałam wrażenie, że spadam, ale przyjaciółki stały blisko mnie, nie mogłam więc upaść, ponieważ podtrzymywały mnie biodrami. Kobieta po jednej i po drugiej stronie, kobieta motyl.

Kartkę wciąż trzymałam w ręku, obrazek wciąż drżał. Przypominał dużego ptaka, tego, który odradza się z płomieni i popiołów. Przypominał smoka. W locie.

Potem ogarnęła mnie ciemność.

– Łyknij, *tannie* Mario – usłyszałam głos Jessie.

Otwarłam oczy. Hattie wkładała mi do ręki filiżankę herbaty.

Podniosłam ją do ust. Herbata była ciepła i słodka.

Pomoże wyjść z szoku. Byłam w szoku. Co się stało? Potrącił mnie samochód. Prowadził go Fanie. Ale Fanie przecież zmarł, tamto już się skończyło. Upiłam kolejny łyk. Byłam cała. Żyłam. Nie

leżałam nawet w szpitalu. Siedziałam w redakcji. Przy swoim biurku w redakcji „Gazety Karru Małego”. Wentylator pod sufitem obracał się powoli.

Zobaczyłam kartkę na swoim biurku i wtedy sobie przypomniałam.

ODCZEP SIĘ ALBO ZGINIESZ.

– Może powinniśmy zawiesić działalność na jakiś czas – odezwała się Hattie.

– Nie możemy pozwolić, żeby uszło mu to na sucho – zaprotestowała Jessie.

– Jak się nazywa ten ptak – wtrąciłam się – który zmartwychwstaje?

– Policja się tym zajmie – nalegała Hattie. – Zaraz do nich zadzwonię.

Chwyciła za słuchawkę.

– Na pewno? – spytała Jessie. – Pięćdziesiąt procent sprawców zabójstw nigdy nie zostaje złapanych. A liczba morderstw w RPA jest pięciokrotnie wyższa, niż wynosi średnia światowa. Dziesiątki tysięcy zabójców nie odpowiada za swoje zbrodnie. Dostajemy pogróżki, ponieważ morderca zaczyna się denerwować. Depczemy mu po piętach. Nie możemy teraz się poddać.

– Odradza się z płomieni... – dodałam.

Miałam mętlik w głowie. Nie potrafiłam znaleźć odpowiedniego słowa.

– Wie, że obydwie byłyście w domu van Schalkwyków, gdy zastrzelił Lawrence’a – przypominała Hattie. – Może wszystkie trzy powinniśmy wyjechać, wynieść się z Ladismith na trochę.

– Powstaje z popiołów... Przypomina smoka, ale to nie smok – ciągnęłam.

– Mogłybyśmy zatrzymać się na farmie mojego kuzyna w Oudtshoorn – przekonywała Hattie, przeglądając notatnik z numerami telefonów. – Tam zredagować świąteczne wydanie gazety. Ten ptak to feniks, Mario, feniks.

– Czyli zrobić dokładnie to, o co temu sukinsynowi chodzi? Odczepić się? – zapytała Jessie.

– Mamy do czynienia z mordercą, Jessie. – Hattie podniosła słuchawkę i zaczęła wystukiwać numer. – Zabił już dwie osoby. A teraz wysyła wiadomość, w której grozi śmiercią. Ta cała sprawa nie jest tego warta.

Dopiłam herbatę i postawiłam filiżankę obok kartki. Obok czerwonego feniksa na moim biurku.

– Nigdzie nie ucieknę – oświadczyłam. – Jeśli ma nadejść koniec świata, niech tak będzie. Ale ja nie zamierzam uciekać.

ROZDZIAŁ 68

Piet kręcił się po redakcji niczym pies policyjny. Kannemeyer stanął za mną. Włożył rękawiczki, podniósł feniksa i włożył go do plastikowej torebki.

– Tylko Maria dotykała kartki – powiedziała Jessie.

Kannemeyer nie patrzył na mnie, uważnie jednak obejrzał moje biurko i wszystko dookoła. Zajrzał nawet do czajnika. Chodził po biurze tam i z powrotem, aż w pewnym momencie zatrzymał się przed tablicą. Poskubując wąsa, czytał nasze notatki na temat sprawy. W końcu pokręcił głową i obrócił się do mnie. Wiedziałam, że czeka nas bura, ale już się nie bałam. Byłam silna jak feniks. Mogłam umrzeć i powstać z martwych. Nie bałam się niczego.

Jednak w oczach Kannemeyera zamiast gniewu, którego się spodziewałam, dojrzałam smutek. Być może nawet strach. Czyżby bał się mnie? Zapadło ciężkie, wymowne milczenie i chciałam, żeby wreszcie coś powiedział.

Wyciągnął długie ramię, wskazując nazwiska wypisane na tablicy, i spytał:

– Podejrzani? Którą z tych osób nękałyście?

Próbowałam odpowiedzieć, ale nie potrafiłam wydobyć głosu.

– Nikogo nie nękałyśmy – odparła Jessie.

– Herbaty, panie komisarzu? – Harriet nastawiła czajnik.

– Śledziłyście, wypytywałyście, nazywajcie to, jak chcecie – powiedział i teraz wyglądał na rozgniewanego.

– Proszę usiąść – zaproponowała Jessie.

– Czy w ostatnim czasie wdałaś się z kimś w sprzeczkę? – zwrócił się do mnie Kannemeyer.

Pokręciłam głową.

– Unikamy sprzeczek – oznajmiła Hattie. – Może kawy?

– Czy nachodziłyście wszystkie osoby z waszej listy podejrzanych?

– Jeśli pan usiądzie, panie komisarzu – powiedziała Jessie – będziemy mogli omówić tę sprawę. Może razem uda nam się znaleźć mordercę.

Kannemeyer miał taką minę, jakby chciał splunąć, ale usiadł. Hattie podała mu kawę, a Jessie zaczęła wyjaśniać notatki na tablicy. Komisarz słuchał długo i cierpliwie. Piet wyszedł na zewnątrz, żeby obejrzeć ścieżkę w ogrodzie. Jessie była świetną reporterką i doskonale wszystko zrelacjonowała. Hattie dorzuciła od siebie kilka zdań. Ja przypatrywałam się tej scenie, jakbym

oglądała film.

– No dobrze, a co pan może nam powiedzieć? – spytała Jessie, gdy skończyła relację. – Macie jeszcze jakichś podejrzanych? A może wiecie coś więcej na temat tych tutaj?

Kannemeyer obrócił się do mnie i rzucił:

– Czy masz jakieś miejsce poza miastem, gdzie mogłabyś się przenieść na trochę?

Zamrugałam.

– *Tannie Mario* – oznajmił. – Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Już drugi raz ktoś grozi ci śmiercią. A ta pogrożka jest jeszcze poważniejsza niż pierwsza. Nie mamy tylu ludzi, żeby każdej z was zapewnić ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zresztą nie byłaby potrzebna żadna ochrona, gdybyście zostawiły tę sprawę policji. Proszę cię. Czy mogłabyś wyjechać z miasta? Tylko na jakiś czas.

Pokręciłam głową.

Kannemeyer poczerwieniał, wąsy mu zadrgały, ale nic nie powiedział. Wstał i wyszedł z redakcji.

Myślałam, że sobie poszedł, ale po chwili wsunął głowę przez drzwi.

– Czy któraś z was może wie, gdzie jest Anna?

– Anna Pretorius? – spytała Jessie.

Znów pokręciłam głową.

– Nie ma jej w domu? – dociekała młoda dziennikarka.

– Nie – odparł komisarz. – Jeśli będziecie miały od niej jakieś wieści, dajcie mi znać.

– Czy wpadła w kłopoty? – znów spytała Jessie.

Kannemeyer stanął w progu i spojrział na każdą z nas po kolei. Nabrał powietrza, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Końcówki jego wąsów się uniosły. On jednak tylko westchnął, po czym zamknął usta. Odwrócił się i z tupotem ruszył ścieżką w stronę ulicy.

Znów ogarnęła mnie ciemność – zdaje się, że na chwilę przysnęłam. Co się ze mną dzieje? Potrząsnęłam głową, jakbym chciała wylać wodę z uszu. Jessie i Hattie się sprzeczały.

– Ale, Hattie, będziemy bezpieczne tylko wtedy, gdy go złapiemy – przekonywała Jessie. – Jeśli złapie go policja, to świetnie, będziemy miały święty spokój, lecz nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i czekać na zbawienie.

– Musimy prowadzić gazetę, na litość boską! – uniosła się Hattie.

– Tak. A ten materiał to prawdziwa bomba. Pozwól mi zbadać powiązania Mariusa z Shaftem. Jeśli się okaże, że wszedł w konszachty ze szczeliniarzami, miałybyśmy motyw zabójstwa.

Harriet westchnęła.

– Ty naprawdę jesteś nie do zatrzymania. Tylko nie wpakuj się w żadną awanturę i niczego nie

zamieszczaj na stronie internetowej bez mojej zgody.

Musiałam zjeść porządny lunch. Taki, który postawiłby mnie na nogi.

– Jadę do Spara – oświadczyłam.

Chodzenie po sklepie spożywczym, patrzenie na stosy owoców i warzyw uspokoiło mnie. Banany, morele, melony. Uwielbiam słodki zapach dojrzałych *spanspek*. Zważyłam banana, obrałam go ze skórki i zjadłam. Rozjaśniło mi się w głowie, poszłam więc na stoisko z pieczywem, zapakowałam cztery pączki i jednego od razu zjadłam. Za wszystko zamierzałam zapłacić przy kasie, ale i tak się cieszyłam, że nie mają w sklepie żadnych kamer.

Teraz, gdy rozjaśniło mi się w głowie, uświadomiłam sobie, że przyszłam do Spara nie tylko na zakupy.

Chciałam się dowiedzieć, dlaczego van Wyk zadzwonił do Kannemeyera. Czy kierownik sklepu kontaktował się w sprawie skradzionych konserw? A może chodziło o sprzedany w zeszłym tygodniu sok z granatów?

Wróciłam do wejścia po mały wózek i włożyłam do niego jeszcze kilka rzeczy. W sklepowej zamrażarce zostało trochę dziczyzny, wzięłam więc parę opakowań mrożonego mięsa. Zaopatrzyłam się też w zioła, pomidory i makaron na spaghetti bolognese. Potem poczekałam, aż nie będzie kolejki do kasy, którą obsługiwała Marietjie, i ruszyłam w jej kierunku. Żeby zniechęcić innych klientów do ustawiania się za mną, zastawiłam się wózkiem. Tym razem Marietjie włosy miała uczesane w niewielki kok tuż nad karkiem. Różowa wstążka zawiązana wokół koczka i różowy błyszczący lśniący na wargach nadawały dziewczynie wygląd nastolatki.

– Dzień dobry, Marietjie.

– Jak się masz, *tannie* Mario.

– Słyszałam, że była dziś u was policja? – zagadnęłam.

Wyjmowałam zakupy powoli, po jednym produkcie.

Dziewczyna zacisnęła błyszczące wargi, po czym nachyliła się w moją stronę. Pachniała wiśniami.

– Tak. To dzięki mnie, bo zrobiłam zdjęcie. Komórką. – Wyjęła z kieszeni telefon i pomachała nim.

– Mhm – przytaknęłam, jakbym wiedziała, o czym mówi.

– Kupiła wszystkie sześć butelek. Wszystkie sześć.

– Soku z granatów?

Marietjie skinęła głową.

– *Ja*. Policjant, ten z wąsem. Od razu ją poznał. Wystarczyło, że rzucił okiem na zdjęcie kobiety na wózku. „To Anna Pretorius”, powiedział. A Cornel... pan van Wyk dodał, że na pewno widział ją tu już

wcześniej. I że dzięki zdjęciu kasjerzy może sobie coś przypomną. On naprawdę stara się pomóc.

– I co powiedzieli kasjerzy? – spytałam, podając mrożone mięso.

– Ech, są do niczego. Nic nie pamiętają. Ale ja ją tu widziałam. Na pewno. Widziałam, jak zaglądała do biura, żeby przywitać się z panią van Schalkwyk.

– Ale czy kupiła sok z granatów w zeszły wtorek?

– Chyba tak. Na pewno tak.

– Co powiedziałaś policji? – Cofnęłam rękę z pomidorami, które właśnie miałam jej podać.

– Pan Cornelius naprawdę chce im pomóc.

– Więc powiedziałaś im, że to ona.

– Najwięcej mówił pan van Wyk...

– Marietje, to poważna sprawa. Chyba nie chcesz, żeby niewinną osobę zamknięto, a morderca chodził na wolności.

– Ale ona kupiła wszystkie sześć butelek soku. Wszystkie sześć. Według pana Corneliusa to bardzo podejrzane. Na pewno kupowała ten sok już wcześniej. Nie powiedziałam, że ona kogoś zabiła. Mówiłam tylko, że kupiła sześć butelek soku i że teraz, kiedy na nią patrzę, przypominam sobie, że w zeszłym tygodniu też kupiła u nas ten sok.

Dziewczyna szybkim ruchem przesunęła pomidory pod czytnikiem.

Nie patrzyłam na nią, gdy pakowała jedzenie do firmowych torebek Spara, ponieważ nie chciałam, żeby zauważyła, jak bardzo jestem zła. Przyglądałam się foliówkom. Pomyślałam o tych, które znalazłam w koszu na śmieci u van Schalkwyków. Ktoś robił zakupy dla Martine tutaj, w Sparze, w dniu jej śmierci.

– Dziękuję, Marietje – zdołałam wykrztusić.

– Miłego dnia – odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 69

– Mniam – mlasnęła Jessie, gdy zobaczyła pączki, które przyniosłam ze Spara.

Włożyłam mięso mielone do małej redakcyjnej lodówki, zaparzyłam kawę i herbatę, po czym usiadłam, żeby opowiedzieć przyjaciółkom, co usłyszałam od Marietjie.

Jessie i ja rzuciłyśmy się na pączki, Hattie swojego ledwie skubnęła.

– Rozmawiałam z kuzynem Boetiem wczoraj wieczorem – powiedziała Jessie. – Myślę, że coś wie o soku z granatów ze Spara, ale był zbyt nawalony, żeby mówić sensownie. To ćpun, choć jego mama twierdzi, że pali skręty dopiero po pracy. Następnym razem postaram się go złapać, zanim będzie miał odlot.

– Musicie przyznać, że jest całkiem sporo dowodów świadczących przeciwko Annie – oznajmiła Harriet.

– Ale to wszystko bzdury – odparła Jessie.

– Jej odciski palców są na narzędziu zbrodni. Miała środki, motyw i okazję – ciągnęła Hattie.

– Tak samo jak wiele innych osób.

Podalam Jessie serwetkę, żeby wytarła cukier puder z warg.

– Może powinnyśmy ją ostrzec – wtrąciłam się. – Powiedzieć jej, żeby poszukała sobie adwokata.

– Dzwoniłam do niej do domu, ale nikt nie odbiera – poinformowała nas Jessie. – A komórki Anna nie ma.

– Ciekawe, czy Dirk wie coś na ten temat – zastanowiłam się.

– Sanna ze spółdzielni AgriMark powiedziała mi, że van Schalkwyk wprowadził się z powrotem do swojego domu – rzekła Jessie. – Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby jeszcze raz obejrzeć jego farmę.

– Tak, ostatnio wychodziłyśmy stamtąd w pośpiechu.

– Mam numer do Dirka – przypomniała Jessie. – Czy może po prostu jedźmy?

– Wpadnijmy do niego bez uprzedzenia.

– Kochane, błagam was tylko, uważajcie na siebie – powiedziała Hattie, wstając i odkładając nadgryzionego pączka na moje biurko. – I zanim znów pójdziecie gdzieś się szwendać, chcę zobaczyć wasze artykuły do następnego wydania internetowego i papierowego.

Jessie i ja szybko uporałyśmy się z pączkiem Hattie, po czym umyłyśmy ręce i usiadłyśmy każda za swoim biurkiem.

Spojrzałam na koperty leżące na blacie przede mną. Pomyślałam o zakrwawionym liście od anonimowego mordercy. Nie zasługiwał na to, żebym mu odpisała. A już z pewnością nie zasługiwał na żaden z moich przepisów.

Przejrzałam korespondencję i postanowiłam otworzyć dwa listy noszące stempel Oudtshoorn. Jest to miasto położone sto kilometrów na północ od Ladismith, słynące z wapiennych jaskiń zwanych grotami Cango oraz ze strusich farm.

W pierwszym liście przeczytałam:

Jestem hodowcą strusi. Umieję robić biltong i stek ze strusia, przydałaby mi się jednak jakaś odmiana. Moja żona potrafiła przyrządzać pyszności z mięsa strusia. Ale umarła i zostałem sam. Przez jakiś czas tęskniłem za nią tak bardzo, że nie myślałem o jedzeniu. Dopiero niedawno zmieliłem trochę mięsa, nie bardzo jednak wiem, co z nim zrobić. Może potrafisz mi pomóc? Dziękuję.

Zanim napisałam odpowiedź, przeczytałam drugi list z Oudtshoorn. Wysłała go kobieta, która miała za dużo batatów.

Nagle po roku, w którym właściwie nic nie urosło, w warzywniku mam pełno batatów i nie wiem, co z nimi robić. Część usmażyłam w cieście, zrobiłam nawet dżem z batatów, lecz nie przepadam za słodyczami, a moje dzieci mieszkają daleko i niezbyt często mnie odwiedzają. Myślałam, żeby podarować komuś trochę batatów, ale nie znam zbyt dobrze sąsiadów, a po wypadku trochę się wstydzę wychodzić między ludzi. Mimo że blizny nie są już takie straszne, to cały czas mi się wydaje, że wszyscy na mnie patrzą.

Postanowiłam podać mężczyźnie i kobiecie przepis na tę samą potrawę: zapiekanekę wiejską z mielonym mięsem strusim i purée z batatów.

Gdybyście się umówili w świetlicy kółka rolniczego, na przykład w sobotę o dziesiątej rano, moglibyście wymienić mięso na warzywa...

– Mario. – Głos Hattie oderwał mnie od pracy. – Właśnie dostałam e-mail zaadresowany do ciebie. Jest oznaczony jako pilny. Możesz go przeczytać w moim komputerze. Ja muszę wyjść na chwilkę.

Wstała, a ja usiadłam na jej krześle.

Och, Tannie Mario,

dziękuję ci bardzo, grill wyszedł naprawdę super. Miałaś rację, chleb łatwo upiec, i zrobił na niej wrażenie. Powiedziała, że jestem bardzo dobrym kucharzem. Cha, cha.

Przepraszam, że wysyłam e-mail zamiast listu, ale to pilna sprawa. Trochę dziwnie pisać mi o tym do ciebie, ale naprawdę nie mam kogo zapytać, a potrzebuję pomocy.

My, wiesz, zrobiliśmy to. Od tamtej pory już trzy razy. To coś wspaniałego być tak blisko niej, czuć jej zapach, i nie trzeba wtedy nic mówić. Bardzo dobrze nam razem. Zbyt dobrze. Problem w tym, że tak bardzo się podniecam, że w dwie minuty jest już po wszystkim i ona nie zawsze ma szansę, no wiesz...

Czy jest na to jakieś lekarstwo?

Karel, mechanik (który potrzebuje hamulca)

Zadzwoił telefon Jessie – rozległa się melodia piosenki *I'm Your Man*. Dziewczyna odebrała z uśmiechem i wyszła na dwór, żeby porozmawiać. Usiłowałam wymyślić radę dla Karela, ale co ja mogłam wiedzieć o dobrym seksie? Zawsze sobie wyobrażałam, że jest to coś, co sprawia tyle rozkoszy, ile pyszne ciasto. Ta myśl podsunęła mi pewien pomysł.

Jest pewna rzecz, którą możesz zrobić, żeby zwolnić. Naucz się na pamięć przepisu na pyszny deser, a potem powtarzaj go sobie w głowie, gdy za bardzo się podniecisz. To powinno zająć twoją uwagę na pewien czas i przedłużyć całą sprawę, a jednocześnie wciąż będziesz myślał o czymś, czym można się rozkoszować.

Następnie podałam mu przepis na ciasto czekoladowe. Nie to, które upiekłam dla Kannemeyera, ale na puszyste ciasto z musem czekoladowym z gorzkiej czekolady. W tym przepisie masę z jajek i cukru trzeba długo ubijać, żeby odpowiednio się spieniła i zgęstniała, a na koniec ciasto ubiera się bitą śmietaną i jagodami.

Jessie i ja podskakiwałyśmy w moim niebieskim *bakkie* na wyboistej drodze prowadzącej w stronę farmy Dirka. Było popołudnie, nad nami gromadziły się pękate chmury, jednak zamiast uwolnić od spiekoty, zatrzymywały nagrzane powietrze. Opuściłyśmy szyby w samochodzie i nie próbowałyśmy nawet rozmawiać, ponieważ nasze słowa ginęłyby w podmuchach wiatru i warkocie auta. Dobrze się czułam, znów jadąc z Jessie. Zwłaszcza że wracałyśmy na miejsce zbrodni.

Krzewy *klapperbos* zakwitły – ich czerwone kwiaty w kształcie lampionów przypominały bożonarodzeniowe ozdoby. Spomiędzy traw porastających pobocza wyglądały fioletowe kępy *reëngrassie*. Jessie wypatrzyła zielonego połyskliwego ptaszka, nektarnika, krążącego nad kwiatem aloesu, i zwolniłam, żeby mu się przyjrzeć.

– Uwaga! – zawołała Jessie, która zauważyła mangustę pędzącą drogą prosto na nas.

Nadepnęłam na hamulec i zwierzątko w ostatniej chwili dało nura w trawę.

W tym momencie rozległ się huk, jeden za drugim.

– Strzały – powiedziała Jessie.

Nie zatrzymałyśmy się jednak, dalej jechałyśmy w stronę farmy.

Odgłosy wystrzałów stawały się coraz głośniejsze.

ROZDZIAŁ 70

Minęliśmy dom oraz rosnący obok niego wysoki eukaliptus i zobaczyliśmy pikap Anny zaparkowany koło terenówki Dirka.

Znów rozległy się strzały: pif-paf!

Cisza.

Nad dachami samochodów dostrzegaliśmy Dirka stojącego w polu. Lewą rękę wciąż miał na temblaku, prawa była obandażowana. W prawej dłoni ścisnął rewolwer i nie składając się do strzału, raz za razem pociągał za spust.

Pif-paf! Pif-paf!

Gdy przejechaliśmy obok terenówki, zobaczyliśmy, że Dirk nie jest sam. Siedząca nieopodal na wózku Anna podniosła dubeltówkę i wystrzeliła. Bum! Bum! Strzały z dubeltówki były głośniejsze niż z pistoletu.

Nie strzelali jednak do siebie, Bogu dzięki. Do kogo więc albo do czego mierzyli?

Wysiadaliśmy z Jessie z samochodu i ruszyliśmy w ich stronę. Przed nimi na ziemi coś leżało. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, co to...

Przewrócone obumarłe drzewo. Jednak to nie oni je zabili, drzewo było martwe już od dawna. Pień miało szary i goły, a w dziuplach i wydrążeniach stały błyszczące puszki.

Dirkowi trudno było zabandażowanymi rękami ponownie załadować rewolwer, zaniósł więc pudełko z amunicją Annie, która siedziała na wózku inwalidzkim. Kobieta trzymała w dłoni szklanekę wypełnioną do połowy czerwonym płynem, na jej unieruchomionej gipsie nodze spoczywała strzelba. Anna pochyliła się, żeby odstawić drinka, i pomogła van Schalkwykowi nabić broń.

Następnie złamała dubeltówkę, wytrząsnęła łuski, a na ich miejsce włożyła nowe.

Gdy nas zobaczyła, pomachała strzelbą.

– Hej! – zawołała.

Dirk chrząknął. My znieruchomiliśmy.

Van Schalkwyk strzelił w drzewo. Pif-paf! Pif-paf!

– Strzał w dziesiątkę! – wrzasnęła Anna, gdy trafił w pustą puszkę po fasoli w sosie pomidorowym.

Chwyciła szklanekę z czerwonym płynem i uniosła ją, jakby wznosiła toast, po czym pociągnęła spory łyk. Następnie odstawiła naczynie i kropnęła w puszkę po pomidorach. Bum! Bum!

– Chodźcie! – zawołała. – Strzelam z dubeltówki Dirka. On ma mój rewolwer.

Po jej wymowie domyśliłam się, że płyn, który popijała, nie był czystym sokiem owocowym.

– Poczekamy sobie tutaj – odpowiedziała Jessie.

– Widzę kilka róż, które trzeba podlać – dodałam.

Rzeczywiście dostrzegłam rząd krzewów, którym brakowało opieki Lawrence'a. Liście miały suche, a kwiaty zwiędłe. Odnalazłam wzrokiem kran z przymocowanym do niego węzem ogrodowym.

Pif-paf! Pif-paf!

Dirk podszedł do Anny, aby załadować broń, lecz wyglądało na to, że skończyły się naboje.

– Choroba! – zaklęła Anna, rzucając pudełko w stronę drzewa.

Kartonik nie poleciał jednak tak daleko jak kule.

Anna pochyliła się, dopiła drinka i podała szklankę Dirkowi. Następnie włożyła strzelbę między nogi, tak aby lufa opierała się o jej ramię, i ruszyła wózkiem w naszą stronę.

– Ten twój wózek to chyba terenówka? – odezwała się Jessie, wychodząc jej naprzeciw.

Ja dalej podlewałam róże.

– Gdzie tam, kupa złomu – mruknęła Anna.

Biały gips na jej nodze był pobrudzony ziemią i pochlapany kropelkami czerwonego płynu. Dirk szedł chwiejnie przez pole, trzymając szklankę i rewolwer w prawej dłoni.

– Podoba wam się nasza choinka? – spytała Anna, wskazując pień drzewa ozdobiony puszkami i kulami. – Chodźcie. Napijemy się czegoś.

Potoczyła się w kierunku domu. Ja zakręciłam kran i poczłapałam za nią na werandę. Dirka zniosło trochę na bok, ale Jessie pomogła mu odzyskać właściwy kurs.

Zanim dogoniłyśmy Annę, kobieta zdążyła zostawić wózek u podnóża schodów i ze strzelbą pod pachą zaczęła gramolić się na werandę.

– Au! Szlag by to trafił! – zaklęła, gdy uderzyła gipsem o stopnie.

Wzięłam od niej dubeltówkę i postawiłam ją w rogu werandy. Jessie wniosła wózek, a potem pomogłyśmy Annie z powrotem na nim usiąść.

Dirk się zataczał, udało mu się jednak wspiąć po schodach i nie przewrócić się przy tym.

– Idę się odlać – oznajmiła Anna. – Częstujcie się. Sok z granatów jest piekielnie dobry.

Dirk beknął na znak zgody.

– Dirk, podaj im jakieś szklanki, na litość boską.

Wlokąc się do kuchni, gospodarz zawadził udem o stół.

– Cholera! – mruknął.

Na stole stały puste butelki po ciemnoczerwonym soku i wódce. Obok nich czekały nienapoczęte butelki z tym samym.

Dirk przyniósł czyste szklanki, ale chociaż bardzo się starał, miał problem z napełnieniem ich.

– Jasny gwint! – syknął, gdy czerwony płyn zaczął ściekać po zewnętrznej ściance naczynia.

Jessie wzięła od niego butelkę i naląła nam soku z granatów. Bez wódki. Przymknęłam oczy i zanim przełknęłam pierwszy łyk napoju, przez chwilę rozkoszowałam się jego smakiem. Był intensywny, słodki, pachniał ziemią i przywodził na myśl dzieciństwo.

Anna wróciła, naląła wódki sobie i Dirkowi, po czym dopełniła szklanki sokiem, a następnie wychyliła swojego drinka, jak gdyby wlewała w siebie nie alkohol, lecz napój orzeźwiający. Dirk niezadarnym ruchem uniósł zabandażowaną rękę, w której ścisnął szklankę, a jednocześnie pochylił głowę, żeby móc się napić. Część płynu pociekła na temblak, ale większość trafiła do ust. Opatrunki Dirka, jeszcze niedawno nieskazitelnie białe, teraz były brudne, upstrzone ciemnoczerwonymi plamkami.

– Anno, ktoś w Sparze powiedział, że to ty kupiłeś sok z granatów – zaczęłam.

– Ech, Dirk, niech cię piorun strzeli! – zaklęła Anna. – Rozlewasz i marnujesz. Usiądź prosto i daj to.

Anna podjechała do gospodarza, po czym przyłożyła mu do ust szklankę, którą on opróżnił jednym haustem. Na koniec beknął.

– Nie tylko dzisiaj, ale i w zeszłym tygodniu – ciągnęłam. – W dzień morderstwa.

Anna prychnęła. Zrobiła sobie następnego drinka. Wódkę nalewała dość uważnie, ale z sokiem nie była już taka ostrożna i na stole pojawiła się kolejna czerwona plama.

– Kannemeyer cię szuka – dodała Jessie.

– To niech szuka – odparła kobieta.

– Anno, martwimy się o ciebie – powiedziałam. – Może powinnaś znaleźć sobie prawnika.

– Może powinnam znaleźć więcej naboju – odrzekła. – Dirk, masz jeszcze jakieś kulki do swojej pukawki?

Teraz zaczęłam się martwić o Kannemeyera.

Dirk spoglądał ponad trawnikiem na opustoszałą sadzawkę.

– Brakuje mi tych kaczek – oznajmił w afrikaans.

Zaraz potem zanucił szorstkim, chrapliwym głosem przypominającym skrzek ropuchy:

Ek wonder wat my hinder!

Daar's onrus in my hart,

of daar 'n bange vlinder

sag huiwer in sy smart.

Nie wiem, co mnie trapi!

Znów serce moje drży

*jak niespokojny motyl
złęczniony bólem swym.*

Anna usiadła obok Dirka i przyłączyła się do śpiewu:

*... of daar 'n bange vlinder
sag huiwer in sy smart.*

Kołysali się wolno w rytm melodii. Dirk wpatrywał się w sadzawkę, Anna przymknęła oczy.

Jessie ruchem głowy wskazała drzwi. Wstałyśmy i weszłyśmy do domu. W kuchni panował bałagan: niepozmywane naczynia, resztki jedzenia i mrówki łazące po blatach szafek. Grace zapewne już wyjechała. Przez chwilę się zastanawiałam, jak wyglądał pogrzeb Lawrence'a i czy Grace dotarła już do Kapsztadu.

Promienie słońca wpadające przez otwierane do góry okno oświetlały metalowy zlew i drewniany kuchenny stół. Proszek do zbierania odcisków palców był już uprzątnięty, zamiast niego blat pokrywały okruchy i pył unoszący się w suchym powietrzu Karru. Dziwnie się czułam, będąc tu za dnia. Dom wyglądał na zaniedbany, ale normalny – nie czaił się w nim żaden morderca, nie leżał żaden trup. Wydawał się również trochę większy. Ogarnęłam spojrzeniem aneks kuchenny i salon z kanapą, na której zmarła Martine. Zatrzymałam wzrok na spizarce z drzwiami podziurawionymi kulami. Zajrzałam do środka – dżem i mąkę uprzątnięto, konserwy i książki kucharskie powycierano i starannie ułożono na półkach. Dotknęłam grzbietu *Cook and Enjoy* i zrobiło mi się smutno na myśl, że Martine nigdy więcej nie skorzysta z tych wspaniałych przepisów. W salonie pozamiatano szkło leżące wcześniej na podłodze. Zdjęcie ślubne Martine i Dirka stało na stoliku w samej ramce.

W gabinecie, do którego przeszłyśmy, biurko i podłoga były zasłane papierami. Na dywanie walały się pootwierane książki.

– Co się stało? – mruknęła Jessie. – Inaczej tu wszystko wyglądało, kiedy stąd wychodziłyśmy.

– Myślisz, że mordercy wystarczyłoby czasu, żeby zrobić taki bałagan? – spytałam. – Gdyby tak było, policja pewnie posprzątałaby po nim. Albo Dirk.

– A może to Dirk wszystko porozrzucił. Nie zaszkodzi, jeśli trochę tu ogarniemy – uznała Jessie. – Policja i tak zrobiła już swoje.

Zabrała się do układania dokumentów w szafie biurowej Martine, podczas gdy ja podnosiłam książki i ustawiałam je na półkach. Każdą z nich potrząsałam, sprawdzając, czy nie wypadną spomiędzy kartek jakieś ukryte w nich papiery. Może to głupie, lecz ciągle się zastanawiałam, czy Martine nie schowała gdzieś przed mężem listów z „Gazety Karru Małego”. Niczego nie znalazłam. Dopiero z jednego z ostatnich tomów – z przewodnika po Karru Małym – wyfrunął wycinek z gazety. Kiedy jednak go podniosłam, okazało się, że jest to przepis na duszoną strusinę. Przeczytałam go

szybko, na wypadek gdyby mógł zainteresować mojego hodowcę strusi. Potrawę przygotowywało się podobnie jak tamatiebredie, ale dodawało się o wiele więcej kolendry. Pomysł wydawał się sensowny, ponieważ nasionami kolendry często przyprawia się biltong ze strusia.

Gdy przeglądałyśmy książki i dokumenty, Anna i Dirk wciąż siedzieli na dworze i śpiewali:

*'n Tortelduif se sange
het in my siel gevaar.
Pieśń szarej gołębiczy
moją duszę przenika.*

Piosenkę przerwał podniesiony głos Anny:

– Cholerny sukinsyn z ciebie, wiesz, Dirk? Powinnam rozwalić ci łeb.

– Tak – przyznał van Schalkwyk.

– Jak mogłeś pobić Martine?

– Jestem popieprzony – poskarżył się. – Czasami mi odbija i tracę głowę... Nie wiem czemu.

– Powinieneś poszukać pomocy.

– Kto mi pomoże? Ty?

– Ja? Nie ma mowy, nie jestem twoją pieprzoną nianią. Ej, niech cię piorun strzeli, znowu rozlewasz. Daj, potrymam. Nie, stary, idź do jakiejś poradni, poszukaj grupy, na którą przychodzą tacy sami popaprańcy jak ty, i pogadaj z nimi.

– Gdzie mam ich szukać?

– A czy ja wiem? Spytaj swojego lekarza albo wejdź na pieprzony Facebook... Jak mogłeś zastrzelić te kaczki?

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale myślałem, że strzelam do wroga. Tak jak kiedyś, w wojsku. Myślałem, że w trzcinach ukryli się terroryści.

– Chryste. Lepiej zrób coś z tą swoją pieprzoną głową, inaczej cię zabiję. Zrób to dla Martine, rozumiesz?

Zamilkli na chwilę. Słyszałam podmuchy wiatru szeleszczące liśćmi eukaliptusa.

– Tęsknię za nią – odezwał się w końcu Dirk.

– Ja tęsknię za nią w cholere bardziej niż ty.

Dirk znów zachrypiął:

*'n Tortelduif se sange
het in my siel gevaar.*

Jessie pokręciła głową.

– Nie wiem, czy takiemu sukinsynowi jak on cokolwiek pomoże. – Wskazała szafę biurową, przed którą stała. – No dobra, wygląda na to, że tutaj nic się nie zmieniło.

– Niczego nie brakuje? – spytałam. – Nic nie zginęło po tym, jak ostatnio tu zaglądałaś?

– Tak mi się wydaje. W dokumentach finansowych jest największy bałagan.

– Nie trafiłaś na moją odpowiedź z gazety?

– Nie. Znalazłam tylko wycinek o szczelinowaniu, którego ostatnio nie zauważyłam.

W korytarzu rozległy się głuchoe odgłosy uderzeń, które z każdą chwilą się zbliżały. To Anna, która jadąc wózkiem do toalety, obijała się o ściany. Pod nosem nuciała piosenkę o gołębiczy. Wracając, zajrzała do nas.

– Próbujemy trochę tu posprzątać – powiedziała Jessie, zamykając szafę z dokumentami.

– Och, nie ma sensu – skwitowała Anna. – Bez względu na to, ile by się sprzątało, bałagan sam się robi. On mówi, że to jej duch, ale plecie bzdury. Sama ogarniałam kuchnię i widziałam na własne oczy, jak on znów robi w niej chlew.

Z werandy dobiegł nas samotny skrzek Dirka:

'n Tortelduif se sange

het in my siel gevaar.

Oczy Anny zaszyły łzami, obróciła głowę w stronę, z której dolatywała pieśń.

'n Liedjie van verlange

wat glad nie wil bedaar,

'n liedjie van verlange

wat glad nie wil bedaar.

Pieśń pełna tęsknoty,

która nigdy nie znika,

pieśń pełna tęsknoty,

która nigdy nie znika.

ROZDZIAŁ 71

Odwiozłam Jessie do redakcji, wyjęłam mielone mięso ze służbowej lodówki i w towarzystwie puszki z herbatnikami ruszyłam do domu. Niebo było szare od chmur, ale wciąż panował upał. Wieczne słońce oświetlało szczyt Towerbergu, pozostała część góry była pogrążona w cieniu. Zaczęłam myśleć o spaghetti bolognese, które zamierzałam przyrządzić na kolację.

Może dlatego, że głowę miałam zaprzątniętą planowaniem posiłku, zauważyłam wrony dopiero wtedy, gdy niemal na nie najechałam. Dwa czarne ptaki siedziały na asfalcie i dziobały coś płaskiego i czerwonego. Gwałtownie skręciłam, żeby je ominąć, i zahamowałam. Samochodem zarzuciło, udało mi się jednak nad nim zapanować. Zatrzymałam się na poboczu, aby wziąć kilka głębokich oddechów.

Spojrzałam w lusterko wsteczne. Wrony skakały wokół zabitego przez samochód zwierzęcia, rozdzierając je na kawałki.

– Powinnam tam pójść i sprawdzić, czy to stworzenie na pewno nie żyje – zwróciłam się do puszki herbatników. – Przenieść je na pobocze.

Zawróciłam, zaparkowałam bliżej wron obskakujących padlinę i ruszyłam w ich stronę.

– Sio! – zawołałam.

Wrony jednak nawet nie drgnęły. Wpatrywały się we mnie błyszczącymi, czarnymi oczami.

Tupnęłam i znów krzyknęłam: „A sio!”, na co ptaki wróciły do rozdziobywania czerwonego mięsa. Podniosłam patyk i kamień, które znalazłam na skraju drogi.

– Już mi stąd! – wrzasnęłam, rzucając we wrony kamieniem.

Odskoczyły parę kroków od martwego zwierzęcia leżącego na asfalcie. Rzeczywiście została po nim tylko krwawa plama. Mimo to po długich puszystych uszach poznałam, co to było.

Patykiem odsunęłam przejechanego królika na pobocze, pod krzew *[groot-wolfdoring](#)*. Niedaleko rósł krzak obsypany kwiatkami zwanymi złotem Karru, zerwałam więc kilka żółtych kwiatów i rzuciłam je na zwłoki zwierzęcia.

– To był królik – oznajmiłam herbatnikom, gdy wsiadłam z powrotem do samochodu. – Nie żył na sto procent. Pożegnałam go.

Gdy dotarłam do domu, zobaczyłam samochód Kannemeyera. Zostawiłam puszkę z podróżnymi herbatnikami w *bakkie* i ruszyłam ścieżką w stronę werandy, na której zastałam komisarza siedzącego i popijającego kawę. Chyba zrobiło się później, niż myślałam. Uśmiechnęłam się do niego, jak gdyby

włosy nie lepiły mi się do czoła, a sukienka nie była cała przepocona. On przywitał się ze mną, tak jakby tu mieszkał.

– Kawy? – zaproponował.

Jeszcze nigdy mężczyzna nie robił mi kawy w moim własnym domu, ale odpowiedziałam: „Tak, poproszę”, jak gdyby coś podobnego zdarzało mi się codziennie.

Weszłam do domu, żeby się odświeżyć. Włożyłam czystą sukienkę, zdjęłam trzewiki i podreptałam boso do kuchni. Popijając kawę, przygotowałam spaghetti.

Kannemeyer został na werandzie. Przez otwarte drzwi widziałam jego wyciągnięte nogi, nieruchome i silne. Patrzył na zachód słońca barwiący niebo na płomiennorudy i ognistoczerwony kolor. Dzięki skłębionym chmurom zrobiło się prawdziwe widowisko.

Sos do spaghetti dusił się w ocieplaczu. Wsypałam makaron do wrzątku, po czym wyszłam na werandę.

Komisarz chrząknął cicho, gdy usiadłam, i razem oglądaliśmy końcówkę wieczornego przedstawienia.

Czerwone chmury wykonywały ostatni, powolny taniec. Przypomniały mi o krwawym obrazku, który dostałam rano w kopercie. Gdy myślałam o nim teraz, bardziej niż do feniksa wydawał mi się podobny do martwego królika. Czerwień zbladła, kurtyna ciemności zasłoniła niebo. Widowisko się skończyło.

Kolację zjedliśmy na werandzie.

– Mmm, pyszne – mruknął Kannemeyer.

Świerszcze grały, spaghetti smakowało wyśmienicie. Powinna ogarnąć mnie błogość, ale w głębi duszy czułam, że coś jest nie tak. Nie chodziło o jakiś drobiazg, jak na przykład ciut niedosolony sos, ani nawet o coś poważniejszego, jak rozgotowany makaron. Chodziło o coś naprawdę złego.

Kiedy więc zaterkotał telefon, wiedziałam, że nie usłyszę dobrych wiadomości.

Dzwonił Reghardt.

Jessie zniknęła.

ROZDZIAŁ 72

– Nie ma jej w domu – powiedział Reghardt. – Nigdzie jej nie ma.

Usiadłam, mocno ściskając słuchawkę w dłoni.

– Odwiozłam ją do redakcji – oznajmiłam – około szóstej, może wpół do siódmej.

– Byłem w redakcji. Byłem wszędzie. Miałem przyjechać po nią do domu o wpół do ósmej.

Mieliśmy jechać do mnie na kolację.

– Może zapomniała?

– Nie. Wiedziała, że gotuję dla niej bobotie.

– Nie pokłóciliście się ani nic w tym stylu?

– Nie. Nie było nic takiego.

Kannemeyer wszedł do domu i stanął w kuchni.

– Henk, to Reghardt. Jessie zaginęła.

– Wcześniej do mnie zadzwoniła, na komórkę – mówił Reghardt. – Byłem na interwencji. Pani

Kromberg myślała, że ktoś się do niej włamał, okazało się jednak, że to tylko mangusta. Obiecałem Jessie, że oddzwonię, ale potem nie mogłem się połączyć.

– Co dokładnie powiedziała ci Jessie?

– Powiedziała: „Muszę z tobą porozmawiać. Jesteś w komisariacie?”. Odpowiedziałem: „Nie, na interwencji, zaraz do ciebie oddzwonię”. Ona na to: „Gdzie jesteś? Cholera. Mój telefon”. Usłyszałem sygnał, rozłączyło nas. Chyba siadła jej bateria. Ma jeden z tych wypasionych telefonów, które co chwila się rozładowują. Ja swoją komórkę ładuję raz na trzy dni i wystarczy.

– Reghardt – upomniałam go, ponieważ zbaczał z tematu.

– Zadzwoniłem do niej za dwie minuty, ale włączyła się poczta głosowa.

– O której do ciebie dzwoniła?

– O szóstej pięćdziesiąt trzy – powiedział. – Sprawdzałem w spisie połączeń. Trochę się zmartwiłem, ale wiedziałem, że niedługo się spotkamy i wtedy porozmawiamy.

– Czy wydawała się zdenerwowana? Zła na ciebie?

– Nie, nie była zła. Mówiła tak, jakby chodziło o coś ważnego. Jessie taka już jest, bardzo się przejmuję różnymi rzeczami.

– Ciekawe, czy na coś wpadła. Może chodziło o naszą sprawę? O jakiś trop?

– Zabójstwa. Właśnie to mnie martwi. Po tych wszystkich pogróżkach...

– Nie ma jej dopiero od dwóch godzin – powiedziałam, żeby go pocieszyć.

Jednak nawet mnie samej nie pocieszyły te słowa.

– Daj mi z nim porozmawiać – poprosił Kannemeyer, podałam mu więc słuchawkę.

Słuchał przez minutę, po czym w błyskawicznym tempie zaczął wyrzucać z siebie rozkazy. Następnie zadzwonił do komisariatu. W pięć minut zorganizował ochronę dla Hattie, wysłał jednego funkcjonariusza do domu Jessie, drugiemu zaś polecił obejść wszystkie restauracje i bary ze zdjęciem Jessie oraz objechać ulice w poszukiwaniu skutera dziewczyny. W takim małym miasteczku niewiele lokali było otwartych o tej porze.

Odłożył słuchawkę, a wtedy ja zatelefonowałam do Harriet.

– Jessie zaginęła – powiedziałam. – Przyślą ci kogoś do ochrony.

– Wielki Boże! – jęknęła. – Modliłam się, żeby do tego nie doszło.

– Wszędzie jej szukają. Zaginęła ledwie dwie godziny temu.

Kannemeyer wnosił naczynia z werandy do domu.

Obie z Hattie milczałyśmy. Słyszałam cykanie świerszczy na dworze i głuchy szum linii telefonicznej. Obie czekałyśmy, aż któraś z nas wypowie słowa otuchy, i obie nie potrafiłyśmy ich z siebie wydobyć.

– Wielki Boże! – westchnęła ponownie Hattie, zanim się rozłączyłyśmy.

– Lepiej już idź – zwróciłam się do Kannemeyera, wyjmując mu z rąk pusty garnek.

– Nigdzie się nie wybieram – oznajmił.

– Musisz znaleźć Jessie – powiedziałam. – To twój obowiązek zawodowy.

– Moim obowiązkiem dziś wieczorem jest zapewnienie ci bezpieczeństwa – odparł.

– Henk – nalegałam. – Musisz ją odszukać.

– Zostaję tutaj.

Chciałam na niego krzyknąć, ale zamiast tego zabrałam się za zmywanie, tłukąc garnkami głośniej niż zwykle.

– Mamy więc siedzieć i nic nie robić!? – spytałam, przekrzykując brzęk naczyń. – Podczas gdy ona może być w łapach tego... tego potwora?

Henk wziął ścierkę i zaczął wycierać do sucha umyte przeze mnie talerze. Im głośniej zmywałam, tym ciszej wycierał.

– Musimy coś zrobić, Henk – oznajmiłam, z trzaskiem stawiając czysty garnek na ociekaczu.

– Robimy wszystko, co możliwe. Wszędzie jej szukamy. W każdej chwili ktoś może do nas zadzwonić z wiadomością, że znalazła się cała i zdrowa. Nerwy nic tu nie pomogą.

Zadzwoniła jego komórka. Odłożył ścierkę i odebrał.

– Komisarz Kannemeyer. Tak... Tak... W hotelu też? Dobrze. Dalej szukajcie skutera. Kiedy

skończycie w mieście, ruszcie na farmy pod miastem.

Obróciłam się, żeby na niego spojrzeć.

– Nic – powiedział. – Jak na razie.

Włożyłam ręce do ciepłej mydlanej wody, zamknęłam oczy i odetchnęłam głęboko.

Henk miał rację. Nerwy nic nie pomogą. Pomogłoby znalezienie mordercy. Zaparzyłam dzbanek kawy, po czym wyniosłam go na werandę razem z puszką herbatników. Włączyłam światło przed domem, potem wróciłam po notes i długopis.

– Usiądźmy – powiedziałam. – Czas porozmawiać.

Henk nalał nam kawy.

– Nie sądzę, żebyś zgodziła się teraz wyjechać z miasta? – spytał.

– Najwyższa pora skończyć z powtarzaniem w kółko, że mamy się nie mieszać. Musimy pracować razem.

Kannemeyer uniósł jedną brew. Kawa w filiżance była za gorąca, więc podmuchał.

Chmury sprawiły, że zrobiło się parno. Zwabione światłem owady wlatywały na werandę.

– Henk, nic, co powiesz, nie ukaże się w gazecie, jeśli się na to nie zgodzisz, dam ci moje słowo. Nie żyją dwie osoby, a teraz zaginęła Jessie. Wiem, że nie jestem policjantką, ale czy to ci się podoba, czy nie, jestem zamieszana w tę sprawę. Jeśli będziemy współpracować, może uda nam się uratować komuś życie. Uratować życie Jessie.

Pokręcił w palcach końcówkę wąsa, po czym odparł:

– Dobrze, Mario. Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko – oświadczyłam, otwierając notes. – My powiedziałyśmy ci, co wiemy. Teraz twoja kolej.

Siedzieliśmy do późna, rozmawiając o podejrzanych, motywach i postępach w śledztwie. Patrzyłam na rosnące na sawannie wysokie drzewo *gwarrie* oblane księżycową poświatą, która sączyła się przez prześwit między chmurami, podczas gdy Kannemeyer relacjonował działania policji.

– Piet sprawdził na farmie Johna opony jego terenówki. Nie pasują do śladów. Poza tym John ma alibi na czas obydwu morderstw, bo jego dziewczyna twierdzi, że był wtedy z nią.

– Być może kłamie, żeby go ochronić?

– Być może – zgodził się Kannemeyer. – Quin Crush, ci od dostaw kruszywa, przywieźli nam hałdę piasku. Każemy po nim jeździć ludziom, którzy mają założone opony Firestone. Kiedy wyczerpie się lista podejrzanych, zaczniemy wzywać wszystkie osoby z okolicy, które kupiły te opony. Dostaliśmy ich nazwiska od HiWay Tyres, przedstawiciela Firestone w naszym regionie.

– Pamiętajcie o adwentystach dnia siódmego – wtrąciłam. – I o panu Mariusie, oczywiście.

– Marius miał się zjawić dzisiaj, ale nie przyszedł, jutro więc osobiście sprowadzę go do

komisariatu.

– Czego się o nim dowiedzieliście?

Wokół lampy nad werandą wirowała chmura owadów. Ogromne ćmy, zielone drapieżne modliszki i różne inne skrzydlate stworzonka.

– Firma Shaft jest jego klientem i chcą rozpocząć szczelinowanie w tym rejonie. Marius nie ma alibi na rano, gdy zamordowano Martine, natomiast na noc, gdy zastrzelono Lawrence’a, alibi zapewnia mu żona. Byłem jednak u nich w domu i wygląda na to, że śpią w oddzielnych pokojach.

Ćmy rzucały się prosto w światło. Modliszki przysiadły obok lampy na ścianie. Czekają na ofiarę.

– Ma w domu piwnicę albo jakieś inne miejsce, w którym mógłby kogoś ukryć?

– Nic takiego nie zauważyłem. Ale jeśli Jessie się nie znajdzie, jutro rano wydam nakaz rewizji. Mógłbym ściągnąć jego żonę na przesłuchanie. Mam wrażenie, że ona coś wie. Chyba się go boi.

Dolałam nam kawy.

– Co jeszcze ustaliliście? – spytałam.

– Najnowsze wyciągi bankowe pokazują, że na konto Martine wpłynęło czterdzieści tysięcy randów.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie widziałyśmy... – urwałam. – Przypuszczam, że bank nie zdążył jeszcze wysłać jej najnowszego wyciągu z konta.

– Dostaliśmy wyciągi prosto z banku za ostatnie trzy lata.

– Myślisz, że mógł to być zadatek za sprzedaż jej domu?

– Być może. Pieniądze wpłacono gotówką. W oddziale banku Standard w Riversdale. Osoba wpłacająca podpisała się „V. Niemand”.

– Czyli „V. Nikt”. Fałszywe nazwisko. Martine napisała mi, że układa plan, który pozwoli jej odejść od Dirka. Ciekawe, czy to była część tego planu.

– Możliwe. Do tej pory dostawała jedynie stałą pensję ze Spara.

Mały, tłusty gekon schodził po ścianie w stronę owadów. Dłoń powędrowała mi w górę, pogłaskałam się po ramieniu w miejscu, w którym Jessie miała tatuaż.

– A sok z granatów ze środkami nasennymi? – spytałam.

– Naszym zdaniem prawdopodobnie przyniósł go morderca. Jedna z kasjerek mówi, że kupiła go Anna, ale nie do końca polegamy na tych zeznaniach. Anna kupiła sześć butelek soku dzisiaj, to fakt, ale niekoniecznie kupiła sok w dniu, gdy zamordowano Martine.

– Dzięki Bogu, myślałam, że potraktujecie słowa kasjerki poważnie.

– Nie jesteśmy idiotami. Dziewczyna chce zadowolić swojego szefa. A inni kasjerzy nie mogą

sobie nic przypomnieć.

– A co z drobnymi kradzieżami w Sparze? – spytałam.

– Nie złapaliśmy sprawców, ale wygląda na to, że kradzieże się skończyły. – Kannemeyer przyjrzał mi się. – Co? Coś o tym wiesz, *tannie* Mario?

Zrobiłam wielkie oczy i pokręciłam głową.

– Kto jeszcze wiedział, że Martine lubi sok z granatów? – Zastanowiłam się głośno. – Anna, Dirk, David, Candice?

– Noc, gdy zastrzelono Lawrence’a, Dirk i Anna na pewno spędzili w szpitalu. Praca Dirka to jego alibi na rano, kiedy zamordowano Martine. Sprawdzamy alibi pozostałych podejrzanych.

– Czy ekspertyzy sądowe coś wykazały? Znalaziono coś na moich pociętych butach? Albo w liście, który dostałam?

Gdy gekon był tuż za modliską, owad zabręczał, podfrunął i wylądował po drugiej stronie lampy. Do światła zlatywało się coraz więcej ciem kotłujących się i bijących skrzydłami o kulisty klosz.

– Ludzie z RCIK w Oudtshoorn sprawdzili odciski palców. Nic nie znaleźli. Pozostałe badania musimy przeprowadzić w laboratorium w Kapsztadzie. Wyników jeszcze nie mamy.

– Dlaczego? Nie wiedzą, że to pilne?

– Laboratorium medycyny sądowej w Kapsztadzie obsługuje sto pięćdziesiąt komisariatów. A w dużych miastach jest o wiele więcej ciężkich przestępstw i morderstw. Wyniki przyjdą za miesiąc, o ile dopisze nam szczęście. Płynę bada się na miejscu, w Oudtshoorn. Czerwona maź w liście, który dostałaś, to krew. Świeża, ale nie ludzka. Przesłano próbki do laboratorium weterynaryjnego. Na wszystko potrzeba czasu.

– Ale my go nie mamy.

Kannemeyer spojrział na zegarek.

– Musimy trochę się przespać – powiedział.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

– Skończymy jutro.

Położyłam mu na kanapie prześcieradła i poduszkę, po czym poszłam do siebie. Leżałam w ciemnej sypialni i nie mogłam przestać martwić się o Jessie. Wciąż jeszcze nie spałam, gdy świerszcze zamilkły. Myśli tłukły mi się po głowie niczym ćmy otumanione światłem.

ROZDZIAŁ 73

Obudził mnie huk pioruna. Usiadłam na łóżku. Gdzie jest Jessie?

Było już jasno. Zaspałam. Ostatnio, gdy słyszałam grzmoty, obok mnie stała Jessie. Było to w noc, gdy zamordowano Lawrence'a. Mętlik w głowie ustąpił miejsca skupieniu. Zaczęłam się zastanawiać.

Co robił tam morderca? Czego szukał w gabinecie Martine? Czy znalazł to, po co przyszedł?

Anna powiedziała, że w gabinecie znów panuje bałagan. Według niej to sprawka Dirka. Według Dirka to sprawka ducha Martine. A jeśli to sprawka mordercy? Który nadal czegoś szuka?

I jeżeli nie znalazł tego, po co przyszedł, to gdzie to coś było?

Po niebie przetoczył się kolejny grzmot, ale deszcz nie zaczął padać. Wyjrzałam przez okno. Nad Karru wisiały ciemne, ciężkie chmury. Wyglądały tak, jak gdyby lada chwila miały pęknąć.

Jej biuro w pracy, pomyślałam. Tam mogłaby trzymać część dokumentów.

Ubrałam się i poszłam do salonu.

– Henk!?! – zawołałam.

Błysnęło, rozległ się kolejny trzask pioruna, po czym niebo się rozpruło, a jego wnętrzości chlusnęły na mój dom. Deszcz zaczął walić o dach.

Wyjrzałam na werandę. Zamiast Kannemeyera zobaczyłam sierżanta Vorstera. Odezwał się do mnie, ale jego głos ginął w szumie ulewy.

Podeszłam bliżej i spytałam:

– Wiadomo już coś? O Jessie?

Pokręcił głową. Stałam na werandzie i patrzyłam na strumienie deszczu, które przesłoniły wzgórza i góry. Widziałam jedynie wysokie drzewo *gwarrie*.

Dobrze, że w końcu zaczęło padać, ale nie potrafiłam się tym cieszyć. Za bardzo martwiłam się o Jessie. Modliłam się, żeby nic jej się nie stało. Chociaż czy można nazwać to modlitwą? Posłałam swoje pragnienie, silne niczym strzała, prosto do nieba: „Padaj na Jessie. Ochroń ją. Zaprowadź mnie do niej”.

Wyszłam na deszcz. Woda zmoczyła mi włosy, spływała po twarzy, przemoczyła ubranie. Vorster pewnie pomyślał, że zwariowałam, ale nie obchodziło mnie to.

Pomóż mi odnaleźć Jessie, prosiłam deszcz. Żywą.

Ponieważ i tak byłam już cała mokra, obeszałam dom, żeby zajrzeć do kur. Wszystkie były na miejscu, zbiły się w stadko i schroniły w kurniku.

Zniosły mi kilka jeszcze ciepłych jaj, które delikatnie ujęłam w wilgotne dłonie. *Veldskoene* nie przemokły, ale musiałam się przebrać w suche ubranie. Włożyłam jasnoblękitną sukienkę z długim rzędem guzików z przodu. Usmażyłam jajka na śniadanie, po czym zatelefonowałam do redakcji, żeby porozmawiać z Hattie.

– Mario! – zawołała przyjaciółka. – Wielkie nieba! Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Dopiero co była tu policja.

Serce podeszło mi do gardła.

– Czy Jessie...?

– Kiedy przyjechałam, na progu znalazłam jej buty. Zniszczone. Spalone.

– Spalone?

– Posterunkowy Piet uważa, że zostały usmażone. Są czarne i ociekają tłuszczem.

Nie mogłam wykrztusić słowa. Deszcz padał bez przerwy.

– Piet mówi, że ktoś podrzucił je pod drzwi wczesnym rankiem – ciągnęła Hattie. – Stały pod okapem, więc nie zmokły, a poza tym poznał to po jeszcze jakichś innych śladach, nie mam pojęciach po jakich.

– Ktoś widział Jessie albo jej skuter?

– Nie. Dalej szukają. Obiecałam Kannemeyerowi, że do ciebie zadzwonię.

– Musimy ją znaleźć.

– Biedny Reghardt odchodzi od zmysłów. Wcześniej była jeszcze szansa na to, że można jakoś inaczej wytłumaczyć zniknięcie Jessie... Ja sama miałam nadzieję, że pochłonęło ją śledztwo. Wiesz, jaka ona jest. Gdy trafi na jakiś trop, nie odpuszcza. Ale te jej buty...

– Jadę do redakcji, Hats. Po drodze zajrzę tylko do Spara. Wszystko ci wyjaśnię, kiedy się spotkamy.

Zadzwoniłam do Kannemeyera, lecz nie odbierał telefonu, więc zostawiłam mu wiadomość. Powiedziałam, że słyszałam już o butach, i podzieliłam się przemyśleniami na temat bałaganu w gabinecie Martine. Uprzedziłam go też o swoim zamiarze, aby w drodze do redakcji zajechać do Spara.

– Chwileczkę. – Sierżant Vorster zatrzymał mnie, gdy wychodziłam. – Dokąd pani idzie?

– Do pracy – odparłam. – Może pan jechać i szukać Jessie.

Vorster skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Nie ja byłam od tego, żeby wydawać mu rozkazy. Ruszyłam ostrożnie ścieżką, uważając, aby nie wdepnąć w kałuże i strumyki.

Podróżująca ze mną puszka z herbatnikami grzechotała podczas jazdy. Sawanna i farmy rozmywały się w deszczu, który zdążył nieco zelżeć.

– Znajdę Jessie – oznajmiłam herbatnikom.

Zanim dotarłam do Spara, przestało padać. Weszłam do sklepu, po czym skierowałam się prosto w stronę biura. Zapukałam do drzwi, ale nikt się nie odezwał. Zerknęłam przez pasiastą szybę i chociaż nikogo wewnątrz nie dojrzałam, zastukałam ponownie. W tym momencie podszedł do mnie młody mężczyzna.

– Czym mogę służyć, *mevrouw*?

Miał kredowobiałą cerę, kościstą twarz i starannie wyprasowaną koszulę w zielone prążki, z krótkimi rękawami.

– Zastałam kierownika?

– Dziś przychodzi później, proszę pani – poinformował mnie wychudzony młodzian. – Jestem kierownikiem zmiany. Czym mogę służyć?

– Muszę przejrzeć dokumenty pani van Schalkwyk, które przechowywała w biurze. To ważne.

– Niestety, do biura może panią wpuścić tylko pan van Wyk.

– Nie macie kluczy? To naprawdę ważne. Sprawa życia i śmierci.

– Potrzebna jest zgoda kierownika, proszę pani.

– Nie można by do niego zadzwonić?

Młodzieniec zmarszczył brwi i odszedł. Zadzwonił gdzieś z komórki, po czym wrócił.

– Pan van Wyk już jedzie. Niedługo tu będzie.

Zaczęłam spacerować między sklepowymi półkami w nadziei, że odzyskam równowagę. Zwykle widok jedzenia mnie uspokajał, tego dnia jednak nic nie pomagało. Wróciłam do bladego, kościstego kierownika zmiany.

– Czy wczoraj po szóstej wieczorem widział pan może tutaj Jessie?

– Jessie? – zdziwił się.

– Taką ładną dziewczynę, dziennikarkę z „Gazety Karru Małego”.

Pokręcił głową.

– Przykro mi, nie znam jej – powiedział.

– Pracuje tu jej kuzyn. Jak on ma na imię? Boetie. Czy mogłabym z nim porozmawiać?

– Przykro mi, proszę pani, Boetie wziął dzisiaj chorobowe.

Minęłam chłodziarki z wędlinami, masłem i jogurtami. Mieli nowość – jogurt o smaku rooibos. Przy kasie zauważyłam Marietjie.

– Marietjie, widziałaś wczoraj wieczorem Jessie?

– Dzień dobry, panie van Wyk – powiedziała dziewczyna, patrząc ponad moim ramieniem.

Odwróciłam się.

– Dzień dobry. Cieszę się, że pana widzę – rzekłam.

Kierownik Spara wycierał nos. Oczy miał zaczerwienione i podpuchnięte. Włosy, jak zwykle

zaczęte na czubek głowy, były dość niedbale ułożone i prześwitywała spod nich łysina.

– Przepraszam – powiedział. – To zwykłe przeziębienie. Nic poważnego.

Mnie wyglądało to na coś więcej niż przeziębienie, ale nie zamierzałam z tego powodu rezygnować z poszukiwań.

– Widziałaś ją, Marietje? – powtórzyłam. – Wczoraj po szóstej wieczorem?

Dziewczyna pokręciła głową, otworzyła kasę i zaczęła sortować wrzucone luzem monety.

Pan van Wyk odkaszlnął.

– Czym mogę pani służyć?

– Czy moglibyśmy pójść do pańskiego biura? – spytałam.

Prowadząc mnie w stronę biura, usiłował poprawić i przyklepać fryzurę. Jego koszula była pomięta, jak gdyby nie miał mu kto prasować.

– Muszę przejrzeć dokumenty Martine van Schalkwyk – oznajmiłam.

Nie poprosił mnie, żebym usiadła. Otarł wąsy po czekoladowym mleku, ale nie chciały zejść.

– Czego pani szuka? – zainteresował się.

– Hm, sama nie wiem – odparłam. – Będę wiedziała, gdy znajdę.

– Policja przeszukiwała już te dokumenty – powiedział.

Usiadłam przy schludnym biurku Martine.

– Nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli przejrzę je ponownie? – spytałam.

– Nie bardzo rozumiem, czemu ta sprawa miałaby w ogóle pani dotyczyć... – Zawiesił głos.

Stał nade mną ze skrzyżowanymi rękami i wpatrywał się we mnie.

– „Gazeta Karru Małego” prowadzi śledztwo dziennikarskie w sprawie zabójstwa Martine – wyjaśniłam. – Nazywam się Maria van Harten, jestem reporterką i przyjaciółką Martine.

– Proszę posłuchać – odpowiedział. – Od śledztwa jest policja i moim zdaniem nie powinnyście wtykać nosa w nie swoje sprawy. Ale oczywiście zależy mi na tym, żeby złapano mordercę Martine, pozwolę więc pani poszperać w jej dokumentach. Mogę nawet pani pomóc.

Przyciągnął krzesło, usiadł obok mnie i zaczęliśmy przepatrywać szuflady w biurku Martine oraz tacki na korespondencję opisane „Przychodząca” i „Wychodząca”. Prawdę mówiąc, nie potrzebowałam pomocy kierownika, lecz cieszyłam się, że nie robi mi trudności. Na biurku Martine leżał stos ksiąg wypełnionych tabelkami i liczbami.

– Nie robicie obliczeń w komputerze? – zdziwiłam się.

– Oczywiście, że robimy – odparł van Wyk. – Ale rewidenci księgowi życzą sobie również wydruki. Tam stoi jej komputer. – Wskazał niewielki biały laptop. – Chce pani do niego zajrzeć? Policja skopiowała dane z twardego dysku.

– Innym razem – uznałam.

Skoro morderca szukał czegoś w papierach, ja również musiałam przeglądać papiery. Otwarłam księgę opisaną „Ladismith”. Było w niej pełno tabel, kodów cyfrowych i ptaszków. Nic z tego nie rozumiałam i kierownik to zauważył.

– Prowadziła rejestr sprzedaży – wytłumaczył. – Monitorowała także towary przychodzące i wychodzące. Te kody oznaczają poszczególne towary.

Nachylił się, żeby pokazać mi kody w księdze. Dziwnie pachniał. Jakby zjadł za dużo przypraw. Za dużo pieprzu. Zastanowiłam się, czy żona mu gotuje. Marietje wspominała, że van Wyk ma żonę.

– Czy pana żona lubi gotować? – spytałam.

Kichnął.

– Wyjechała – powiedział. – Do siostry do Durbanu. Sam sobie gotuję.

Powinien zajrzeć do książki kucharskiej, pomyślałam.

Przekartkowałam księgę, podczas gdy kierownik wydmuchał nos. Na kolejnej księdze widniał napis: „Region”.

– Co to znaczy? – spytałam.

– Rozliczała wszystkie Spary w tym regionie. Jestem kierownikiem regionalnym, rozumie pani. Księgowi z innych oddziałów przesyłali dane pocztą elektroniczną, a ona wszystko spisywała i wyliczała.

Przytaknęłam skinieniem głowy. Podniosłam gruby tom z napisem „Płace”, w którym znajdował się rejestr płac wszystkich pracowników Spara w regionie, otrzymywane przez nich zasiłki, emerytury, renty i tak dalej. Ludzie nie zarabiali tu dobrze.

Za dużo było tych ksiąg i stron. Szukałam przecież luźnego skrawka papieru. Czegoś, co Martine mogłaby ukryć między stronicami. Nie miałam czasu przeglądać wszystkich kartek, zaczęłam więc przechylać po kolei księgi i potrząsać nimi. Nic jednak z nich nie wypadło.

– Przeszukała pani dokumenty domowe? – spytał van Wyk.

On również potrząsał księgami.

– Tak – potwierdziłam.

– Znalazła pani w nich coś przydatnego?

Pokręciłam głową.

– Czego pani w ogóle szuka? – zainteresował się. – Wie pani?

– Cóż, to może mieć coś wspólnego z pieniędzmi – powiedziałam. – Być może chodzi o umowę sprzedaży.

Nie przestawałam myśleć o czterdziestu tysiącach randów, które wpłacono gotówką na konto Martine.

Zabrałam się do tomów stojących na półce nad biurkiem. Dwa z nich były księgami

rachunkowymi, jeden okazał się powieścią. Przejrzeliśmy dokumenty leżące luzem w szufladach i na tackach. Z samego dna jednej szuflady wygrzebałam rachunek za prąd oraz listę zakupów. Znajdował się na niej między innymi udziec jagnięcy, co przypomniało mi przepis na curry z jagnięciny, który podałam Martine.

W następnej chwili przyszła mi do głowy pewna myśl. Uderzyła we mnie jak obuchem i musiałam zacisnąć usta, żeby nie krzyknąć. Jak mogłam być taka głupia?

– Dziękuję panu za pomoc, panie van Wyk – powiedziałam. – Czy mogę skorzystać z pana telefonu?

– Co się stało? – spytał kierownik.

– Och, nic takiego – zapewniłam. – Po prostu muszę już iść.

Znalazłam numer w książce telefonicznej, wybrałam go i poprosiłam Dirka van Schalkwyka.

– Jest na spotkaniu, czy mam przekazać, żeby oddzwonił? – spytała pracownica AgriMark.

– Nie, nie trzeba – podziękowałam.

Byłam pewna, że Dirk nie będzie miał nic przeciwko temu, abym zajrzała do jego domu.

ROZDZIAŁ 74

Zaparkowałam pod dużym eukaliptusem na farmie Dirka. Dom wydawał się bardzo cichy i opustoszały.

– Może nie powinnam tu teraz przyjeżdżać – zwierzyłam się herbatnikom. – Ale muszę znaleźć Jessie. – Otworzyłam drzwi *bakkie*. – Zaraz wracam.

Słońce przemieniło chmury w parę wodną, która rozpływała się na szerokim błękitnym niebie. Ziemia wciąż była chłodna i wilgotna po deszczu. Obeszłam dom, wspięłam się na werandę i zapukałam do drzwi frontowych. Chociaż wiedziałam, że nikt mi nie otworzy, odczekałam chwilę i w tym czasie wytarłam zabłocone buty o wycieraczkę.

Nacisnęłam klamkę. Drzwi się uchyliły, weszłam więc do środka.

– Dirk!? – zawołałam.

Pamiętałam, że jest w pracy, lecz przez grzeczność wolałam się zapowiedzieć. Panująca w domu cisza dusiła w gardle, wydawała się czaić w kątach i szykować do skoku. W kuchennym zlewie piętrzył się stos niepozmywanych naczyń.

Nie zwlekając, poszłam po to, po co przyjechałam. Po książkę kucharską. Sporządzona przez Martine lista zakupów ze składnikiem, który podałam jej w przepisie, nasunęła mi pewną myśl: przypomniały mi się książki stojące na półce w spiżarni. Właśnie w książce kucharskiej schowałabym coś, co byłoby dla mnie ważne.

Przyniosłam ze spiżarni cztery tomy, rozłożyłam je na stole kuchennym, a następnie otwierałam je po kolei i delikatnie nimi potrząsałam. W pierwszej książce, *Cook with Ina Paarman*, znalazłam luźną kartkę z ręcznie zanotowanym przepisem na sernik z dynią pizmową. Druga i trzecia książka, *Karoo Kitchen* oraz *A Celebration of South African Food*, były puste. Czwarty i najgrubszy tom to było *Cook and Enjoy*. Gdy nim potrząsnęłam, spomiędzy stron wyfrunęła kartka: wydrukowana w gazecie moja odpowiedź z przepisem na curry z jagnięciny. Martine trzymała ją w książce kucharskiej, tej samej, w której ja przechowywałam list od niej, tyle że u mnie na półce stała wersja napisana po afrykanersku: *Kook en Geniet*. Przeszły mnie ciarki. Poczułam się tak, jakby poprzez książkę kucharską wysłała mi wiadomość zza grobu.

Chwilę później w środku *Cook and Enjoy* znalazłam to, czego szukałam. Były to dwie kartki: jedna pokryta cyframi, druga zaś drobnym odręcznym pismem Martine. Usiadłam i położyłam kartki przed sobą. Bzycząca mucha tłukła się o szybę. Usłyszałam warkot samochodu i przez chwilę myślałam, że to Dirk wraca do domu. Podniosłam się, żeby odstawić książki, ale samochód nie zbliżał się do farmy.

Najwidoczniej jechał gdzieś indziej.

Znów usiadłam. Poznałam jedną z kartek. Przypominała strony z ksiąg, które przeglądałam w Sparze. Widniał na niej nagłówek: „Płace w regionie”, pod nim zaś rzędy cyfr i kodów, w których nie potrafiłam się połapać. Spojrzałam więc na drugą kartkę i zaczęłam czytać.

Szanowny panie van Wyk,

listy składek przekazywanych na fundusz emerytalny, które przedstawiał mi Pan przez ostatnie trzy lata, są sfalszowane.

Martine przekreśliła wyraz „sfalszowane” i napisała nad nim „niepoprawne”.

Znalazłam na Pana biurku raport z poprawnymi danymi, który uświadomił mi, co Pan robi.

Poniżej były zamieszczone rzędy cyfr, a następnie dalszy ciąg listu.

Według moich wyliczeń ukradł Pan co najmniej dziewięćset tysięcy randów.

W tekście pojawiały się kolejne skreślenia i poprawki, najwidoczniej był to brudnopis. Martine pisała:

Nie zgłoszę tego na policję. Chcę jednak dostać trzydzieści trzy procent kwoty, którą Pan ukradł. Czterdzieści tysięcy randów teraz i dwieście sześćdziesiąt tysięcy do końca miesiąca.

W ciągu następnych trzech miesięcy ma Pan przestać przywłaszczać sobie pieniądze przeznaczone na fundusz emerytalny. Obecnie straty są na takim poziomie, że firma Old Mutual, która ubezpiecza system emerytalny, będzie zobowiązana je pokryć. Jeśli jednak nie przestanie Pan robić tego co do tej pory, w następnych latach Spar nie będzie w stanie wypłacać odpowiednio wysokich emerytur i ucierpią na tym pracownicy.

Zniszczę dowody przestępstwa, które Pan popełnił, gdy zapłaci mi Pan całą kwotę.

Przeczytałam list dwa razy. Wspomnianymi przez nią dowodami była zapewne strona z księgi rachunkowej, którą znalazłam razem z listem. Dziwne, że Martine uczestniczyła w kradzieży, a jednocześnie ważne dla niej było to, żeby nie ucierpieli na tym pracownicy. Może nawet złodzieje dzielą się na mniej i bardziej uczciwych.

Nie była to jednak dobra pora na snucie rozważań na temat moralności. Kartki, które znalazłam, świadczyły o tym, że van Wyk miał poważny motyw, aby zabić Martine. Prawdopodobnie wiedział też, jak bardzo Martine lubi sok z granatów, i mógł przynieść go razem z innymi zakupami ze Spara.

Nagle wydało mi się, że słyszę jakiś hałas, uspokoiłam się jednak myślą, że to tylko nerwy. Nie powinnam była przyjeżdżać tu sama. Mimo to po chwili znów coś usłyszałam – jakiś chrzęst.

Wstałam i ruszyłam do gabinetu, żeby zadzwonić. Podniosłam słuchawkę. Nie było sygnału. Poczulałam, że serce podchodzi mi do gardła.

Wróciłam do kuchni, odłożyłam książki na półkę w spiżarni. Dwie znalezione kartki wzięłam z sobą, ale zanim dotarłam do wyjścia, drzwi same się otwały.

Stał w nich Cornelius van Wyk. Zaczesywane na bok włosy miał zmierzwione i łysa kopuła jego czaszki lśniła niczym porcelanowa miska. W dłoni trzymał pistolet. Wycelowany prosto we mnie.

ROZDZIAŁ 75

Zamarłam. Szeroko otwartymi oczami wpatrywałam się w wycelowaną we mnie broń. Ciało i umysł wysyłały mi zupełnie różne sygnały. Kolana mi się trzęsły, ale gdzieś w głębi ducha czułam zadowolenie, że w końcu rozwiązałam zagadkę.

– Czyli to ty – wyrwało mi się, gdy rozum wziął górę nad nogami.

Van Wyk postąpił krok do przodu i wyjął mi kartki z ręki.

– Znalazłaś je – powiedział. Poruszył pistoletem, wskazując najpierw mnie, a następnie drzwi. – Idziemy – rozkazał.

Rozum znów się odezwał: „Po co z nim iść? Jeśli ma cię zabić, równie dobrze może to zrobić tutaj”.

Bładoniebieskie oczy van Wyka patrzyły na mnie chłodno, jego policzki pałały, a wąsik po czekoladowym mleku wykrzywił się w szyderym grymasie. Był to człowiek, który znajdował przyjemność w sprawianiu bólu innym.

„Nie protestuj, rób, co ci każe – podpowiadały nogi. – Idź”.

Stopy jednak ani drgnęły, jakby wrosły w ziemię.

– Szukasz Jessie? – spytał van Wyk, wydymając nozdrza.

Siłą woli zmusiłam się do marszu. Pójdę z nim.

Ruszyliśmy drogą w stronę jego golfa. Ziemia wciąż była wilgotna, stapałam więc powoli i z całej siły wciskałam buty w grunt, żeby zostawić ślady, z których Piet wyczyta całą historię. Van Wyk siadł za kierownicą i nie przestawał we mnie mierzyć, mimo że musiał prowadzić samochód. Znów poczułam bijący od niego dziwny, ostry zapach przypraw.

– Jeden głupi ruch – zagroził – i strzelam. A jeśli będziesz grzeczna, zawiozę cię do Jessie.

Pociągnął nosem i otarł go wierzchem dłoni, w której nie trzymał pistoletu. Ta woń to wcale nie aromat przypraw, dotarło do mnie. To pieprz – zapach gazu Jessie, która zaciekle się broniła.

– Popryskała cię, prawda? Gazem pieprzowym. – Znów mi się wyrwało.

– Skunksy cuchną o wiele gorzej. Jestem myśliwym.

Przycisnęłam dłonie płasko do kolan, żeby nie widział, jak się trzęsą. „Mam się go bać? – ponownie usłyszałam głos rozsądku. – Patrz na ten śmieszny, cieniutki wąsik. Jak u byle podrostka”. Nagle zatęskniłam za Kannemeyerem.

Cieszyłam się, że nie wyrwała mi się uwaga na temat wąsów kierownika.

Van Wyk jechał w kierunku Barrydale, a następnie skręcił w drogę gruntową prowadzącą do rezerwatu Touwsberg. Zwolnił, gdy przejeżdżaliśmy przez błotniste kałuże. Po dłuższej chwili dotarliśmy do metalowej bramy z napisem: „Rezerwat Przyrody Kraaifontein” i wtedy się zatrzymał.

– Otwórz ją – polecił.

Wysiadając, kolana wciąż miałam miękkie, ale umysł na tyle przytomny, by zauważyć połamane gałęzie krzewów *klapperbos* po jednej stronie drogi. Czerwone kwiaty leżały wdeptane w ziemię, wokół pełno było śladów kopyt. „Prawdopodobnie antylopa eland – odezwał się mózg. – One lubią łamać gałęzie rogami”.

Gdy van Wyk przejeżdżał przez bramę, myszka uskoczyła spod kół i smyrgnęła w krzaki. „Uciekaj”, podpowiadały nogi. Jednak mimo że najwyraźniej moje nogi przekonały się do biegania, głowa wiedziała, że nie będę szybsza od kuli pistoletu. Posuwaliśmy się wolno naprzód, podskakując na wyboistej drodze, dopóki nie dojechaliśmy do wiaty, pod którą stał zaparkowany biały terenowy *bakkie*.

Terenówka, do której się przesiedliśmy, miała opony Firestone, całe zabłocone. Ruszyliśmy w stronę wyższej partii rezerwatu Touwsberg. Pękate szare chmury przesłoniły jasne, błękitne niebo. W wąwozie zalegały fioletowe cienie. Wokół nas rozciągały się kamieniste wzgórza, na których rosły drzewa *gwarrie* i dzikie śliwy. Spłoszone naszym przyjazdem stado zebr pogalopowało w górę wzniesienia. Tętent ich kopyt przypominał łomotanie mojego serca.

Wywozi mnie na pustkowie. Zabije mnie, pomyślałam. Zaraz jednak odezwała się głowa: „Wciąż żyjesz. I jedziesz do Jessie”.

– Co się stało z Jessie? – wyrwało mi się po raz kolejny.

– Dowiedziała się o soku z granatów. Ten cholerny pakowacz Boetie wygadał, że wziąłem butelkę z magazynu. Marietjie mówi, że to kuzyn czy jakiś tam krewny tej dziennikareczki.

Kuzyn, który wziął dzisiaj chorobowe, przypomniałam sobie. Czy na pewno nie przyszedł z powodu choroby?

– Marietjie jest w to wszystko zamieszana, w te morderstwa? – spytałam.

– Och, nie. Jest po prostu lojalna, biedaczka. Opowiada mi różne rzeczy. Podejrzywałem pracowników o drobne kradzieże, więc oni oskarżyli mnie o coś grubszego.

– Jessie chciała cię złapać?

Na drodze stała antylopa kudu. Słońce wydawało się przeświecać przez jej duże uszy, gdy wlepiła w nas okrągłe, ciemne oczy.

Van Wyk nie zwolnił. W ostatnim momencie zwierzę odskoczyło, przesadzając kolczasty krzew. Z sykiem wciągnęłam powietrze, na co kierownik Spara się roześmiał.

– Tylko raz załatwiłem tak jedną – powiedział. – Za dużo bałaganu. I na samochodzie zostają

wgniecenia. Wolę łuk i strzały.

– Co z Jessie? – spytałam.

– Śledziłem ją. Wyjechała z miasta. Dopadłem ją na drodze niedaleko twojego domu.

– Dopadłeś ją?

– Potrafiłem ją.

– Potrafiłeś ją?

Powtarzałam machinalnie, ale nie potrafiłam wykrztusić z siebie nic innego, a musiałam się dowiedzieć, co z Jessie.

– Och, nic jej się nie stało, straciła przytomność tylko na chwilę. Chociaż coś nie tak jest z jej nogą. Szkoda. Miałem nadzieję, że jeszcze trochę pobiega.

– Pobiega?

Sama siebie drażniłam tym ciągłym powtarzaniem. Może van Wyka też to zirykowało. Jechaliśmy dalej w milczeniu. Zatrzymaliśmy się pod czerwonym dachem wiaty nieopodal dużego domu z szeroką werandą. Budynek kształtem przypominał kwadratowy klocek, ściany miał pomalowane na brudnozielony kolor.

Van Wyk kazał mi iść przed sobą. Weszłam do salonu z rozłożystymi skórzanymi kanapami i posadzką z płyt betonowych przykrytych dywanikami ze skór dzikich zwierząt. Wiszące na ścianach wypchane rogate łby przyglądały mi się szklistymi oczami. Przez otwarte drzwi dojrzałam kuchnię, a w niej szerokie metalowe blaty. Kierownik szurnął nogą, odsuwając na bok skórę zebry. Pod nią skrywała się drewniana kłapa.

– Otwórz – rzucił.

Chwyciłam za mosiężny uchwyt i uniosłam kwadratową kłapę. Zobaczyłam szare schody prowadzące do tonących w ciemnościach drzwi. Van Wyk wyjął z kieszeni latarkę i poświecił na schody. Drzwi w dole wydawały się masywne, zrobione z szarego metalu.

– Schodź – polecił.

Pokręciłam głową. Tym razem ciało i umysł były tego samego zdania.

– Nie chcesz zobaczyć Jessie? – spytał kierownik, celując prosto w moje serce.

Postąpiłam krok w stronę schodów, a wtedy on uśmiechnął się tym swoim paskudnym uśmiechem.

– Co za ludzie – mruknął sam do siebie.

Zszedł ze mną na dół, po czym wsunął do zamka duży klucz, przekręcił go i odemknął drzwi. Chociaż były grube i ciężkie, otworzyły się bezgłośnie. Owiało mnie lodowate powietrze, jakbym stanęła przed olbrzymią lodówką.

Usłyszałam ciche brzęczenie, a na końcu pomieszczenia zamigotało przyćmione niebieskie światło. Poza nim nie widziałam właściwie nic. Van Wyk wepchnął mnie do środka i wpadłam prosto na coś dużego i lodowatego.

Drzwi za mną się zatrzasnęły, dobiegły mnie odgłosy kroków na schodach i kolejny łoskot, najwyraźniej zamykanej drewnianej klapy.

Zaczęłam mrugać w nadziei, że oczy przyzwyczają się do półmroku. Jedyнным kształtem, który potrafiły rozróżnić, był zarys czegoś dużego, co zwisało z sufitu, nie dotykając podłogi. Jednak to nos potwierdził moje przypuszczenia. Poczułam zapach mięsa. Tuż przede mną wisiał zimny kawał mięsa. Z moich ust wydobył się jęk, nogi same się cofnęły.

– Jessie? – usłyszałam swój zduszony głos.

Odpowiedziała mi cisza. To nie było miejsce dla żywych.

ROZDZIAŁ 76

W miarę jak wzrok przyzwyczajał się do ciemności, wiszące mięso zaczęło nabierać rozpoznawalnych kształtów. Było to coś niedużego i tęgiego. Podeszłam bliżej. Kozioł. Odetchnęłam. Żał mi było zwierzęcia, poczułam jednak ulgę, że to nie Jessie.

Dotknęłam łopatki. Mięso było bardzo zimne, ale nie zamrożone. Na skórze wyczułam szczecinę i dotarło do mnie, że to martwy koziołek skalny.

Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zabić koziołka skalnego?

Objęłam się rękami, z wdzięcznością myśląc o każdym gramie tłuszczu, który mnie chronił. Chodząc po gigantycznej lodówce rozcierałam dłonie i chuchałam na palce. W przyćmionym świetle naliczyłam jeszcze sześć wiszących tusz. Choć ścisnęło mnie w żołądku, zmusiłam się, żeby podejść do każdej z nich.

Antylopa kudu, młody samiec, którego rogi dopiero zaczęły się zakrzywiać.

Samica elanda.

Dwie antylopy stenbok, samiec i samica. Być może para, przeszło mi przez myśl.

Mała zebra.

I samica zebry, która wydawała się ciężarna.

Nie znam się zbytnio na polowaniach, ale wiem, że istnieją pewne zasady, a ten człowiek ich nie przestrzegał. Zabijał zwierzęta również latem, chociaż sezon łowiecki jest w zimie.

Pod tuszą kudu zebrała się ciemna kałuża krwi. Wydawała się trochę rozmazana, pochyliłam się więc, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Na podłodze dostrzegłam odcisk ręki zrobiony krwią zwierzęcia, obok zaś małe ciemne litery: „J.M.”. Jessie Mostert tu była. Ale gdzie jest teraz?

Jessie! Gdzie jesteś, Jessie, nawoływałam w duchu.

Wyobraziłam sobie jej twarz, wyobraziłam sobie, jak uśmiecha się do mnie, cieszy się z naszego spotkania. Na tę myśl po moim zmarzniętym ciele rozlała się fala ciepła. Poczułam przypływ sił, wróciłam więc do przeszukiwania chłodni. Pod ścianą, na której zamontowano podłużną, świecącą na niebiesko lampę, stała duża zamrażarka. Nie byłam jeszcze gotowa, żeby do niej zajrzeć, obejrzałam więc dokładnie pozostałe ściany i całą podłogę w nadziei, że znajdę kolejne wiadomości od Jessie. Nic jednak nie znalazłam.

Podeszłam do zamrażarki. Wisiała na niej kłódka, ale nie była zamknięta. Podniosłam wieko. Wewnątrz zapaliła się lampka, która oświetliła foliowe worki z mrożonkami: mięsem mielonym, kiełbasami, stekami. Nie były zapakowane fabrycznie, ale przypominały mrożoną dziczyznę, którą

kupowałam w Sparze. Żadnego śladu Jessie.

W tym momencie usłyszałam dźwięk przypominający dzwonienie. To szczękały moje zęby. Zrobiło mi się niedobrze. Zamknęłam zamrażarkę, oparłam się o nią rękami i pochyliłam głowę.

Znów zobaczyłam twarz Jessie, która tym razem marszczyła brwi. „Nie poddawaj się, *tannie M.*”, mówiła.

Moje ciało znów ogrzała fala ciepła promieniująca z piersi. Zaczęłam tupać nogami, a rękami rozcierać ramiona.

– Znajdę Jessie – oznajmiłam mrożonkom.

Na schodach za drzwiami rozległy się kroki. Gdy drzwi się otwały, a latarka zaświeciła mi w oczy, ruszyłam prosto w kierunku oślepiającej jasności.

– Co z nią zrobiłeś? – spytałam.

Nie wiem jednak, czy zrozumiał moje słowa, ponieważ niemal w tej samej chwili przełknęłam ślinę. W jego dłoni zobaczyłam duży nóż.

ROZDZIAŁ 77

– Potrzebuję twojej pomocy w kuchni, *tannie* Mario – powiedział.

Na tle otwartych drzwi rysowała się jego postać i kształt noża.

Cofnęłam się i uderzyłam głową o tuszę stemboka.

Van Wyk się roześmiał.

– Cieszę się, że zaczynasz czuć respekt. Ale nie musisz się bać. – Pomachał nożem. – To do krojenia mięsa.

Widziałam stalowy błysk metalu i ciemne plamki krwi.

– Chodź, chyba trochę tu zmarzłaś?

Na nic nie przydałabym się Jessie, gdybym umarła z zimna, ruszyłam więc za van Wykiem po schodach. Widziałam przypasaną u jego boku broń. Pamiętałam z lat, które przeżyłam z Faniem, że nie nadaję się na wojowniczkę. Nie byłam dość zwinna ani silna. Teraz pożałowałam, że nigdy nie zapisałam się na zajęcia z samoobrony, nie nauczyłam się strzelać ani nic w tym stylu. Jessie na pewno znała się trochę na tym wszystkim. Może udało się jej uciec. Może nie stało się jej nic złego.

Zaprowadził mnie do kuchni. Na szerokim srebrnym blacie stały przeróżne sprzęty masarskie, maszyny do mielenia mięsa i do robienia kiełbas.

Było tu cieplej niż na dole, ale dygotałam bardziej niż w chłodni. Trzęsłam się jak ogon grzechotnika.

– Co się stało z Jessie? – wycedziłam, nie przestając szczerkać zębami.

– Może gotowanie trochę cię rozgrzeje – powiedział. – Nie jadłem nic porządnego, odkąd wyjechała moja żona, a wiem, że niezła z ciebie kuchareczka.

Na kuchence stała duża żeliwna patelnia, obok niej leżała drewniana deska z trzema kawałkami mięsa. Zauważyłam też słoik z sałatką buraczano-fasolową ze Spara.

– Usmaż te steki – polecił. – Mięso jest naprawdę świeże.

Usiłowałam włączyć kuchenkę, ale ręce odmawiały mi posłuszeństwa. Zdrętwiały z zimna.

– Pomogę ci – zaofiarował się van Wyk, udając dżentelmena, po czym odłożył nóż i podpalił gaz.

Nienawidziłam tego człowieka, tego mordercy, ale pozwoliłam, żeby włączył kuchenkę. Uniosłam dłonie i trzymałam je po obu stronach patelni. Palce miałam sine, a ciepło płomienia sprawiło, że zaczęły mnie boleć. Jednak po chwili odzyskałam w nich czucie i nalałam na patelnię nieco oleju.

Zamierzałam położyć na rozgrzanym tłuszczu mięso, lecz w tym momencie zorientowałam się, że

dłonie znów nie chcą mnie słuchać. Tym razem przyczyną było nie zimno, ale moje serce.

„Nie mogę gotować z nienawiścią – odezwało się. – Po prostu nie mogę”.

„Gotowałaś dla Faniego – przypomniał mi rozum. – A przecież go nienawdziłaś”.

„To nieprawda – zaprotestowało serce. – Po prostu go nie kochałam. Za to kochałam gotować”.

Odsunęłam się od kuchenki.

– Nie będę ci gotować – oświadczyłam.

– Właśnie, że będziesz – syknął, wyjmując pistolet.

– Gotować trzeba z miłością – powiedziałam.

Całe moje ciało było przekonane, że to, co mówię, jest prawdą, ale rozum wołał: „Oszalałaś? On cię zabije!”.

Mimo to skrzyżowałam ręce i czekałam, aż padnie strzał.

Jednak zamiast mnie zastrzelić, van Wyk parsknął śmiechem. Oschłym, ironicznym śmiechem.

– Co za ludzie... Te ich brednie o miłości. – Wykrzywił wargi w szyderczym grymasie. – Robicie się przez to słabeuszami.

Stałam bez ruchu, moje ciało nadal drżało z zimna, ale postanowienie płonęło w sercu jasnym płomieniem.

– Jeśli mi coś ugotujesz – jego głos ociekał fałszywą słodyczą – powiem ci, co się stało z Jessie. Przrzekam.

Oczywiście nie wierzyłam w żadne jego przyrzeczenia, lecz jeżeli istniała choć najmniejsza szansa na to, że się czegoś dowiem... Ugotuję, w imię miłości do Jessie.

Położyłam steki na patelni. Olej strzelił, zdążyłam jednak cofnąć ręce.

Van Wyk znów się roześmiał.

– Widzisz, ile siły daje mi twoja słabość? – zadrwił, chowając broń. – Nie wpakowałabyś się w kłopoty, gdyby nie to twoje miękkie serce. Zaczęłaś się przejmować kimś, kogo w ogóle nie znałaś. No i zobacz, co z tego masz. To nienormalne, wiesz? Zachowujesz się nienormalnie.

– Nienormalne jest to, co ty robisz – odparłam. – Jesteś chorym człowiekiem.

Może i zgodziłam się gotować dla niego, ale nie zamierzałam przyznawać mu racji.

– Brednie – prychnął. – Jestem najzdrowszy z was wszystkich. Jak drapieżnik. Potrafię o siebie zadbać.

Wyjął z kieszeni grzebień i zaczesał przerzedzone włosy na czubek głowy.

– Bez miłości i przejmowania się losem innych jesteś nikim, zwykłym samotnym człowiekiem – powiedziałam, przewracając steki na drugą stronę.

– Lubię samotność. Chociaż brakuje mi kogoś, kto umie gotować – przyznał, chowając grzebień. – A kiedy zatęsknię za... jak wy to nazywacie? – Mówiąc, przeskakiwał spojrzeniem

z miejsca w miejsce, a jego rozbiegane oczy przypominały wodne chrząszcze uwijające się w stawie. – Bliskością, intymnością, wtedy... idę polować.

Salatkę ze słoika nałożył na dwa talerze, na których ja umieściłam po steku. Trzeci, najgrubszy kawałek smażonego mięsa zostawiłam na patelni, żeby nie wystygł.

– Ile osób już zabiłeś? – rzuciłam swobodnym tonem, jak gdybym pytała, czy ma ochotę na sos pomidorowy.

– Och, to dla mnie zupełnie nowy sport – powiedział. – Do niedawna polowałem tylko na zwierzęta. Nie miałem pojęcia, że ludzie mogą dawać tyle... satysfakcji.

Obok stojących na blacie talerzy położył noże i widelce, po czym, nie siadając, zaczął jeść.

„Twoje ciało potrzebuje energii – odezwał się głos rozsądku – żeby się rozgrzać”.

Przysunęłam sobie krzesło i zmusiłam się do jedzenia.

– Najważniejsze jest jednak tropienie – ciągnął van Wyk. – Zabijanie, pif-paf i nie żyjesz, też lubię, ale to nie to samo. – Ukroił kawałek mięsa. – Oczywiście staram się oddać czysty strzał, lecz jeśli się nie uda i muszę iść śladem rannego zwierzęcia, polowanie staje się jeszcze ciekawsze. – Przeżuwał łąpczywie. – Zawsze w końcu je dopadam, wiesz? Zwykle ofiary są martwe, ale czasami tylko bardzo osłabione i wręcz proszą, żebym skrócił ich cierpienia. Co z przyjemnością robię.

Uśmiechnął się. Oczy miał puste niczym wyschnięte źródła. Gdy odgryzał kolejny kęs steku, odrobina krwi pociekła z mięsa i spłynęła mu z kącika ust.

– Hm. Nieźle gotujesz. – Mlasnął. – Naprawdę nieźle.

Nigdy nie smażę mięsa zbyt mocno, więc i tym razem wyszło soczyste i kruche. Trudno było mi wyczuć smak, ponieważ przez chłodnię i całą tę rozmowę język miałam jak z drewna. Wierzyłam, że nie jest to koziołek skalny ani nic podobnego. Zostawiłam napoczęty stek i spróbowałam sałatki. Smakowała jak typowe jedzenie ze sklepu, zmusiłam się jednak do przełknięcia buraczków zmieszanych z fasolą.

– Co się stało z Jessie? – spytałam.

– Łuk i strzały. To świetna broń. Bardzo precyzyjna w rękach dobrego strzelca. I cicha. Ofiara nie wie, co ją trafiło. Nie ma wyrzutu adrenaliny, więc mięso potem lepiej smakuje. Poza tym jeśli zdarzy ci się polować poza sezonem, nie wyda cię huk wystrzału.

– Jessie – wydusiłam z siebie. – Przyrzekłeś, że powiesz mi, co z nią.

– Ależ właśnie to robię.

Odsunęłam talerz. Ściśnięty żołądek nie przyjąłby więcej jedzenia.

– Strzeliłeś do Jessie z łuku?

– Przez tę jej zranioną nogę pościg zrobiłby się nudny. Postanowiłem więc pozwolić jej wsiąść na skuter. Z którego wcześniej spuściłem większość benzyny. – Zapchał usta buraczkami i fasolą. – Oczywiście nie miała o tym pojęcia, dlatego gdy ją dogoniłem, stała i rozpaczliwie próbowała go

odpalić. Nie zauważyła, że nadjeżdżam.

– Wjechałeś prosto w nią?

– Zawsze celuję prosto w ofiarę. I nigdy nie chybiam.

– Gdzie ona jest?

– Niedaleko – odpowiedział, podnosząc widelec, na który nadział ostatni kawałek steku. Pomachał nim wolno. – Bardzo blisko, zapewniam cię, bardzo blisko.

Spojrzałam na mięso na jego widelcu, potem zaś na napoczęty stek leżący na moim talerzu. Zbierało mi się na wymioty.

– Zjem ten ostatni kawałek z patelni, *tannie* Mario. Chyba że ty masz na niego ochotę. Widzę jednak, że jeszcze nie skończyłaś swojego?

Włożył ostatni kęs steku do ust.

Podeszłam do kuchenki, chwyciłam rączkę żeliwnej patelni obiema dłońmi. Zniosłam ją van Wykowi, a gdy stanęłam obok niego, nagle zamachnęłam się i z całej siły wymierzyłam mu cios. Próbował odskoczyć, ale mimo to grzmotnęłam go dnem patelni. Nie wiem, gdzie dokładnie trafiłam, w głowę czy w kark. Tak czy inaczej, upadł na podłogę, a ja nie czekałam, żeby sprawdzić, czy się podniesie. Wypadłam, najszybciej jak potrafiłam, z kuchni do salonu, przebiegłam po dywanach ze skór dzikich zwierząt i wybiegłam na dwór. Pędziłam w stronę rosnących rzędem drzew. Oddech mi się rwał. Spojrzałam za siebie i zobaczyłam ślady swoich stóp wyraźnie odcisnięte na wilgotnym piasku.

ROZDZIAŁ 78

Dzięcioł kuł w drzewo rosnące nieopodal koryta rzeki. W takim samym szaleńczym rytmie łomotało mi serce. Łup-łup-łup. Nie jestem urodzoną biegaczką, lecz moje nogi starały się, jak mogły. Pracowały wytrwale, unosząc mnie jak najdalej od tamtego człowieka. Jak najdalej od ostatniego steku, który spadł na podłogę, gdy przyłożyłam van Wykowi patelnię.

Chmury pęczniały i ciemniały, usłyszałam grzmot.

Deszczu, modliłam się w duchu, przyjdź. Spadnij na mnie. Zmyj moje ślady. Ochroń Jessie.

Zaburczało mi w brzuchu. Miałam nadzieję, że to nie kawałek Jessie przewraca się w moim żołądku. Nie powinno się biegać tuż po posiłku. Mimo to moje nogi nie przestawały się ruszać i z każdym krokiem zbliżałam się do drzew, które mogły mnie osłonić.

Gdy byłam tuż-tuż, rozległ się trzask, a ja drgnęłam. Serce mi podskoczyło niczym spłoszony dzięcioł podrywający się do lotu. Był to jednak huk nie wystrzału, ale pioruna.

W następnej sekundzie poczułam deszcz. Woda lała się strumieniami, ciurkiem spływając mi po twarzy.

Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.

Schroniłam się pod drzewami rosnącymi wzdłuż koryta rzeki. Wiatr wył, kołysząc gałęziami, potrząsając liśćmi. Stałam tak, żeby nie było mnie widać z domu, i oparłam się o pień kamforowca, usiłując złapać oddech. Ręce mi drżały, zęby szczękały. Objęłam się i potarłam dłońmi ramiona.

„Dobra robota, *tannie* Mario – pochwalił mnie rozum. – Wciąż żyjesz. Może Jessie również”.

Znów zaburczało mi w brzuchu i niemal w tym samym momencie po niebie przetoczył się grzmot. Nogi poniosły mnie dalej. Zaczęłam schodzić w dół koryta rzeki, a deszcz zmywał ślady, które zostawiałam. Zmierzałam na południe, w kierunku bramy, taką przynajmniej miałam nadzieję.

Spod dużego krzewu kolcowoju wyskoczył królik. Sadził w moją stronę, zatrzymałam się więc i stałam nieruchomo, żeby go jeszcze bardziej nie przestraszyć. Zwierzątko gwałtownie skręciło, aby mnie ominąć, po czym wielkimi susami popędziło w górę koryta rzeki.

Wtedy zobaczyłam, czego tak bardzo przeraził się królik.

Około dziesięciu metrów przede mną spod akacji obrośniętej pasożytniczymi żółtymi pnączami wyłonił się on. Włosy miał zmierzwiłone, usta wykrzywione w szyderyczym uśmiechu. U jego pasa wisiał łuk i strzały.

Van Wyk krzyknął coś do mnie. Burza zagłuszyła jego słowa, lecz po chwili zawołał ponownie:

– Biegnij, *tannie*, biegnij!

Z przerażenia dygotałam na całym ciele, ale nie uznawałam biegania. Zwłaszcza jeśli proponował mi to morderca, który chciał ze mnie zrobić ruchomy cel.

Przestąpił krzew *slymbos* i zaczął machać rękami, jak gdyby odpędzał kury. Ja jednak stałam nieruchomo, deszcz spływał mi po włosach, ubranie miałam przemoczone do suchej nitki. Van Wyk pokręcił głową, po czym uniósł łuk i strzałę, żeby nimi pogrozić.

Gdy się nie poruszyłam, on zaczął się cofać. Strzał z odległości dziesięciu metrów był dla niego niewart zachodu. Oddalił się ode mnie o drugie tyle, a wtedy znów podniósł łuk, założył strzałę i napiął cięciwę.

W chwili gdy wypuścił strzałę, mój umysł, ciało i serce stopiły się nagle w jedno i stało się coś dziwnego. Trudno to opisać, ale mogę spróbować.

Z przerażenia i zimna trzęsłam się jak liść, kiedy jednak van Wyk napiął łuk, zamarłam.

Mój czas się skończył, a jednocześnie miałam wrażenie, że mam go więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Przez chwilę obserwowałam spadającą kroplę deszczu.

Gdy wypuścił strzałę, nie zaczęłam biec.

Frunęłam.

Uniosłam się w powietrze i frunęłam w bok.

Myślałam, że umarłam, ale wciąż żyłam. Odrunęłam niczym feniks.

Tym, co sprawiło, że uniosłam się jak na skrzydłach, był ogień miłości, którą poczułam w sercu. To dzięki niej stałam się silniejsza niż van Wyk. Dzięki niej zyskałam moc, a on stracił wszystko.

Poczułam, że kocham. Kocham życie. Kocham Jessie, Hats i swoje kury. I Kannemeyera.

Miłość mnie uniosła. Sprawiała, że urosły mi skrzydła.

Odrunęłam na bok i znowu w dół. Lądowanie nie było zbyt miękkie. Zwaliłam się ciężko na ziemię. Łup! Nie czułam jednak bólu. Jakaś część mnie wciąż leciała.

W następnym momencie van Wyk stał już nade mną, wargi miał podwinięte, zęby małe i brzydkie.

– Dzięki tobie robi się naprawdę ciekawie – warknął. Na jego lichym wąsiku połyskiwały krople deszczu. – Przykro mi, że muszę to zakończyć, ale mam przed sobą jeszcze jedno polowanie.

Ulewa zelżała, niewielkie krople padały na mnie delikatnie. Van Wyk założył strzałę, napiął łuk i wycelował we mnie. Mierzył prosto w serce.

– Ciekawe, czy strzała wypuszczona z tej odległości przebije cię na wylot? – Zastanowił się. – Jesteś dość... nabita.

Zamknęłam oczy, żeby nie musiała oglądać jego paskudnego uśmieszku. Wyobraziłam sobie

Jessie i Hattie pijące herbatę i przegryzające herbatnikami. Zobaczyłam też Kannemeyera, jego gęste wąsy i ładny uśmiech.

Nie bałam się.

ROZDZIAŁ 79

Usłyszałam huk, a następnie głuchy łoskot. Czy to odgłos strzały przebijającej moje serce na wylot?

Nadal jednak nie czułam żadnego bólu. Może to trzask pioruna? Otwarłam oczy. Nie zobaczyłam wbitej w swoje ciało strzały, ujrzałam za to twarz, którą sobie wyobrażałam. Tę z kasztanowymi wąsami. W tym momencie zrozumiałam, że nie żyję.

– Mario – powiedział ów człowiek, klękając przy mnie. – Nic ci nie jest?

Położył dłoń na moim czole. Deszcz ustał, lecz twarz wciąż miałam mokrą. Podniosłam się, żeby usiąść. Czyli jednak żyłam. I okropnie się trzęsłam.

– Zimno mi – wymamrotałam.

Zęby szczękały mi tak mocno, że nie byłam pewna, czy mnie usłyszał, zrozumiał jednak, o co chodzi. Rozpiął swoją koszulę, zdjął ją i zarzucił mi na ramiona.

– Przynieś coś ciepłego – polecił Pietowi, który na te słowa obrócił się i pobiegł w stronę domu.

Van Wyk leżał na ziemi w korycie rzeki. Nieruchomo jak trup. Z czerwoną plamą na koszuli.

– Zastrzeliłeś go – powiedziałam.

Kannemeyer pomógł mi wstać. Klatkę piersiową porastały mu kasztanowe włosy. Przyciągnął mnie do siebie i przytulił. Przypomniało mi się, jak trzymał Annę, gdy mu się wrywała. Ja nie próbowałam się wrywać z jego objęć. Był gorący jak świeżo upieczony chleb. Moja skóra wchłaniała ciepło jego ciała, lecz mimo to nie potrafiłam przestać dygotać.

– Musimy cię rozgrzać – rzekł.

Objął mnie ramieniem i pomógł wspiąć się na brzeg rzeki. Obróciłam się, żeby spojrzeć na van Wyka.

– Zamknął mnie w chłodni – przypomniałam sobie. Nadal drżałam, ale otwarłam usta szerzej, żeby nie dzwonić zębami. – Jessie. Chyba postrzelił Jessie. Z łuku. Kiedy jechała skuterem. Opowiadał o tym...

Szliśmy w stronę domu. Wypadli z niego Reghardt i Piet niosący dużą skórę kudu. Gdy do nas przybiegli, Kannemeyer otulił mi nią ramiona i plecy.

– Czy jest tutaj Jessie? Widziałaś ją? – wypytywał Reghardt.

Ciemne oczy miał wilgotne, twarz bladą.

– Nie. Ale... – Zaburczało mi w brzuchu i zrobiło mi się niedobrze.

– Co takiego? – ponaglał mnie Reghardt.

– Była tutaj. Widziałam odcisk jej ręki zrobiony krwią i inicjały napisane na podłodze. W chłodni jest pełno martwych zwierząt. Wiszą na hakach.

– Gdzie? O czym ty mówisz? – nie pojmował Reghardt.

– Pod skórą zebry jest kłapa, a dalej schody. Prowadzą do chłodni.

Reghardt zawrócił w kierunku domu.

– Drzwi są zamknięte na klucz – uprzedziłam.

– Przeszukaj van Wyka, sprawdź, czy ma jakieś klucze – polecił Kannemeyer Reghardtowi, który bez słowa popędził w dół rzeki.

– Była bójka – oświadczył Piet. – Z użyciem patelni. Ty go uderzyłaś?

Przytaknęłam.

– Kazał mi usmażyć steki, a potem powiedział... Powiedział... Mówił tak, jak gdyby mięso było z Jessie. Jakbyśmy jedli ją. Na podłodze w kuchni został jeden stek. I na moim talerzu.

Piet pobiegł do domu.

– Musisz wziąć gorącą kąpiel – oświadczył Kannemeyer, gdy doszliśmy do werandy.

Zaburczało mi w brzuchu i wnętrzności przewróciły się we mnie na sam widok domu.

– Nie pójdę tam – oznajmiłam.

Reghardt wrócił z pękiem kluczy, wyciągnął je w moją stronę, a wtedy ja wskazałam ten najdłuższy, pasujący do zamka w chłodni. Komisarz Kannemeyer wydał Pietowi i Reghardtowi kilka krótkich, treściwych rozkazów. Wezwać posiłki, rozpocząć poszukiwania, sprowadzić karetkę.

– Niedługo wrócę! – zawołał przez ramię, gdy prowadził mnie w stronę policyjnego samochodu. – Aspirancie Snyman, proszę zadzwonić do Harriet Christie i przekazać jej, żeby pojechała do domu *tannie* Marii. Posterunkowy Witbooi, proszę odnaleźć ślady skutera.

Samochód stał zaparkowany pod dziwnym kątem obok wiaty rzucającej pręgowane cienie na terenówkę van Wyka. Kannemeyer pomógł mi wsiąść i dokładnie opatulił mnie skórą kudu. Nie poprosił, żebym oddała mu koszulę.

Gdy ruszaliśmy, podbiegł do nas Piet.

– Te steki – powiedział. – Wiem, co to za mięso. Mrównik.

W brzuchu przestało mi burczeć, wypełniło go błogie uczucie ulgi.

ROZDZIAŁ 80

– Mario, opowiedz mi, co się stało – poprosił Kannemeyer.

Podskakiwaliśmy na wyboistej drodze, ogrzewanie było włączone na cały regulator. Na skórze zaczynałam czuć ciepło, ale chłód przeniknął mnie aż do kości i dalej we mnie tkwił.

Zrelacjonowałam mu wszystko, cofając się do samego początku.

– Kiedy się obudziłam dziś rano, zaczęłam myśleć o gabinecie w domu Dirka – zaczęłam.

Opowiedziałam o rozważaniach na temat dokumentów, wizycie w Sparze i olśnieniu, którego doznałam w sprawie książek kucharskich. Nie obchodziło mnie, czy Kannemeyer rozzłości się na mnie i powie, że znów narobiłam głupstw. Dla mnie liczyło się tylko to, by odnaleźć Jessie. Żywą lub martwą.

On jednak się nie rozzłościł, słuchał uważnie i co pewien czas zadawał pytania. Tors wciąż miał nagi, pachniał ziemią, deszczem i gałką muszkatołową.

Gdy zatrzymaliśmy się przed bramą rezerwatu, powiedział:

– Patrz na tę antylopę.

Mała antylopa stenbok leżała w cieniu drzewa *gwarrie*, uszy miała postawione. Kannemeyer wysiadł z samochodu, żeby otworzyć bramę, a wtedy zwierzę zerwało się i pognało przez sawannę.

Jechaliśmy przez kałuże stojące na drodze gruntowej, dopiero po dłuższej chwili dotarliśmy do asfaltu. Kannemeyer usłyszał ode mnie o zapachu pieprzu, cienkim wąsiku van Wyka, zabitych zwierzętach i o tym, co powiedziałam mordercy na temat miłości. A kiedy moja opowieść dobiegała końca, opowiedziałam mu nawet, jak frunęłam. Nie przyznałam się jednak, że to ogień miłości, która płonie w moim sercu, sprawił, że uniosłam się niczym feniks. Ani że gdy pomyślałam o nim i o jego kasztanowych wąsach, przestałam się bać.

Zamiast tego spytałam:

– Jak mnie znaleźliście?

– Chyba dzięki Boetiemu. I Harriet. Przyglądała się notatkom, które zrobiłyście na tablicy w redakcji, i przypomniała sobie, że Jessie chciała porozmawiać ze swoim kuzynem pracującym w Sparze. Na dodatek ty dość długo nie wracałaś ze sklepu, Harriet pojechała więc do Spara. Nie znalazła tam jednak ani ciebie, ani Boetiego.

Przejechał dłonią po klatce piersiowej. Słońce, które wyglądało zza chmur, padło na niego, oświetlając rude i siwe włosy porastające jego tors.

– Martwiła się o ciebie – ciągnął. – Dlatego zjawiła się w komisariacie. Akurat był u nas Marius, przechodził test opon. Piet powiedział, że ślady jego samochodu są inne niż te, które nas interesują, ale tak czy inaczej, zamierzaliśmy przeszukać jego dom. Harriet przekonała nas jednak, że najpierw musimy znaleźć Boetiego. Ja też zacząłem się o ciebie niepokoić.

Zerknął na mnie, a ja spuściłam wzrok i utkwiałam spojrzenie w dłoniach. Wciąż mi się trzęsły.

– To dziwne, że cały czas są lodowate – powiedziałam. – Znaleźliście więc Boetiego?

– Tak. Pojechał do Suurbraak, żeby się upalić z kumplami. Był nawalony, ale otrzeźwiliśmy go i wydobyliśmy z niego całą historię. Nie poszedł do pracy, ponieważ się bał, że szef jest na niego wściekły.

– Cieszę się, że nic mu się nie stało. Boetiemu. Martwiłam się, czy nie dopadł go van Wyk...

– Jessie dowiedziała się od niego, że van Wyk wziął butelkę soku z granatów.

– Tak – przytaknęłam. – Van Wyk powiedział mi o tym. Marietjie usłyszała rozmowę Boetiego z Jessie i pobiegła z tym do szefa.

– Boetie nie wiedział, dlaczego Jessie tak bardzo się tym przejęła i wypadła ze sklepu. Domyślił się za to, że Marietjie ich usłyszała, i widział, jak po wyjściu Jessie poszła prosto do biura van Wyka. Boetie zerwał się wtedy z pracy i pojechał stopem do Suurbraak.

– Rozmawiałeś z Marietjie?

– Powiedziała, że van Wykowi wolno wynosić różne rzeczy z własnego sklepu. To wcale nie kradzież. Potem się rozplakała i nie wykrztusiła nic więcej. Przeszukaliśmy jego dom w mieście, a potem pojechaliśmy na farmę. Dzięki Bogu, zdążyliśmy na czas. Zanim... – Kannemeyer mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Ręce również miał porośnięte miękkimi, kasztanowymi włoskami. – Gdyby tobie...

Spojrzał na mnie. W jego oczach dostrzegłam smutek. Chciałam wyciągnąć rękę i położyć palce na jego dłoni, ale tego nie zrobiłam.

Przeniósł spojrzenie z powrotem na jezdnię, poruszył kierownicą i skręcił w drogę prowadzącą do mojego domu.

– Sierżant Vorster dołączył do ekipy poszukiwawczej – oznajmił Kannemeyer, parkując na moim podjeździe.

– Ty również powinieneś być z nimi – powiedziała. – I ja też.

– Tak, tak, zaraz tam wracam. Trzeba cię tylko rozgrzać i wysuszyć. Harriet niedługo przyjedzie.

Ręce nadal mi się trzęsły, nie potrafiłam sobie poradzić z otwarciem drzwi. Kannemeyer obszedł samochód i pomógł mi wysiąść, przytrzymując skórę, którą byłam owinięta.

Zaprowadził mnie do domu, po czym poszedł prosto do łazienki, żeby napuścić wody do wanny.

Potem znalazł butelkę brandy Klipdrift, napełnił alkoholem kieliszek i rozmieszał w nim łyżkę cukru. Przyjemnie było patrzeć na niego, jak chodzi po domu bez koszuli. Usiłowałam nie gapić się za bardzo na jego szeroki tors i kasztanowe włoski, które porastały klatkę piersiową, schodziły w dół, wokół pępka, i ginęły pod paskiem od spodni. Kiedy się odwracał tyłem, patrzyłam na mięśnie napinające się pod śniadą skórą jego pleców. Po chwili Kannemeyer podał mi posłodzoną brandy. Ręce mi drżały, więc trochę rozlałam, ale udało mi się wypić jeden duży łyk, który niczym fala ognia spłynął wzdłuż przełyku i trafił do żołądka.

Gdy kąpiel była gotowa, Kannemeyer mnie zawołał. Włożyłam czubki palców do wody.

– Au! – syknęłam. – Gorąca.

Nachylił się i łokciem sprawdził temperaturę wody.

– Jest dobra – zawyrokował. – Tylko wydaje ci się gorąca, ponieważ jesteś przemarznięta. Ale doleję trochę zimnej, a potem ty, kiedy wejdiesz, będziesz mogła dolać gorącej.

Wlał zimnej wody, po czym zdjął ze mnie skórę kudu. Nie poprosił o zwrot swojej koszuli.

– Będę niedaleko – oznajmił. – Na wypadek gdybyś czegoś potrzebowała.

Wyszedł i zamknął drzwi łazienki. Zsunęłam jego koszulę z ramion, przyłożyłam ją do twarzy i zaczęłam wdychać jego zapach. Gdy w końcu położyłam ją na koszu z brudną bielizną, zabrałam się do odpinania guzików przy swojej bladoniebieskiej sukience, lecz zgrabiałe palce nie mogły sobie z tym poradzić. Usiłowałam ściągnąć sukienkę przez głowę, jednak ten sposób okazał się jeszcze gorszy, więc ponownie naciągnęłam ją na siebie.

– Mario – odezwał się Kannemeyer. Wciąż stał pod drzwiami. – Wszystko w porządku?

– Guziki – stęknęłam.

– Potrzebujesz pomocy? – spytał.

Skinęłam głową.

– Czy mogę wejść?

Znów pokiwałam głową. Trudno mi było głośno prosić o tego typu pomoc.

– Mario?

Zapukał, po czym wszedł.

– Nie mogę odpiąć guzików – powiedziałam.

Sukienka nadal była mokra i przywierała do dekoltu. Kannemeyer przysunął się do mnie. Czułam jego oddech. Pachniał korą cynamonową i miodem. Moje piersi falowały w rytm oddechu, chociaż przykazywałam im spokój.

– Może powinniśmy poczekać na Hattie – wymamrotałam.

Ujął moje zmarznięte ręce i zamknął je w swoich ciepłych dłoniach. Na chwilę przestałam drżeć. Zajrzał mi w oczy.

– Moim zdaniem nie powinniśmy czekać – powiedział.

Puścił moje dłonie i odpiął pierwszy guzik przy sukience.

ROZDZIAŁ 81

Odpinając kolejne guziki, nie przestawał patrzeć mi w oczy. Palce trochę mu drżały. Wstrzymałam oddech, żeby uspokoić piersi, ale po chwili zaczęło mi brakować powietrza, musiałam więc odetchnąć. Opuszki jego palców otarły się o mnie, ręce szukały kolejnego guzika.

Czułam ciepło jego ciała, fale gorąca promieniujące w moim kierunku. Gdy rozpiął wszystkie ciągnące się do samych ud guziki, zsunął mi sukienkę z ramion. Cieszyłam się, że mam na sobie ładną bieliznę, z białej bawełny.

Stał naprzeciwko mnie – tak blisko, że łaskotały mnie włoski na jego torsie. Objął mnie ramionami, żeby odpiąć biustonosz. Zdjął mi ramiączka, biustonosz upadł na ziemię. W następnej sekundzie jego ciepło pochłonęło mnie, przylgnęłam do niego całym ciałem.

Położył dłoń z tyłu mojej głowy, delikatnie, jakby się obawiał, że ją stłucze. W tym momencie usłyszałam warkot nadjeżdżającego samochodu. Kannemeyer cofnął się, a moje ręce automatycznie się podniosły, zasłaniając piersi. Wtedy jednak uzmysłowiłam sobie, że tego dnia byłam o włos od śmierci i mogło się zdarzyć, że umarłabym i przez całe życie żaden mężczyzna nie zobaczyłby mnie nagiej. Pozwoliłam więc rękom opaść.

Patrzył na mnie, stojącą w samych majtkach i ubłoconych *veldskoene*, po czym się uśmiechnął. Tym swoim szerokim, jasnym uśmiechem, od którego serce mi podskakiwało.

– Ślicznie – powiedział.

Chwycił swoją koszulę i wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi. Skończyłam się rozbierać, weszłam do wanny i położyłam się na plecach w ciepłej wodzie. Lód mrozący mnie od wewnątrz powoli się topił.

ROZDZIAŁ 82

– Wszystko w porządku, Mario, kochanie!?! – zawołała Hattie przez drzwi łazienki.

– Hats! Wszystko dobrze, *skat*.

– Zaparzę nam dzbanek herbaty – zaproponowała. – Komisarz powiedział, że mam ci przypomnieć, żebyś dołała gorącej wody.

Gdy odkręcałam kurek, usłyszałam warkot odjeżdżającego samochodu. Przestałam się trząść, ciepło rozlało się po całym moim ciele.

Ubrałam się w spodnie i koszulę, włożyłam świeże skarpetki i *veldskoene*, po czym wyszłam na werandę. Hattie zerwała się, by uścisnąć mnie z całej siły.

– Och, Mario! *Tannie* Mario! – wyszeptała.

Jak na chudą osobę przytulała całkiem dobrze. Na stole stała tacka z filiżankami, dzbanek w ocieplaczu i otwarta puszka z herbatnikami. Nalałam nam herbaty, jak gdyby była to zwykła wizyta złożona przez przyjaciółkę w piątkowe popołudnie. Nadbiegły rozgdakane kury, sypnęłam im więc garść gniecionej kukurydzy.

– Odchodziłam od zmysłów z niepokoju – rzekła Hattie.

Opowiedziałam jej, co się wydarzyło, popijałyśmy herbatę i przegryzałyśmy herbatnikami.

– Dzięki Bogu ten okropny człowiek nie żyje – westchnęła.

– Dzięki tobie, Hats. Gdybyś nie pomyślała, żeby porozmawiać z Boetiem, nie zdążyliby mnie...

– Och, bzdury! – Machnęła dłonią, jak gdyby odganiała natrętnego owada. – Wszyscy zrobiliśmy, co w naszej mocy. Jestem przeszczęśliwa, że żyjesz.

Nie wyglądała jednak na szczęśliwą. Twarz miała bladą i zmęczoną. Krzesło, które zwykle zajmowała Jessie, ziało pustką. Patrzyłyśmy w milczeniu, jak popołudniowe słońce rozprasza ostatnie burzowe chmury, ale po chwili cisza stała się zbyt donośna.

– Nie możemy siedzieć i czekać z założonymi rękami – odezwałam się. – Jedźmy i pomóżmy jej szukać.

– Mówisz poważnie, *tannie* M.? Nie potrzebujesz trochę odpocząć?

– A ty potrafisz teraz odpoczywać? – spytałam, wstając.

Przyjaciółka westchnęła i również się podniosła. Chwyciłam puszkę herbatników, kurtkę i latarkę, po czym ruszyłyśmy do samochodu. Toyota etios stała wciśnięta między pień eukaliptusa i cierniste

gałęzie rosnącego obok krzewu.

- Może ja poprowadzę? – zaproponowałam.
- Nie żartuj, Mario. Po tym wszystkim, co dzisiaj przeszłaś?
- Mogłybyśmy podjechać do Dirka i wzięłabym swój *bakkie*.
- Pojedziemy tam później – orzekła Hattie. – Kiedy całkiem dojdiesz do siebie.
- Masz rację, nie ma czasu do stracenia.

Oprócz tego, że mówiłam przyjaciółce, gdzie skręcić, nie rozmawiałyśmy po drodze prawie wcale, ponieważ przez większą część podróży wstrzymywałam oddech. Hattie prowadziła gorzej niż zwykle – a może tak mi się tylko wydawało przez moje rozstrojone nerwy oraz kałuże i wyboje na trasie.

Pudełko z herbatnikami grzechotało na tylnym siedzeniu, wzięłam więc je na kolana w obawie, że z ciastek zostaną same okruszki. Nie prosiłam jednak przyjaciółki, aby zwolniła, ponieważ chciałam dotrzeć na miejsce najszybciej, jak się da. Na szczęście nie zabiłyśmy się ani nie uśmierciłyśmy po drodze żadnej żywej istoty. Zdaje się, że zwierzęta były na tyle mądre, by słysząc samochód Hattie, ewakuować się na drugą stronę wzgórza.

– Boże drogi – powiedziała Hattie, hamując gwałtownie na zderzaku kombi, który stał zaparkowany przed domem van Wyka. – Ale cyrk.

– Wygląda na to, że zjechało się pół miasteczka – zauważyłam.

Barwny tłum wylewał się z werandy na podjazd i składał się z następujących osób: zbitych w gromadkę krewnych Jessie, korowodu pielęgniarek przybyłych razem z mamą Jessie, która ubrana w biały uniform obejmowała się rękami, wędrowniej trupy adwentystów dnia siódmego oraz obandażowanych klaunów – Dirka, Johna i Anny na wózku inwalidzkim.

Umundurowani funkcjonariusze dzielili zebranych na grupki. Stojący na werandzie Kannemeyer pokazywał coś na mapie przyklepionej do ściany. Miał na sobie koszulę – bardzo pomiętą.

Usłyszałam, jak mówi:

– Idziecie tylko tam, gdzie zaprowadzą was policjanci. – Na mój widok zmarszczył brwi i pokręcił głową, ale mówił dalej: – Chodzi o to, żeby w okolicy nie pozacierać śladów, które posterunkowy Witbooi będzie cały czas badał. Żadnej bezładnej bieganiny.

– To dlaczego tamten facet biega tam i z powrotem jak wariat? – spytała Anna, wskazując na pobliskie wzgórze i postać, która przemykała zygzakiem po zboczu niczym szakal grasujący na sawannie.

– To aspirant Reghardt Snyman. Pracuje z posterunkowym Witbooiem. Słuchajcie, nie ma czasu na wygłupy. Albo robicie, co mówimy, albo wracacie do domu. Zrozumiano?

Część osób przytaknęła. Anna wyjęła srebrną piersiówkę, pociągnęła z niej łyk, po czym położyła

ją na gipsie.

– Dobra, teraz słuchajcie uważnie. Grupa pierwsza idzie ze mną. Gdy dotrzemy na miejsce, powiem wam, co robić.

Zanim skończył mówić, na drodze pojawił się rozpędzony czerwony sportowy samochód, który wpadł w poślizg i zahamował, wyrzucając żwir spod opon.

– Grupa druga pójdzie z sierżantem Vorsterem – oznajmił Kannemeyer. – Trzymacie się go, ale idziecie trzy metry za nim. Grupa druga... Czy wy w ogóle mnie słuchacie?

Zaraz jednak się zorientował, że na chwilę cała uwaga zgromadzonych skupiła się na czymś innym. Pokręcił głową i zrobił krótką przerwę, żeby ludzie mogli się napatrzeć na przybyłą Candy.

Jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe niż zwykle, gdy wysunęły się z samochodu w ciemnogrnatowych szpilkach. Zaraz potem ukazała się krótka błękitna sukienka i złociste włosy opadające luźno na ramiona. Nawet na wyboistej drodze Candy poruszała się niczym modelka na wybiegu.

Zobaczyła Kannemeyera, ale zignorowała go i spojrzała na mnie.

– *Tannie* Mario! – zawołała, jak gdybym to ja przewodniczyła całemu temu zbiegowisku. – Przyjechałam, gdy tylko o wszystkim usłyszałam. Czy mogę jakoś pomóc?

– Chodź do nas – powiedziałam. Hattie i ja zostałyśmy przydzielone do grupy pierwszej. – I posłuchaj, co mówi komisarz.

Candy zacisnęła różowe wargi i stanęła obok mnie. Pachniała kwiatem cytryny.

– No dobra – podjął Kannemeyer i pokazał obszar na mapie. – Grupa druga pojedzie z sierżantem Vorsterem na południe.

Cztery ekipy poszukiwawcze zostały przydzielone do czterech różnych obszarów. Trzy grupy, każda prowadzona przez jednego policjanta, wyruszyły. Grupa pierwsza została, czekając na Kannemeyera.

– Pani Pretorius. Nie przejedzie pani tym czymś przez sawannę. – Komisarz zwrócił się do Anny, która zaczęła się toczyć za drugą grupą.

– Mam lornetkę – odparła Anna, wyjmując ją z kieszeni przy wózku i machając nią w stronę komisarza.

– Lepiej niech pani zostanie tutaj. – Obrócił się do kuśtykających, owiniętych bandażami Dirka i Johna. – Wszyscy troje zostańcie.

– Cholera jasna! – zaklął Dirk pod nosem.

– Aspirant Smit potrzebuje wsparcia tu, w naszej bazie.

Smit uniósł brwi.

– Karetka przyjedzie lada chwila. – Kannemeyer zwrócił się do aspiranta. – Zabiorą van Wyka.

– Co? – spytała Anna.

– On wciąż tu jest? – zdziwił się John.

– Zabiję go – warknął Dirk.

– On nie żyje – przypomniał Kannemeyer.

– Nie obchodzi mnie to – zaciętrzewił się Dirk. – Gdzie on jest?

– Słyszę karetkę – oznajmił komisarz.

Nad wzgórzami unosiło się wycie syreny.

Kannemeyer spojrział na aspiranta Smita i poruszył ustami, bezgłośnie wymawiając słowo: „wybacz”. Zaraz potem zarządził wymarsz grupy pierwszej.

– Dołączymy do posterunkowego Pieta Witbooia – oznajmił nam.

W grupie było nas dziesięcioro i ci, którzy nie zmieścili się do prowadzonej przez komisarza furgonetki policyjnej, wsiedli do samochodu Hattie. Z przodu usiadł chudy młodzieniec o zaczerwienionych oczach, z wełnianą czapką naciągniętą głęboko na uszy. Pachniał jakimś słodkim ziołem. Może bazylią?

Georgie, adwentystka dnia siódmego, i Candy zajęły miejsca z tyłu razem ze mną. Na kolanach trzymałam puszkę z połamanymi herbatnikami.

– Modlimy się za nią. – Georgie poklepała mnie po kolanie.

Hattie, cofając, raz jeszcze stuknęła w kombi.

– Oj, oj! – zawołała piskliwie Georgie, po czym śpiewnym głosem zaczęła odmawiać modlitwę.

– Dzień dobry – zwróciła się Hattie do młodego mężczyzny. – Jestem Harriet Christie.

– E-he – odpowiedział młodzian.

– A ty jak masz na imię?

– Boetie – wymamrotał.

– Ach, osławiony Boetie Mostert – mruknęła, dodając gazu i pędząc wyboistą drogą, żeby dogonić furgonetkę Kannemeyera.

– Promieniejesz, kochana. – Candy zerknęła na mnie, przytrzymując się siedzenia przed sobą. – Co się stało?

Pomyślałam o Kannemeyerze w łazience i zrobiło mi się gorąco.

– Być może Jessie uciekła – powiedziałam. – Spryskała go gazem łzawiącym.

– Aż się zarumieniłaś. Mam nadzieję, że tak było. Jessie to wulkan energii. – Spojrzała na moje ubłocone trzewiki. – Mam buty w sam raz dla ciebie. Przyślę ci parę.

Hattie lawirowała po szosie, omijając kałuże i objając się o przydrożne głązy.

Im częściej zdarzały się uderzenia, tym szybciej modliła się Georgie i tym bardziej piskliwe robiły się okrzyki przerywające słowa modlitwy.

– Panie, o Panie, oj, oj! O Panie, gdy kroczymy doliną śmierci, zachowaj nas od złego. Oooj, ooj!

– Widzę Pieta – oznajmiłam.

Zatrzymałyśmy się centymetr za furgonetką Kannemeyera, o włos unikając zderzenia. Może modlitwy Georgie rzeczywiście działały.

Wysypaliśmy się z samochodu i rozejrzeliśmy po dzikiej sawannie i wzgórzach. Na grzbiecie odległego wzniesienia dostrzegłam rysujące się na tle nieba sylwetki zebr. Razem z herbatnikami stanęłam na tyle blisko mężczyzn, żeby słyszeć ich rozmowę. Piet siedział w kucki przy drodze i wpatrywał się w błotnistą ziemię.

– Co robisz? – spytał Kannemeyer.

– Patrzę na mrówki – odpowiedział Piet.

– Znalazłeś coś?

– Mocno padało.

– Ślady kół?

– Są ślady skutera i opon Firestone. Zatrzymują się. Opony Firestone zawracają i jadą z powrotem.

– A odciski butów?

– Za mocno padało.

Kannemeyer przestąpił z nogi na nogę.

Piet dalej obserwował mrówki.

Komisarz szarpnął wąsa.

– Przywiozłem ochotników, chcą pomóc w poszukiwaniach.

Piet przytaknął skinieniem głowy i przesunął się parę centymetrów do przodu, nie odrywając wzroku od rzędu mrówek.

– Powiesz im, dokąd mają iść? – spytał Kannemeyer.

– Najpierw one muszą mi to powiedzieć – odparł Piet ze spojrzeniem utkwionym w ziemi.

– Posterunkowy Witbooi. – Kannemeyer zawiesił głos.

Piet wskazał ziemię przed sobą.

Popatrzyliśmy na mrówki. Maszerowały jedna za drugą, tworząc długą linię ginącą na sawannie przed nami. Tuż obok drugi rząd owadów skądś wracał.

Piet ruszył za mrówkami, Kannemeyer i ja poszliśmy w ślad za nim.

Szereg owadów wił się między *vetplantjies*, następnie zakręcał i prowadził za krzew wilczomleczka palczastego. Piet zaczął dotykać ziemi stopą. Gleba była miękka i naruszona.

– Pod spodem jest coś, co jedzą mrówki – oznajmił.

Reghardt zbiegł do nas ze wzgórza, twarz miał podrapaną i pobrudzoną pyłem.

– Co takiego? – wydyszał. – Co znaleźliście?

– Przynieś łopatę z furgonetki – polecił mu Kannemeyer.

Reszta ekipy poszukiwawczej dogoniła nas i ustawiła się za nami. Wszyscy przykładali dłonie do czoła, żeby osłonić oczy przed popołudniowym słońcem. Rozstąpili się, gdy Reghardt wrócił z łopata. Kannemeyer chciał go wyręczyć, ale młody mężczyzna na to nie pozwolił.

Piet pokazał, gdzie kopać. Reghardt natychmiast wbił łopatę w ziemię, kopał jednak ostrożnie i płytko. Jak gdyby nie chciał uszkodzić tego, co było pod spodem.

Przez dłuższą chwilę z ziemi nie udało mu się wydobyć nic prócz piasku. Pot spływał mu po twarzy. Nagle uderzył w coś twardego. Łup. Słyszając ten odgłos, drgnęłam, a herbatniki zagrzechotały.

Reghardt przymknął oczy i na sekundę zamarł. Twarz mu pobladła. Potem kucnął, żeby zerknąć do wykopanej jamy.

Piet również przykucnął, wyciągnął rękę i dotknął tego, w co uderzyła łopata. Podniósł palce do nosa, żeby je powąchać. Po paznokciu chodziła mu mrówka.

– Krew – powiedział.

ROZDZIAŁ 83

Reghardt jęknął głucho, jak gdyby ktoś uderzył go w brzuch, ale zaraz przełknął ślinę i zaczął rozgarniać piach rękami niczym zwierzę ryjące w ziemi. Piet pracował razem z nim. W pewnym momencie Reghardt chwycił coś i pociągnął.

– To metal – powiedział. – To metal.

Kannemeyer i Boetie przyłączyli się do nich i kopali wszyscy razem. Gdy odgarnęli ziemię, wyciągnęli skuter. Czerwony skuter Jessie.

Zobaczyłam mrówki i ciemną kleistą maź na siedzeniu skutera. Piet przejechał po niej palcem, a następnie koniuszkiem języka dotknął opuszek.

– Pochodzi z dzisiaj – oświadczył.

Twarz Reghardta była biała jak płótno.

– Nie żyje, prawda? – wycharczał. – Po prostu mi to powiedz.

Piet pokręcił głową.

– Nie wiem.

Reghardt oddychał coraz szybciej, miałam wrażenie, że zaraz zemdleje.

Przycisnęłam do siebie puszkę z herbatnikami na maślance. Chciałam dać mu coś, co pomogłoby mu otrząsnąć się z szoku. On jednak potrzebował czegoś więcej niż połamane herbatniki. Czegoś, czego wszyscy potrzebujemy: nadziei. Musieliśmy mieć nadzieję.

– Jessie jechała na skuterze, a wtedy on do niej strzelił – powiedziałam. – Z łuku. Ale kiedy ją dogonił, była przygotowana. Popryskała go gazem pieprzowym. Czułam od niego zapach pieprzu. Oślepiła go i uciekła. Zostawiła skuter, ale uciekła, Reghardt. Potem zaczęło padać, deszcz zmył jej ślady, dlatego van Wyk nie mógł jej znaleźć.

Piet przytakiwał, ale Reghardt kręcił głową, powstrzymując łzy. Ja mówiłam dalej.

– Była jak ranne zwierzę, a on chciał wrócić, żeby ją wytropić. Dziś rano zadzwonili do niego ze sklepu, powiedzieli, że przyszedłam, więc pojechał najpierw zająć się mną. Oznajmił mi, że czeka go jeszcze jedno polowanie. Miał na myśli ją. Nie znalazł jej. I już nie znajdzie.

Obróciłam się do ludzi stojących za mną.

– Morderca nie żyje i nie znalazł Jessie – oświadczyłam. – Ale my możemy ją znaleźć.

– Posterunkowy Witbooi – odezwał się Kannemeyer. – Proszę wrócić do miejsca, gdzie urywają się ślady skutera, i raz jeszcze poszukać odcisków stóp. – Potem zwrócił się do pozostałych. – Jeśli

była ranna, wątpię, żeby przeszła więcej niż dwa kilometry. Mogła też wpaść w hipotermię. Patrzcie uważnie pod nogi. Śladów raczej nie znajdziemy z powodu deszczu, ale kto wie, może szła również wtedy, gdy deszcz przestał padać. Zwracajcie uwagę na połamane rośliny, ślady krwi, mrówki. Jeżeli zobaczycie coś niezwykłego, podnieście rękę i zawołajcie mnie albo posterunkowego Witbooi'a.

Podczas gdy mówił, otwierałam puszkę z herbatnikami i zaczęłam nimi częstować. Młoda pielęgniarka w białym uniformie wzięła ode mnie puszkę, żeby podsunąć ją stojącym dalej.

– Aspirancie Snyman, proszę zatoczyć szerokie koło wokół tego miejsca. Proszę się wspiąć na szczyt każdego z otaczających nas wzgórz. I obserwować przez lornetkę wszystkie możliwe kryjówki: krzewy, drzewa, rowy.

Reghardt dalej stał nieruchomo, ale na policzki zaczęły wracać mu rumieńce.

– Ruszaj! – ponaglił go Kannemeyer.

Reghardt zamrugał, po czym pomknął przed siebie jak chart.

Gdy się oddalił od nas, komisarz zwrócił się do reszty ekipy.

– Szukamy również miękkiej, naruszonej ziemi. – Postukał stopą w grunt obok skutera. – Czegoś takiego. Gdzie coś zakopano.

Georgie podniosła rękę do ust, tłumiąc kolejne: „oj, oj!”.

Pielęgniarka oddała mi puszkę z herbatnikami, a wtedy ja ostatnim porządnym kawałkiem poczęstowałam Kannemeyera. Gdy wrzucał go do ust, spojrzał mi w oczy, a po moim ciele rozlała się fala dziwnego ciepła.

Potem wskazał podnóże wzniesienia, wzdłuż którego rosły rzędem drzewa *spekboom*.

– Najpierw kierujemy się w tamtą stronę. Zachowujecie odstęp dwóch metrów od siebie. Ja idę przodem, przeczesuję teren z grubsza. Wy idziecie powoli za mną, staracie się niczego nie przeoczyć.

Zjadłam kilka ostatnich okruszków nadziei, po czym zostawiłam puszkę w samochodzie.

Rozproszyliśmy się i szliśmy za Kannemeyerem, nie odrywając wzroku od ziemi. Słyszałam, jak rozmawia przez radio z aspirantem Smitem i rozkazuje ściągnąć do nas pozostałe ekipy oraz wezwać karetkę, która cały czas ma być w pogotowiu. Hattie i Candice szły po mojej prawej i lewej stronie. Candy w szpilkach była wolniejsza ode mnie, Harriet zaś trochę mnie wyprzedzała. Ja jednak nie rozglądałam się i prawie nie zwracałam na nie uwagi.

Chłonełam oczami wszystko, co znajdowało się na wprost przede mną. Szukałam tropów. Wypatrzyłam ślad węża zostawiony na zmoczonej deszczem ziemi. Mysz, która smyrnęła pod liście aloesu. Ślady królika oraz odciski kopyta bawolca przypominające kształtem serce. Kupkę czarnych, lśniących odchodów. Białe kamienie, fioletowe kamienie, kamienie koloru zaschniętej krwi.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem i ogrzewało moją twarz z boku. Cały czas szłam i patrzyłam przed siebie. Dołączyły do nas pozostałe grupy. Kilkadziesiąt osób przemierzało szeregami sawannę,

wspinało się na wzgórze. Ja jednak skupiałam się na tych dwóch metrach kwadratowych, które miałam przed sobą.

Spłoszyłam antylopę buszbruk odpoczywającą w cieniu dzikiej śliwy. Zaglądałam do piaszczystych rowów, w których rosły krzewy sutherlandii obwieszane czerwonymi podłużnymi kwiatami. Lwie paszcze wyciągały w moją stronę ciekawskie pyszczki. Dokładnie obejrzałam krzewy *sterretjebos*, ponieważ ciemne ślady po uschniętych strąkach przypominały mrówki maszerujące w górę i w dół łodygi. Okazało się jednak, że to nie owady i że nigdzie mnie nie zaprowadzą.

Wypatrzyłam żuki gnojne i pająki ze złocistymi brzuskami. Dostrzegłam nemezje Karru o aksamitnych płatkach i małe kłujące roślinki, których nazw nie znałam.

Nie znalazłam jednak żadnego śladu Jessie.

Istniało tyle różnych form życia – owady, rośliny, zwierzęta, których wcześniej nie zauważałam.

Zaczęłam się modlić do wszystkiego, co żywe na ziemi, tak samo jak wcześniej modliłam się do nieba i deszczu. Życie, Życie na ziemi. Zachowaj Jessie od śmierci. Wskaż nam drogę do niej. Zaklinam cię, Życie, zachowaj ją od śmierci.

Cały czas szliśmy, szukając śladów. Słońce zachodziło, chmury zmieniały kolory. Wkrótce miały zapaść ciemności. Im niżej było słońce, tym ciężiej robiło mi się na sercu. Jeśli nie znajdziemy jej przed zmrokiem... Oczy mnie bolały od wypatrywania wskazówek, od przyglądania się wszystkim tym rzeczom, które okazywały się nieprzydatne w poszukiwaniach Jessie. Zamknęłam na chwilę powieki i położyłam na nich palce. Ogarnęło mnie potworne zmęczenie, chciałam położyć się na ziemi i się rozpłakać. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam Reghardta wchodzącego na szczyt wzgórza. Za jego plecami stado kudu, uciekając przed nim, galopowało w dół zbocza. Jedno zwierzę o dużych, lśniących w słońcu rogach nie odbiegło. Stało, wpatrując się w Reghardta, podczas gdy pozostałe antylopy pędziły w stronę drzewa *gwarrie* rosnącego między dwoma olbrzymimi głazami. Nagle jednak stado zatrzymało się, po czym zawróciło i pomknęło z powrotem w stronę Reghardta. Antylopa o dużych rogach ryknęła, na co pozostałe znów zaczęły galopować w dół zbocza, lecz omijając drzewo z daleka.

Uniosłam rękę i zawołałam:

– Henk! Piet!

Kannemeyer stał bliżej. Powiedziałam mu, co widziałam: kudu omijały drzewo *gwarrie*.

– Co one tam zobaczyły albo wyczuły?

Kannemeyer połączył się przez radio z Reghardtem.

– Duże drzewo *gwarrie*, na południowy zachód od ciebie.

Patrzyłam, jak Reghardt schodzi po zboczu, ślizgając się na pojedynczych kamykach żwiru. Po chwili zniknął za głazami i drzewem. Kannemeyer i Piet biegli pod górę w jego stronę.

Chwilę potem Reghardt wyszedł zza głazów. Na rękach niósł ciało.

Byłam za daleko, aby dobrze widzieć, ale wiedziałam, że to Jessie.

Reghardt coś krzyczał. Ludzie przeszukujący teren bliżej podnóża wzniesienia rzucili się w stronę aspiranta i wkrótce też wołali to samo, ale nie mogłam rozróżnić słów. Okrzyk zrozumieli ci, którzy stali nieco bliżej wzgórza, i zaczęli przekazywać go dalej. Wiadomość niosła się ponad sawanną, między ciernistymi krzewami i kamieniami, aż w końcu dotarła do mnie.

– Ona żyje! Ona żyje!

ROZDZIAŁ 84

Skłoniłam głowę z wdzięcznością.

Dzięki ci, Deszczu, za zmycie jej śladów.

Dzięki ci, Życie, za ocalenie jej od śmierci.

Dzięki za wskazanie nam, gdzie jej szukać.

Łzy spływały mi po policzkach, gdy podeszła do mnie Hattie. Objęłyśmy się i płakałyśmy razem.

Chwilę później dołączyła do nas Candice, która przydreptała w swoich szpilkach, lawirując między kłującymi roślinami. Nogi miała podrapane, twarz brudną od ziemi i mokrą od łez, ale kiedy się uśmiechnęła, wyglądała piękniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Zanim doczłapałyśmy pod wzgórze, nadszedła karetka i widziałyśmy, jak Reghardt i Kannemeyer podnoszą Jessie. Reghardt wsiadł do ambulansu razem z nią. Stado zebr górskich rzuciło się galopem do ucieczki, gdy samochód z wyciem ruszył przez sawannę, nad którą mieniło się wieczorne niebo.

Zawróciłyśmy w kierunku samochodów. Po chwili dogonił nas Kannemeyer. Uśmiechałyśmy się, lecz kiedy zobaczyłyśmy jego twarz, przestałyśmy się uśmiechać.

– Co się stało? – spytałam.

– Nie jestem lekarzem – powiedział – ale dziewczyna jest nieprzytomna i kiepsko to wygląda.

Gromadka adwentystów dnia siódmego zaczęła odmawiać modlitwę, Hattie przyłączyła się do nich. Jeśli istniał Bóg, adwentyści i Hattie wiedzieli, jak się z nim połączyć, więc rozmowę z nim postanowiłam zostawić osobom kompetentnym. Odeszłam, żeby popatrzeć na ciemniejące niebo. Na chmurach pojawiły się pasma głębokiej czerwieni. Spojrzałam na sawannę, która w wieczornym świetle wydawała się łagodniejsza.

Niebo i Ziemia. Modliłam się do nich i zostałam wysłuchana. Czy mogłam prosić o jeszcze więcej?

Czy nie powinnam wysilić się bardziej i sama pomóc Jessie w zdrowieniu? Nie byłam lekarzem, ale byłam jej przyjaciółką. Pozwoliłam, aby serce wypełniła mi cała miłość, którą do niej czułam. Moja miłość była bezkresna i czerwona niczym zachód słońca. Wypchnęła z piersi niepokój i strach. Gdy serce miałam tak przepełnione, że wydawało mi się, iż zaraz pęknie, przesłałam swoją miłość Jessie. Wiedziałam, jak się z nią połączyć. Wiedziałam, że odbierze wiadomość ode mnie.

Na ramieniu poczułam ciepłą dłoń. Kannemeyer. Odwrócił się jednak i ruszył w stronę furgonetki, zanim zdążyłam spojrzeć mu w twarz. Członkowie ekipy poszukiwawczej siedzieli już w samochodach, chcieli jechać.

– O mój Boże – westchnęła Hattie. – Myślisz, że ona...?

– Włącz światła – powiedziałam. – Nasza Jessie to silna dziewczyna.

Wysadziłyśmy pozostałych pasażerów i zostałyśmy tylko we dwie w toyocie, która mknęła w ciemnościach przez rezerwat.

– Mogła stracić dużo krwi... – Hattie włączyła światła i przez przypadek nacisnęła klakson.

– Zwolnij – ostrzegłam ją.

– Jest ranna. I mogła wpaść w hipotermię...

– Uważaj!

Antylopa kudu przeskoczyła przez drogę, Hattie zaś gwałtownie skręciła, wjeżdżając w ciernisty krzew.

– O rany julek!

Wycofała samochód, po czym ruszyła przed siebie z tą samą prędkością.

– No dobrze, kochana, mów, co się dzieje między tobą a komisarzem?

– Uwaga! Brama!

– Widzę, nie jestem ślepa.

Wysiadłam otworzyć bramę, a przyjaciółka wycofała, żeby zrobić mi na to miejsce.

Gdy znów znalazłam się w samochodzie, powiedziała:

– Widziałam, jak na siebie patrzycie.

– Nie wiem, o czym mówisz, Hats.

– Muszę przyznać, że bardzo się o ciebie troszczy. Zastanawiałam się... czy to on przygotował ci tę kąpiel?

– Jest bardzo miły. Ale po prostu wykonuje swoją pracę.

– Chyba nie będzie już więcej pomieszkiwał u ciebie, skoro...

– Nie. Nie będzie.

– To bardzo przystojny facet.

I stać go na kogoś lepszego niż ja, pomyślałam.

– Jestem za stara na te rzeczy – oświadczyłam.

– Na to nigdy nie jest się za starym. Nikogo nie miałaś, odkąd... byłaś z Faniem?

Pokręciłam głową. Wróciłyśmy na asfaltową szosę, podróż więc przebiegała teraz spokojniej. I chociaż co chwila rzucało nas z prawego pasa na lewy, na szczęście nie pojawiły się na drodze żadne samochody ani zwierzęta.

– Może najwyższy czas...? – Hattie zawiesiła głos.

– Fanie wybił mi z głowy mężczyzn.

– Fanie był draniem. Nie wszyscy mężczyźni są tacy, wiesz?

– Wiem, wiem. Ale moje serce, jak by to powiedzieć... zamknęło się.

– Daj mu szansę, Mario.

– Zobaczymy. Mogłabyś mnie podrzucić na farmę Dirka? Zostawiłam tam swój *bakkie*. Masz włączony kierunkowskaz.

Przyjaciółka wyłączyła kierunkowskaz, ale przypadkowo włączyła światła awaryjne. Nie powiedziałam jej o tym. Uznałam, że wyjdzie jej to na dobre.

Dom Dirka był ciemny.

– Ciekawe, gdzie on jest – powiedziała Hattie.

– Może jeszcze nie wrócił, jechałyśmy dość szybko.

– To było szybko? Może jest z Anną. Ciekawe, czy dalej kierują na spółkę.

– Dziękuję, *skat*. – Pocałowałam Hattie w policzek.

– Padam z nóg, Mario. Ty pewnie też. Zjedz coś i odpocznij. Zobaczymy się rano.

Odjechała, światła awaryjne w jej samochodzie wciąż mrugały.

Mój niebieski *bakkie* czekał cierpliwie pod eukaliptusem. Na siedzeniu dla pasażera leżała puszka z herbatnikami.

– Mordercą był kierownik Spara – powiedziałam herbatnikom, gdy ruszyliśmy. – O mało mnie nie zabił, lecz Henk go zastrzelił. Znaleźliśmy Jessie. Żywą. Ale jest ranna i nieprzytomna. Może być z nią źle. Jedziemy teraz do szpitala. Tym razem biorę was z sobą.

ROZDZIAŁ 85

Jessie leżała na oddziale intensywnej terapii. Poczekalnia przed oddziałem pękała w szwach. Przyjechało tu wielu członków ekipy poszukiwawczej. Reghardt przemierzał korytarz tam i z powrotem, wydeptując ścieżkę w linoleum. Kannemeyera nigdzie nie było widać.

– Jak ona się czuje? – spytałam.

Reghardt pokręcił głową i przygryzł wargę. Jego długie rzęsy lśniły od wilgoci.

– Lekarz zaraz do nas wyjdzie – powiedział.

Na stoliku stał duży termos bufetowy, który obsługiwała młodsza siostra Jessie Juanita. Podeszłam do niej i pomogłam jej rozdawać zebranych kubki z herbatą. Anna wyjęła srebrną piersiówkę, żeby nieco wzmocnić herbatę swoją i Dirka. Wręczyłam Juanicie puszkę z herbatnikami, którymi wszyscy zaczęli się częstować. Puszka opustoszała w pół minuty. Większość z nas nie jadła kolacji. Dirk oparł głowę o ścianę i pochrapywał niczym guziec. Niedługo potem usłyszeliśmy kroki na korytarzu, a wtedy Anna szturchnęła Dirka, który usiadł, chrząkając. Mama Jessie zerwała się na nogi. Zamiast stroju pielęgniarki miała na sobie niebieską sukienkę, ale chociaż ubranie było świeże i czyste, jej twarz wydawała się bardziej zszarzała i pomarszczona niż moja pomięta, przybrudzona sukienka.

Gdy w poczekalni zjawił się lekarz, wszystkie twarze obróciły się w jego kierunku niczym kwiaty zwracające się w stronę słońca. Czarnego słońca w białym kitlu.

– Czy mógłbym prosić rodzinę na rozmowę?

Większość z nas podniosła się i zbliżyła do lekarza.

– Och, no dobrze. Będę mówił do wszystkich państwa, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Spojrzał na siostrę Mostert, a ta udzieliła mu pozwolenia skinieniem głowy.

– Jessie jest w stanie krytycznym. Obrażenia nogi i ramienia w miejscu, gdzie została trafiona strzałą, nie są zbyt poważne. Wdało się niewielkie zakażenie, ale zostało opanowane... na chwilę obecną. Problem stanowi utrata krwi. Jessie straciła bardzo dużo krwi. Praca serca ustała na chwilę, udało nam się jednak ją przywrócić. Pacjentka nadal znajduje się w stanie śpiączki. Jeśli z niej wyjdzie, największym zmartwieniem będą ewentualne uszkodzenia mózgu.

Mama Jessie przycisnęła do piersi dłoń zwiniętą w pięść. Lekarz mówił coraz bardziej skomplikowanym medycznym językiem, wspominał coś o „wklinowaniu mózgu”, „badaniu aktywności neuronów” i innych rzeczach, których nie rozumiałam i nie chciałam rozumieć.

Zamknęłam oczy, po czym wysłałam swoją miłość do Jessie. Wyobrażałam sobie, że wlewa się w nią i wypełnia ją jak czerwony sok z granatów. Jak krew.

– Tylko jeden odwiedzający na raz – uprzedził doktor, przechodząc na zwykły angielski. – I tylko osoby najbliższe. Siostra Mostert i aspirant Snyman będą pilnować, kto wchodzi. Pacjentka znajduje się w śpiączce, ale istnieje możliwość, że was słyszy. Dlatego proszę przekazywać jej jedynie słowa otuchy.

Ludzie kręcili się w poczekalni, przychodzili i wychodzili, lecz ja nie ruszałam się z miejsca. Chociaż większość czasu siedziałam z zamkniętymi oczami, nie spałam – łączyłam się z Jessie.

Jessie, kochana, wyzdrowiejesz. Ten okropny człowiek nie żyje. Dopadliśmy go. A ty leżysz w szpitalu i dochodzisz do siebie. Upiekę ci najlepsze ciasto czekoladowe, jakie kiedykolwiek jadłaś. Próbowalaś kiedyś mojego rosółu? Postawi cię na nogi raz-dwa. A potem będziesz mogła jeść wszystko, za czym przepadasz, na przykład bobotie i koeksisters.

Otworzyłam oczy – poczekalnia była prawie pusta. Anna i Dirk nie poszli jeszcze do domu. Anna zdrzemnęła się na wózku inwalidzkim, Dirk zaś chrapał na kanapie. Reghardt siedział wyprostowany, oczy miał zaczerwienione, a usta ściągnięte w wąską linię.

Wróciłam do rozmowy z Jessie.

Kiedy będziesz gotowa, przygotuję dla ciebie prawdziwą ucztę: będzie pieczeń jagnięca z ziemniakami i vetkoek z mięsem mielonym. Do tego sałatka ziemniaczana, sałatka z trzech rodzajów fasoli i surówka z marchewki i ananasów. A na deser kawa, koeksisters i ciasto czekoladowe. I oczywiście chleb z dżemem morelowym. Och, wszystko będzie pyszne, najesz się tak, że brzusek będziesz miała okrągły jak *potjiepot*.

Usłyszałam kroki i zobaczyłam mamę Jessie idącą w naszą stronę. W poczekalni zostaliśmy tylko ja i Reghardt. Teraz sukienka siostry Mostert była tak samo pomięta jak jej twarz. Reghardt zerwał się na nogi.

– Możesz do niej wejść – powiedziała mama Jessie. – Idę do domu, spróbuję trochę się przespać.

Znów przymknęłam oczy. Chwilę później poczułam na ramieniu czyjąś rękę. Obudziłam się ze słowem: „Henk...”.

To był Reghardt.

– Komisarz Kannemeyer zajrzał tutaj – powiedział. – Ale nie chciał pani przeszkadzać.

– Jak Jessie? – spytałam.

– Bez zmian – odparł. – Może pani wejść do niej na chwilę. Potem odwiozę panią do domu. Komisarz powiedział, że mam panią zawieźć.

– Nie trzeba, poradzę sobie. Ale chcę zobaczyć Jessie, choć na minutę.

– Dobrze, w takim razie będę mógł posiedzieć przy niej do rana. Potem zmieni mnie jej siostra.

Przeszłam przez duże wahadłowe drzwi prowadzące na oddział intensywnej terapii i umyłam ręce jakimś płynem. Następnie pielęgniarka wskazała mi łóżko Jessie. Dziewczyna była podłączona do kroplówek, rurek i piszczących maszyn, na których wyskakiwały różne cyfry i poruszały się zielone linie. Lewe ramię miała zabandażowane, na prawym kolanie i piszczeli bielał duży opatrunek. Pod bandażami kryły się rany zadane przez strzałę i samochód. Twarz Jessie przesłaniała plastikowa maseczka podłączona do urządzenia, dzięki któremu dziewczyna oddychała.

Leżała zupełnie nieruchomo. Pielęgniarka odeszła, a ja usiadłam na krześle obok łóżka. Jessie wydawała się bardzo słaba i blada. Zapragnęłam powyrywać z jej ciała wszystkie te rurki i przytulić ją jak dziecko. Położyłam rękę na jej dłoni. Była gorąca i bezwładna.

Patrzyłam, jak pierś Jessie unosi się i opada w rytm sapnięć maszyny do oddychania.

– No i dopadłyśmy go, Jessie – powiedziałam. – Teraz już nie żyje. Stanowimy zgrany zespół. Ty i ja. I Hats. Policja też pomogła. Reghardt naprawdę cię kocha, wiesz? Wszyscy cię kochamy. W końcu jesteś naszą dziewczyną z tatuażem, prawda?

Spojrzałam na wytatuowane ramię, które nie było zakryte bandażem. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby gekon leżał tak spokojnie. Poklepałam Jessie po ręce. Jej pierś unosiła się i opadała.

– Teraz masz już tylko zdrowieć. A ja upiekę twoje ulubione ciasto czekoladowe. – Palce Jessie drgnęły. – Z samego rana.

W nogach łóżka stanął Reghardt. Po chwili podszedł bliżej, położył dłoń na czole Jessie i odgarnął jej włosy. Popatrzyłam na niego, gdy głaskał dziewczynę po głowie. Wyraz jego twarzy sprawił, że serce pękło mi na pół.

ROZDZIAŁ 86

Dom stał cichy i pusty. Nie było policyjnej ochrony. Nie było Kannemeyera.

Posmarowałam kromkę chleba dżemem i usiadłam z nią na kanapie.

Poduszki były wgniecione w miejscu, gdzie spał Kannemeyer. Cała kanapa nim pachniała. Byłam bardzo zmęczona, położyłam się więc, tylko na chwilkę. Położyłam się w kształcie, które odcisnęło na poduchach jego ciało. Naprawdę byłam na tyle głupia, by pomyśleć, że on i ja...? Wtedy w łazience to ja zrobiłam pierwszy krok i przytuliłam się do niego. Ale to on powiedział, że ślicznie wyglądam. Może tylko chciał być uprzejmy, może zażartował sobie z mojego stroju złożonego z majtek i skórzanych trzewików. A może w ogóle nie miał nic szczególnego na myśli... Wykonywał jedynie swoje obowiązki. Teraz zaś obowiązki się skończyły.

Jak mogłam myśleć o nim, siedząc obok Jessie, która leżała ledwie żywa? Ledwie żywa, ale kochana przez ukochanego mężczyznę...

Przyłgnęłam do kształtu Kannemeyera odcisniętego na poduszkach. Dobrze mi się w nich leżało. Zasnęłam wtulona w poduchy.

Kiedy się obudziłam, przez otwarte okno do salonu wpadały promienie słońca. Dzwonił telefon. W słuchawce odezwał się głos Hattie.

– Odzyskała przytomność. Rozmawia. Będzie dobrze.

Nie potrafiłam nic powiedzieć, ponieważ płakałam. Dlaczego płaczę, słysząc dobre wieści?

– Pyta o ciebie...

Przełknęłam ślinę.

– Już jadę.

Wzięłam prysznic, żeby zmyć z siebie kurz i sen. Nogi miałam obolałe od chodzenia. Uczesałam włosy, ale nie umalowałam się ani nie wypłam kawy.

W szpitalu Jessie siedziała oparta na poduszkach. Kiedy mnie zobaczyła, na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, ale była tak słaba, że nie potrafiła uśmiechać się zbyt długo.

– Jessie. – Wzięłam ją za rękę.

– Udało się, *tannie* Mario – wymamrotała. – Dopadłyśmy drania.

Ścisnęłam jej palce. Odwzajemniła uścisk, po czym przymknęła oczy.

– Śniło mi się twoje ciasto czekoladowe – powiedziała i kąciki jej ust znów na chwilę uniosły się w uśmiechu.

Jedna ręka Jessie spoczywała na piersiach, a palcami dotykała ramienia w miejscu, gdzie spod bandaży wystawał wytatuowany gekon. Dotknęła jego głowy, jak gdyby chciała go pogłaskać, lecz niemal w tym samym momencie zasnęła.

Pojechałam do Spara po potrzebne składniki. Pchając wózek między półkami, wciąż się zastanawiałam, co do niego wrzucić. Oczywiście musiałam kupić mąkę na ciasto czekoladowe, a oprócz tego składniki na rosół – nie można żyć samymi deserami. I jeszcze mąka na beskuit. Musiałam upiec dużo herbatników. Zatrzymałam się i spojrzałam na dwuipółkilogramową torebkę mielonej na żarnach mąki Eureka. Sięgnęłam po nią i wtedy go zobaczyłam. Henk Kannemeyer stał na drugim końcu sklepowej alejki.

Wydawało mi się, że też mnie zauważył, ale pewnie było inaczej, ponieważ zamiast podejść, zniknął za rzędem półek.

Jemu również upiekę ciasto. Pyszne, duże ciasto czekoladowe dla niego, Pieta i Reghardta. Przyciskając do piersi torebkę z mąką, ruszyłam w stronę przejścia, w które skręcił. Jest.

– Dzień dobry, Henk – powiedziałam.

Uśmiechnęłam się do niego. Teraz pożałowałam, że nie pomalowałam ust szminką. Ale on widział mnie już w gorszym stanie i mimo wszystko powiedział, że wyglądam ślicznie.

Kannemeyer spojrzał w bok, a potem znów na mnie, jak gdyby nie cieszył się z tego, że go zauważyłam. Może przyszedł tu służbowo jako tajniak. Nie, bzdura, wszyscy w Ladismith wiedzą, kim on jest.

Podeszłam do niego i oznajmiłam:

– Jessie ma się dobrze. Wyjdzie z tego.

– Tak – popatrzył na mnie. – Słyszałem. Cieszę się.

– Kupuję składniki na ciasto. Czekoladowe. Dla was też upiekę jedno.

– Och, nie, nie trzeba, po co ten kłopot.

Znów rozglądał się na boki. Czyżby kogoś unikał? Mocniej przytuliłam mąkę do piersi.

– Tak bardzo mi pomogłeś. Troszczyłeś się o mnie i w ogóle. Ocaliłeś mi życie, Henk.

– Pani van Harten, po prostu robiłem, co do mnie należy.

Spojrzał na mnie, w jego oczach dostrzegłam ten sam smutek co kiedyś.

– Tak. Racja. Po prostu robił pan, co do pana należy.

Cofnęłam się o krok i wpadłam na stojące za mną konserwy. Dwie puszki z dżemem truskawkowym stoczyły się z półki, a ja upuściłam na podłogę dwa i pół kilograma mąki. Worek pękł,

biały proszek obsypał wszystko dokoła.

Komisarz Kannemeyer schylił się, żeby podnieść dzemy.

Podbiegł do nas kierownik zmiany o kościstej twarzy.

– Ojej – mruknął.

– Przepraszam – powiedział komisarz.

– Nie, to moja wina – wymamrotałam.

Komisarz i kierownik zaczęli sprzątać. Ja stałam jak wrośnięta w ziemię.

– Przepraszam – powtórzył Kannemeyer.

– Proszę się nie przejmować – odparł kierownik.

– To moja wina. Byłam głupia – wykrztusiłam.

– Zaraz posprzątam – zapewnił kierownik.

– Ale bałagan – bełkotałam. – Straszny bałagan. Za wszystko zapłacę.

Kannemeyer się wyprostował. Mąkę miał na spodniach, dłoniach, nawet na wąsach.

– Bardzo przepraszam – powiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ 87

Musiałam dwa razy dreptać ścieżką między podjazdem a domem, żeby przynieść z samochodu wszystkie ciężkie torby. Szłam jednak powoli i poradziłam sobie.

W domu panowała cisza, w brzuchu czułam pustkę. Położyłam zakupy na stole i przystanęłam na werandzie.

– Cip, cip, cip! – zawołałam.

Kury przybiegły do mnie, sypnęłam im garść gniecionej kukurydzy.

– Ko, ko – zagdakały. – Ko, ko.

Zajrzałam do kurnika po jajka. Najwyższy czas zjeść coś porządnego. Czekał mnie długi dzień przy kuchence i musiałam nabrać sił.

Usmażyłam jajka na bekonie, do tego dołożyłam kiełbaski i pomidory, podgrzałam też bułeczki serowe, które miałam w zamrażarce. Potem zrobiłam tosty, zaparzyłam kawę, położyłam wszystko na tacy obok masła i dżemu morelowego, następnie wyniosłam tacę na werandę.

Ogród i sawanna wyglądały cudownie po deszczu, ja jednak nie widziałam nic poza zastawionym stołem. Jadłam długo i dużo. Tak bardzo byłam zajęta jedzeniem, że nie miałam nawet ochoty na rozmowę z pochłanianym śniadaniem.

Uczucie pustki w brzuchu okazało się zwykłym głodem. Po porządnym posiłku poczułam się dobrze.

W pewnym momencie zdawało mi się, że słyszę samochód jadący drogą, która prowadzi do mojego domu. Jednak już po chwili się zorientowałam, że warkot silnika dobiega z drogi numer 62.

Żołądek miałam pełny, nie było w nim miejsca na pustkę, ale na wszelki wypadek zjadłam jeszcze jedną bułeczkę z dżemem.

Zaczęłam od rosółu, ponieważ najlepiej gotować go długo na małym ogniu. Postanowiłam zrobić duży garnek wywaru, tak żebym mogła go zamrozić i codziennie zawozić Jessie świeżą porcją. Gdy siekałam seler, co chwila podnosiłam wzrok i patrzyłam na tę przeklętą kanapę. Na poduchach widniał odciski kształt jego ciała, w nim zaś kształt mojego. Było to zenujące.

Odłożyłam nóż, podeszłam do kanapy i przewróciłam poduchy na drugą stronę.

– Teraz lepiej – mruknęłam do selera, kończąc siekanie. – Byłam głupia... Skończona idiotka. Nigdy więcej się to nie powtórzy. Kto to widział, żeby w moim wieku...

Do mięsa z kurczaka, które podsmażyłam na oliwie z porami, cebulą, imbirem i czosnkiem, dodałam ziemniaki, seler, marchewkę, pomidory i pietruszkę, po czym zalałam wszystko zimną wodą. To bardzo ważne, żeby zupa wyszła dobra. Woda musi być zimna, aby smak składników przeniknął do wywaru, a nie pozostał w warzywach.

Gdy rosół się zagotował, włożyłam garnek do otulacza. Następnie przygotowałam składniki na ciasto czekoladowe i herbatniki. Uznałam, że najlepiej będzie znów zrobić herbatniki na maślance według przepisu mojej mamy – z dodatkiem masła, musli, ziaren i rodzynek.

Zaczęłam od pieczenia ciasta. Jednego ciasta.

Kiedy jednak zaczęłam mieszać składniki w dużej misce, postanowiłam podwoić ich ilość. Drugie ciasto zaniosę Kannemeyerowi i policjantom. Może komisarz nie ocalił mojego serca, ale ocalił mi życie. To już na pewno coś.

Podczas gdy beskuit suszyły się w piekarniku, wyszłam z domu, zabierając z sobą dwie blachy ciasta czekoladowego i duży słoik z rosółem.

Najpierw zawiozłam ciasto do komisariatu. Nie zastałam Kannemeyera ani Reghardta, za to Piet podziękował mi szerokim uśmiechem.

Jessie czuła się lepiej, ale spała. Lekarz powiedział, że kiedy się obudzi, będzie mogła zjeść trochę bulionu. Zabronił natomiast podawania pokarmów stałych, a już z pewnością ciasta. Zostawiłam więc placek mamie Jessie, która wyglądała na zmęczoną, ale uśmiechnęła się tak promiennie, że pojaśniał cały szpital.

Po powrocie do domu usiadłam przy kuchennym stole. To był dobry dzień. Jessie dochodziła do siebie. W kuchni poszło mi świetnie. Spojrzałam na kanapę. Poduchy były płaskie i puste.

– Czasami jednak czuję się taka... samotna – wymamrotałam.

Zorientowałam się, że zaczynam mówić do siebie, a to znaczyło, że powoli się zmieniam w zwariowaną staruszkę.

Wtedy przypomniałam sobie o herbatnikach w piekarniku. Pewnie już dochodziły. Wyjęłam blachę do pieczenia i położyłam ją na stole.

– Nie jestem sama – powiedziałam. – I nie muszę mówić do siebie. Mam was.

Uśmiechnęłam się. Złociste maślane herbatniki były upstrzone brązowymi cętkami chrupkich prażonych ziaren i ciemnymi plamami sprężystych rodzynek. Naliczyłam co najmniej pięćdziesiąt sztuk. Beskuit to doskonałe towarzystwo.

Zaparzyłam sobie filiżankę kawy, położyłam sześć ciastek na talerzyku, po czym wyszłam na werandę, aby usiąść, porozmawiać z herbatnikami, pozanurzać je w kawie i podziwiać cudne widoki.

Czułam się zupełnie dobrze.

ROZDZIAŁ 88

Codziennie przynosiłam Jessie coś do jedzenia. Musiałam nadrobić zaległości, w redakcji czekał na mnie stos listów, na które trzeba było odpisać, ale zawsze znajdowałam czas, żeby przyrządzić lecznicze potrawy dla dziewczyny. Potrawy doprawiane miłością.

Drugiego dnia Jessie wypila kilka kubków mojego rosółu, a trzeciego poczęstowała się malutkim kawałkiem ciasta czekoladowego. Resztę pozwoliła spałaszować osobom, które ją odwiedzały. Niedługo potem mogła już jeść sałatki. Kiedy zjadła pierwszy vetkoek z mielonym mięsem, lekarz orzekł, że może wracać do domu, o ile będzie dużo odpoczywać. Urządziliśmy przy jej łóżku przyjęcie powitalne. Reghardt ugotował dla nas bobotie. Było przepyszne. Z oczu aspiranta można było wszystko wyczytać, ale gdyby ktokolwiek jeszcze wątpił w jego miłość do dziewczyny, wystarczyło spróbować tego bobotie, żeby nie mieć już żadnych wątpliwości. Wzięłam od niego przepis. Okazało się, że do pikantnego mięsa mielonego dodaje dżem morelowy i pokrojone migdały, a sos z mleka i jajek zagęszcza kwaśną śmietaną. Jednak to miłość, z którą Reghardt gotował dla Jessie, nadała jego bobotie ten wyjątkowy smak.

Kannemeyer nie podziękował mi za ciasto. Nie chodzi o to, że czekałam na jego podziękowania – ciasto upiekłam w dowód wdzięczności i bez sensu byłoby dziękować w kółko jedno drugiemu. Ale mógł wykorzystać tę okazję, gdyby chciał do mnie zadzwonić. On jednak nie zadzwonił.

Widywałam go czasami w mieście. Raz prowadził samochód i minął mnie, jak gdyby mnie nie zauważył. Za to Piet, który siedział obok niego, uniósł palce w geście pozdrowienia.

Gdy Jessie wróciła na część etatu do pracy, oznajmiłam jej:

– Jessie, *skat*, wciąż jeszcze jesteś wychudzona. Twoje gekony nie mają się czego trzymać. Chyba nadeszła pora na ucztę, którą ci obiecywałam. Z pieczoną jagnięciną i wszystkimi twoimi ulubionymi potrawami.

– Och, pysznie, *tannie M*. Nie mogę się doczekać. Zobacz, ten gekon chce dosięgnąć gwiazdy. – Obróciła się, żeby pokazać mi bliznę po strzale bielejącą tuż nad tatuażem. – Niezłe, prawda?

W drzwiach stanęło duże różowe pudło z długimi nogami. Zza pudła wyjrzała głowa Hattie.

– Dzień dobry, kochane – przywitała nas redaktor naczelna. – Zobaczcie, co czekało na poczcie. To do ciebie, *tannie Mario*.

Z trzaskiem postawiła pudło na moim biurku, obok zaś położyła trzy listy. Spojrzałam na stempel pocztowy widniejący na paczce: „Nowy Jork”. Przeczytałam też adres nadawcy: „Butik Candy”. Gdy

otwierałam przesyłkę, Harriet i Jessie zaglądały mi przez ramię.

– Boże drogi – mruknęła Hattie.

– Och, seksi! – zawołała Jessie.

W pudle leżała owinięta w bibułkę piękna kremowa sukienka oraz pasujące do niej pantofle na eleganckich niskich obcasach. Rozmiar stroju i butów wydawał się w sam raz. Oprócz tego przesyłka zawierała perłowy lakier do paznokci i cienki naszyjnik z pereł.

Hattie podniosła naszyjnik i potarła perłą o zęby.

– Imitacja, niestety – oznajmiła. – Ale sukienka jest fantastyczna.

– Przymierz – nalegała Jessie.

– Och, nie – odparłam. – Nie mam ochoty.

– Przymierzysz później, w domu – zachęcała mnie Hattie.

Ja jednak wiedziałam, że wtedy również nie będę miała na to ochoty.

Podaliśmy nam wszystkim beskuit i herbatę rooibos – wszystkie ją piłyśmy, odkąd lekarz zalecił ją Jessie. Potem usiadłam do trzech najnowszych listów. Pierwszy był od mojego dobrego znajomego, mechanika. Poznałam kopertę i charakter pisma, z radością więc otwierałam ten list jako pierwszy.

Droga Tannie Mario,

bardzo ci dziękuję, naprawdę mi pomogłaś. Sztuczka z przepisem podziałała! Udało mi się również zrobić najlepsze ciasto czekoladowe, jakie Lucia w życiu jadła. Między nami jest cały czas coraz lepiej.

Nie znamy się długo, ale wiemy, że pasujemy do siebie idealnie. Bardzo byśmy się cieszyli, gdybyś przyjechała na nasz ślub, który odbędzie się w Riversdale dwudziestego pierwszego grudnia. Proszę Cię, żebyś usiadła w pierwszym rzędzie, obok mojego brata z Kapsztadu. Informacje o ślubie znajdziesz na trzeciej stronie Waszej gazety. Tak naprawdę nazywam się Kobus (nie Karel) Visagie, a Lucia to Stella Vinknes. Oczywiście jesteś zaproszona z osobą towarzyszącą.

Jestem głuchy, ale potrafię dość dobrze czytać z ruchów warg. Nie mówię zbyt wyraźnie, dlatego rzadko się odzywam i łatwiej mi się rozmawia przez SMS-y, listy albo jedzenie. Mimo wszystko mam nadzieję, że przyjedziesz i będziemy mogli porozmawiać na moim weselu.

Wszystkiego dobrego

Kobus

Uśmiechnęłam się i dokończyłam herbatnik. Nie miałam osoby towarzyszącej, ale i tak zamierzałam pojechać na ślub Kobusa.

Następny list nadszedł z Oudtshoorn.

Droga Tannie Mario,

pamiętasz mnie, kobietę, która miała za dużo batatów? Nigdy nie zgadniesz, co się stało. Po tym, jak przeczytałam list od Ciebie, zgodnie z Twoją radą pojechałam w sobotę o godzinie dziesiątej do świetlicy kółka rolniczego i spotkałam mężczyznę, który kręcił się przed wejściem przy workach z dynią i wyglądał, jak gdyby czekał na mnie. Był bardzo miły i życzliwy. Niedługo potem przyjechało jeszcze trzech mężczyzn i cztery kobiety. Wszyscy przywieźli coś ze swoich ogródków albo farm i mówili o mielonym strusim mięsie i batatach. Przeczytali listy w gazecie i też chcieli się spotkać przy wspólnym gotowaniu! Założyliśmy więc Klub Miłośników Strusiny i co sobota po południu spotykamy się u kogoś, żeby coś ugotować i zjeść. Świetnie się bawimy. Jeśli jacyś samotni (starsi) ludzie chcieliby do nas dołączyć, niech przyjdą w którąś sobotę o dziesiątej rano pod świetlicę kółka rolniczego i wtedy się dowiedzą, gdzie się spotykamy tym razem oraz jakie będzie menu. Może Ty również kiedyś do nas zajrzysz, Tannie Mario?

Podziękowałam i podałam kobiecie przepis na zapiekanekę ze strusim mięsem, który jakiś czas temu wypadł z książki w gabinecie Martine.

Trzeci list pochodził od kogoś, kto pisał do mnie po raz pierwszy. Gdy zaczęłam czytać, niemal wstrzymałam oddech, a serce zaczęło mi łomotać. Nadawcą był mężczyzna z owieczką.

ROZDZIAŁ 89

Droga Tannie Mario,

niedawno poznałem wyjątkową kobietę. Przyrzędziła dla mnie najlepszą pieczeń jagnięcą, jaką kiedykolwiek jadłem. I upiekła najlepsze ciasto czekoladowe. Z ogromną przykrością muszę przyznać, że nie potraktowałem jej dobrze. Kiedy się do siebie zbliżyliśmy, uciekłem.

Miałem żonę, którą bardzo kochałem. Zmarła na raka ponad cztery lata temu. Bardzo to przeżyłem.

Kiedy zaczęło mi zależeć na innej kobiecie, poczułem się tak, jakbym zdradzał żonę. Ona również wspaniale gotowała.

Drugim problemem jest to, że ta wyjątkowa kobieta naraża się na niebezpieczeństwo w różnych sytuacjach. Robi to bez przerwy. Nie zniósłbym, gdyby jej również coś się stało. Nie wiem, czy potrafiłbym poradzić sobie jeszcze raz z tego rodzaju cierpieniem.

Dlatego uciekłem od tej wyjątkowej kobiety.

Ale cały czas za nią tęsknię. Bardzo. Wyobrażam sobie, że siedzimy razem na werandzie i jemy pieczeń jagnięcą, którą przyrzędziła.

Przestałam czytać. Chciałam zgnieść list i wyrzucić go do kosza. Co on sobie wyobraża? Że może sobie schodzić z mojej werandy i znów na nią wchodzić, kiedy mu się spodoba? Pociągnęłam ostatni łyk z filiżanki, ale herbata była już zimna i pływały w niej rozmiękłe okruszki. Zmusiłam się, żeby doczytać list do końca.

Jak naprawić to, co zepsułem między nami?

mam pewien pomysł. Mój wujek Koos, który prowadzi hodowlę owiec, dał mi trochę świeżego mięsa. Szczerze mówiąc, dał mi żywą owieczkę, która właśnie w tym momencie wyjada pelargonie w moim ogródku.

Jak myślisz, czy to dobry pomysł, żeby podarować owieczkę tej wyjątkowej kobiecie?

Martwi mnie jeszcze jedna rzecz. Nie jestem pewien, czy ta kobieta lubi mnie bardziej niż zwykłego przyjaciela. Zbliżyliśmy się do siebie przez dziwne zrzędzenie losu. Po czym poznać, czy ona interesuje się mną w ten szczególny sposób?

Z poważaniem

Mężczyzna z owieczką

Wstałam i wyszłam na dwór.

– Tannie M.!? – zawołała Jessie, lecz nawet się nie odwróciłam.

Oparłam się o pień jakarandy i spojrzałam w niebo. Było zbyt jasne, po chwili więc spuściłam wzrok i wbiłam go w ziemię. Chciałam odpisać mężczyźnie wprost: „Zostaw tę wyjątkową kobietę w spokoju, daj jej żyć, zamiast zawracać jej głowę i zadawać więcej bólu”.

– Co się stało, Mario? – spytała Hattie, wychodząc do ogródka z kalkulatorem w dłoni.

– Nic takiego – odparłam.

– W porządku, nie mów, jeśli nie chcesz.

Patrzyliśmy na przejeżdżający samochód. Kombi ozdobione z boku napisem.

– Adwentyści niedługo wyruszają w góry – oznajmiła Hattie. – Świat się kończy w ten piątek.

Dwudziestego pierwszego.

– Koniec świata... – mruknęłam. – Zostałam zaproszona na wesele w ten dzień.

– Cóż, miejmy nadzieję, że koniec świata nastąpi po weselu – rzuciła.

– Ile razy kobieta może robić z siebie idiotkę? – spytałam.

– Słucham? – Hattie spojrzała na mnie.

Wróciłam do redakcji, usiadłam przy biurku, sięgnęłam po długopis i czystą kartkę. Znow robiłam z siebie idiotkę – tym razem myśląc, że tą wyjątkową kobietą mogę być ja. A byłam przecież zwykłą tannie z działu porad miłosnych, która ma odpisać na list od czytelnika. Powinnam więc odpisać tak, jak gdyby cała ta historia mnie nie dotyczyła. Może wyjątkowa kobieta, o którą chodziło, ucieszy się, gdy odezwie się do niej ten cały mężczyzna. Ze swoją cholerną owieczką.

Drogi mężczyzno z owieczką,

w dzisiejszych czasach kucharki niechętnie zabijają zwierzęta na obiad. Lepiej będzie, jeśli podarujesz wyjątkowej kobiecie udziec jagnięcy. Jeżeli nie masz gospodarskiej wprawy, możesz poprosić o pomoc rzeźnika.

Bez wątpienia życie każdego z nas kiedyś się skończy. Niewiele możemy na to poradzić. Możemy jednak doprawić nasze życia miłością i dobrym jedzeniem. Wybór należy do nas.

Wiem, co masz na myśli, pisząc o ciężkich przeżyciach. Jednak miłość nie powinna być uwięziona w twoim sercu. Nie możemy więzić miłości z powodu przeżytego bólu. Powinniśmy ją uwolnić.

Po napisaniu tego zdania odłożyłam długopis i westchnęłam głęboko. Zastanawiałam się, czy potrafiłabym sama postąpić zgodnie ze swoją radą. Po chwili jeszcze raz przeczytałam list od mężczyzny, a następnie dokończyłam odpowiedź.

Po czym poznasz, że jesteś dla niej kimś więcej niż zwykłym przyjacielem? W tej sprawie musisz zdać się na swoje serce, ono Ci podpowie. Ale jeśli kobieta wystroi się trochę na spotkanie z Tobą,

a jej twarz będzie promieniała, gdy na Ciebie spojrzy, to znaczy, że prawdopodobnie lubi Cię w szczególny sposób.

Jeśli zależało jej na Tobie, to uciekając, zapewne zraniłeś jej uczucia i będziesz musiał trochę się postarać, żeby ją odzyskać.

Skreśliłam słowo „trochę” i poprawiłam je na „bardzo”.

Będziesz musiał bardzo się postarać, żeby ją odzyskać.

T.M.

Oparłam ręce na biurku, a na rękach oparłam głowę.

ROZDZIAŁ 90

– Rety, *tannie* Mario. Ty to potrafisz gotować – mruknęła Jessie, dokładając sobie sałatki ziemniaczanej.

Reghardt, z ustami pełnymi surówki z marchewki, przytaknął skinieniem głowy.

– Sałatka z trzech rodzajów fasoli jest przepyszna – oznajmiła Hattie.

Był czwartek, dwudziesty grudnia. Siedzieliśmy na werandzie przed moim domem, słońce wisiało nisko nad wzgórzami, a my raczyliśmy się ucztą, którą obiecałam Jessie. Jeżeli dzień później rzeczywiście miał nastąpić koniec świata, wolałam dotrzymać złożonych obietnic. Poza tym właśnie to chciałabym robić w ostatni wieczór swojego życia: siedzieć na werandzie, z której roztacza się przepiękny widok, i jeść z przyjaciółmi dobrą kolację.

– Tę superseksowną sukienkę przysłała ci Candy? – zainteresowała się Jessie.

– I te buty też? – dociekała Hattie. – Mario, pomalowałaś paznokcie u nóg na perłowo?

– Komuś jeszcze *vetkoek*? – spytałam, podając półmisek gościom siedzącym przy stole.

Reghardt się poczęstował.

– Jak ci się udaje włożyć mielone mięso do środka? Nigdy wcześniej takiego nie jadłem.

– Jeszcze jagnięciny? – spojrzałam na Jessie, odkrawając kawałek pieczeni z pyszną skórką.

– Poproszę. – Dziewczyna z ochotą podsunęła mi talerz. – Co dodałaś do sosu?

– Sok z granatów i czerwone wino – odrzekłam, nakładając jej mięso.

– Jest fantastyczny. – Jessie mlasnęła, obficie polewając sosem pieczeń.

– Rany julek – westchnęła Hattie. – Cudownie, że wracasz do formy, Jessie.

Jessie pogłaskała wytatuowanego gekona na ramieniu, po czym zajęła się jedzeniem. Cieszyłam się, widząc ją silną i zadowoloną.

Dołożyłam pieczeni również Pietowi. Nie był dużym mężczyzną, ale potrafił zjeść sporo mięsa.

– Jeszcze kawałek dla ciebie? – spytałam Kannemeyera.

– Poproszę – odpowiedział, posyłając mi szeroki, jasny uśmiech.

Przykazałam kolanom, żeby się nie trzęsły, ponieważ nie można chwiać się na nogach, kiedy trzyma się w ręku duży nóż. A poza tym to, że się uśmiecha i przynosi udziec jagnięcy, nie znaczy jeszcze, że znów nie ucieknie.

– O nie, Kosie – mruknął Kannemeyer. – Teraz jem.

Owieczka trącała go miękkim nosem w udo.

Komisarz wyjął z kieszeni butelkę, z której zwierzątko zaczęło ssać mleko niczym wygłodniałe niemowlę.

Henk podrapał Kosie po głowie, między różkami. Po chwili owieczka powędrowała w stronę przyzmy kompostowej. Kury się rozpierzchły, dzięki czemu Kosie mogła się dostać do ich bufetu.

Zapadał już zmrok, gdy podałam [moerkoffie](#), koeksisters i ciasto czekoladowe.

Zgasiałam światło nad werandą i wszyscy zapatrzyliśmy się w rozgwieżdżone niebo nad Karru. Nigdzie na świecie nie ma tylu gwiazd, co u nas. Jeśli długo się w nie patrzy, można dostrzec więcej gwiazd niż ciemności.

Kto widzi takie niebo, przestaje się bać ciemności.

Gdy siedzieliśmy, Kannemeyer wyciągnął ramię i dotknął mojej dłoni. Pozwoliłam, żeby wziął mnie za rękę, ale w piersiach poczułam ucisk. Chyba odezwał się ból, który pozostał po wszystkich tych razach, gdy czułam się jak idiotka.

Ucisnął moje palce, a kiedy ja nie odwzajemniłam uścisku, rozluźnił uchwyt. Nie puścił mnie jednak, cały czas trzymał moją dłoń delikatnie niczym pisklę wyjęte z gniazda.

Na koniec wszyscy pomagali sprzątać ze stołu, ale tylko Kannemeyer został, żeby pozmywać naczynia, gdy inni już pojechali.

– Nie kłopotz się – powiedziałam. – Poradzę sobie. Możesz wracać do domu.

– Prawie skończyłem – odparł.

Schowałam resztę koeksisters do lodówki i nie zaproponowałam mu kawy.

– Chyba czas na mnie – rzekł, gdy naczynia były już umyte, wytarte i pochowane do szafek.

Spojrzał na mnie, jak gdybym była smakowitym ciastkiem w tej sukience, po czym zrobił krok w moją stronę, ale ja się cofnęłam.

– Moglibyśmy niedługo znowu się spotkać? – spytał.

Utkwiłam wzrok w swoich stopach. Paznokcie u nóg rzeczywiście wyglądały ładnie w nowych pantoflach.

– Jutro po południu wybieram się na ślub w Riversdale – powiedziałam. – Jeśli chcesz pojechać ze mną, wyruszam stąd o drugiej.

– Będę – oświadczył.

ROZDZIAŁ 91

Następnego dnia przyjechał za kwadrans druga. Świat jeszcze się nie skończył, ale być może wisiał na włosku. Włożyłam ładną sukienkę w niebieskie kwiatki i pantofle od Candy. Pojechaliśmy jego samochodem, na kolanach wiozłam pudełko wypełnione tradycyjnymi kruchymi ciasteczkami.

– Ładnie pachniesz – powiedział.

– To [soetkoekies](#) – odparłam. – Ale nie wzięłam prowiantu dla nas. Upiekłam je dla Kobusa i Stelli.

Nagle usłyszałam meczenie i drgnęłam. Na tylnym siedzeniu leżała owieczka.

– Zabrałeś z sobą owieczkę!?

– Kosie trzeba karmić co cztery godziny – tłumaczył się. – Nie mogłem jej tak po prostu zostawić.

Skrzyżowałam ręce, żeby okazać niezadowolenie, ale głowę odwróciłam do okna, by ukryć uśmiech.

Pożałowałam, że nie przyszykowałam nam prowiantu – podróż trwała dość długo. Jechaliśmy piękną przełęczą między wysokimi zielonymi górami, których stoki porastały kwiaty, krzewy i trawy typowe dla fynbosu. Podziwialiśmy widoki i rzadko przerywaliśmy milczenie.

Gdy zjeżdżaliśmy ze stromej przełęczy, Kannemeyer powiedział:

– Bardzo mi ciebie brakowało, Mario.

– Popatrz na dudkowca, siedzi tam, na krzewie srebrnika – odparłam.

– Śliczny – zauważył.

Kiedy był tak bardzo miły, robiło mi się ciepło na sercu. Mimo to wciąż jeszcze w piersiach czułam bolesny ucisk.

Henk usiadł z tyłu kościoła razem z owieczką, ponieważ było za gorąco, żeby zostawić Kosie w samochodzie. Ja zajęłam miejsce z przodu, obok brata Kobusa. Uroczystość była piękna. Panna młoda wyglądała prześlicznie, pan młody niezwykle elegancko. Jednak ceremonia miała wyjątkowy charakter również dzięki temu, że Kobus używał języka migowego. Ruchy jego rąk w pewnym momencie stały się bardziej wzruszające niż jakiegokolwiek słowa.

Po uroczystości odbyło się przyjęcie pod dużym namiotem.

Henk przywiązał swoją owieczkę do drzewa i razem poszliśmy złożyć życzenia młodej parze. Henk znów dotknął mojej dłoni, ale ja nie chciałam wziąć go za rękę.

Stellę otaczał wianuszek gości, udało nam się jednak podejść do Kobusa.

– Witaj, Kobusie – powiedziałam. – Jestem *tannie* Maria. Gratuluję.

Chłopak uśmiechnął się, wydawał się zachwycony niczym nastolatek, który patrzy na nowy motocykl otrzymany w prezencie urodzinowym.

Przyłożył ręce do klatki piersiowej, po czym poruszył szybko palcami, jak gdyby naśladował trzepot ptasich skrzydeł.

– Dziękuję – wyszeptał.

Przypomniałam sobie słowa, które napisał w pierwszym liście do mnie: „Kiedy się do mnie uśmiechnęła, poczułem się tak, jakby z piersi chciało mi wylecieć całe stado ptaków”. Wyglądało na to, że ptaki w końcu wyrwały się na wolność.

Wiem, że wykonał gest, który w języku migowym oznacza podziękowanie, ale wydawało mi się, że chce mi przekazać coś innego: „Otwórz serce i uwolnij miłość”.

Sięgnęłam po rękę Henka Kannemeyera.

Właściwie, dlaczego nie, pomyślałam. Dlaczego nie?

PRZEPISY *TANNIE* MARII

Okazuje się, że opowieści o zbrodni i miłości zajęły tak dużo miejsca, iż nie zostało zbyt wiele stron na przepisy. Dlatego wybrałam zaledwie kilka moich ulubionych potraw charakterystycznych dla kuchni mieszkańców Karru. Niektóre potrawy nie pochodzą z Karru, ale znalazły się tutaj, ponieważ są przepyszne.

Bardzo przepraszam przestrzegających wegańskiej diety adwentystów dnia siódmego, ponieważ w większości przepisów pojawia się typowa dla Karru jagnięcina, masło lub jaja, jednak na pewno znajdzie się także kilka takich, które będą mogli wypróbować.

Proszę, żebyście zadbali o to, aby mięso i nabiał, których używacie, pochodziły z dobrego, sprawdzonego gospodarstwa: z wolnego chowu lub hodowli zwierząt. Zwierzęta powinny żyć w promieniach słońca i paść się na polu.

Stosowanie ocieplacza

Ocieplacz (nazywany również otulaczem) to duża, wypełniona styropianowymi kulkami poduszka z otworem na garnek i z pokrywką, również w formie poduszki. Ocieplacz to najlepszy sposób na przyrządzanie dań wymagających dłuższego gotowania na wolnym ogniu. Dzięki niemu można zaoszczędzić sporo prądu, a włożone do niego potrawy mogą dusić się w nocy albo w dzień, gdy jesteśmy w pracy.

W dzisiejszych czasach otulacz można po prostu kupić. Ja również mam kupny – sprawiłam go sobie dawno temu na kościelnym kiermaszu dobroczynnym. Został uszyty z pięknego pomarańczowego materiału w tradycyjne afrykańskie wzory. W przeszłości moja mama stawiała garnki z jedzeniem na drewnianej desce, po czym owijała je kołdrą i przykładała poduszką. Efekt końcowy był taki sam.

Ważne jest, żeby potrawa w garnku była całkowicie zalana sosem lub wodą i żeby garnek był niemal pełny. (Garnek wypełniony do połowy utrzyma ciepło, ale potrawa nie będzie się dusić). Ocieplacz idealnie nadaje się do przyrządzania różnego rodzaju zup, potrawek, curry, ryżu lub kasz. Wystarczy doprowadzić potrawę do wrzenia i wstawić ją do otulacza. Garnek pozostanie bardzo gorący przez co najmniej dwie godziny. Jeśli przyrządzamy ryż lub kaszę, musimy pamiętać, żeby nie nalać zbyt dużo wody, inaczej potrawa wykipi.

Ocieplacz sprawia, że potrawy nie tracą wilgoci, dlatego bezpośrednio przed podaniem można podgrzać potrawę w piekarniku lub na kuchence, jeśli się okaże, że trzeba odparować nadmiar sosu.

Stosowane jednostki miary

Łyżka – łyżka stołowa (15 ml)

Łyżeczka – łyżeczka do herbaty (5 ml)

Szklanka – 250 ml

Podana w przepisach liczba jajek odnosi się do dużych jaj.

POTRAWY MIĘSNE

Przepisy na potrawy mięsne są obliczone na 4–6 osób, w zależności od apetytu biesiadników.

Curry z jagnięciny według przepisu Martine (z sosami sambal)

1 łyżka mielonej kurkumy

1½ łyżki mielonej papryki

2 łyżki mielonej kolendry

1 łyżeczka mielonego czarnego pieprzu

1 łyżeczka soli

¼ szklanki posiekanego świeżego czosnku (około 6 ząbków lub 30 g)

3 łyżki posiekanego świeżego imbiru (15 g)

2–4 pokrojone papryczki chili

1 kg baraniny lub jagnięciny (karkówka lub udziec)

2 bakłazany średniej wielkości (500 g) pokrojone w grubą kostkę (2 cm)

5 łyżek oleju słonecznikowego

1½ łyżki kminku całego

2 łyżeczki kozieradki całej

1 łyżka gorzycy całej

6 strączków kardamonu

½ laski cynamonu

2 duże cebule, obrane i pokrojone w cienkie talarki

800 g dużych, dojrzałych pomidorów (około 8 sztuk), obranych i pokrojonych w kostkę

4 średniej wielkości ziemniaki, obrane i pokrojone w grubą kostkę (2 cm)

1 łyżka mieszanki przypraw garam masala

1 szklanka posiekanej świeżej kolendry

- Przyrządzić 24 godziny przed podaniem – to bardzo ważne. Mięso musi się dusić długo i powoli, aby odpowiednio skruszeć, a przyprawy muszą się przegryźć, żeby mogły nadać potrawie odpowiedni smak.
- Zmieszać wszystkie mielone przyprawy (oprócz garam masali) z solą, czosnkiem, imbirem i papryczkami chili. Dokładnie wetrzeć je w mięso.
- Posolić bakłazany 1 łyżeczką soli i odstawić.
- Mocno rozgrzać olej w dużym żaroodpornym garnku o grubym dnie. Dodać całe przyprawy

i mieszać, aż ich zapach wypełni kuchnię, a ziarenka gorczycy zaczną pękać. Wrzucić cebulę i zmniejszyć ogień na średni.

- Gdy cebula się zeszkli, opłukać bakłażany, wrzucić je do garnka i smażyć, aż się zrumienią.
- Włożyć natartą przyprawami jagnięcinę i mieszać, żeby dodane w całości przyprawy nie przywarły do dna. Gdy mięso się zrumieni, dolać szklankę wody i dorzucić pokrojone pomidory. Doprowadzić do wrzenia i gotować na kuchence przez 15 minut.
- Przygotować piekarnik lub ocieplacz (wskazówki dotyczące ocieplacza zostały podane na s. 437).
- W piekarniku – piec pod przykryciem w temperaturze 150°C przez 2 godziny. Następnie wyłączyć piekarnik i pozostawić potrawę do ostudzenia. Na noc włożyć do lodówki.
W ocieplaczu – upewnić się, że potrawa jest gorąca, mięso zakryte sosem, a garnek niemal pełny (jeśli pozostanie zbyt wiele wolnego miejsca, potrawa nie udusi się dobrze). Do duszenia w ocieplaczu najbardziej nadaje się żeliwny garnek o średnicy 24–26 cm. Zostawić garnek w ocieplaczu na 4 godziny lub na noc, następnie ponownie podgrzać i włożyć do ocieplacza. Jeśli czas pozwoli, powtarzać te czynności co 4 godziny.
- Następnego dnia mniej więcej godzinę przed podaniem curry ugotować pokrojone ziemniaki w bardzo słonej wodzie (gotować do miękkości, 15–20 minut). Następnie odcedzić i dodać do mięsa w sosie, do curry dosypać również przyprawę garam masala. Wstawić odkryty garnek do piekarnika i piec w temperaturze 190°C około 50 minut, aż potrawa zgęstnieje.
- Jeśli curry było przygotowane w ocieplaczu, może być rzadsze i trzeba będzie dłużej czekać, aż nadmiar wody odparuje. Proces ten można przyspieszyć, przekładając potrawę do szerszego garnka.
- Spróbować danie, doprawić solą lub pieprzem, jeśli okaże się to konieczne. Przybrać świeżymi listkami kolendry. Podawać z ryżem basmati, sosami sambal (przepis na następnej stronie) oraz indyjskimi naleśnikami papad.

Sosy sambal

SAMBAL OGÓRKOWY

½ szklanki jogurtu naturalnego

½ łyżeczki soli

1 łyżka posiekanej świeżej mięty

1 ogórek (około 10 cm) pokrojony w kostkę

1 mała żółta lub czerwona papryka, oczyszczona z nasion, pokrojona w kostkę

½ czerwonej cebuli, obranej i drobno posiekanej

3 łyżki posiekanej świeżej kolendry

1 łyżka octu

- Wymieszać wszystkie składniki.

SAMBAL POMIDOROWY

2–3 pomidory pokrojone w kostkę

2 łyżki soku z cytryny lub limonki

½ łyżeczki drobno posiekanej lub sproszkowanej papryczki chili

½ łyżeczki soli

1 łyżeczka cukru

1 łyżeczka prażonego kminku całego

1 cebulka dymka pokrojona w drobną kostkę

- Wymieszać wszystkie składniki.

Bobotie Reghardta

½ szklanki rodzynek
1 łyżka mielonej kolendry
4 łyżeczki mielonej kurkumy
1 łyżeczka mielonego czarnego pieprzu
1½ łyżeczki mielonego kminku
½ łyżeczki mielonego cynamonu
¼ łyżeczki mielonego imbiru
¼ łyżeczki mielonego kopru włoskiego
¼ łyżeczki mielonej kozieradki
¼ łyżeczki mielonej czarnej gorczycy
¼ łyżeczki pieprzu cayenne
1½ łyżeczki soli
szczypta gałki muszkatołowej
szczypta mielonych goździków
¼ szklanki masła (60 g)
2 cebule, obrane i drobno posiekane
1 posiekany ząbek czosnku
1 łyżeczka posiekanego świeżego imbiru
500 g mięsa mielonego (jagnięcina, strusina lub dziczyzna)
1 szklanka utartej marchewki
1 kromka chleba nasączona 3 łyżkami mleka, lekko wyciśnięta, następnie rozgnieciona widelcem
¼ szklanki migdałów w płatkach (15 g)
¼ szklanki dżemu morelowego (najlepiej domowej roboty – przepis podaję na stronie 450)
3 łyżki soku cytrynowego lub 2 łyżki octu winnego
1 jajko

SOS

3 jajka
1 szklanka mleka
1 szklanka śmietany słodkiej lub kwaśnej
½ łyżeczki soli
½ łyżeczki octu

starta skórka z ½ cytryny

6 listków z cytryny

- Namoczyć rodzynki w gorącej wodzie i odstawić.
- Wsypać wszystkie mielone przyprawy do niewielkiej miski i wymieszać.
- Roztopić masło na dużej patelni i delikatnie zeszklić cebulę. Następnie dodać czosnek, świeży imbir oraz zmieszane przyprawy i podsmażyć przez minutę lub dwie.
- Dodać mięso mielone i delikatnie je zrumienić, mieszając, żeby rozbić wszystkie grudki. Następnie dodać utartą marchewkę, po czym zdjąć patelnię z ognia.
- Dodać resztę składników, łącznie z namoczonymi rodzynkami. Wymieszać. Jajko wbić na końcu, żeby nie zaczęło się smażyć. Spróbować, czy potrawa jest dobrze przyprawiona, a następnie przełożyć ją do prostokątnego naczynia żaroodpornego (około 15 na 25 cm, głębokiego przynajmniej na 4 cm).
- Żeby przyrządzić sos, należy ubić jajka, dodać mleko, śmietanę, sól, ocet i skórkę z cytryny, a następnie dobrze wymieszać. Zalać sosem przygotowane do pieczenia mięso.
- Wetknąć w bobocie listki cytryny, tak żeby wystawały jedynie ich koniuszki.
- Piec w temperaturze 200°C około 20–25 minut, aż potrawa nabierze złocistobrazowego koloru.
- Bobocie smakuje ze wszystkim, ale tradycyjnie podaje się je z żółtym ryżem (ryżem ugotowanym z kurkumą, rodzynkami i cynamonem, do którego po ugotowaniu trzeba wmieszać widelcem miód i masło), owocowym sosem chutney, pokrojonymi bananami i pomidorami oraz z sałatką cebulową.

WSKAZÓWKI

- Jeśli nie mamy dżemu domowej roboty (przyrządzanego z dodatkiem ziaren z pestek moreli), możemy dodać do dżemu kupnego dwa rozgniecione ziarna z pestek moreli, żeby nadać bobocie migdałowy posmak. Aby wydobyć ziarno, trzeba rozbić pestkę tłuczkiem lub młotkiem. Gotowe do spożycia ziarna można również kupić w sklepie ze zdrową żywnością.
- Jeśli przygotowujemy potrawę z wyprzedzeniem, pamiętajmy, aby polać ją sosem dopiero tuż przed wstawieniem do piekarnika.
- Jeżeli ktoś lubi pikantne potrawy, może użyć więcej papryczek chili, wtedy jednak należy do pokrojonych bananów dodać jogurt, żeby złagodzić posmak całości.

Tamatiebredie

1 kg pomidorów, obranych i pokrojonych

5 łyżek oleju słonecznikowego

1 kg baraniej karkówki lub udźca (jeśli trudno o baraninę, można ją zastąpić jagnięciną)

około ½ szklanki mąki do obtoczenia mięsa

2 cebule średniej wielkości, obrane i pokrojone

2 łyżki masła

5 całych goździków

6 ziaren ziela angielskiego

10 ziarenek pieprzu

1 laska cynamonu

1 łyżeczka kolendry całej

4 łyżeczki mielonej kolendry

1 łyżeczka mielonego kminku

½ łyżeczki mielonego czarnego pieprzu

2 szczypty mielonej gałki muszkatołowej

2–3 posiekane ząbki czosnku

2 łyżeczki posiekanego świeżego imbiru

100 g przecieru pomidorowego

2 łyżeczki soli

2 łyżeczki cukru

4 ziemniaki średniej wielkości, obrane i pokrojone w kostkę (1–2 cm)

1–2 łyżki octu

- Na obu końcach każdego pomidora zrobić nacięcie w kształcie krzyżyka. Następnie zalać pomidory wrzątkiem, a po kilku minutach parzenia przełożyć je do zimnej wody. Dzięki temu skórka będzie łatwo schodzić. Obrąć i pokroić pomidory.
- Rozgrzać olej w żaroodpornym garnku o grubym dnie. Obtoczyć mięso w mące i zrumienić je na patelni. Podsmażać tylko parę kawałków na raz, uważając, żeby nie przypalić mąki. Gdy mięso się zrumieni, wyjąć je z garnka.
- W tym samym garnku podsmażyć na maśle cebulę. Dodać całe przyprawy i smażyć, aż cebula się zeszkli. Następnie dodać mielone przyprawy, czosnek oraz imbir i smażyć jeszcze przez minutę. Z powrotem włożyć mięso do garnka, wrzucić pokrojone pomidory, przecier pomidorowy, sól

i cukier, po czym doprowadzić do wrzenia.

- Przygotować ocieplacz lub piekarnik. (Wskazówki odnośnie do zastosowania ocieplacza zostały zamieszczone na s. 437).
- Włożyć garnek do ocieplacza na cały dzień. Jeśli to możliwe, co 4 godziny podgrzewać, a następnie znów wkładać garnek do ocieplacza.

W piekarniku piec pod przykryciem w temperaturze 120°C przez 4 godziny, po czym wyjąć i zostawić do ostygnięcia.

- Pokrojone ziemniaki ugotować w bardzo słonej wodzie (gotować do miękkości, 15–20 minut).
- Mniej więcej godzinę przed podaniem potrawy dodać ugotowane ziemniaki, zdjąć pokrywkę i wstawić garnek do piekarnika rozgrzanego do temperatury 180°C lub gotować na wolnym ogniu, aż sos zgęstnieje. Jeśli korzystamy z piekarnika, należy uważać, żeby gulasz nie przywarł do dna garnka. Mięso powinno być bardzo miękkie (odchodzić od kości). Tuż przed podaniem doprawić octem, następnie spróbować i doprawić do smaku solą lub świeżo zmielonym czarnym pieprzem.
- Podawać z ryżem i fasolką szparagową.

WSKAZÓWKA

- Do pieczenia i smażenia zwykle używam oleju słonecznikowego, można go jednak zastąpić każdym innym olejem, który nie ma zbyt silnego smaku i zapachu oraz dobrze się rozgrzewa.

Vetkoek z mięsem mielonym

Tutaj zamieszczam przepis na mięso mielone, którym nadziewa się vetkoek. Przepis na vetkoek podaję na stronie 467.

3 łyżki masła

500 g mielonej wołowiny (polędwica lub karkówka)

1 średniej wielkości cebula, obrana i pokrojona

½ łyżeczki mielonej kurkumy

1 łyżeczka mielonej kolendry

1 łyżeczka mielonego białego pieprzu

4 całe goździki

1 listek laurowy

2 duże pomidory, obrane i pokrojone

1½ łyżeczki soli

2 szklanki wody

¼ szklanki chutney z zielonych pomidorów lub owocowego chutney z cierpkich owoców

- Stopić masło na patelni z grubym dnem na średnim ogniu. Wrzucić mięso mielone i mieszać, żeby rozbić wszystkie grudki. Smażyć, nie przerywając mieszania, aby mięso nie przywarło.
- Gdy mięso mocno się zrumieni, dodać cebulę i smażyć do miękkości.
- Zmniejszyć ogień, dodać przyprawy. Dusić kilka minut, następnie dodać resztę składników.
- Dusić na małym ogniu przez mniej więcej pół godziny, aż sos zgęstnieje i nabierze odpowiedniego smaku.
- Spróbować i doprawić do smaku. Być może trzeba będzie dodać odrobinę soli lub soku z cytryny.

WSKAZÓWKI

- Odpowiednie zrumienienie mięsa zajmuje trochę czasu, ale warto go poświęcić na tę czynność. Dzięki temu potrawa nabierze wyjątkowego, intensywnego smaku.
- Vetkoek należy przeciąć do połowy, następnie końcówką noża delikatnie rozciąć wewnątrz chlebka, tak aby nie przeciąć skórki, na której trzyma się jego górna część. Dzięki temu łatwiej będzie się jadło, gdy napełnimy vetkoek pysznym mielonym mięsem. Mięso w chlebku można polać odrobiną sosu chutney.

DESERY

Dżem morelowy

1 kg jędrnych, niedojrzałych moreli

1 kg białego cukru

sok z 1 cytryny (dodać tylko wtedy, gdy morele są dojrzałe)

10 ziaren z pestek moreli

- Przekroić morele na pół, usunąć pestki i zważyć owoce. Odważyć tyle samo cukru, ile ważą morele, po czym zasypać nim owoce i wymieszać. Odstawić na noc.
- Przełożyć owoce do szerokiego garnka o grubym dnie. Dodać sok z cytryny (jeśli morele są zbyt dojrzałe) i ziarna z pestek moreli. Postawić garnek na małym ogniu i mieszać, aż cukier się rozpuści. Następnie doprowadzić do wrzenia.
- Przykryć na trzy minuty, aby rozpuściły się kryształki cukru, które przywarły do ścianek garnka, następnie zdjęć pokrywkę i gotować na średnim ogniu, aż dżem zacznie robić się klarowny i tężeć (20–25 minut). Co jakiś czas mieszać, żeby dżem nie przywarł do dna, nie robić tego jednak zbyt często, inaczej się skryształizuje.
- Aby sprawdzić, czy dżem jest gotowy – odpowiednio gęsty i lepki, a nie płynny – należy położyć odrobinę na chłodnym talerzu, a następnie go przechylić. Drobina dżemu nie powinna po nim spłynąć. Kiedy zrobimy dżem kilka razy, nabierzemy wprawę i będziemy potrafili ocenić, czy jest gotowy, patrząc na sposób, w jaki zsuwa się z łyżki.
- Przełożyć dżem do wysterylizowanych słoików. Należy dopilnować, by w każdym słoiku znalazło się jedno ziarno z pestki moreli. Gdy dżem nieco ostygnie, brzeg słoika zalakować gorącym stopionym woskiem pszczelim, a następnie mocno zakręcić wieczko. Lakowanie nie jest konieczne, sprawi jednak, że przetwory pozostaną świeże przez wiele lat.

WSKAZÓWKI

- Ziarna z pestek moreli nadają dżemowi charakterystyczny migdałowy posmak. Aby wydobyć je z pestek, trzeba rozbić twardą skorupę tłuczkiem lub młotkiem. Można również kupić gotowe do spożycia ziarna z pestek moreli w sklepie ze zdrową żywnością. Migdałowy posmak pojawia się po miesiącu lub dwóch i z czasem się wzmacnia.
- Najlepszy dżem wychodzi z niedojrzałych owoców. Mają one najwięcej pektyn, dlatego najdłużej zachowują smak. Jeśli morele są zbyt dojrzałe, trzeba dodać soku z cytryny (który zawiera dodatkową ilość pektyn).
- Aby wysterylizować słoiki, należy umyć je w gorącej wodzie z mydłem, opłukać, a następnie

wyparzyć przez 20 minut w piekarniku rozgrzanym do temperatury 100°C. Dżem przełożyć do słoików, póki on sam i słoiki są gorące.

Melktert *tannie* Kuruman

KRUCHE CIASTO NA SPÓD

1¼ szklanki mąki

⅓ szklanki cukru pudru

¼ łyżeczki soli

125 g masła, miękkiego, pokrojonego na kawałki

2 żółtka

- Przesiać mąkę, cukier puder i sól, wymieszać.
- Dodać masło i żółtka, wkroić je do mąki nożem. Następnie delikatnie wgnieść masło rękami, aż składniki się połączą. Owinąć ciasto folią i włożyć do lodówki na 30 minut.
- Na posypanej mąką stolnicy rozwałkować ciasto w taki sposób, aby pasowało do posmarowanej tłuszczem formy o średnicy 24 cm.
- Nakłuć ciasto widelcem.
- Włożyć do rozgrzanego piekarnika i piec 15–20 minut w temperaturze 200°C.

NADZIENIE

Składniki A

2 szklanki mleka

1 łyżka masła

szczypta soli

⅔ szklanki cukru

Składniki B

1 szklanka mleka

2 łyżki mąki tortowej

¼ szklanki mąki kukurydzianej

Składniki C

2 jajka

1 łyżeczka ekstraktu z wanilii

POSYPKA

cukier cynamonowy

- Składniki A (mleko, masło, sól i cukier) podgrzać w rondlu, mieszając, aż cukier się rozpuści.

- Składniki B (mleko, mąka tortowa i kukurydziana) wymieszać w misce, następnie zalać składnikami A. Dobrze wymieszać, powstałą masę przelać z powrotem do rondla.
- Mieszając, gotować masę około 5 minut, aż zgęstnieje i straci mączny posmak.
- Składniki C (jajka i ekstrakt z wanilii) ubić w misce. Nie przerywając ubijania, powoli dolewać gorącą masę i dokładnie zmiksować. Przelać masę z powrotem do rondla i gotować na małym ogniu, aż zgęstnieje (2–3 minuty).
- Zalać masą upieczony spód, a następnie odstawić, aby nadzienie ostygło i stężało. Przed podaniem obficie posypać cukrem cynamonowym.

WSKAZÓWKI

- Cukier cynamonowy można przyrządzić, mieszając w równych proporcjach mielony cynamon z brązowym cukrem.
- Tartę mleczną można posypać samym cynamonem.

Sorbet z owoców mango

2 słodkie, dojrzałe owoce mango, obrane i pokrojone na kawałki
jogurt lub sok z limonek (dla chętnych)

- Mrozić owoce przez 3 godziny lub odpowiednio długo, aby stwardniały, ale nie na kamień.
- Zmiksować, po czym znów włożyć do zamrażarki.
- Przed podaniem można dodać łyżkę jogurtu lub skropić sokiem z limonek.

WSKAZÓWKI

- Ten przepis sprawdza się jedynie wtedy, gdy owoce mango są rzeczywiście wyśmienite. Jeśli są zaledwie smaczne, można przed zamrożeniem dodać do zmiksowanych owoców trochę śmietany albo jogurtu lub przed podaniem skropić sorbet miodem.
- Jeśli mango po zamrożeniu zbyt stwardnieją, należy odczekać kilka minut, zanim przystąpimy do miksowania.

Doskonałe ciasto czekoladowe na maślanec

CIASTO

¼ szklanki wody
220 g masła
½ szklanki kakao w proszku (60 g)
1¾ szklanki brązowego cukru
2 jajka
1¾ szklanki maślanek
1 łyżeczka ekstraktu z wanilii
2 szklanki mąki tortowej (240 g)
1 łyżeczka sody oczyszczonej
1 łyżeczka proszku do pieczenia
½ łyżeczki soli

- Rozgrzać piekarnik do 180°C. Formę do pieczenia o średnicy 28 cm wyłożyć papierem do pieczenia, a następnie natłuścić papier oraz ścianki formy.
- Wlać do rondla wodę, dodać masło i kakao. Mocno podgrzać, ale nie zagotować.
- Ubić jajka z cukrem, dodać maślanekę i ekstrakt z wanilii. Następnie dodać gorącą masę kakaową i dokładnie wymieszać.
- Przesiać mąkę, sodę oczyszczoną, proszek do pieczenia i sól, wymieszać i dosypać do masy kakaowej. Dokładnie zmiksować.
- Przebrać masę do formy i piec 50–55 minut. Zostawić w formie do ostudzenia.

POLEWA

1½ szklanki przesianego cukru pudru (200 g)
125 g masła
¼ szklanki przesianego kakao w proszku (40 g)
¼ szklanki maślanek
¼ łyżeczki soli
½ łyżeczki ekstraktu z wanilii
1 łyżka rumu

- Wszystkie składniki oprócz rumu podgrzać w rondlu na średnim ogniu, bez przerwy mieszając i rozbijając mikserem powstałe grudki. Zagotować, po czym zdjąć z ognia. Dodać rum.

- Polewę ostudzić i rozprowadzić na zimnym cieście.

WSKAZÓWKI

- Polewę przyrządzić zaraz po włożeniu ciasta do piekarnika, żeby zdążyła zupełnie ostygnąć.
- Ciepła polewa doskonale nadaje się również do dekoracji deserów lodowych.
- Jeśli nie mamy rumu, możemy dodać brandy, ale czekolada z rumem smakuje naprawdę wyjątkowo.

Ciasto mechanika z musem czekoladowym

240 g gorzkiej czekolady

125 g masła

1 łyżeczka ekstraktu z wanilii

4 jajka

¼ szklanki cukru pudru

szczypta soli

skórka starta z 1 pomarańczy

- Czekoladę i masło razem z ekstraktem z wanilii stopić na parze (ja wkładam składniki do żaroodpornej miseczki, którą ustawiam na zdjętym z ognia garnku z gorącą wodą).
- Jajka, cukier i sól ubić na gęstą, jednolitą masę. Przy użyciu miksera nastawionego na wysokie obroty proces ten zajmie co najmniej 5 minut i nie należy go przyspieszać. Masa musi stać się gęsta, piana i urosnąć mniej więcej pięciokrotnie.
- Dodać skórkę startą z pomarańczy i stopioną masę czekoladową.
- Wlać ciasto do wyłożonej papierem do pieczenia i natłuszczonej tortownicy o średnicy 23 cm i piec w temperaturze 160°C przez 35–45 minut lub aż wierzch ciasta zacznie pękać.
- Zostawić w tortownicy do ostygnięcia, następnie wyjąć i napełnić pęknięcie pośrodku ciasta bitą śmietaną i jagodami lub orzechami.

WSKAZÓWKI

- Użyć gorzkiej czekolady o zawartości 35–40% kakao. Nie używać czekolady zawierającej więcej niż 45% kakao, jeśli nie chcemy, żeby ciasto zrobiło się suche, gorzkie i gliniaste.
- Upieczone ciasto może się wydawać zbyt płaskie, ale dzięki temu na wierzchu zostaje miejsce na pyszną bitą śmietaną i jagody lub orzechy albo brzoskwinie z kompotu.

Zawijaniec miodowy w polewie toffi

CIASTO

½ szklanki mleka
2 łyżki cukru (30 g)
1 łyżka miodu (20 g)
1 łyżeczka drożdży suszonych (instant)
2 strączki kardamonu
2 szklanki mąki tortowej (240 g)
¾ łyżeczki soli
szczypta mielonej gałki muszkatołowej
1 ubite jajko
100 g miękkiego masła

POLEWA TOFFI Z MIODEM

3 łyżki miękkiego masła (45 g)
75 g cukru pudru
1 białko
2 łyżki miodu (40 g)
30 g posiekanych migdałów

- Mleko, cukier i miód włożyć do rondla i lekko podgrzać. Składniki muszą być ciepłe, lecz nie gorące, ponieważ zbyt wysoka temperatura zabija drożdże. Dodać drożdże i odstawić.
- Strączki kardamonu rozłupać tłuczkiem w moździerzu. Wyrzucić łupiny, ziarna z dodatkiem niewielkiej ilości cukru utrzeć na proszek.
- Przesiać mąkę i sól, dodać gałkę muszkatołową i sproszkowany kardamon.
- Do mąki dodać mleko z drożdżami i ubite jajko, następnie zagniatą przez kilka minut. Dodać miękkie masło i wyrabiać przez 10 minut, aż powstanie jednolita masa.
- Ciasto włożyć do czystej, wysmarowanej masłem miski, nakryć ścierką i odstawić do wyrośnięcia w ciepłe miejsce na półtorej godziny (lub aż podwoi swoją objętość).
- Tymczasem składniki na polewę włożyć do miski i dokładnie wymieszać.
- Blachę lub szeroką płaską formę wyłożyć papierem do pieczenia. Położyć ciasto na posypanej mąką stolnicy i parokrotnie uderzyć w nie pięścią, żeby je odpowietrzyć. Następnie delikatnie rozciągać i formować wałek przypominający długą kiełbasę. Jeśli ciasto będzie stawiać opór, zostawić je na kilka minut i ponowić próbę. Gdy wałek z ciasta osiągnie około 70 cm długości lub

2–3 cm grubości, ułożyć go w luźną spiralę na wcześniej przygotowanej blasze albo formie do pieczenia. Zwoje ciasta nie mogą się stykać – należy zostawić między nimi około 2 cm odstępu, jedynie samą końcówkę spirali można wepchnąć pod spód sąsiedniego zwoju.

- Równomiernie oblać ciasto polewą i odstawić do wyrośnięcia na kolejne 20–25 minut.
- Piec w temperaturze 190°C przez 30–35 minut lub aż ciasto nabierze mocno złocistego koloru.

WSKAZÓWKA

- Ciasto smakuje najlepiej jedzone zaraz po upieczeniu, ale na drugi dzień można przywrócić mu świeżość, podgrzewając w piekarniku lub na patelni.

Koeksisters

SYROP

- 1 kg cukru
- 2½ szklanki wody
- ½ łyżeczki mielonego imbiru
- 2 laski cynamonu
- 3 łyżki soku z cytryny
- ½ łyżeczki wodorowinianu potasu*

CIASTO

- 4½ szklanki mąki tortowej (560 g)
- 1 łyżeczka soli
- 4 łyżeczki proszku do pieczenia
- 125 g masła
- 2 ubite jajka
- 1 szklanka mleka
- 2 litry oleju słonecznikowego do smażenia w głębokim tłuszczu

- Najpierw przygotować syrop: do garnka o grubym dnie wlać wodę, wsypać cukier, imbir i cynamon. Postawić garnek na średnim ogniu i mieszać, podgrzewać, aż cukier się rozpuści. Doprowadzić do wrzenia i gotować przez 5 minut. Gdy syrop zgęstnieje, zdjąć garnek z ognia, dodać sok z cytryny i wodorowinian potasu.
- Po przestygnięciu włożyć syrop do lodówki lub zamrażarki.
- Przygotować ciasto: przesiać mąkę, sól i proszek do pieczenia. Dodać masło i zagnieść je z mąką, następnie wbić jajka i dolać mleko. Ciasto powinno zrobić się rozciągliwe, łatwe do ugniatania. Wyrabiać co najmniej 10 minut, aż stanie się jednolite i sprężyste.
- Przełożyć ciasto do natłuszczonej olejem miski, przykryć ścierką i odczekać 3 godziny.
- Położyć ciasto na lekko naoliwionej stolnicy. Podzielić na 6 równych części (o ciężarze około 180 g) i uformować wałki. Naciągać ciasto zdecydowanie, ale uważnie, aby nie doprowadzić do przerwania. Gdy jeden kawałek zacznie stawiać opór, odłożyć go i przejść do formowania następnego. Po uformowaniu wszystkich 6 wałków, wrócić do pierwszego i powtórzyć rozciąganie. Wałki powinny mieć najwyżej 1 centymetr grubości lub około 1 metra długości. Gotowe wałki zostawić na 10 minut.
- Następnie zapleść dwa warkocze, każdy z 3 wałków. Najłatwiej zacząć od środka i najpierw

zapleść jedną stronę, a następnie drugą. Warkocz powinien wyjść kształtny i ciasny. Po zapieczeniu odstawić na 10–15 minut.

- Pociąć warkocz na kawałki o długości 7 centymetrów. Z każdego warkocza powinno wyjść co najmniej 12 koeksisters.
- Smażyć w gorącym oleju po 3–4 koeksisters na raz. Gdy zrumienią się po jednej stronie (po 2–3 minutach), przewrócić na drugą stronę. Wyciągnąć, gdy obie strony nabiorą złocistobrazowego koloru, następnie osuszyć na papierowym ręczniku lub na wytłaczankach po jajkach, po czym zanurzyć w zimnym syropie. Przewrócić na drugą stronę i pozostawić w syropie, aż będzie gotowa następna porcja. W ten sam sposób przyrządzić wszystkie ciastka.

WSKAZÓWKA

- Koeksisters są przepyszne i warte zachodu. Najlepiej smakują schłodzone, a przechowywane w lodówce zachowują świeżość przez kilka dni (o ile nie zostaną wcześniej zjedzone). Można je również zamrażać.

*U nas składnik praktycznie niedostępny – żeby uniknąć scukrzenia syropu, można zamiast niego dodać trochę więcej soku z cytryny (przyp. tłum.).

Herbatniki na maślanec z musli

1 kg mąki tortowej
¼ szklanki proszku do pieczenia (40 g)
4 łyżeczki soli
1½ szklanki prażonego musli (200 g)
1 niepełna szklanka rodzynek (100 g)
1 szklanka pokrojonych suszonych jabłek (75 g)
1¼ szklanki łuskanego słonecznika (170 g)
½ szklanki wiórków kokosowych (40 g)
¼ szklanki siemienia lnianego (35 g)
¼ szklanki ziaren sezamu (35 g)
¼ szklanki łuskanych pestek dyni (30 g)
2 szklanki brązowego cukru (400 g)
3 duże jajka
2 szklanki maślanek
500 g stopionego masła

- Rozgrzać piekarnik do 180°C i natłuścić cztery formy do chleba lub jedną blachę o wymiarach 30 na 40 centymetrów.
- Wymieszać wszystkie sypkie składniki.
- Ubić jajka, dodać maślanek i stopione masło, po czym wymieszać. Następnie dodać sypkie składniki i dokładnie wymieszać.
- Łyżką rozłożyć masę do form, tak aby w każdej była trzycentymetrowa warstwa ciasta, i piec około 45 minut.
- Lekko ostudzić, następnie wyłożyć ciasto z form na ruszt do piekarnika i zostawić do zupełnego ostygnięcia.
- Pociąć na herbatniki, na przykład o wymiarach 3 na 4 centymetry lub też wedle własnego pomysłu.
- Suszyć przez noc w szufladzie do podgrzewania lub przez 4–6 godzin w piekarniku rozgrzanym do temperatury 80–100°C do zupełnego stwardnienia i wyschnięcia. Przechowywać w szczelnie zamkniętym pojemniku.
- Herbatniki przed zjedzeniem zamaczać w kawie, aż staną się miękkie i pyszne.

WSKAZÓWKI

- Suszone jabłka najłatwiej pociąć nożyczkami.

- Można również dodać suszone żurawiny albo ulubione orzechy czy suszone owoce, należy jedynie dopilnować, żeby ogólna ilość bakalii pozostała taka sama.

PIECZYWO

Chleb wiejski z Karru

4½ szklanki razowej mąki chlebowej (600 g)

3 łyżeczki soli

10 g suszonych drożdży (instant)

1 szklanka płatków owsianych (80 g)

½ szklanki łuskanego słonecznika (80 g)

¼ szklanki melasy (80 g)

1 łyżka oleju słonecznikowego

2½ szklanki letniej wody

1 szklanka otrąb pszennych lub żytnich (55 g)

- Natłuścić formę chlebową o wymiarach 12 na 25 cm.
- Przesiać mąkę (z powrotem wsypać otręby, które zostaną na sitku), wymieszać z solą, drożdżami, płatkami owsianymi i słonecznikiem.
- Dodać melasę, olej i wodę, po czym dokładnie wymieszać. Następnie dodać otręby i ponownie wymieszać. Łyżką przełożyć masę do formy i odstawić w ciepłe miejsce do wyrośnięcia na 30 minut.
- Wierzch posypać łuskanym słonecznikiem, następnie wstawić chleb do piekarnika rozgrzanego do 220°C i piec przez 40–45 minut.
- Wyjąć z formy na ruszt od piekarnika, ostudzić przed pokrojeniem.

WSKAZÓWKA

- Chleb zachowuje świeżość przez tydzień. Doskonale smakuje z wiejskim masłem i dżemem morelowym lub serem pokrojonym na grube plastry.

Vetkoek

600 g mąki tortowej

3 łyżeczki suszonych drożdży (instant)

2 łyżki cukru

3 łyżeczki soli

2 łyżki oleju słonecznikowego

200 ml ciepłej wody

200 ml mleka

2 litry oleju słonecznikowego do smażenia w głębokim tłuszczu

- Przesiać mąkę, dodać drożdże, cukier i sól, po czym wymieszać.
- Wymieszać olej, ciepłą wodę i mleko, a następnie powoli dodawać do mąki. Powinna powstać masa nadająca się do zagniatania. Na posypanej mąką stolnicy zagniatą ciasto przez 8–10 minut, aż stanie się jednolite i sprężyste. Natłuścić olejem dużą miskę, przełożyć do niej wyrobione ciasto, nakryć je ścierką i pozostawić do wyrośnięcia na 2 godziny lub aż podwoi swoją objętość.
- Delikatnie zagnieść ciasto, żeby je odpowietrzyć, następnie podzielić na 10 porcji (po około 100 g). Uformować kule, po czym rozplaszczyc je dłonią. Tak przygotowane ciasto posmarować olejem i odstawić do wyrośnięcia na 20–30 minut.
- W tym czasie rozgrzać olej do smażenia w dużym garnku o grubym dnie. Smażyć po 3 chlebki na raz. Gdy po jednej stronie zrobią się złocistobrązowe (po 4–6 minutach), przewrócić na drugą stronę i również zrumienić.
- Osuszać na papierowym ręczniku lub wytłaczankach po jajkach.
- Podawać ze specjalnie przygotowanym mięsem mielonym (przepis podałam w części „Potrawy mięsne”) albo z masłem, serem wiejskim lub dżemem morelowym domowej roboty (przepis na dżem podałam na stronie 450).

PODZIĘKOWANIA

Pisanie to samotnicze zajęcie, ale zasiadając do pisania podziękowań, poczułam ogromne wzruszenie na myśl o wielu ludziach, którzy przez cały czas mnie wspierają. Z głębi serca dziękuję Wam wszystkim. Niektórych z Was wymienię poniżej.

Peter van Straten, Bosky Andrew i Joan van Gogh recenzowali pierwsze wersje powieści. Miriam Wheeldon i Nicolene Botha doradzały mi w kwestii muzyki. Anel Hamersma jako pierwsza redagowała tekst pod kątem afrykanerskiej kultury i języka afrikaans. Christian Vlotman i JP Andrew odpowiadali na moje pytania dotyczące kultury młodzieżowej. Vilia Reynolds udzielała mi informacji na temat Ladismith. Andrew Brown z niezwykłą cierpliwością objaśniał mi przeróżne zagadnienia z zakresu prawa, kryminalistyki i literatury. Policjantki i policjanci z Ladismith uprzejmie informowali mnie o różnych procedurach policyjnych.

Carole Buggé (z nowojorskiej szkoły Gotham Writers' Workshop) dodała mi otuchy i była pierwszym, fantastycznym redaktorem mojego tekstu. Christopher Hope poczynił wiele wnikliwych i trafnych spostrzeżeń.

Sisi Nono Silimela jest ucieleśnieniem wyznawanej przez *tannie* Marię zasady, że zawsze trzeba postępować, jak należy. *Tannie* Maria van der Berg, która użyczyła imienia mojej bohaterce, jest doskonałą kucharką i razem ze swoją córką Crecildą służyła mi radą w najrozmaitszych sprawach, od przekleństw począwszy, na owcach skończywszy. O tych drugich najwięcej jednak dowiedziałam się od Daniego Vorstera ze związku hodowców owiec merynosowych Merino SA. Ronel Gouws, Chris Erasmus, Pieter Jolly i Carl Wicht cierpliwie zaspokajali moją ciekawość dotyczącą odpowiednio: języka afrikaans, literatury, Buszmenów i połamanych kończyn. Jestem również bardzo wdzięczna Janowi Vlokowi i Annie Lisie Schutte-Vlok za ich książkę *Plants of the Klein Karoo* (Umdaus Press, 2010).

Gdybym miała w adekwatny sposób wyrazić uznanie mojej agentce Isobel Dixon, zamiast podziękowań wyszłyby spod mojego pióra peany na jej cześć, ograniczę się więc do dwóch skromnych słów: to geniusz i bogini. Louise Brice jest prawdziwym aniołem, Melis Dagoglu potrafi przenosić góry, jestem również niezwykle wdzięczna całemu nieocenionemu zespołowi agencji literackiej Blake Friedmann, między innymi Hattie Grunewald (która użyczyła imienia mojej bohaterce) oraz Tomowi Witcombowi.

Mam ogromne szczęście, ponieważ moją książkę przyjęli z żywiołowym entuzjazmem

i wzbogacili o swoje wnikliwe uwagi doskonali wydawcy, redaktorzy i korektorzy z całego świata. Do tego znakomitego grona należą między innymi: Fourie Botha, Beth Lindop, Máire Fisher (Umuzi, Republika Południowej Afryki); Louisa Joyner, Jamie Byng, Lorraine McCann (Canongate, Wielka Brytania); Dan Halpern, Megan Lynch (Ecco, HarperCollins, Stany Zjednoczone); Iris Tupholme (HarperCollins, Kanada); Mandy Brett i Michael Heyward (Text, Australia). Współpraca z nimi była wyjątkowym doświadczeniem – przekonałam się, że czasami im więcej kucharek, tym lepiej dla potrawy (zapewne stało się tak również dzięki doskonałej szefowej kuchni, uroczej Louisie).

Chcę podziękować wszystkim zespołom redakcyjnym z wydawnictw na całym świecie, które podjęły się publikacji mojej książki. Dziękuję za przepiękne listy, które od Was dostałam. Przechowuję je w pudełku na listy miłosne i sięgam po nie jak po lekarstwo za każdym razem, gdy mam zły dzień.

Dziękuję mojemu wspaniałemu mężczyźnie Bowenowi Boshierowi, który wspiera mnie przez cały czas i uczy, jak patrzeć i jak być.

Miłość i wsparcie, które od Was otrzymuję, są jak ożywczy strumień, z którego codziennie czerpię wodę w Karru.

Ogromny dług wdzięczności mam wobec mistrzów literatury, którzy wciąż mnie inspirują. Królowa kryminałów Agatha Christie obudziła we mnie zamiłowanie do kameralnych powieści detektywistycznych. Od mistrza opowiadań Hermana Charlesa Bosmana nauczyłam się, że to, co pomija się w opowieści, może być równie ważne jak to, co się w niej umieszcza. Czarujący Alexander McCall Smith udowodnił całemu światu, że powolna, łagodna kobieta detektyw z Afryki Południowej może pobić na głowę całą rzeszę rzutkich, twardych śledczych z Ameryki Północnej.

Utwory, które Jessie ustawiała jako dzwonki w swoim telefonie, zostały stworzone przez wspaniałych artystów: *Girl on Fire* napisała Alicia Keys, *My Black President* – Brenda Fassie, *Light My Fire* – The Doors, *I'm Your Man* i *By the Rivers Dark* – Leonard Cohen.

Popularna afrykanerska piosenka *'N Liedjie van Verlange* śpiewana przez Dirka i Annę jest oparta na tradycyjnej niemieckiej pieśni *Ich weiss nicht was mir fehlet* (Nie wiem, czego mi brak). Na potrzeby tekstu pozwoliłam sobie przetłumaczyć ją na język angielski. Dziękuję bardzo towarzystwu Federasie van Afrikaanse Kultuurvereniging oraz wydawnictwu Protea Boekhuis za zgodę na publikację afrykanerskiej wersji tego utworu spisane go przez Eitemala i zamieszczonego w *FAK Sangbundel* (Protea Boekhuis, 2011).

Jestem niezmiernie wdzięczna wszystkim mistrzom kucharskim, kucharzom i piekarzom, którzy pomogli mi udoskonalić fragmenty książki związane ze sztuką kulinarną.

Nikki Langer (z firmy cateringowej Eat Love Feast) przeczytała jeden z pierwszych szkiców mojej książki, pomogła mi wpleść jedzenie w fabułę i podsunęła mnóstwo wspaniałych przepisów (wiele z nich pochodzi od Iny Paarman).

Doskonały piekarz i szef kuchni Martin Mössmer wypróbował i tak długo modyfikował wszystkie przepisy *tannie* Marii, aż każda z potraw stała się niezmierną rozkoszą dla podniebienia. Osobiście przygotował przepisy na pomidorowy sambal, vetkoek i mięso mielone do niego, zawijaniec miodowy z polewą toffi, koeksisters, ciasto z musem czekoladowym oraz czekoladowe ciasto na maślanec. Przepis na niezrównaną tartę mleczną pochodzi od jego praprababci, *ouma* Alie Visser.

Legendarna Ina Paarman zgodziła się, abym wykorzystała jej rewelacyjne przepisy na sambal ogórkowy i na sos do bobotie; była również tak miła, żeby spotkać się ze mną i podzielić swoimi pomysłami.

Źródłem kuchennych inspiracji jest także moja siostra Gabrielle Andrew, która przyrządza przepyszne posiłki. Przepis na curry z kruchej jagnięciny powstał na podstawie jej przepisu (nieco zmodyfikowanego przeze mnie i Martina).

Moi rodzice Bosky i Paul Andrew są najbardziej gościnnymi ludźmi na świecie i każdy posiłek, który przygotowują, jest doprawiony miłością i smakuje niebiańsko. Jestem wielce zobowiązana najbardziej sfatygowanej książce kucharskiej mojej mamy *Cook with Ina Paarman* (Struik, 1987) oraz książce kucharskiej mojej babci ze strony ojca *Mrs Slade's South African Cookery Book* (Central News Agency, 1951). Inspiracje czerpałam również z klasyki gatunku, *Kook en Geniet* autorstwa S.J.A. de Villiers (wydanej przez autorkę w 1951 roku).

Przepis na bobotie pochodzi od mojego taty, który inspirację zaczerpnął z książki pani Slade (kilka pomysłów wywodzi się od Iny Paarman i Martina Mössmera). Tamatiebredie to moje dzieło z paroma ulepszeniami wprowadzonymi przez Martina Mössmera.

Dziękuję Barrie Pringle za przepis na chleb wiejski z Karu, piekarzowi Gavinowi Lawsonowi oraz mistrzowi piekarskiemu Chrisowi Johnstonowi (z Main Street Café w Omaruru w Namibii) za wspaniałe pomysły (między innymi na banany w czekoladzie) oraz Laurian Roebert za wyśmienity przepis jej mamy na zdrowe herbatniki.

Dan Halpern, Hattie Grunewald, Laurian Roebert, Teresa Loots, Jenny Wheeldon, Lindy Truswell i Tova Luck to grupa wspaniałych kucharzy, którzy wypróbowali część przepisów *tannie* Marii, po czym przekazali mi swoje bezcenne opinie i wskazówki.

Duży wpływ wywarła na mnie również książka *Karoo Kitchen. Heritage Recipes and True Stories from the Heart of South Africa* autorstwa Syddy Essop (Quivertree Publications, 2012).

Mimo że potrawy opisane w mojej książce wywodzą się głównie z afrykanerskich tradycji

kulinarnych, goszczą one na stołach wielu ludów i społeczności południowoafrykańskich, a przepisy na nie pochodzą z różnych źródeł. Na przekór panującemu wiele lat systemowi apartheidu, kultury (i kulinaria) miejscowej ludności przeplatają się i w tradycyjnych południowoafrykańskich daniach oprócz wyraźnych afrykańskich wpływów widać również wiele innych (między innymi kuchni malajskiej, indyjskiej, holenderskiej, francuskiej i włoskiej).

Moim zdaniem wszystkie potrawy *tannie* Marii są przepyszne, proszę jednak pamiętać o jednym: wszelkie ewentualne błędy lub niedociągnięcia są tylko i wyłącznie moją winą i nie należy nimi obarczać wyżej wspomnianych mistrzów kuchni.

„Nie istnieje nic takiego jak oryginalna wersja przepisu. Uczymy się od siebie nawzajem, dostosowujemy i wprowadzamy swoje zmiany. Trochę tu, trochę tam, garstkę tego, garstkę tamtego [...] i tak z pokolenia na pokolenie”.

Karen du Preez w *Karoo Kitchen*

„Gdy przyrządzasz posiłek, musisz włożyć w to całe serce”.

Carolyn Essop w *Karoo Kitchen*

SŁOWNICZEK

afrikaans – język afrikaans powstał na skutek zmieszania się różnych dialektów niderlandzkich z wieloma innymi językami, między innymi niemieckim, angielskim, francuskim, malajskim oraz językami afrykańskimi (w tym językiem Buszmenów)

Afrikaanse Taal- en Kultuurvereniging (ATKV) – Stowarzyszenie Kultury i Języka Afrikaans

appelkoos konfyt – dżem morelowy

bakkie – samochód typu pikap, z platformą bagażową zamiast tylnych siedzeń

beskuit – herbatniki

biltong – mocno przyprawione i ususzone mięso

bitterbos – niski południowoafrykański krzew o właściwościach leczniczych, kwitnący na Boże Narodzenie (*Chironia baccifera*)

bobotie – zapiekanka z mięsa mielonego pod kożuszką z jajek i mleka

boerewors – tłusta, surowa kiełbasa do grillowania

bokkie – źrebię antylopy steenbok, gatunku małych antylop (wagę 10–11 kg i mają do 90 cm wysokości) z charakterystycznymi uszami w kształcie szerokich rombów

brandewyn – brandy

bredie – gulasz

Cook with Ina Paarman (Gotuj z Iną Paarman), **Karoo Kitchen** (Kuchnia Karru), **A Celebration of South African Food** (Południowoafrykańska uczta) – popularne w RPA książki kucharskie

frikkadelle – frykadele, klopsiki z mięsa mielonego

groot-wolfdoring – krzew lub niskie drzewo, którego żółte kwiaty przypominają kwiaty fasoli (*Wiborgia mucronata*)

gwarrie – charakterystyczne dla południowej Afryki wiecznie zielone drzewo o sztywnych, skórzastych liściach, często tworzące gęste zarośla (*Euclea undulata*)

ja – tak

jakkalsbos – krzew lub niewielkie drzewo o filcowatych liściach i owocach przyciągających ptaki oraz owady (*Diospyros austro-africana*)

kaalgatperskes – nektarynki

kareeboom – wiecznie zielone, miododajne drzewo o wysmukłej koronie, szorstkim pniu i liściach podobnych do wierzbowych oraz jadalnych owocach (*Searsia pendulina*)

Karru (ang. Karroo, afrikaans Karoo; w języku Buszmenów znaczy „miejsce pragnienia”) – półpustynna kraina w południowo-zachodniej części RPA, obejmująca kotlinę w Górach Przylądkowych (Karru Małe), przedgórskie zapadlisko na północ od Gór Przylądkowych (Karru Wielkie) oraz ciągnący się za nim rozległy płaskowyż, aż do doliny rzeki Oranje (Karru Wysokie)

Karru Małe – zob. [Karru](#)

klapperbos – krzew lub małe drzewo o wąskich liściach i efektownych kwiatach; nasiona są otoczone pękatą, żebrowaną osłonką przypominającą ciemnoróżowy papier ryżowy i dlatego rośliny te są zwane chińskimi lampionami (*Nymania capensis*)

koeksisters – tradycyjne afrykanerskie ciastka robione ze splecionych dwóch lub trzech wałków ciasta, smażone w głębokim tłuszczu, a potem nasączone syropem

koloredzi – mieszkańcy RPA o mieszanym pochodzeniu rasowym (najczęściej bursko-malajsko-hotentockim); z powodu jasnobrązowej karnacji w czasach apartheidu byli uważani za doskonalszych rasowo niż Murzyni i Azjaci

Kook en Geniet (Gotuj z radością) – bardzo popularna w RPA książka kucharska, wydawana zarówno w języku angielskim (*Cook and Enjoy*), jak i afrykanerskim

liggie – latarnia

mama – matka

mejuffrou – panna

melkert – tarta mleczna, robiona z dużej ilości mleka z dodatkiem wanilii i cynamonu

meneer – pan

mevrou – pani

mielie – kukurydza

mieliepap – kasza kukurydziana

moerkoffie – kawa parzona po turecku

Nederduitse Gereformeerde Kerk (NGK) – Holenderski Kościół Reformowany, Kościół kalwiński, największy i najbardziej wpływowy w RPA

oom – wujek; zwrot grzecznościowy stosowany także w odniesieniu do niespokrewnionych mężczyzn

oupa – dziadek

pap en wors – południowoafrykańskie danie składające się z gęstej kaszy kukurydzianej podawanej

z kiełbasą

potjiekos – przygotowywana w **potjiepot** zapiekanka z ułożonych warstwami warzyw, ryżu lub ziemniaków oraz mięsa

potjiepot – okrągły, żeliwny garnek, często na nóżkach, do gotowania na ognisku

reëngrassie – miłka, wysoka trawa z charakterystyczną wiechą (*Eragrostis rotifer*)

shweshwe – drukowana w geometryczne wzory bawełniana tkanina, bardzo popularna w RPA, szczególnie wśród ludów Sotho i Khosa

sisi – siostra; używane także jako zwrot grzecznościowy

skat – skarb; także w pieśczętliwych zwrotach typu „mój skarbie”

slangbos – karłowaty, zdrewniały krzew porastający sawannę południowej Afryki (*Seriphium plumosum*)

slap chips – frytki

slymbos – kolczasty, karłowaty krzew o mięsistych liściach i mocno pachnących kwiatach (*Zygophyllum foetidum*)

soentjies – całusy; także nazwa popularnych ciasteczek maślanych

soetkoekies – maślane herbatniczki, tradycyjnie pieczone przed Bożym Narodzeniem

soetpampoën – słodka dynia

Soetwater – Słodka Woda (nazwa farmy)

spanspek – melon kantalupa

spekboom – drobnolistny krzew lub drzewko charakterystyczne dla południowej Afryki; w Polsce sukulent uprawiany jako drzewko bonsai (*Portulacaria afra*)

sterretjebos – trujący sukulent zwany gwiazdką buszu (*Tylecodon reticulatus*)

tamatiebredie – gulasz z jagnięciny i pomidorów

tamatiesmoor – sos pomidorowy

tannie – ciocia; zwrot grzecznościowy stosowany także w odniesieniu do niespokrewnionych kobiet

tata – ojciec

Towerkop – jeden z najwyższych (2189 m n.p.m.) szczytów Swartberge (Gór Czarnych), z charakterystycznym, jakby pękniętym na pół szczytem

veldskoene – trzewiki z miękkiej skóry, idealne do chodzenia po sawannie

veldvygie – odmiana przypołudnika, sukulentu o gruboszowatych liściach i efektownych kwiatach (*Mesembryanthemum*)

vetkoek – charakterystyczny dla kuchni południowoafrykańskiej puszysty chlebek drożdżowy smażony w głębokim tłuszczu, często podawany z nadzieniem, na przykład z mielonego mięsa, albo na słodko, z syropem lub dżemem

vetplantjies – sukulenty

vygie – odmiana przypołudnika, sukulentu o gruboszowatych liściach i efektownych kwiatach
(*Mesembryanthemum*)

wildsvleis – dziczyzna